

Dariusz Pietrucha

Nie patrz w oczy Złego

Ilustracje:

- wszystkie użyte w publikacji zdjęcia i ilustracje pochodzą ze zbiorów autora, a także z ogólnodostępnych zasobów internetowych
- spora część ilustracji została wykonana przez autora dzięki użyciu AI Canva
- strona tytułowa – ilustracja Michała Guryła
- na tylnej stronie – Niebieskooki. Ilustracji została wykonana przez autora dzięki użyciu AI Canva

Korekta stylistyczna:

Justyna Pietrucha

Projekt okładki:

Michał Gurył

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody Wydawcy zabronione jest jakiekolwiek rozpowszechnianie całości lub fragmentów niniejszej publikacji. Kopiowanie jakąkolwiek metodą kserograficzną, fotograficzną czy cyfrową stanowi naruszenie praw autorskich.

Copyright © Dariusz Pietrucha

ISBN 978-83-975088-1-1

Druk i oprawa:

FISCHER sp. z o.o.

Wydanie I

Bytom 2025

*Książkę dedykuję wszystkim Kobietom,
a w szczególności mojej Żonie Justynie....*

Dariusz Pietrucha

*Czy kiedykolwiek myślałeś o sposobie, w jaki złapałem tęczę
Będę tam, gdzie ogień sprawi, że zatańczysz
Zamierzam dać ci spojrzenie, które otworzy niebo
Ukryj się o północy. Zgaś światło, i tak cię zobaczę
Żegluj w nicość, będę podążać za tobą, gdziekolwiek pójdziesz
Mam złe oczy...*

Ronnie James Dio, Evil Eyes

Wstęp

„Na kolejnych stronach starałem się pokazać czarownicę taką, jaka była naprawdę – złą wątrobą; społecznym szkodnikiem i pasożytem; wyznawcą odrażającego i obscenicznego wyznania; ekspertem w trucicielstwie, szantażu i innych podstępnych przestępstwach; członkiem potężnej tajnej organizacji wrogiej Kościołowi i Państwu; bluźniercą w słowie i czynie, wpływającym na mieszkańców wsi za pomocą terroru i przesądów; szarlatanem i czasami szarlatanem; rozpustnicą; aborcjonistką; mrocznym doradcą rozwiązłych dam dworu i cudzołożnych galantów; ministrem występku i niepojętej korupcji, żerującym na brudzie i najgorszych namiętnościach epoki”.

Augustus Montague Summers¹

Wystarczył donos. Nie musiało być żadnego konkretnego dowodu. Podejrzana lub podejrzanego aresztowano. Podczas przesłuchania możliwe było zastosowanie tortur. Przesłuchiowano również świadków, którzy właściwie mogli rzucić każde, nawet najbardziej absurdalne oskarżenie. Ich motywacja również pozostawiała wiele do życzenia. Umęczone ciało, strach przed bólem i złamana psychika powodowały, że ludzie przyznawali się do wszystkiego. Mówiono o kontaktach z Szatanem, zarówno cielesnych, jak i duchowych, czasami w przerażających wręcz szczegółach, aby uwiarygodnić swoją opowieść. Przesłuchiwani woleli śmierć niż dalsze cierpienie. Wyrok sądu zazwyczaj był podobny. Spalenie na stosie. Dlaczego taki? Bo ogień ma symboliczne oczyszczające znaczenie. Uważano, że płomienie spowodują oczyszczenie duszy dotkniętej znakiem Szatana. Funkcjonowało przekonanie, iż taki rodzaj wykonania wyroku śmierci to właściwie przysługa dla tych, którzy zostali na nią skazani. Szczęście mieli ci, których przed spalaniem celowo podduszano lub wręcz pozbawiano przytomności. Nie wszyscy cieszyli się takim przywilejem. Publiczne egzekucje gromadziły całe lokalne społeczności. Były formą zbiorowej psychicznej perwersji. Te wszystkie obrazy stały się punktem wyjścia do tej historii...

To opowieść o niebezpiecznych zabobonach, o przerażającym ludzkim strachu, o pełnym nienawiści fanatyzmie, o wybujałych ambicjach, o pogardzie dla drugiego człowieka, ciemnych mrokach wojny, wyniszczających zarazach i epidemiach, o ludzkiej hipokryzji, o nieodgadnionych tajemnicach i zakamarkach ludzkiego umysłu, a to wszystko w realiach Bytomia w XVII i XVIII w. Pisząc ową powieść za-

¹ Był angielskim pisarzem i nauczycielem znanym z pism o czarach, wampirach, wilkołakach i innych, które jego zdaniem były prawdziwe. Żył w latach 1880-1948.

decydowałem, że postacie będą ze sobą rozmawiały używając współczesnego języka. Gdybym siłił się na użycie języka z XVII w., pewnie nic by z tego nie wyszło, a poza tym byłoby to mało zrozumiałe. Większość postaci to ludzie, którzy faktycznie żyli w tamtych czasach i byli związani z Bytomiem. Faktem również jest, że w XVII w. 80% mieszkańców miasta używało j. polskiego, a ich nazwiska i imiona również wskazują na polskie pochodzenie. Postacie związane ze światem hrabiowskim noszą niemieckie nazwiska i imiona. Ta różnica była doskonale widoczna.



Ilustracja 1 – Czarownica.

Przy opracowaniu fabuły tej powieści nieoceniony okazał się wspaniały artykuł Marty Pater „*Jalowiec, węża pul, iaszczurkę, zabę, pierze z kokota [...]. Procesy o czary przed sądem wójtowskim w Bytomiu w XVII wieku*” opublikowany w *Szkicach Archiwalno-Historycznych* nr 15 (2018). Nieocenione były również dokonania naukowe mieszkanki Bytomia, pani Urszuli Szumskiej², dotyczące bytomskich procesów czarownic. Koniecznym okazała się również lektura przerażającego dzieła „*Młot na czarownice. Postępek zwierzchny o czarach (...)*” przez Stanisława Ząbkowica sekretarza Xsięcia Jego

² Szumska Urszula, *Przyczynek źródłowy do procesów o czary*, Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, Historia VIII, Opole 1972.

Mość Ostrowskiego, Kasztelana Krakowskiego”, pierwotnie opublikowanego w 1487 r., pierwszy raz wydanego w Polsce w 1614 r., jak również bulli papieża Innocentego III z 1484 r. o czarownicach „*Summis desiderantes affectibus*”. Oparłem się również na opracowaniach historycznych Jana Drabiny czy Władysławy Ślęzak dotyczących historii Bytomia w okresie XVI-XVIII w. Stworzenie powieściowej fabuły wymagało dokładnej analizy każdego opisanego wydarzenia i ułożenia z nich chronologicznego ciągu, niezbędnego do stworzenia tej powieści. Koniecznym okazała się również lektura dzieła napisanego w 1936 r. przez dr-a filozofii Josefa Knossallę „*Das Dekanat Beuthen O/S in einem Schlesischen Teil*” oraz opracowań Bohdana Baranowskiego, Briana P. Levacka oraz Dietera Breuersa, dotyczących procesów czarownic. Nie byłbym pedagogiem, gdybym na końcu nie podał literatury, którą uważam za godną polecenia, by poszerzyć swoją wiedzę w tym temacie.

Chciałbym bardzo wyraźnie podkreślić, że „czarna legenda” rodu Henckel von Donnersmarck, z którą Czytelnik spotka się na stronach tej opowieści, powstała jedynie na jej potrzeby. Skojarzenie faktów, porównanie dat i odpowiednia ich interpretacja to moja wersja wydarzeń. W żaden sposób nie neguję, a wręcz przeciwnie, bardzo mocno doceniam wkład tego rodu w historię Górnego Śląska i samego Bytomia. Faktem jednak jest, że w XVII w. działo się wiele rzeczy, które z moralnego punktu widzenia pozostawiały wiele do życzenia. To wszystko odbywało się na tle przerażającej wojny 30-letniej, która z jednej strony była konfliktem religijnym, ale z drugiej brutalnym starciem politycznym europejskich mocarstw. Później rozgrywający się w sąsiedniej Rzeczypospolitej „potop szwedzki”, odsiecz wiedeńska czy wojna północna to kolejne elementy tego tła. To wszystko odbijało się na życiu ówczesnych mieszkańców Bytomia, jak i funkcjonowaniu samego miasta. Powieść po części opowiada o prawdziwych wydarzeniach, zawierając w sobie wątek fantastyczny i fabularny. Ma za zadanie przybliżyć tamte czasy. Mam nadzieję, że dla Ciebie, Drogi Czytelniku, ta forma wyda się interesująca. Pamiętaj jednak, że owa opowieść to swoisty wehikuł czasu, który kręci korbką raz w jedną, raz w drugą stronę. Musisz być uważny. Zapraszam...

Jaskinia Szarleja

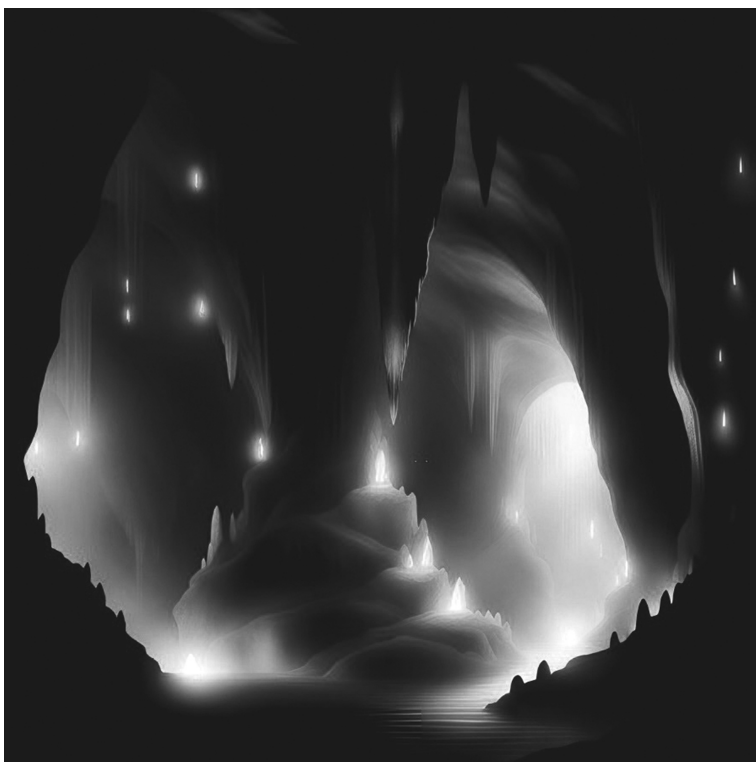
„Tu potrzebna jest mądrość. Kto ma rozum, niech obliczy liczbę bestii; jest to bowiem liczba człowieka. A liczba jego jest sześćset sześćdziesiąt sześć”.

Księga Objawienia (Apokalipsa św. Jana), rozdział 13

W dawnych czasach wierzano, że podziemia mają swoich bogów. Szczególnie na Śląsku, gdzie od wieków trwała działalność wydobywcza. Ludzie schodzili pod ziemię w poszukiwaniu bogactw, ale bali się ciemności, dziwnych odgłosów, trzasku pękających kamieni czy drewna. Bali się wszystkiego. Pomimo tego schodzili coraz niżej, z uporem drążąc pokłady srebra czy rud żelaza. Czym głębiej, tym bardziej się bali. Poza tym, nie wszyscy wracali. Tłumaczono to zawalem, wypadkiem czy zwykłym pechem, ale czasami działalnością demonów. Nikt, komu narusza się jego domowy mir, nie jest z tego powodu zadowolony. To zrozumiałe. Nie dziwiono się więc, że demony, obudzone przez ludzi, mszczą się na tych, którzy byli za bezczelni, za głupi czy też za odważni. Podziemnego śląskiego demona określano imieniem Szarlej. W pobliżu bytomskiego grodu znajdowała się osada wydobywcza, którą nawet nazywano jego imieniem. Pewnie nie bez powodu. Tam człowiek też schodził coraz niżej, dopóki na kopalnianych chodnikach nie pojawiła się woda. Wtedy trzeba było przerwać pracę i szukać innego miejsca. Robiono to bez namysłu, bo srebro, które wydobywano, miało wielką wartość. Kto je wydobywał i sprzedawał, był bogatym człowiekiem. To wystarczyło, aby ludzie nie zastanawiali się nad resztą.

W XVII w. nikt już nie pamiętał, że dawno temu, w czasach, gdy książęta bytomscy budowali swoją potęgę³, pewnej nocy bytomskim grodem niesamowicie mocno wstrząsnęło. Domostwa zatrzęsły się na swoich drewnianych fundamentach. Trwało to tylko chwilę, ale ludzie byli przerażeni. Wybiegli na ulice i rozglądali się dookoła. Nikt nie wiedział, co było przyczyną tego zjawiska. W nerwowych rozmowach snuto różne domysły. W końcu jeden z przyjezdných kupców, który bardzo dużo podróżował po świecie, nieco uspokoił wszystkich mówiąc, że to trzęsienie ziemi, którego nie raz był świadkiem podróżując po południowej Europie. Jednak na pytanie, dlaczego ziemia się trzęsie, nie potrafił odpowiedzieć. Kilka tygodni później rozeszła się wieść, że gwarkowie prowadzący wydobywanie w pobliżu bytomskiego grodu, a rejonie dzisiejszego Szarleja, drążąc pod ziemią kolejny chodnik, natrafili na podziemną grootę. Nie był to pierwszy tego typu przypadek, więc nie byli zbyt zdziwieni. Grota była

³ Chodzi o funkcjonujące w latach 1284-1355 księstwo bytomskie, którym władali książęta z rodu Piastów.



Ilustracja 2 – Jaskinia Szarleja.

rodzajem jaskini, dość dużej i obszernej, wypełnionej fantastycznymi stalaktytami i stalagmitami. Na pierwszy rzut oka niczym nie różniła się od tych, które już w swoim życiu widzieli. Wszystkie były zadziwiającym dziełem natury. Gwarków zdziwił jednak fakt, że nie byli tam pierwsi. Penetrując zakamarki jaskini trafili na ślady pobytu innych ludzi. Widać było pozostałości po dawnych paleniskach, których w grocie było dość sporo. Znaleźli kilka naczyń, które rozsypały się pod dotknięciem. Znaleźli też resztki innych przedmiotów, starych, zniszczonych i niewiadomego przeznaczenia. Ich zdziwienie budził jednak fakt, że jaskinia kończyła się rodzajem wąskiej skalnej gardzieli, która została starannie zasypana kamieniami. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by nie dało się przez nią przejść. Skarb? Ukryte bogactwa? Zaciekało ich to, więc pomimo swojego zmęczenia próbowali odrzucić część kamieni, by przedostać się dalej. Zadanie okazało się jednak niezmiernie trudne. Nie dali rady. Poza tym mieli wrażenie, że z każdym odrzuconym głazem pojawiał się większy chłód, a także silniejszy smród. Nie dało się tego zapachu opisać. Po prostu, niemiłosiernie śmierdziało. Zmęczeni, strudzeni, a także mocno rozczarowani postanowili przerwać pracę i wydostać się na powierzchnię. Obiecali sobie, że następnego dnia powrócą do jaskini, by dokończyć pracę. Przysięgli, że nikomu nie powiedzą o swoim znalezisku. Podświadomie czuli, że podziemna grota kryje w sobie jakąś mroczną tajemnicę. Być

może były tam ukryte bogactwa. Pozostawili jaskinię ciemną i głuchą. To właśnie tej nocy bytomskim grodem zatrzęsło.

Następnego dnia w ciszy wrócili do podziemnej groty. Nikt z nich nie miał odwagi głośno powiedzieć, że wstrząs, który napędził im niezłego stracha, mógł mieć coś wspólnego z ich odkryciem. Tak naprawdę taka myśl zakiełkowała w głowie każdego z nich. Wbiła się jak cierń. Od razu ruszyli w stronę skalnej gardzieli. Stanęli jak wryci, bo mimo wszystko nie spodziewali się takiego widoku. Potężne głazy leżały rozrzucone po całej jaskini. Wyglądało na to, że jakaś siła miotła nimi po całej grocie, niszcząc sporą część stalaktytów i stalagmitów. Wiedzieli o tym, że człowiek nie był w stanie tego zrobić. To niemożliwe. Zawał w skalnej gardzieli już nie istniał. Po prostu zniknął. Nawet kamienie, które wczoraj odrzucili, leżały rozrzucone. Smród był nie do zniesienia. Pomimo tego zajrzeli w głąb skalnej pułapki. Okazało się, że za zawałem znajdowało się niewielkie pomieszczenie, otoczone z trzech stron pionowymi skalnymi ścianami, całkowicie puste. Nic więcej. Gdy się dokładniej przyjrzeni, choć smród mocno to utrudniał zauważyli, że na ścianach pomieszczenia widać było dziwne ślady. Każdy z nich tłumaczył to sobie na swój sposób, ale potem wspólnie doszli do tego samego wniosku. Podziemna jaskinia była więzieniem. Dawno temu ludzie coś tam uwięzili⁴. To coś było z tego faktu bardzo niezadowolone. Z wściekłością i furią drapało ściany swojego więzienia, pozostawiając ślady, które widzieli. Tylko, że nie mogły to być ludzkie ręce. To coś musiało mieć potężne pazury, którym poddała się nawet skalna ściana. Musiało też być niesamowicie silne. Gwarkowie nie wiedzieli, że poprzedniego dnia, przystępując do próby odrzucenia skalnego zawału, naruszyli świętą linię, której już od dawna nie dało się zauważyć ludzkim okiem. Zniszczyli coś w rodzaju magicznej zasłony, która przez wieki nie pozwalała straszliwemu więźniowi wydostać się na zewnątrz. Nieświadomie uwolnili bestię. Przestraszeni dość szybko wydostali się na powierzchnię. Dopiero tam nerwowo wymieniali się swoimi uwagami i spostrzeżeniami. Doszli do wniosku, że zrobili coś złego, o czym nikt inny nie może się dowiedzieć. Przysięgli to sobie. Już nigdy nie wrócili do podziemnej groty. Pospieszenie zasypali szybik, by nikt inny nie mógł tam wejść. Rozpoczęli prace w zupełnie innym miejscu, z dala od ich przerażającego odkrycia.

⁴ W XIX w. na terenie Szarleja (obecnie część Piekar Śląskich) Donnersmarckowie wybudowali kopalnię cynku „Scharley”. Kopalnia „Scharley” była najstarszą na terenie Piekar kopalnią rud galmanu położoną w dolinie rzeki Szarlejki. W połowie XIX w. stała się własnością koncernu „Giesche”. Przerodziła się w jedną z największych kopalni galmanu w Europie. Podczas budowy kopalni na głębokości 10 m odkryto resztki chat, narzędzi oraz inne przedmioty, będące pozostałością po pradawnej osadzie. Odkryciem zainteresował się sam król pruski Fryderyk Wilhelm III. Niemieccy archeolodzy kierowani przez Lauberta (badania osobiście nadzorował minister von Hardenberg) zaczęli prowadzić badania, które wykazały, że są to pochodzące z początków naszej ery resztki osady, która nie nosiła cech osadnictwa germańskiego. Król nie był zadowolony z takiego wyniku badań i rozkazał, aby znalezione przedmioty zniszczyć. Karol Piekoszewski, młynarz z Brzozowic i były żołnierz napoleoński starał się zbierać w swojej stodole znalezione przedmioty i nie dopuścić do ich zniszczenia. Opisał je w broszurze wydanej w 1852 r. nakładem drukarni Teodora Haneczka. Niestety, broszura nie zachowała się. Uratowane przez niego artefakty też nie. Owa osada istniała na kilkaset lat przed przyjęciem chrześcijaństwa.

Każdy z nich do końca życia nie przyznał się nikomu do tego, co tego dnia widział pod ziemią. Odeszli z tego świata i zabrali tajemnicę do grobu.



Ilustracja 3 – Mężczyzna o błękitnych oczach.

W następnych tygodniach, miesiącach i latach w okolicy pojawiał się mężczyzna. Pewnie nikt by go nie zapamiętał, bo jego postura była nieznaczną, a wygląd i ubiór wskazywał na biednego wędrowca. Takich w okolicach bytomskiego grodu pojawiało się dziesiątki. Poza tym, zachowanie mężczyzny nie budziło żadnych zastrzeżeń. Niczym się nie wyróżniał poza jedną cechą. Miał niezwykle oczy koloru jasnego błękitu. Chodził, odwiedzał targowiska, obserwował ludzi i ich codzienne czynności, ale nigdy nie żebrał. Pojawiał się zimą, gdy mróz ścisnął swoim żelaznym uchwytem, w lecie, gdy pola w okolicach grodu piękniały kolorami kwiatów, a szumiące zboże rosło w górę, wiosną, gdy ludzie z trudem pracowali na polach, by te odwdzińczyły się dużym urodzajem i jesienią, gdy opadające liście przypominały o nadchodzącej zimie. Pojawiał się o każdej porze roku. Cichy, samotny, spokojny, ale zawsze uważnie obserwujący. Byli tacy, którzy próbowali z nim rozmawiać. Niektórych ciekawił samotny wędrowiec, więc próbowali dowiedzieć się, skąd pochodzi i gdzie zmierza. Mężczyzna nie unikał rozmów. Ton jego głosu zawsze był spokojny. Udzielał jednak krótkich, zdawkowych odpowiedzi, które nie zachęcały do dalszej rozmowy, ale za-

wsze czynił to z przyjaznym uśmiechem na twarzy. Inni próbowali zaoferować mu pracę, szczególnie w okresie letnim, gdy każda para rąk była na wagę złota, ale zawsze grzecznie odmawiał i spokojnie odchodził. Jeszcze inni oferowali mu pomoc, chcąc podzielić się posiłkiem, proponując nocleg, ale nigdy z takiej propozycji nie skorzystał. Z uśmiechem na twarzy odmawiał i dalej szedł swoją samotną drogą. Faktem jest, że sam nigdy nie zaczął rozmowy. Odpowiadał tylko wtedy, gdy ktoś go zagadnął. Nikt nie wiedział, gdzie nocuje. Nikt nie widział go w trakcie spożywania posiłku. Nigdy nie pojawił się w kościele, czy też na religijnych świętach. Był tajemnicą, ale zbytnio nie przejmowano się jego obecnością. Jednakże wszyscy, którzy mieli okazję zamienić z nim parę słów, zapamiętali to samo. Jego oczy. Ich głęboki, rzadko spotykany błękit. Tylko, że nawet nie o ich kolor chodziło. Bardziej o charakter jego spojrzenia. Wędrowiec był zawsze grzeczny i uprzejmy, ale jego wzrok przerażał. Rozmówcy mieli wrażenie, że wpatrując się w jego oczy popadali w swego rodzaju trans. Trudno to określić. Mieli wrażenie, że mężczyzna bada ich duszę, spogląda w najdalsze jej zakamarki, a przecież każdy ma swoje sekrety. Wszyscy mieli uczucie, że za chwilę ich tajemnice wyjdą na światło dzienne. Dlatego sami nie mieli ochoty przedłużać konwersacji. Byli szczęśliwi, gdy mężczyzna odchodził. Odprowadzali go wzrokiem zastanawiając się nad tym, co przed chwilą przeżyli. Nie wymieniano się takimi informacjami, więc dla innych sekret rozmów z błękitnookim mężczyzną pozostawał nieodkryty. Przyzwyczajono się do jego obecności, choć pojawiał się rzadko.

Mijały dziesięciolecia i wieki. Bytomski gród zmieniał się, poprzednie pokolenia odchodziły ustępując miejsca następnym. Zmieniały się także realia polityczne, sytuacja społeczna i gospodarcza. Bytomski gród już nigdy nie powrócił do czasów swojej połyskującej srebrem świetności. Wędrowiec pojawiał się i znikał. Zawsze samotny, cichy i spokojny. Nigdy nie zmieniał swojego zachowania. Nie postarzał się. Nie zmienił. Wyglądał tak, jakim ujrzano go jeszcze w XIII w. Gdyby był postacią bardzo znaną, pewnie zauważono by ten niezwykły, wręcz trudny do zrozumienia fakt. Mężczyzna unikał rozgłosu. Rzadko pojawiał się tam, gdzie były tłumy ludzi. Wyraźnie uciekał przed ludzkim wzrokiem. Jednak jego błękitne oczy bacznie obserwowały każdego. Jeśli już ktoś się do niego odezwał, na długo zapamiętał błękitne, hipnotyzujące spojrzenie. Wędrowiec ciągle pozostawał tajemnicą. Nieliczni mówili, że potrafi przybrać każdą postać. Trudno powiedzieć, czy było to prawdą. Gdyby zachowywał się inaczej, pewnie w bytomskim grodzie i jego okolicach powstałaby legenda o niezwykłym niebieskookim mężczyźnie wędrującym z niewielkim tobołkiem na plecach, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Nigdy taka nie powstała.

Ordalia Anno Domini 1666

*„(...) Od razu go pochwycą i, ręce i nogi
Związawszy, rzucą nagle w wir spienionych fal.
Jeżeli zaczniesz tonąć, znak to, że niewinny,
Jeżeli zaś przeciwnie, wina pewną już”.*

Fragment tzw. poematu o żubrze z XVI w.
autorstwa Mikołaja Hussowskiego

Był to kwiecień 1666 r. Wiosna zaglądała ludziom w okna, budząc nadzieję na lepsze czasy. Już dawno na świecie nie było spokoju. Jednakże ten wiosenny dzień był inny, wypełniony krzykiem i strachem. Spory tłum zebrał się w pobliżu Bramy Krakowskiej⁵, w podziemiach której znajdowało się miejskie więzienie nazywane przewrotnie „Wesołką”. Ludzie byli wyraźnie podnieceni. Głośno rozmawiali i często spoglądali w stronę solidnych drewnianych drzwi, które za chwilę miały się otworzyć. Nastrój podniecenia udzielał się nawet zwierzętom. Pod nogami płały się zdeorientowane psy i koty. Piękny, słoneczny dzień nie był w stanie zagościć w ludzkich umysłach, gdyż tłum skupił się na czymś innym. Na nerwowym oczekiwaniu.

– Jest! – krzyknął ktoś nagle. Wzrok wszystkich skierował się w stronę otwartych drzwi, w których pojawiło się dwóch uzbrojonych strażników. Pomiędzy nimi szła kobieta, którą strażnicy popychali zdecydowanymi ruchami. Katarzyna Niedzielińska⁶, kobieta w średnim wieku o dość ładnych rysach twarzy, z bujnymi, ciemnymi włosami, ubrana w rodzaj długiej, dość ściśle dopasowanej do ciała sukni, mocno rozkloszowanej u dołu, która czasy swojej świetności miała już dawno za sobą. Widać było jej podarte fragmenty, a także ciemne plamy, które zapewne były śladem po krwi, kale i moczu. Kobieta nie opierała się zbyt. Przymrużyła oczy, bo promienie słońca wyraźnie ją osłepiły. Po pobycie w ciemnym lochu nie było w tym nic

⁵ Jedną z dwóch pierwszych bram miejskich Bytomia. Istniała od XIII w. W XVII w. oprócz Bramy Krakowskiej istniała również Brama Gliwicka, Tarnogórska, a także Furta Źródłana w okolicy Placu Klasztornego.

⁶ W 1666 r. przed bytomskim sądem odbył się proces Katarzyny Niedzielińskiej. Nie wiadomo dokładnie, o co kobieta została oskarżona. Prawdopodobnie chodziło o zarzut spowodowania czarami szkód na bydło. Musiała to być poważna sprawa, bo Katarzyna spędziła w więzieniu ponad dwa tygodnie, została poddana tzw. „próbie wody”, a wobec niej najprawdopodobniej zastosowano również tortury. Proces być może zakończył się skazaniem oskarżonej na śmierć przez spalenie, co oznacza, że została uznana za wiedźmę. Nie jest to jednak pewne. Zachował się jedynie rachunek za dostawę drewna związaną z jej sprawą, co może świadczyć o przygotowaniu do ustawienia stosu. Rok później następną mieszkankę Bytomia skazano na wygnanie za taki sam czyn. Informacja zaczerpnięta z artykułu Marty Pater „Jalowiec, (...)”, Szkice Archiwalno-Historyczne nr 15, Archiwum Państwowe w Katowicach, Katowice 2018.

dziwnego. Po chwili, popychana przez strażników, ruszyła w dalszą drogę. Tłum zamilkł. W milczeniu obserwował każdy jej ruch. Katarzyna dopiero teraz zauważyła, jak wielu ludzi zebrało się w pobliżu Bramy Krakowskiej. Nie przerywając swojego marszu rozglądała się dookoła, jakby chcąc dojrzeć wśród tłumu znajome rysy. Może po prostu przyglądała się uczuciom, jakie uczestnicy tego zbiorowiska mieli wypisane na twarzach. Strażnicy nie opuszczali jej ani o krok.

– Tak, Niedzielina! – krzyknął nagle jakiś mężczyzna – Dzisiaj się wszystko okaże! Milczący dotąd tłum obudził się.

– O tak! Okaże się! Ordalia!⁷ Próba wody! Wszystko będzie wiadomo! Niedzielina! Wiedźma! – głośnie i nieprzyjazne okrzyki przeplatały się ze sobą. Tylko nieliczni stali w milczeniu i obserwowali całą scenę. Kobieta uśmiechnęła się lekko i nie odpowiedziała ani słowem. Popychana przez strażników przeszła przez most przerzucony nad miejską fosą, przez kolejną solidną kamienną bramę i znalazła się poza obrębem murów. Tłum ruszył za nią.

– Na Klukowiec!⁸ Tam się okaże! Próba wody! Wiedźma! – okrzyki robiły się coraz bardziej zjadliwe. Jakiś chłopiec podniósł z ziemi kamień i rzucił nim w stronę kobiety. Nie trafił. Oberwało się jednemu ze strażników, który z wściekłością popatrzył w stronę tłumu, siarczyście przeklinając. Matka chłopca chwyciła go za ucho i mocno pociągnęła, co skończyło się wybuchem płaczu. Skarciła również syna słowami. Niedzielina pilnowana przez strażników powolnym marszem ruszyła w stronę stawu, do którego trzeba było przejść kilkaset metrów. Za nimi ruszył rozgorączkowany tłum. Minęli kościółek św. Ducha⁹, przytułek bożogrobców¹⁰, ulokowane pod grodem sady, wśród których można było jeszcze dostrzec resztki bytomskiego

⁷ Inna nazwa tzw. Sądu Bożego (tzw. *Ordalium*). W pierwszych wiekach średniowiecza ordalia były przez Kościół zakazane. Ich renesans nastąpił w XVI w. Uważano, że czarownica nie potrafi płakać, więc gdy któraś kobieta płakała w czasie procesu, uważano to za okoliczność łagodzącą. Uważano również, że czarownica niewiele waży, więc nagie kobiety ważono. Chude miały problem. U kobiet szukano również wyraźnych znamion, które miały być dowodem kontaktu ze Złym. W tym przypadku chodzi o tzw. próbę zimnej wody stosowaną wobec kobiet podejrzanych o magię, inaczej nazywaną pławieniem. Skrępowaną podejrzaną wrzucano do stawu lub rzeki. Związane ciało miało kształt łódki. Jeśli unosiła się na powierzchni oznaczało to, że jest wiedźmą. Bardzo często obscenry strój kobiet powodował, że długo unosiły się na powierzchni. Wyciągano ją i palono na stosie. Jeśli szła na dno, uznawano ją za niewinną. Taką powtórnie wyciągano na powierzchnię i oczyszczano z zarzutów. W pierwszych dziesięcioleciach XVII w. pławienie stosowano w Polsce dość powszechnie. Podobnie było w należącym do Habsburgów Śląsku.

⁸ Nazwa nieistniejącego stawu znajdującego się na terenie dawnego Rozbarku (obecna dzielnica Bytomia). Prawdopodobnie ciągnął się od obecnej ulicy Sokoła aż do ul. Szkolnej. Nazwa Klukowiec pochodzi od nazwy *Klukowitzer*, a ta z kolei od Johanna Klugiusa, miejskiego młynarza, który właśnie w tym miejscu miał swój młyn. Od jego nazwiska obecna ul. Korfantego w późniejszym okresie nosiła nazwę *Klukowitzer Strasse*. Staw Klukowiec zlikwidowano w drugiej połowie XIX w. Na tyłach budynków Muzeum Górnośląskiego przy ul. Korfantego do dzisiaj można zobaczyć kamiennie-ceglany brzeg dawnego stawu, obecnie zalany cementem. W dawnych czasach mieszkańcy Bytomia tworzyli podobne stawy zwane rybnikami, które zapewniały im zaopatrzenie w ryby słodkowodne, które były popularnym artykułem żywnościowym.

⁹ Obecny kościół św. Ducha przy ul. Krakowskiej. W XVII w. wyglądał inaczej. W 1662 r. proboszczem tego kościoła był ks. dr Stanisław Łasicki.

¹⁰ Przytułek dla osób niedołężnych, który istniał od 1299 r. Prowadził go zakon bożogrobców (Zakon Księży Kanoników Stróżów św. Grobu Jerozolimskiego). Znajdował się zaraz obok Bramy Krakowskiej. Obecnie nie ma już po nim śladu.

zamku książęcego¹¹. Niektórzy stale wrzeszczeli, inni wygrażali pięściami, a jeszcze inni maszerowali w zupełnym milczeniu, jakby chcieli pozostać anonimowi. Krzykliwy i głośny pochód zmierzał w stronę Rossbergu¹². Po drodze mijali drewniane, chłopskie zabudowania, których mieszkańcy wyszli przed swoje domostwa, by obserwować ten niecodzienny widok. Zazwyczaj robili to w milczeniu. Po pewnym czasie oczom maszerujących ukazał się staw, nad którym, w pobliżu wodnego młyńna, czekała już grupa ludzi. Całkiem spora. Kobieta pilnowana przez strażników też ich dojrzała. Gdzieś wewnątrz zadrżała, ale nie dała tego po sobie poznać. Idąc w stronę swojego przeznaczenia nie udawała bohaterki. Po prostu, pogodziła się ze swoim losem. Była zmęczona i pokorna. Nie próbowała uciekać, ani się bronić. Spokojnym krokiem zbliżała się w stronę stawu. Wśród oczekującej grupy ludzi wi-dać było poruszenie. Ich stroje wskazywały na wysoki status społeczny. Niedaleko wodnego zbiornika, w gęstych zaroślach, stała grupa okazałych wierzchowców i kilka konnych powozów. Pilnowało ich czterech ludzi. Nad stawem dało się również zauważyć kolejnych uzbrojonych strażników. Niektórzy poznali burmistrza Kacpra Gutmanna, członków rady miejskiej oraz ławników, a także Jerzego Geisinga¹³. Wśród tłumu dało się zauważyć inne twarze, nieznane mieszkańcom Bytomia. Byli też księża, w tym proboszcz bytomskiej parafii WNMP¹⁴ Kossubius i jego wikariusz. Wszyscy czekali, aż krzyczący pochód ze strażnikami i uwięzioną kobietą na czele dotrze do stawu Klukowiec. Wcześniej sprawdzono, że pomimo kwietniowej daty staw nie był zamarznięty, choć woda była lodowato zimna. Na brzegu stała sporych rozmiarów łódka, zapewne wypożyczona od jednego z miejscowych rybaków.

Pochód idący od Bramy Krakowskiej w końcu dotarł na miejsce. Z grupy możliwych wyszedł ksiądz pleban Kossubius, mężczyzna dość słusznej postawy, a jeszcze większej wagi. Spojrzał na kobietę. Ta odpowiedziała mu pełnym nienawiści wzrokiem.

– Związać ją! – krzyknął Kossubius.

Kilku strażników podeszło do kobiety. Zmusili ją do położenia się na ziemi. Lewą rękę przywiązano do prawej stopy, a prawą do lewej stopy. Następnie za pomocą solidnego kija zablokowano związane ręce pod mocno ugiętymi kolanami. Kobieta leżała na boku gotowa na swój los.

– *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen!* – mówił głośno pleban chcąc, aby słyszało go jak najwięcej osób. W tym samym czasie jeden z jego pomocników podał naczynie z wodą święconą, a ksiądz pokropił nią wody stawu. Zapadła cisza. Pro-

¹¹ Zamek został wybudowany w czasach księstwa bytomskiego, prawdopodobnie pod koniec XIII w. Znacznie podupadł już w XIV w. Potem pozostawał już w stanie ruiny. W XV w. rządzący Bytomiem Piastowie oleśnicy wybudowali nowy zamek w niedalekim Świerklańcu.

¹² Dawna nazwa dzielnicy Rozbark.

¹³ Prawdopodobnie zastępcy burmistrza.

¹⁴ Był nim wtedy Kacper Zygmunt Kossubius.

boszcz podszedł do leżącej na ziemi kobiety i ręką uczynił znak krzyża na jej czole. Następnie wstał i nieco się od niej odsunął.



Ilustracja 4 – Pochód Niedzieliny.

– Bracia i siostry! – krzyknął zwracając się do wszystkich obecnych – Mamy dzisiaj ordalnia! Sąd Boży! Bóg nie dopuści do skrzywdzenia kogoś, kto jest niewinny! Nie mając pewności co do winy tej kobiety, Katarzyny Niedzieliny, podejrzanej o uprawianie zabronionej magii, poddamy ją próbie wody! Bóg ją osądzi! Za chwilę umieścimy ją w wodach stawu! Jeśli utrzyma się na powierzchni, będzie to oznaczało, że zdradziła naszą wiarę, obraziła Pana naszego i splugawiła się. Jeśli zacznie tonąć, będzie to oznaczało, że jest niewinna! Bóg nam pokaże, na co zasłużyła!

– Tak! Tak! Właśnie! – padały z tłumu głośnie okrzyki.

– Panie burmistrzu... – proboszcz odwrócił się na pięcie w stronę burmistrza Gutmana i spojrzał na niego pytającym wzrokiem. Ten, jakby nagle ocknął się z głębokiego letargu, zwrócił się do strażników.

– Róbcie to, co musicie – powiedział.

Tłum zamilkł. Kilku mężczyzn podniosło kobietę z ziemi, ruszając w stronę oczekującej na brzegu łodzi. Bardzo ostrożnie ułożyli ją na dnie. Nie odezwała się ani słowem. Nawet nie jęknęła, choć unieruchomienie rąk i nóg w takiej pozycji musiało

być bardzo bolesne. Do łodzi wsiadło pięciu strażników. Dwóch z nich złapało do ręki wiosła. Po chwili łódź odbiła od brzegu i skierowała się na środek dużego stawu, jakim był Klukowiec. Tłum zebranych ustawił się na brzegu stawu, by dobrze widzieć to, co będzie się działo. Zamilkły wszelkie rozmowy. Było słychać tylko szum ciepłego, wiosennego wiatru. Gdy łódź znalazła się w pewnym oddaleniu od brzegu, jeden ze strażników pochylił się i wprawnym ruchem przywiązał do uda kobiety skórzany bukłak wypełniony powietrzem. Pozostali strażnicy udawali, że niczego nie widzą. Taka była umowa. Z brzegu wyglądało to tak, jakby strażnik próbował uspokoić leżącą na dnie łodzi kobietę, która przecież mogła się rzucać. Mężczyzna sprawdził jeszcze umocowanie drewnianego kija, który nie był takim zwykłym. Nasączono go specjalnym olejem, który nie pozwalał mu zatonać. O tym wiedzieli tylko nieliczni. Wokół pasa kobiety zawiązał grubą linę. Gdy łódź znalazła się na środku stawu, odłożono wiosła, a strażnicy z wielką ostrożnością podnieśli ciało kobiety i wychylając się nieco poza burtę, umieścili je na wodzie. Koniec liny pozostał w ręku jednego ze strażników. Kobieta nie tonęła. Unosiła się na powierzchni. Jej namoczona suknia nie pozwalała dostrzec bukłaka z powietrzem, który miała między nogami. Mijała kolejna chwila, a kobieta nadal unosiła się na powierzchni.

– Nie tonie! Boże, to wiedźma! Hrabia miał rację! – okrzyki zgromadzonych robiły się coraz głośniejsze – To czarownica! Kurwa! Sługa diabła! Nie tonie!

Nikt nie zauważył, że głowa kobiety znalazła się pod wodą, a ta próbowała walczyć o życie, miotając się na powierzchni wody. Z daleka jej ruchy wyglądały na opętane, nienaturalne i nieludzkie. W oczach tłumu to tylko potwierdzało, że opętały ją siły nieczyste.

– Nie tonie! Nie tonie! Szatan jej pomaga! Ludzie, ona nie tonie! – tłum oszalał.

Kobieta walczyła, aby odwrócić głowę i zaczerpnąć haust powietrza. Nie udawało się. Po chwili jej ciało znieruchomiało.

– Wyciągaj ją! – krzyknął jeden ze strażników.

Mężczyzna mocno pociągnął za koniec liny przyciągając jej ciało w pobliże łodzi. Pozostali wychylili się, by unieść ją z wody. Była nieruchoma. Gdy znalazła się na dnie łodzi, jeden z mężczyzn wymierzył jej siarczysty policzek. Kobieta ocknęła się i zaczęła wymiotować wodą.

– Masz, czego chciałaś, kurwo... – powiedział do niej nie ukrywając swojej wrogości – Do brzegu! – krzyknął do swoich towarzyszy. W tym samym czasie szybkim ruchem noża odciął skórzany bukłak przywiązany do jej uda. Kobieta nadal dławiała się wodą, której sporo znalazło się w jej płucach. Tym razem łódka płynęła o wiele szybciej. Gdy dobiła do bagiennego brzegu, mężczyźni wyciągnęli z niej kobietę i ponieśli w stronę suchego brzegu, gdzie zgromadził się tłum. Rzucili ją skępowaną

na ziemię. Jeden z nich pochylił się z nożem w rękę. Szybkim i wprawnym ruchem rozciął jej więzy i wyciągnął krępujący kij. Wyrzucił go w krzaki, ale jego towarzysze śledzili lot, by lepiej zapamiętać miejsce. Później mieli po niego wrócić. Katarzyna Niedzielina nadal wypływała z siebie wodę, krztusząc się niemiłosiernie.



Ilustracja 5 – Próba wody, źródło: internet.

– Wiedźma! Wiedźma! Kurwa diabła! Zabić ją! – tłum wrzeszczał jak oszalały. W stronę kobiety pluto, rzucono obelgami, kawałkami ziemi i kamieniami. Większość z nienawiścią w oczach wygrażało jej pięścią.

– Spokój! – krzyknął proboszcz Kossubius – Posłuchajcie!

Tłum niechętnie, ale posłusznie się wyciszył.

– Ordalia zakończone! Bóg wydał wyrok! Sami widzieliście! Ona jest wiedźmą!

– krzychał proboszcz wskazując ręką w stronę kobiety – Nie utonęła! Diabeł jej pomógł!

– Tak! Tak! Wiedźma! Spalić ją! – odpowiedział mu tłum dziesiątkami wypełnionych nienawiścią gardeł. Niedzielina wykonywała spazmatyczne ruchy, jakby ponownie przysła na świat.

– Hrabia miał rację! – krzychał pleban – Bóg ją osądził! Prawda, panie burmistrzu?

– proboszcz zwrócił się w stronę burmistrza Kacpra Gutmanna. Ten w milczeniu skinął głową. Robił wszystko, by nie patrzeć na leżącą na ziemi kobietę.

– Ordalia zakończono! Teraz odprowadźcie kobietę do więzienia! – proboszcz wskazał ręką w stronę widocznych w oddali murów bytomskiego grodu i Bramy Krakowskiej. Strażnicy chwycili pod ramiona prawie omdlałą Katarzynę Niedzielinę, podnieśli ją do góry i poprowadzili we wskazanym kierunku. Prawie nieprzytomna, wlokła stopami po ziemi. Wiele osób wykorzystało moment, by na nią napluć, obrzucić przekleństwami, czy wykonać jakiś wrogi gest. Strażnicy musieli

rękoma wywalczyć sobie drogę przez tłum. Cały powrotny pochód przypominał jeden wielki lincz. Rozwścieczony tłum było słychać aż w Szarleju. Rozbarscy chłopci w większości pochowali się w swoich chałupach, by zniknąć z oczu i nie kusić losu. Dość szybko wszyscy dotarli do Bramy Krakowskiej, a po chwili na wpół żywa Niedzielina znalazła się w swojej celi. Może trudno to zrozumieć, ale na swój sposób była z tego powodu szczęśliwa.

Tego dnia, wypełnionego strachem i ludzką nienawiścią, nikt nie zauważył samotnego wędrowca o błękitnych oczach, który stał w pewnym oddaleniu od stawu w miejscu, skąd doskonale było widać taflę wody i prowadzoną próbę wody. Obserwował zachowanie kobiety. Zauważył, jak strażnik przywiązuje jej skórzany bukłak do uda. Widział, jak kobieta walczyła o życie. Obserwował tłum i jego akty wrogości i nienawiści. Widział wszystko, tylko jego nikt nie zauważył.



Ilustracja 6 – Próba wody, źródło: internet.

Ciiii...

Gdy rozwścieczony tłum wracał do grodu, do Bramy Krakowskiej, nie wszyscy zachowywali się tak samo. Niektórzy trzymali się nieco z boku i nie wykazywali się żadnymi aktami wrogości wobec udręczonej, ledwo żywej Niedzieliny. Spokojnie, choć z wyraźnym niepokojem w oczach obserwowali próbę wody i wszystko to, co stało się później. Nie chcieli płynąć w strumieniu ludzkiej nienawiści. Trzymali się nieco z boku. Dwóch mężczyzn w średnim wieku szło obok siebie nie odzywając się. Obydwaj rozglądali się nerwowo, jakby spodziewając się czegoś złego. Nie chodziło tu o Niedzielinę i jej rzekomy związek ze Złym. Mężczyźni bali się rozwrzeszczanego i pełnego nienawiści tłumu. W końcu jeden z nich odważył się cokolwiek powiedzieć.

– Co o tym myślisz, Józefie? – spytał cicho, wyraźnie obawiając się niechcianych świadków rozmowy.

– Nic – odparł krótko drugi – Nic nie myślę...

– Jak to nic?

– Nic, Andrzej. Nic nie myślę! – powiedział nieco głośniej.

– Cichaj... Nie krzycz... Bo ktoś usłyszy... – Andrzej uważnie rozglądał się wokół siebie – Powiedz mi, co myślisz – dodał bardziej stanowczo. Józef spojrzał na niego.

– Andrzej, nic nie myślę. Nie chcę mieć kłopotów. Nie chcę skończyć jak ona. Nic nie myślę. Zupełnie nic.

Andrzej spojrzał na niego.

– Józef, przecież jesteś moim bratem. Mnie się boisz? Zwariowałaś?

Józef opuścił wzrok. Szli powoli, bo tłum rozkoszował się okazywaniem swojej wrogości wobec wleczonej przez strażników Niedzieliny.

– Teraz takie czasy... Brat na brata... – powiedział cicho.

– Józek, spójrz mi w oczy! – powiedział głośno Andrzej – Powiedz mi to prosto w oczy...

Józef nie miał odwagi spojrzeć w oczy brata.

– Andrzej, ja się boję. O siebie, o dzieci... Boję się... – szeptał.

– To rozumiem. Ja też się boję, ale nie dam się zwariować. Nie będę obawiał się rodzzonego brata – powiedział Andrzej. Przez chwilę szli w całkowitym milczeniu.

– Nie wierzę w to – odezwał się nagle Józef.

– Co mówisz?

– Nie wierzę w to, że ona jest wiedźmą – powiedział cicho Józek – Andrzej, ja ją znam. To porządna kobieta. Katoliczka. Twarda i pełna zasad.

- Zamknij mordę, durniu... - syknął przez zęby Andrzej rozglądając się nerwowo dookoła - Bo jeszcze ktoś usłyszy. Ona dla nich jest wiedźmą...

Przez kolejnych kilkadziesiąt kroków nie odezwali się nawet słowem.

- Skąd się bierze to szaleństwo? - spytał brata Andrzej - Kiedy to się zaczęło?

- Dawno temu, bracie. Dawno temu... - odparł Józef i głęboko westchnął.

1588 – prawie 70 lat wcześniej...

„Powiadamy tedy, iż jako pięcią sposobów szatani sami przez się bez sprawy czarownic ludzi posiadać i onym szkodzić mogą. (...) Pierwszy, gdy tylko na ciele szkodzą. Drugi, gdy i na ciele, i na zmysłach wewnętrznych. Trzeci, gdy trapią tak z wierzchu, jako i wewnątrz. Czwarty, gdy rozum na czas jaki odejmują. Ostatni, gdy ludzi jako bestie nierozumne czynią. Przyczyn zaś jest pięć, dla których Pan Bóg ludzi szatanowi dopuszcza posiadać. Pierwsza jest dla większej zasługi. Druga podczas za mały cudzy występpek. Trzecia podczas za własny mały i powszechny grzech. Czwarta niekiedy za cudzy ciężki występpek. Ostatnia podczas za własną człowieczą i ciężką nieprawość. Z których wszystkich przyczyn wątpić nie trzeba, że Pan Bóg za sprawą czarownic szatanom podczas ludzi podaje”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

30 grudnia. Przedostatni dzień roku pańskiego 1588. Mroźny, nieprzyjazny, raczej zachęcający do schronienia się w ciepłych wnętrzach domów niż do podróży. Do Bytomia od strony Bramy Gliwickiej wjechał okazały konny powóz, który swoim wyglądem zdradzał bogatego pasażera. Kierował nim grubo opatulony woźnica, obok którego siedział ubrany w ciężki kozuch służący. Pomimo ciepłych ubrań obydwaj byli mocno zziębnięci. Było też kilku konnych strażników. Daleka podróż dała się we znaki. Powóz wtoczył się do miasta i ulicą *Gliwitzerstrasse*¹⁵ ruszył w stronę znajdującego się na rynku ratusza. Pasażer, mocno otyły mężczyzna z siwą brodą i długim siwym wąsem, przez okno powozu przypatrywał się miastu. Nie wyglądało najlepiej. Drewniane domostwa, niezbyt solidne, sprawiały wrażenie tymczasowych. Ludzie, nielicznie przebywający na ulicy, wyglądali na głodnych i pozbawionych nadziei. Nie było widać dzieci. W oknach było ciemno, jakby nikt tam nie mieszkał. Wszystko wyglądało biednie i ponuro. Niesamowicie przygnębiająco. Powóz podjechał pod ratusz, który też nie wyglądał imponująco. Lata świetności na pewno miał już za sobą. Gdy stanął, służący zeskoczył, aby otworzyć drzwi i odpowiednio ustawić schodek, po którym pasażer miał zejść na ziemię. Drzwi ratusza uchyliły się nieznacznie. Dało się zauważyć głowę, która z zaciekawieniem spoglądała na dwór. Padający śnieg utrudniał zdolność widzenia. Głowa cofnęła się z powrotem.

– Już Jest! Już Jest! – dało się słyszeć okrzyk w hallu ratusza. Zanim pasażer powozu zszedł na ziemię, drzwi budynku otworzyły się znacznie szerzej. Kilku mężczyzn, pospiesznie nakładając na siebie ciepłe okrycia, zbiegało po krótkich schodach, by

¹⁵ Obecna ul. Gliwicka.

jak najszybciej znaleźć się przy powozie. Jednym z nich był burmistrz Bytomia Aleksander Długinikiel. Pozostali to członkowie rady miejskiej¹⁶.

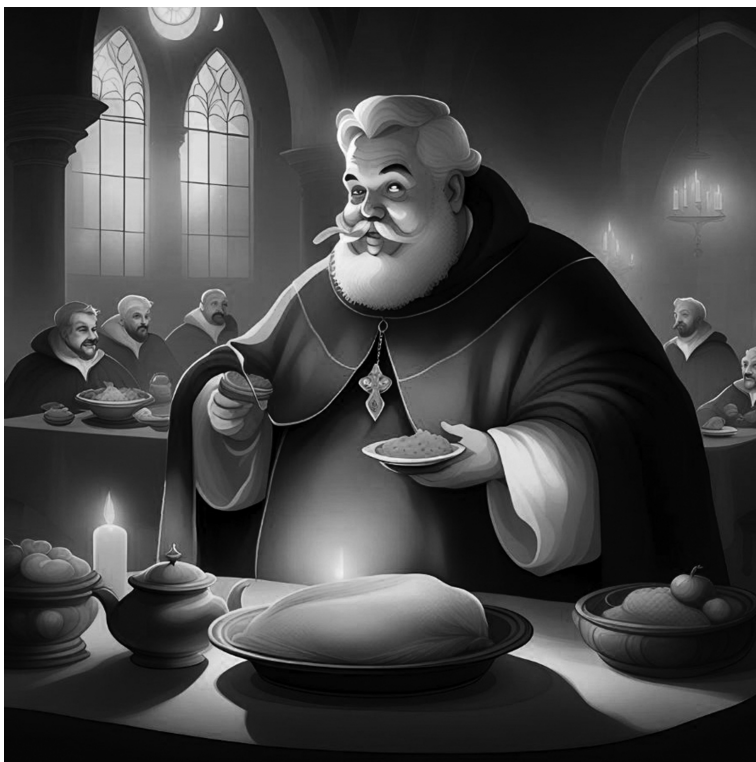
– Witam, Wasza Eminencjo – powiedział w stronę wylaniającej się z powozu postaci.

Otyły pasażer spojrzał na niego i pobłogosławił znakiem krzyża.

– Jego Eminencja, nuncjusz papieża Sykstusa V, pełnomocnik Jego Wysokości cesarza Rudolfa II Habsburga, kardynał Hipolit Aldobrandini¹⁷ – przedstawił swojego pana służący.

Mężczyźni z Bytomia wykonali w jego stronę niski ukłon.

– Zapraszamy do środka – powiedział burmistrz ciągle pozostając w ukłonie – Na stołach czeka stawa i popitek.



Ilustracja 7 – Kardynał Hipolit Aldobrandini podczas uczyty.

Mężczyzna w bogatym stroju duchownym wszedł, a raczej wtoczył się do wnętrza ratusza. Zaraz za drzwiami zrzucił z siebie zimowe okrycie i ruszył w głąb budynku. Pozostali mężczyźni potulnie szli za nim. Jeden z nich wskazał ręką pomieszcze-

¹⁶ Członkami ówczesnej rady miejskiej byli Woitek Lorentz, Mikołaj Kalus, Laurent Denykern i Dawid Hirschmann. Starostą bytomskim był Friedrich von Rassbar.

¹⁷ Żył w latach 1536-1605.

nie, gdzie przygotowano poczęstunek. Duchowny pewnym krokiem wkroczył do środka. W dość dużym pokoju, zazwyczaj przeznaczonym do obrad rady miasta, sporo miejsca zajmował ogromny stół zastawiony różnego rodzaju jadłem i napojami. Kardynał ciężko usiadł na krześle, które podsunął jeden ze służących. Łakomym wzrokiem rozejrzał się po stole. Musiał być głodny. Pozostali mężczyźni zajęli miejsca wzdłuż stołu. Duchowny wyciągnął rękę w stronę misy z dymiącym mięsiwem, ale nagle przypomniał sobie o czymś. Wstał zaczepiając brzuchem o stół, o mało go nie przewracając. Pozostali uczestnicy spotkania ze strachem złapali za drewniany blat, aby stół nie przewrócił się. Kardynał złożył ręce, spojrzał ku górze i rozpoczął modlitwę. Pozostali mężczyźni zerwali się z krzeseł, aby zrobić to samo. Nikt nie rozumiał słów, które pod nosem wypowiadał Hipolit Aldobrandini. Każdy mamrotał coś innego. Po chwili duchowny usiadł, a pozostali biesiadnicy zrobili to samo.

– Ucztujmy – powiedział głośno burmistrz. To był sygnał do rozpoczęcia uczty, która początkowo upływała w całkowitym, bardzo niezręcznym milczeniu. Kardynał jedząc rozglądał się dookoła, jakby szukając innych atrakcji. Może muzykantów, może kuglarzy... Nikogo takiego nie było. Nagle powiedział coś do swojego służącego, który był również jego tłumaczem.

– Jego Eminencja zwrócił uwagę na zły stan domów w mieście. Czy dotknął was ostatnio jakiś pożar czy inny kataklizm? – odezwał się w imieniu swojego pana. Siedzący przy stole mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Spotkało nas wiele nieszczęść, ale po prostu żyjemy skromnie. Takie czasy... – odparł burmistrz. Tłumacz powiedział to kardynałowi, a ten spojrzał w kierunku burmistrza. Odpowiedział kilkoma zdaniem, które po chwili zostały przetłumaczone.

– Jego Eminencja przybył tu po to, aby polepszyć wasze życie. Ma prowadzić rozmowy mediacyjne pomiędzy waszym ukochanym władcą, Jego Wysokością cesarzem Rudolfem II Habsburgiem, a królem Rzeczypospolitej Zygmuntem III Wazą¹⁸. Jeśli rozmowy się powiedą, zapanuje pokój, a wasze życie będzie o wiele lepsze i bezpieczniejsze.

¹⁸ W dniu 19 sierpnia 1587 r. w sąsiedniej Rzeczypospolitej odbyła się trzecia wolna elekcja, w efekcie której skonfliktowana polska szlachta miała wybrać spośród dwóch kandydatów. Jednym z nich był 21-letni szwedzki królewicz Zygmunt Waza (syn Katarzyny Jagiellonki), a drugim arcyksiążę austriacki Maksymilian III Habsburg (1558-1618). W tym czasie Bytom podlegał władzy Habsburgów, a na tronie zasiadał cesarz Rudolf II (1552-1612), zdecydowany zwolennik kontrreformacji. Maksymilian III był bratem cesarza Rudolfa II. Pełnił funkcję nieformalnego przywódcy Zakonu Krzyżackiego, który ciągle funkcjonował w Europie Zachodniej. Za kandydaturą szwedzkiego królewicza opowiedział się wielki hetman Jan Zamoyski i jego zwolennicy, a za kandydaturą arcyksięcia szlachta litewska, większość biskupów oraz wpływowy ród małopolski Zborowskich. Nowym królem Rzeczypospolitej ogłoszono młodzieńczego Zygmunta Wazę, co wywołało sprzeciw jego przeciwników. W dniu 22 sierpnia 1587 r. ogłosili oni królem Maksymiliana III Habsburga. Doszło do podwójnej elekcji, co wywołało wewnętrzny konflikt zbrojny. W styczniu 1588 r., w efekcie bitwy pod Byczyną, austriacki arcyksiążę wpadł w ręce Zamoyskiego. Został uwięziony w Krasnymstawie. Zadaniem kardynała Hipolita Aldobrandiniego było doprowadzenie do uwolnienia arcyksięcia, nawet za cenę wysokiego okupu. Zależało na tym również papieżowi, głównie ze względu na katolizm Habsburgów. W tym celu kardynał musiał prowadzić poufne rozmowy z przedstawicielami króla Zygmunta III Wazy. Zjawił się w Bytomiu, bo miasto leżało blisko polskiej granicy.

– A psy będą szczekać dupami... – powiedział cicho jeden z siedzących przy stole mężczyzn. Burmistrz spojrzał na niego karcącym wzrokiem. Na szczęście tłumacz nie usłyszał tej kąśliwej uwagi.

– Bardzo nam miło, że odwiedził nas tak zacny gość – powiedział łagodnym głosem burmistrz – Rzadko kiedy w naszym mieście gościł sam kardynał. Mamy nadzieję, że cel wizyty zostanie osiągnięty. Jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc. Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece.

Tłumacz przetłumaczył wszystkie słowa kardynałowi, a ten nie przerywając jedzenia spojrzał na burmistrza i skinął głową w geście zrozumienia.

– Gdy Wasza Eminencja skończy posiłek, przygotowaliśmy na gorze pokój, w którym może się rozgościć – kontynuował burmistrz – Nasz ratusz będzie teraz jego domem.

Kardynał ponownie skinął głową w stronę burmistrza. Wkrótce uczta się skończyła, a zmęczony podróżą gość ruszył w stronę swojego pokoju.

Następnego dnia, z samego rana, kardynał wezwał do siebie służącego.

– Czemu tu jest tak zimno? – spytał – W nocy myślałem, że zamarznię.

– Nie wiem, Wasza Eminencjo. Dowiem się.

– Co za obskurne miejsce – powiedział kardynał rozglądając się z niechęcią po niezbyt dużym, prosto i skromnie wyposażonym pokoju – To najlepsze miejsce, jakie mogli mi zaoferować?

– Prawdopodobnie tak – odparł służący – Wydaje mi się, że to jedyny murowany budynek w tym mieście.

– Tam są jakieś drzwi – kardynał wskazał ręką na jedną ze ścian – Sprawdź, co tam jest.

Służący posłusznie podszedł do jednej ze ścian. Chwycił ręką za klamkę. Drewniane drzwi uchyliły się dość łatwo. Otworzył je i spojrzał do wnętrza pomieszczenia.

– Jest tam piec? – spytał kardynał – Tu go nie ma...

– Nie ma, Wasza Eminencjo.

– Jak to nie ma? To co tam jest?

– Nic. Puste i ślepe pomieszczenie.

– O mój Boże... – szepnął kardynał, który na co dzień był przyzwyczajony do dobrych, wręcz luksusowych warunków życia – Jak ja tu wytrzymam kilka tygodni? Idzie ciężka zima... Bez pieca?

Służący pomógł mu się ubrać. Razem zeszli na dół, gdzie czekało na nich śniadanie. O wiele skromniejsze, niż wczorajsza uczta. Kardynałowi to się nie spodobało.

– Bieda tu, że aż piszczy... – powiedział do służącego – Podobno to bardzo bogate miasto.

– Kiedyś może tak. Teraz tego nie widać – odparł służący – Spytam o piec... – dodał.

– O tak, tak... Druga taka noc i się rozchoruję – powiedział kardynał przełykając spory kęs pieczywa. Przez chwilę spożywał w samotności. Z niechęcią, wręcz obrzydzeniem, rozglądał się po pomieszczeniu, które najprawdopodobniej było najbardziej reprezentatywnym w ratuszu. Służący po dłuższej chwili wrócił.

– Mówią, że pieca tam nie ma – powiedział.

– To przecież widzę.

– Jednocześnie rozumieją, że pomieszczenie jest chłodne.

– Chłodne? Jest lodowato zimne!

– Zalecają wstawienie pieca – kontynuował służący.

– Tak? To niesamowite, że sam na to nie wpadłem! – odparł coraz bardziej zdenerwowany kardynał – Kiedy to zrobią? – spytał.

– Nie robią.

– Słucham?

– Nie robią, Wasza Eminencjo – odparł spokojnie służący.

– Dlaczego?

– Bo ich na to nie stać.

Kardynał Hipolit Aldobrandini z wrażenia przestał jeść. Spojrzał na swojego służącego z ogromnym zdziwieniem w oczach.

– Nie stać? – spytał.

– Tak, Wasza Eminencjo. Tak mi powiedzieli.

Kardynał odsunął nieco talerz od siebie. Chyba stracił apetyt.

– W mieście dominują protestanci, prawda? – spytał.

– Tak, Wasza Eminencjo.

– Rozumiem. W taki sposób witają katolickiego kardynała.

Służący nie odpowiedział.

– Znajdź zaraz jakiegoś zduna – powiedział duchowny – Niech mi wstawi do pokoju piec. Zapłacimy mu. Nie będę prosił się o łaskę. Wytrzymam, ku chwale bożej i pomyślności naszej sprawy.

– Tak jest, Wasza Eminencjo – powiedział służący i pospiesznie opuścił pomieszczenie. Wiedział, że decyzje jego pana muszą być natychmiast wykonane. Kardynał zagłębił się w myślach. Nie spodziewał się takiego przyjęcia. Spojrzał w okno, za którym szalała zimowa zawierucha. Długo patrzył jak silny wiatr kręci płatkami spadającego śniegu. Drewniane dachy domów pokrywała gruba, śnieżna pokrywa. Boże, wspomóż, pomyślał. Po chwili wstał od stołu i wrócił do swojego pokoju, gdzie pogrzążył się w żarliwej modlitwie. Starał się nie zwracać uwagi na przenikające jego ciało zimno.

1589

Nastał Nowy Rok. Nuncjusz papieski, kardynał Hipolit Aldobrandini, miał zamiar w dniu 6 stycznia, w święto Trzech Króli, odprawić nabożeństwo w bytomskim kościele katolickim. Tego dnia wstał wcześniej rano. Dzięki pomocy służącego szybko się ubrał. Był gotowy. Zanim wyszedł z budynku bytomskiego ratusza, ciepło się ubrał. Na dworze nadal szalała zimowa zawierucha. Przed budynkiem czekała na niego grupa mężczyzn, w tym Monsignore Bianchetto i teolog kardynalski ojciec Jan Franciszek Bordino, którzy dotarli do Bytomia wczoraj w nocy, a także bytomski burmistrz. Kardynał zdawkowo przywitał się ze wszystkimi i rozejrzał po rynku. Zauważył budynek kościoła. Idąc musiał często spoglądać pod nogi, aby unikać przeszkód¹⁹.

– To tam? – wskazał ręką.

– Nie, Wasza Eminencjo, to świątynia protestancka – odparł burmistrz.

Kardynał nie odezwał się słowem, ale na jego twarzy wyraźnie widać było napięcie.

– To gdzie? – spytał.

Burmistrz wskazał ręką przeciwny kierunek. Kardynał wraz ze służącym ruszyli tam, gdzie mu wskazano. Przechodząc przez rynek Aldobrandini zauważył niską wieżę kolejnego kościoła.

– To tam? – spytał.

– Nie, Wasza Eminencjo. To kościół klasztorny franciszkanów – odparł burmistrz.

– Katolicki?

– Tak.

– To dlaczego nie w tym kościele? – spytał szczerze zdziwiony kardynał.

– Bo kościół stoi pusty – odparł burmistrz – Franciszkanie opuścili nasze miasto dość dawno temu.

– Boże, co tu się dzieje? – wyraźnie zaniepokojony kardynał szepnął do Monsignore Bianchetto. Ten odpowiedział mu tylko wzruszeniem ramion.

– Wiecie, że Jego Świątobliwość papież Sykstus V był wikariuszem generalnym zakonu franciszkanów? – zapytał kardynał z wyraźną złośliwością w głosie. Burmistrz i towarzyszący mu mężczyźni nie odpowiedzieli. Nadal w milczeniu szli w stronę Bramy Krakowskiej. Gdy się do niej zbliżyli, kardynał zauważył małe kościółek, położony już za bramą i murami miasta²⁰. Z nieukrywanym zdziwieniem spojrzął

¹⁹ W tym czasie bytomski rynek nie był jeszcze wybrukowany.

²⁰ Chodzi o kościół św. Ducha przy ul. Krakowskiej.

na Monsignore Bianchetto i o. Jana Franciszka Bordino. Ci również nie kryli wyrazu zdziwienia na twarzy.

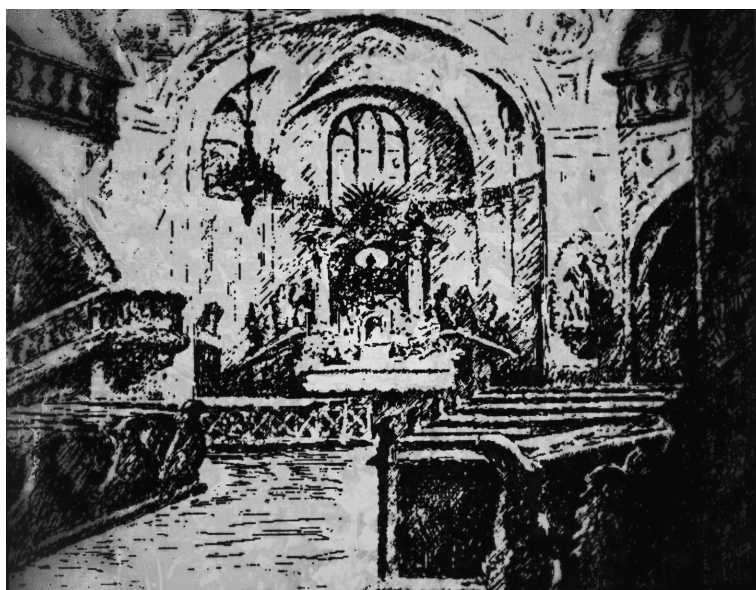
– To tu? – wskazał ręką na niewielką świątynię.

– Tak, Wasza Eminencjo – odparł burmistrz.

– To jedyny kościół katolicki w waszym mieście?

– Nie, jest jeszcze drugi, ale ten jest dość daleko. Około kilometra od murów miasta. W taką pogodę... Zresztą, jest niewiele większy od tego. Burmistrz zauważył, że kardynał aż kipi ze złości.

– *Meravigliosamente. Eccellente*²¹. Wygląda jak kaplica cmentarna. No nic, idziemy – powiedział Aldobrandini i ruszył w stronę kościółka, przy którym stała grupa ludzi wyraźnie czekająca na kardynała. Wśród nich był proboszcz tego kościoła. Po krótkim przywitaniu kardynał wszedł do niewielkiego kościółka, po brzegi wypełnionego wiernymi. Odprawił mszę świętą. Tego dnia o nic więcej nie pytał. Tylko po zakończonym nabożeństwie szepnął w stronę proboszcza – Oczekuję księdza u siebie, i to pilnie. Pleban ze zrozumieniem skinął głową.



Ilustracja 8 – Wnętrze kościoła św. Ducha w Bytomiu, źródło: wikipedia

W następnych dniach do Bytomia dotarły kolejne osoby ze świty kardynała. Oprócz Monsignore Bianchetto i o. Jana Franciszka Bordino pojawili się szambelan Michał Mercati, Monsignore Tolosano, kapitan Franciszek Aldobrandini, komorandor Pucci, siostrzeniec kardynała Cintio Basari, a każdy z nich ze swoimi służącymi.

²¹ *Cudownie. Znakomicie* – z j. włoskiego.

Do miasta zawitało też ośmiu komisarzy austriackich wraz ze swoimi współpracownikami, na czele których stał książę Sabbionetta²². Pojawiali się również biskupi, w tym jawarzyński i ołmuniecki Stanisław z Ołomuńca²³. Bytom nagle stał się świątowym miastem. Mieszkańcy z ciekawością spoglądali na egzotycznych przybyszy. Wszyscy wiedzieli dlaczego tak zacni goście nagle znaleźli się w granicach Bytomia. Polityka.

Już następnego dnia po odprawionym w kościele św. Ducha nabożeństwie, w ratuszu zjawił się proboszcz tejże parafii. Kardynał przyjął go w sali, gdzie codziennie jadał, ale tylko w obecności swojego służącego-tłumacza. Pleban był wyraźnie zakłopotany. Stał przed kardynałem, który wygodnie rozsiadł się na dębowym krześle.

- Niech mi ksiądz powie, co tu się dzieje? - zaczął kardynał - Miasto wygląda jak chlew, katolików garstka, kościół i klasztor franciszkanów niszczeje, katolicy spotykają się w kościele wielkości kaplicy cmentarnej, a wszędzie piszczycie bieda. O co tu chodzi?

- Wasza Eminencjo... - zaczął proboszcz.

- Czy wy odpowiednio staracie się o powrót naszej wiary? - przerwał mu poirytowany kardynał - Jak to powiem papieżowi, to nie uwierzy.

Pleban spojrzał na niego przestraszonym wzrokiem.

- Oczywiście. Robimy wszystko, by katolików było coraz więcej, Wasza Eminencjo - powiedział - Nie wiem, może to stara klątwa?

- Jaka klątwa? Chyba o tym nie słyszałem - odparł kardynał - Niech mi ksiądz wszystko opowie.

Pleban spojrzał na stojące obok niego krzesło. Pewnie chciał usiąść, bo szykowała się długa opowieść, ale bez pozwolenia kardynała nie mógł tego zrobić. Aldobrandini to zauważył.

- Proszę usiąść i mówić - powiedział.

Pleban ciężko opadł na krzesło. Wziął głęboki oddech, jakby przygotowywał się do długiej przemowy.

- W 1367 roku doszło tu do tragedii - rozpoczął proboszcz - Mieszczanie utopili w pobliskim stawie proboszcza kościoła farnego na rynku, Piotra z Koźla i jego wikarego Mikołaja z Pyskowic.

- Boże Przenajświętszy... Za co?

²² Wśród nich byli delegaci węgierscy Mikołaj Istwann, biskup Raab, Jetwansi von Kitzensalva, delegaci czescy Krzysztof z Lobkovic Młodszy i Heinrich von Kurzbach z Milicza (zm. 1590), delegaci austriaccy Strein, hrabia Schwarzenau, hrabia Johann Kobentzel, delegat śląski Seifred von Promnitz z Pszczyny (za „Kroniką...” Gramera). Podobno wszyscy zebrał się w Bytomiu w dniu 14 stycznia 1589 r.

²³ Początkowo reprezentował go Kacper Rogoyski. Świta biskupa składała się z 200 konnych uzbrojonych w miecze i arkebuzi oraz oddziału piechoty o tej samej liczbie.

– Różnie się o tym mówi, Wasza Eminencjo. Jedni mówią, że to efekt politycznego podziału księstwa bytomskiego, które wtedy istniało. Inni wskazują na konflikt pomiędzy ówczesnym prepozytem kościoła św. Małgorzaty Janem z Ziębic, a Piotrem z Koźła. Sprawa stała się nawet u papieża.

– Kto był wtedy papieżem? – spytał kardynał.

– Urban V²⁴, Wasza Eminencjo.

– A tak... Jakie zajął stanowisko?

– Poparł Piotra z Koźła.

– No to w czym problem?

Pleban spojrzał na kardynała.

– Ta decyzja nie spodobała się sporej części mieszkańców Bytomia – odparł – W sumie nie wiem, dlaczego. To tak odległe czasy...

– Jak zginęli?

– Zostali skazani na śmierć przez miejski sąd.

– Jak to? – przerwał szczerze zdziwiony kardynał – Przecież duchowni nie podlegają takim sądom.

– Wiem, Wasza Eminencjo. Tak się jednak stało...

– To jawne bezprawie... No i co dalej?

– Wiadomość o mordzie dotarła do papieża. Jego Świętobliwość zobligował biskupa krakowskiego Floriana z Mokrska do działania.

– Słuszna decyzja. Co zrobił biskup?

– Wezwał przed swoje oblicze winowajców mordu i obłożył ich klątwą, a całe miasto interdyktem²⁵.

Kardynał mocniej oparł się na oparciu krzesła.

– Boże, to wiele tłumaczy... – powiedział sam do siebie.

– Jego Świętobliwość wezwał przed swoje oblicze prepozyta Jana z Ziębic – kontynuował pleban – Podobno uwięził również mieszczan bytomskich, którzy zjawili się u niego, by prosić o zdjęcie klątwy.

– Powinno się ich ściąć! Wszystkich winnych! – powiedział głośno kardynał – Za takie świętokradztwo...

Pleban nie odpowiedział.

– Jak to się skończyło? – spytał kardynał.

²⁴ Właśc. Guillaume de Grimoard (1310-1370), papież w latach 1362-1370, błogosławiony Kościoła katolickiego. Wywodził się z zakonu benedyktynów. Święcenia biskupie i koronację przyjął w Awinionie. Starał się zwalczać luksus, panujący na dworze papieskim. Udało mu się powrócić do Rzymu z tzw. niewoli awiniońskiej. W dniu 1 września 1364, już jako papież, wydał bullę powołującą do życia Akademię Krakowską w Krakowie.

²⁵ Zakaz odprawiania wszelkich obrzędów religijnych w obrębie miasta. Klątwa spowodowała zakaz utrzymywania kontaktów z innymi chrześcijanami.

– Nikt nie został ścięty Wasza Eminencjo, ale z powodu klątwy miasto utraciło swoje kontakty handlowe, bo kupcy omijali miejsce obłożone klątwą.

– To zrozumiałe.

– Mam wrażenie, że właśnie wtedy utraciło również swoje znaczenie polityczne, które dotąd było bardzo duże.

– Sami sobie na to zapracowali – odparł kardynał – Co dalej z klątwą?

Pleban wziął głęboki oddech.



Ilustracja 9 – Papież Urban V; źródło: wikipedia

– W 1369 r. miejscowy książę²⁶ zniósł kary kościelne pod warunkiem wybudowania w kościele farnym kaplicy św. Zygmunta – powiedział.

– Co to za kara? – wrzasnął kardynał – Świecki książę?

– Tak, Wasza Eminencjo.

– Papież też zniósł klątwę?

– Nie. Z tego, co wiem, to nie.

– Czyli ona obowiązuje do dzisiaj?

– Tak – odparł pleban.

Kardynał zamilkł. Z prawdziwym niedowierzaniem wpatrywał się w proboszcza.

²⁶ Chodzi o księcia cieszyńskiego Przemysława I Noszaka.

- Czyli jestem w mieście obłożonym papieską klątwą? – spytał po chwili.
- Tak, Wasza Eminencjo – odparł pleban nie podnosząc wzroku.
Zapadła długa chwila krępującej ciszy.
- Jest jeszcze coś... – powiedział cicho proboszcz.
- Co takiego?
- Starzy ludzie opowiadali, że w czasie, gdy obowiązywał interdykt, Zły rozgościł się w mieście na dobre. Demon, przez miejscowych często nazywany Szarlejem, w biały dzień spacerował po ulicach.
Kardynał słuchał w milczeniu. Skupił wzrok na twarzy plebana.
- Nikt nie był w stanie go poskromić. Ludzie byli przerażeni. Nie ufali sobie nawzajem, bo Zły przybierał różne postacie. Podobno niektórzy odebrali sobie życie. Nie wiadomo, czy była to ich świadoma decyzja, czy za namową Złego.
- Nie szukali pocieszenia w wierze? W Kościele? – spytał kardynał.
- Pewnie szukali. Tylko, że główne wejście do kościoła farnego zostało zamurowane.
- Chryste Panie... – na twarzy kardynała pojawił się autentyczny strach – Klątwa dalej obowiązuje, więc demony nadal mają pole do popisu!
Pleban zamilkł nie podnosząc wzroku.
- No to teraz mam jasność sytuacji – powiedział Aldobrandini – Już wiem, czemu to miejsce opuścił Bóg... Tylko nie wiem, czemu ktoś mnie o tym nie uprzedził. Niech mi jeszcze ksiądz powie, dlaczego w mieście jest tak mało katolików? Luteranie dominują. To też wpływ Złego?
- Pleban wiedział, że musi uważać na to, co powie. Nierozsądne słowo mogło obrócić się przeciwko niemu.
- Ogromne postępy poczyniła reformacja. Jeszcze w połowie XVI w. – powiedział
- Nie wiązałbym tego z działalnością Złego. Nie wiem, może dawne przykre doświadczenia z Kościołem... W 1564 r. franciszkanie opuścili Bytom.
- Tak po prostu odeszli?
- Nie byli w stanie żyć według swoich zasad wśród protestantów, Wasza Eminencjo.
- No tak. Już nie wrócili?
- Podobno na krótko powrócili bernardyni²⁷.
- Dlaczego teraz ich nie ma? – spytał kardynał.
- W 1571 r. wybuchła zaraza. Niektórzy zmarli, niektórzy ze strachu wyjechali. Od tego czasu klasztor i kościół stoją puste.

²⁷ Zgodnie z naukami św. Jana Kapistrana bernardyni stanowili tzw. obserwancki (reformatorski) odłam Zakonu Braci Mniejszych, czyli franciszkanów.

Kardynał zamyślił się na chwilę.

- Czyli zło dalej panoszy się w mieście – powiedział – Trzeba temu jakoś zapobiec.
- Jak, Wasza Eminencjo? – spytał proboszcz.

Aldobrandini na chwilę zatopił się we własnych myślach.

- Trzeba odesłać Złego tam, skąd przyszedł – powiedział cicho – Nie ma innego wyjścia...

Kardynał Hipolit Aldobrandini dokończył zlecone mu polityczne zadanie. Przebywając w Bytomiu na własny koszt wyposażył ratusz w kaplicę, w której modlił się i odprawiał codzienne nabożeństwa. Obok ratusza postawił drewnianą kuchnię, gdzie gotowano posiłki dla niego i dla jego świty. Monsignore Bianchetto i o. Jan Franciszek Bordino prawie codziennie odprawiali mszę świętą w kościółku św. Ducha, próbując w ten sposób wesprzeć miejscowych katolików. Pewnie takie było zalecenie kardynała. W dniu 10 stycznia 1589 r. do Bytomia, a właściwie do przebywającego w nim kardynała zawitał wicekról Czech Rosenberg, któremu towarzyszyło 400 konnych jeźdźców i spory oddział piechoty. Później kardynał udał się do pobliskiego Będzina, który leżał na terenie Rzeczypospolitej, gdzie rozpoczął rozmowy z hetmanem Zamoyskim. Do Bytomia powrócił w dniu 21 stycznia. Tydzień później do miasta zawitał hetman Zamoyski z wielką świtą ponad 500 żołnierzy²⁸. Prowadzono kolejne rozmowy. 7 lutego 1589 r. kardynał ponownie wybrał się do Będzina, ale jeszcze tego samego dnia powrócił do Bytomia. Dwa dni później otrzymał w podarunku od wojewody wołyńskiego Janusza księcia Ostrogskiego, komisarza polskiego w Będzinie, ogromnego litewskiego łosia. To pewnie poprawiło mu humor, bo w dniu 12 lutego odprawił mszę świętą w kościółku św. Ducha. Czasami prowadził rozmowy negocjacyjne w Olkuszu. Wzbudzał sensację przechodząc przez bytomski rynek, gdyż paradował w ozdobnej sukni kardynalskiej, której ogon nieśli paziowie, a przed kardynałem niesiono wielki krzyż legacki. Reszta jego świty też pokazywała się w bogatych strojach. Pewnie doszli do wniosku, że prezentowany przez nich przepych może przyciągać mieszkańców do wiary katolickiej.

W Popielec 15 lutego 1589 r. kardynał odprawił kolejną mszę świętą w kościółku św. Ducha, gdzie osobiście posypał popiołem głowy miejscowych katolików. Podobno na odprawianych przez niego nabożeństwach pojawiali się również protestanci. Teolog kardynalski o. Jan Franciszek Bordino, pewnie na polecenia kardynała, często wygłaszał do mieszkańców Bytomia płomienne kazania o treści religijnej. Aldobran-

²⁸ Gramer w swojej kronice Bytomia podaje, że było to 400 jeźdźców i 100 strzelców. Wśród polskiej delegacji znaleźli się biskup kujawsko-pomorski hrabia Hieronim Rozrażewski, wojewoda wołyński książę Janusz Ostrogiński, wojewoda rawski Stanisław Gostomski, wojewoda brzeski Krzysztof Zenowicz i marszałek wielki koronny Andrzej Opaliński z Brnina.

dini przebywał w Bytomiu do 7 marca 1589 r. Zapewne na długo zapamiętał swoją wizytę na Śląsku. W 1592 r. został wybrany papieżem. Przybrał imię Klemensa VIII. Gdy rozpoczął swój pontyfikat, dał się poznać jako zażarty zwolennik kontrreformacji. Trudno powiedzieć, czy był to zbieg okoliczności, ale w 1591 r. franciszkanie z Krakowa rozpoczęli usilne starania o zwrot bytomskiego klasztoru. Być może stało się to pod naciskiem kardynała. W 1596 r., już za pontyfikatu Klemensa VIII, przeprowadzono wizytację i stwierdzono znaczny stan dewastacji. W kościele franciszkańskim ocalały jedynie dwa dzwony. W 1598 r. kolejną wizytację kanoniczną zlecił biskup krakowski Jerzy Radziwiłł (wizytatorem był ksiądz Krzysztof Kazimierski), ale protestanci mieszkańcy miasta nie wpuścili go do klasztoru i kościoła. Wiadomo jednak, że kościół franciszkański był opuszczony, a w jego wnętrzu znajdowało się siedem sprofanowanych ołtarzy oraz wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa. Po książęcych grobach dawnych władców księstwa bytomskiego nie było już śladu. W 1594 r. papież Klemens VIII rozpoczął kanonizację Jacka Odrowąża. Faktem jest, że bardzo dbał o poziom moralny duchowieństwa i kurii rzymskiej. Jako papież sam dawał dobry przykład, prowadząc skromny, niemalże ascetyczny tryb życia, czyli taki sam, jaki nieco wcześniej prowadził w Bytomiu. Dążył, podobnie jak poprzednicy, do organizacji krucjaty przeciwko Turcji. Podobno na jej czele miał stanąć hetman Jan Zamoyski, z którym kardynał prowadził rozmowy, gdy przebywał w Bytomiu. Wspierał również wysiłki króla polskiego Zygmunta III Wazy zmierzające do utrzymania tronu szwedzkiego, w nadziei na przywrócenie w Szwecji katolicyzmu.



Ilustracja 10 – Papież Klemens VIII; źródło: wikipedia

W 1600 r., za jego pontyfikatu, spalono na stosie Giordano Bruno. Zmarł w Rzymie w dniu 3 marca 1605 r. Pochowano go w kaplicy paoliańskiej w bazylice S. Maria Maggiore.

Za pontyfikatu papieża Klemensa VIII franciszkanie odzyskali swój klasztor w Bytomiu. Wkrótce władze miasta musiały wydać im kosztowności (klejnoty, ornaty i sprzęty kościelne), które zostały zdeponowane w kasie miejskiej. W ruinach klasztoru miejscowi chłopcy znaleźli skarb składający się z monet i poślacanego pasa, który najprawdopodobniej musieli oddać minorytom.

1666 – sprawa Niedzieliny

„Choroby zaś cielesnej iż nie masz żadnej, której by czarownice za Bożym dopuszczeniem sprawić nie mogły, bądź by to trąd, bądź kaduk²⁹, bądź też insza główna choroba była, wątpić nie potrzeba”.

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

W kwietniowy dzień w budynku bytomskiego ratusza spotkali się hrabia Gabriel Henckel von Donnersmarck³⁰, burmistrz Kacper Gutmann³¹ i proboszcz bytomskiej parafii WNMP Kacper Zygmunt Kossubius. Spotkanie miało poufny charakter. Nie było żadnych świadków. Hrabia siedział na jednym z ciężkich, drewnianych krzeseł i spoglądał za okno, gdzie na bytomskim rynku ludzie krzatali się wokół swoich codziennych obowiązków. Proboszcz siedział bliżej hrabiego, a burmistrz Gutmann, wyglądający na mocno zakłopotanego, zajmował miejsce w dalszej części sali. Hrabia, nadal obserwując sceny za oknem, odezwał się jako pierwszy.

– Panowie, musimy coś ustalić w sprawie Niedzieliny – powiedział. Przeniósł wzrok na proboszcza – Plebanie, próba wody jednoznacznie wykazała jej winę?

– O tak, panie hrabio. Bóg wydał swój wyrok – odparł zapytany z wielką pewnością w głosie. Burmistrz Gutmann nerwowo zakręcił się na krześle.

– Czyli co się stało? – dopytywał hrabia nie spuszczać wzroku z burmistrza.

Pleban z zaskoczeniem spojrzał na Gabriela.

– No nie tonęła... – dodał ciszej z nutką zdziwienia w głosie – Przecież już mówiłem...

– Na jakiej podstawie prawnej ją sądzymy? – spytał hrabia Gabriel.

– „*Constitutio Criminalis Carolina*” – odparł Kossubius.

– Cóż to takiego?

– Kodeks karny wydany przez cesarza Karola V w 1532 r.

– Cesarza Rzeszy?

²⁹ Dawna nazwa padaczki.

³⁰ Urodził się w 1609 r. w Wiedniu. Był drugim synem Łazarza II i jego pierwszej żony Marii Jakuby von Bayr (Payr). Posiadał tytuł barona i hrabiego, a od 1665 r. był panem Bytomia. Jego małżonką była baronówna Sydonia von Sunegh. Rządy na ziemi bytomskiej sprawował z młodszym bratem Jerzym Fryderykiem jeszcze za życia ojca. Już 21 lipca 1650 r. wspólnie wydali zaletenie bytomianom, aby ci uczcili fakt zakończenia wojny trzydziestoletniej biciem w dzwony i uroczystą mszą św. W 1655 r. był adresatem pisma Urzędu Zwierzchniego w sprawie wprowadzenia w Bytomiu rejestru osób pochodzenia żydowskiego. Pomimo wprowadzanych restrykcji antyżydowskich w dniu 23 kwietnia 1656 r. polecił bytomskiemu burmistrzowi udzielić pomocy Żydowi Moisesowi. W 1657 r. nakazał, aby wydawane rozporządzenia po niemiecku tłumaczono na język polski. Nie był zbyt lubiany przez mieszkańców Bytomia.

³¹ W 1656 r. był już burmistrzem Bytomia. W 1679 r. zawarł związek małżeński z Marianną, z domu Hauck.

- Tak, ale uchwalony również przez sejm Rzeszy.
- To właściwa podstawa prawa?
- Myślę, że tak, panie hrabio – odparł ciągle bardzo pewny swoich słów proboszcz. Hrabia sięgnął po stojący na stole kielich i pociągnął z niego spory łyk. Burmistrz nie odzywał się ani słowem.
- Jest jeszcze nieco późniejsze „*Praxis Rerum Criminalum*” – dodał Kossubius.
- To też niemieckie?
- Nie. To dzieło flamandzkiego prawnika Jodocusa Damhoudera, specjalisty w prawie karnym.
- Rozumiem – hrabia ponownie spojrzął za okno. Dwie bytomskie przekupki toczyły pomiędzy sobą zażartą słowną utarczkę. Trudno powiedzieć, dlaczego.
- Ja bym jednak najbardziej opierał się na czeskim prawie miejskim spisany w 1569 r. przez Pavla Kristiána z Koldína – powiedział pleban. Hrabia spojrzął na niego.
- Któż to taki?
- Kanclerz praski. To kodeks prawny dotyczący miast i najbardziej pasuje do naszej sytuacji.
- Gabriel przeniósł wzrok na milczącego burmistrza. Widział zakłopotanie Gutmanna. Przez krótką chwilę przyglądał się jego nerwowym ruchom.
- Który z nich jest najbardziej rygorystyczny? – spytał ciągle obserwując Gutmanna.
- Bez wątplenia „*Constitutio Criminalis Carolina*”, panie hrabio. Tam za magię karze się bezwzględnie śmiercią – odparł Kossubius.
- Czyli co? Spalimy ją na stosie? – spytał.
- Proboszcz zamilkł. Gutmann nie mógł opanować swoich nerwowych ruchów.
- Ja bym bardziej zalecał wyświecenie³²... – odpowiedział cicho proboszcz.
- Dlaczego, plebanie? – głos hrabiego brzmiał bardzo stanowczo. Zapytany spojrzął na milczącego Gutmanna.
- Myślę, że wyświecenie jest lepszym rozwiązaniem, panie hrabio – Kossubius nagle stracił swoją pewność – W ostatnich latach przeżyliśmy tyle nieszczęść. Nadal nie jest spokojnie. Ludzie się boją. Spalenie na stosie tylko rozbudzi niepotrzebne nastroje. Wygnamy ją, skonfiskujemy majątek na rzecz miasta i prowadzonego procesu. Sprawa będzie zakończona.
- To zgodne z prawem? – spytał hrabia.

³² W tamtych czasach „wyświeceniem” nazywano wygnanie skazanej osoby z miasta bez prawa powrotu, często połączone z konfiskatą jej majątku. Wygnaniu często towarzyszyło złożenie przysięgi, że wygnana osoba nigdy nie powróci i nie będzie żywiła urazy wobec swoich oskarżycieli i sędziów. Tego rodzaju przysięgę nazywano *Uhrfrid*.

– Tak – odparł proboszcz – Dlatego zalecałem oparcie się na prawie miejskim Pavla Kristiána z Koldína.

Zapadła cisza. Za oknem sprzeczka nie ustawała. Dołączyły się do niej kolejne osoby, więc przerodziła się w prawdziwą słowną bitwę.

– To zbyt łagodny wyrok. Przecież to wiedźma, plebanie – powiedział Gabriel.

– Wiem, panie hrabio. Zalecam jednak umiarkowanie. Znam nastroje społeczne, wiem, co mówię.

Hrabia na chwilę zatopił się we własnych myślach.

– Nie podoba mi się to. Powinniśmy być ostrzejsi. Może tego właśnie oczekują ludzie? – spytał.

Kossubius wziął głęboki oddech.

– To może zrobimy tak, panie hrabio... – powiedział – Poprowadzimy ją nad staw, gdzie odbyła się próba wody. Będzie tam ustawiony stos przygotowany do jej spalania. Jednak w ostatnim momencie ogłoszę pańską decyzję o zamianie kary na wygnanie. Okaze pan powszechnie swoje niezwykle miłosierdzie. To będzie bardzo dobrze postrzegane...

Gabriel spojrzął na plebana przenikliwym wzrokiem. Prawdopodobnie usiłował dociec w myślach, jakie rozwiązanie będzie korzystniejsze. Szczerze mówiąc spodobał mu się pomysł plebana.

– Dobrze. Podoba mi się ten pomysł. Niech tak będzie – odparł po dłuższej chwili – Ostatecznie zastosujemy „wyświęcenie” – powiedział hrabia – Proszę to jutro ogłosić. Nie możemy z tym zwlekać. Proszę przygotować odpowiednie dokumenty.

– Dobrze, panie hrabio – odparł proboszcz i westchnął z wyraźną ulgą – Co mamy zrobić z tymi trzema kobietami, które Niedzielina wskazała podczas przesłuchania?

Gabriel spojrzął na plebana.

– Ona wskazała je podczas tortur? – spytał.

– Tak, panie hrabio.

– Zostały przesłuchane?

– Tak, oczywiście.

– Znaleziono jakąś ich winę?

– Nie.

– No to uniewinnimy je. Przebywają w areszcie?

– Tak – odparł pleban.

– Proszę ogłosić uniewinnienie i wypuścić je do domu. To wszystko plebanie. Może ksiądz wracać do swoich obowiązków – powiedział Gabriel – Ja muszę jeszcze chwilę porozmawiać z burmistrzem.

Gutmann aż podskoczył na krześle na dźwięk tego zdania. Kossubius wstał, skinął głową na pożegnanie i pośpiesznie opuścił salę.

– Panie burmistrzu... – zaczął hrabia. Gutmann spojrzał na niego – Wiem, że to dla pana trudne, ale proszę mi wierzyć, to było konieczne.

Burmistrz nagle się uspokoił. Usiadł wygodniej na krześle. Chyba zbierał się na odwagę.

– Panie hrabio, przecież ona jest niewinna – powiedział – Obydwoje to wiemy.

– Tak, ma pan rację.

– To dlaczego to robimy? Nie brakuje nam problemów?

– Bo to konieczne – odparł Gabriel.

– Konieczne?

– Tak.

Gutmann na chwilę zamilkł.

– Panie hrabio... – zaczął po chwili – Mamy wygnać niewinną kobietę z miasta, skonfiskować jej majątek, złamać życie nadając jej niesłusznie piętno więdzmy... Złamać życie jej rodziny... Z jakich powodów to konieczne?

Hrabia głęboko westchnął. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu przyszło tłumaczyć drugiej osobie rzeczy dla niego oczywiste.

– Panie burmistrzu... Przyznaję panu rację, ale są rzeczy ważne i ważniejsze. W mieście panuje chaos, brakuje dyscypliny, szerzy się przestępczość... Trzeba utrzymać ludzi w ryzach. Nadać ich życiu kierunek. To bardzo ważne. Także z religijnego punktu widzenia.

Gutmann spojrzał na hrabiego. W jego oczach nie było już widać zakłopotania. Pojawił się autentyczny wstyd.

– Dlatego musimy poświęcić niewinną kobietę?

– Tak, właśnie tak. W ten sam sposób uratujemy życie trzem innym kobietom, które też mogły zostać spalone na stosie. Wybieramy mniejsze zło, panie burmistrzu. Gutmann spojrzał za okno. Wszyscy ci ludzie podlegali jego władzy. Ufali mu. Widzieli w nim ostoję prawa i bezpieczeństwa. Burmistrz wiedział, że tak naprawdę mieszkańcy Bytomia darzą go większym szacunkiem, niż hrabiego Gabriela. Nie mógł tego jednak powiedzieć swojemu rozmówcy. Długo w milczeniu bił się z własnymi myślami.

– Rozumiem, panie hrabio, choć bardzo nad tym boleję – powiedział po chwili.

– Wiem, burmistrzu. Ja również. Niestety to konieczne. Proszę mi wierzyć. Nad wszechmiar konieczne...

Bo chcesz mieć święty spokój i strachem wymusić posłuszeństwo – pomyślał burmistrz. Wiedział jednak, że hrabia jest władzą zwierzchnią. Nie ma dyskusji z jego decyzjami.

– Pleban nadal nic nie wie? – zapytał Gabriel – Mówię o próbie wody...

– Oczywiście, panie hrabio – odparł burmistrz.

- To niech tak pozostanie... Dla jego dobra... Wtajemniczeni będą milczeć?

Gutmann spojrzał na hrabiego.

- Myślę, że tak. Dostali sowitą zapłatę - powiedział.

- No to zakończmy ową sprawę. Dla naszego dobra i w imię Boga - powiedział Gabriel i uniósł się z krzesła - Dziękuję za zrozumienie, panie burmistrzu.

Gutmann szybko uniósł się ze swojego krzesła. Hrabia Gabriel nie spoglądając na niego wyszedł z pomieszczenia. Burmistrz ponownie usiadł. Pozostał całkowicie sam. Miał chwilę, by próbować przemyśleć sobie wszystko. Może inaczej, musiał zastanowić się nad tym, jak żyć z myślą o skrzywdzeniu kogoś, kto na to nie zasłużył. Zapłacimy za to - pomyślał - Tak czuję...



Ilustracja 11 - Hrabia Gabriel.

Sprawy sądowe w XVII w., w tym o czary, były wszczynane z urzędu przez sędziego bądź oskarżyciela publicznego na podstawie prywatnego donosu bądź skargi. Zbierano wszystkie materiały, przesłuchiowano świadków i prowadzono domową rewizję. Następnie oskarżonego zamykano w areszcie oraz przesłuchiowano, często stosując przy tym tortury. Ta część procesu była całkowicie tajna. Na koniec zapadał wyrok, jednakże skazanie musiało oprzeć się na pełnym dowodzie winy, z których najważniejszym było przyznanie się samego oskarżonego. Przy analizowaniu spra-

wy brano pod uwagę dowody bezpośrednie, pośrednie oraz poszlaki. Dodatkowo dzielono je na pełne, niepełne, półpełne, niezupełne, poważne czy też wątpliwe. W razie braku pełnego dowodu, przy jednoczesnym podejrzeniu oskarżonego, istniała możliwość wznowienia postępowania. Proces kończył się wydaniem, a następnie wyegzekwowaniem wyroku sądowego. Zazwyczaj wykonywano go dzień po ogłoszeniu wyroku. Czasami jednak zwlekano z ogłoszeniem wyroku (od kilku dni do kilku miesięcy). Co ciekawe, tego typu sprawami właściwie powinny zajmować się sądy kościelne³³, ale w praktyce zajmowały się nimi sądy świeckie, głównie miejskie. To stało się powszechną praktyką po 1550 r.

³³ W sąsiedniej Rzeczypospolitej w 1653 r. wydano przepis, na mocy którego wszystkie sprawy o czary znalazły się w kompetencjach sądów kościelnych.

1666 – banicja Niedzieliny

„(...) rzec możemy, iż choćby mocą Boską szatani nie byli hamowani, przy odprawowaniu sprawiedliwości nad czarami, wszakże przecie częstokroć ratunek i pomoc swoją dobrowolnie od czarownic odwracają albo że się boją ich nawrócenia, albo że pragną i przyspieszają ich potępienie”.

„Młot na czarownice. Postępek zwierchowyny o czarach...”, 1487

Uznana za wiedźmę i skazana na spalenie na stosie Katarzyna Niedzielina została wyprowadzona ze swojego więzienia z „Wesołki” w Bramie Krakowskiej, inaczej nazywanej Sławkowską. Nadszedł dzień, kiedy przerażający wyrok na rzekomej służebnicy Szarleja miał zostać wykonany. Postanowiono, że nastąpi to przy stawie, w którym Niedzielina została poddana próbie wody. Strażnicy chwycili ją mocno pod ramiona. Kobieta, która spędziła w więziennym lochu kilkanaście dni, wyglądała już bardzo źle. Podarta suknia zasłaniała tylko część zmaltretowanego ciała. Dłonie były owinięte jakimiś szmatami. Prawdopodobnie w ten sposób starano się ukryć ślady po zastosowanych torturach. Na sukni, jak i na ciele, widać było plamy zaschniętej krwi. Zmierzwiłone, posklejane włosy wyglądały okropnie. Cała twarz była opuchnięta, mocno posiniaczona i miała ciemny, szary, chory kolor. Katarzyna słała się na nogach, a światło słoneczne sprawiało jej wyraźny ból. W pobliżu wieży stała grupa mieszkańców Bytomia, która miała zamiar wziąć udział w smutnym pochodzie Niedzieliny w stronę śmierci.

– Wiedźma! Kurwa! Wiedźma! Kurwa! – wyrывało się z ludzkich gardel podczas pochodu w stronę stawu. Gdyby nie pomoc strażników, kobieta bez wątpienia przewróciłaby się na drodze, a potem zostałaby zlinczowana. Ci jednak nie pozwolili jej upaść. Do stawu Klukowiec, w pobliże młyna, dotarli dość szybko. Podobnie, jak w trakcie próby wody, nad stawem oczekiwała spora grupa możnych, w tym burmistrz, pleban i przedstawiciel hrabiego. Różnica polegała na tym, że obok stawu ustawiono drewniany stos, przygotowany na przyjęcie skazanej. Obok stał kat. Wokół stawu zebrało się sporo bytomskich mieszczan, którzy przyszli prosto tutaj, aby zająć lepsze miejsca do obserwowania przerażającej sceny jaka wkrótce miała nastąpić. Tylko strażnicy poculi, jak silny dreszcz strachu wstrząsnął ciałem Katarzyny, gdy swoimi zmęczonymi oczami dojrzała przygotowany stos. Była przecież niewinna, a miała odejść z tego świata z piętnem wiedźmy, które przylgnie do niej na wieki. Siedząc w więziennej celi pogodziła się ze swoim losem i spodziewała się

takiego końca. Bała się jednak o swoją rodzinę i dzieci. Co z nimi będzie? Jak będą traktowane jako dzieci rzekomej wiedźmy? Czy one też nie spłoną na stosie? Tysiące pytań, na które nikt nie potrafił teraz odpowiedzieć. Głośnie obelgi nie ustawały. Ludziom bardzo łatwo przychodziło wykrzyczeć swoją nienawiść wobec niesłusznie skazanej kobiety. Nie zdawali sobie sprawy z tego, co jest prawdą. Gdy doszli nad staw, pleban Kossubius podniósł wysoko rękę. Tym gestem wszystkich uciszył.



Ilustracja 12 – Brama Krakowska według ryciny Koretzkiego.

– Słuchajcie! – krzyknął – Nadszedł dzień wykonania wyroku śmierci na tej oto kobiecie, uznanej za wiedźmę, poddanej próbie wody, Katarzynie Niedzielinie!

Odpowiedziała mu cisza.

– Wyrokiem sądu miejskiego została skazana na spalenie na stosie! – mówił dalej.

– O tak! Spalić kurwę. To wiedźma. Spalić ją! – wyrwało się z dziesiątek gardeł. Pleban ponownie podniósł rękę do góry i poczekał, aż gwar głosów umilknie.

– Posłuchajcie przedstawiciela hrabiego Gabriela – krzyknął i wskazał ręką na wysokiego, szczupłego, dobrze ubranego mężczyznę, który stał obok plebana. Ten rozwinął rulon dokumentu, który trzymał w rękę i zaczął głośno czytać:

– W imieniu pana ziemi bytomskiej hrabiego Gabriela Henckel von Donnersmarck ogłaszam: Wyrok na Katarzynie zostaje decyzją mojego pana zmieniony ze spalenia na stosie na „wyświęcenie”.

Wszyscy wokół umilkli. Tylko na chwilę.

– Jak to? Spalić kurwę! Dlaczego? O co chodzi? – spontaniczne pytania i wrzaski zaczęły przeplatać się ze sobą. Pleban po raz trzeci uciszył wszystkich gestem uniesionej wysoko ręki.

– Hrabia postanowił, że trzy kobiety wskazane przez Niedzielinę, jako jej współpracownicy zostaną uwolnione z więzienia i uniewinnione, gdyż nie znaleziono w nich żadnej winy! Owe trzy niewiasty to Jaculia Cypionkowa z Rozbarku, Jadwiga Wikłukowa i Dorota Rumanka!

Tym razem żaden krzyk nie zakłócił jego słów.

– Decyzją hrabiego majątek wygnanej Niedzieliny przechodzi na własność miasta i pozostaje do dyspozycji burmistrza! Hrabia pragnie wyjaśnić, że darowanie życia Niedzielinie i zmiana jej wyroku na banicję to wyraz dobroćliwości pana hrabiego, jak również miłosierdzia, jakie hrabia stara się okazywać swoim poddanym! Dnia 25 kwietnia Roku Pańskiego 1666! – dokończył głośno wysoki mężczyzna i ponownie zwinął dokument w rulon. Cofnął się o krok do tyłu na znak zakończenia swojego wystąpienia.

– Słyszeliście słowa naszego dobrotliwego hrabiego! Niech Bóg go błogosławi! – krzyknął pleban – Posłuchajcie! Tu, na tym wozie – powiedział wskazując ręką – znajdują się miotły. Kto chce, niech weźmie taką do ręki. Wiecie, po co...

Ludzie doskonale wiedzieli, że ceremonia „wyświęcenia”, czyli wygnanie kobiety uznanej za wiedźmę na wieczną banicję, zazwyczaj odbywało się przy użyciu mioteł. W 1614 r. oskarżoną o cudzołóstwo kobietę wypędzono z miasta w ten sam sposób. Długo o tym mówiono i opowiadano. Kilkadziesiąt osób szybkim krokiem ruszyło w stronę wozu i uzbrajało się w to z pozoru niewinne narzędzie. Strażnicy poprowadzili Katarzynę w stronę polnej ścieżki, która prowadziła w kierunku północnym. Poczekali, aż ludzie ustawili się po obu stronach. Wielu z nich ścisnęło mocno w rękach miotły. W pewnym momencie strażnicy przestali podtrzymywać ramiona kobiety, co oznaczało, że może ruszyć w stronę swojego przeznaczenia. Niedzielina, ciężko stąpając, ruszyła ścieżką. Od razu posypały się razy i wyzwiska. Krzyczano, obrzucano kobietę obelgami, bito miotłami, pluto jej w twarz i szarpano za ubranie. Katarzyna starała się z dumą wszystko wytrzymać. Muszę to przeżyć – myślała – Muszę... dla swoich dzieci. Boże, dopomóż... W pewnym momencie, mocno popchnięta przez stojącą przy ścieżce młodą kobietę, upadła. Miała ogromny problem, by ponownie stanąć na nogi. Wrogość tłumu narastała. Ludzie zaczęli ją kopać. Strażnicy bezskutecznie starali się odsunąć rozwścieżony tłum. Nagle silna męska dłoń wyszarpnęła ją z tego kotła, w którym mogła stracić życie. Mężczyzna postawił ją na nogi. Nie ważyła wiele. Nie było to takie trudne. Gdy już stała, ten sam mężczyzna wcisnął jej do ręki gruby kij, który doskonale

nadawał się jako oparcie jej udręczonego ciała. Niedzielina spojrzała na mężczyznę. Dobrze знаła jego twarz. To był burmistrz Kacper Gutmann. Mężczyzna spojrzał na nią.

- Przepraszam... Tak mi przykro... - powiedział. Wokół nich tłum wrzeszczał przesączony nienawiścią.

Katarzyna spojrzała mu prosto w oczy.

- Znasz prawdę... Wiesz... Nie przepraszaj, to nic nie da. Nie wyczyścisz tym własnego sumienia. Jesteś jednym z winnych. Pamiętaj, zapłacicie za to wszyscy. Wszyscy! Obiecuję! - mówiła cicho, ale pomimo tego burmistrz doskonale ją rozumiał. Opuścił wzrok i pozwolił jej odejść.

Wyggnana na wieczną banicję Katarzyna Niedzielina, niesłusznie uznana za wiedźmę mieszkanka Rozbarku, straciwszy swoje dobre imię, rodzinę i majątek, zmaltretowana ruszyła ścieżką ku swojemu przeznaczeniu. Po chwili ludzie, znudzeni obrażaniem jej i opluwaniem, zawrócili w stronę miasta. Przez jakąś chwilę towarzyszyła jej jeszcze grupa bytomskich dzieci, które z wrzaskiem usiłowały naśladować zachowanie dorosłych. Odpędzała je swoim kijem, ale niewiele to dawało. Po chwili dzieciom też się znudziło. Została sama. Ruszyła w stronę osady Szarlej. Szła powoli ścieżką zastanawiając się, co ma zrobić. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Jeszcze dzisiaj rano była pewna, że zostanie spalona na stosie. Banicja... Co teraz? Gdzie się udać? Jak przeżyć? W jaki sposób nabrać sił?

Idąc z trudem, zatopiona we własnych myślach, nagle zauważyła, że na środku ścieżki, dość blisko niej, stoi mężczyzna. Niedzielina przestraszona stanęła. Nie wiedziała, czego ten człowiek chce. Przez chwilę wpadło jej do głowy, że to może być podstęp. Ogłoszono jej banicję, a tak naprawdę ma zginąć. Mężczyzna ma ją zabić. Dziwne było to, że ten stał nieruchomo, z rękoma zwisającymi wzdłuż ciała. Nie widziała jego twarzy.

- Czego chcesz? - powiedziała cicho - Chcesz mnie upokorzyć? Skrzywdzić? Zabić?

Mężczyzna nie odpowiedział. Nie poruszył się.

- Proszę, pozwól mi odejść - szepiała.

Mężczyzna wolno podniósł głowę. Katarzyna od razu zwróciła uwagę na jego niesamowicie błękitne oczy. Nie mogła oderwać od nich wzroku. Niebieskooki wędrowiec uśmiechnął się do niej. Już się go nie bała.

- Chcesz się zemścić? - usłyszała w swojej głowie jego głos, choć on nawet nie poruszył ustami.

- Zemścić? - odparła zdziwiona - Jak?

- Chcesz?

Niedzieliną nie odzywała się. Wietrzyła w tym jakiś podstęp. Powie, że chce zemsty i znowu zostanie aresztowana. Jednakże ten mężczyzna był inny. Trudno...

– Chcę... – powiedziała cicho.

Mężczyzna stał wyprostowany. Nagle odwrócił się i ruszył przodem, rzucając tyłko przez ramię:

– Chodź za mną!

Dla Niedzieliną zabrzmiało to jak rozkaz. Posłusznie ruszyła za swoim nowym znajomym.



Ilustracja 13 – Tablica epitafijna Marianny w bytomskim kościele WNMP.



Ilustracja 14 – Kościół WNMP w Bytomiu.

Hrabia Gabriel Henckel von Donnersmarck zmarł w dniu 14 października 1666 r., czyli w kilka miesięcy po wygnaniu Niedzieliną. Został pochowany w krypcie kaplicy zamkowej św. Michała Archaniola na Zamku Orawskim. Jego śmierć można było postrzegać jako karę za krzywdę wyrządzoną Niedzielinie. Pełnoprawnym panem Bytomia został dopiero w 1665 r., więc rządził miastem tylko przez rok. Kara dotknęła również bytomskiego burmistrza. W bytomskim kościele parafii WNMP na Rynku znajduje się zniszczona upływem czasu tablica epitafijna, będąca śladem dokonanego tam pochówku. Ze słów, które udało się odczytać z tablicy wynika, że jest ona poświęcona pamięci Marianny, córki burmistrza Kacpra Gutmanna. Jej mężem,

a jednocześnie fundatorem tej tablicy był Adam Hauck. Córka burmistrza odeszła z tego świata mając zaledwie 18 lat³⁴. Jej śmierć w tak młodym wieku musiała być osobistą tragedią dla ojca. Na tablicy epitafijnej widać jej postać klęczącą przed krzyżem. Obydwie osoby odpowiedzialne za krzywdę Niedzieliny poniosły karę. Być może był to jedynie zbieg okoliczności...



Ilustracja 15 – Trumna hrabiego Gabriela.

Hrabia Gabriel miał interes w skazaniu kobiety z Rozbarku, jaką była Niedzielina. Otóż w tym samym czasie toczył się spór pomiędzy władzami Bytomia, a starszymi z Rozbarku, którzy nie chcieli podporządkować się rozkazom bytomskiego ratusza. W porozumieniu z burmistrzem hrabia kazał uwięzić starszych, co stało się w dniu 15 marca 1666 r. Gdy wybuchła sprawa Niedzieliny, postawiło to starszych z Rozbarku w jeszcze gorszym świetle. Mówiono, że na swoim terenie nie panują nad sytuacją. Dlatego, gdy Niedzielina została wygnana, rozbarscy starsi zostali zwolnieni z więzienia, ale musieli się upokorzyć i przysiąc już zawsze słuchać rozkazów bytomskiego ratusza. Hrabia Gabriel wcale nie popierał bytomskiego burmistrza.

³⁴ Z inskrypcji na płycie epitafijnej wynika, że urodziła się w 1662 r., w chwili ślubu w 1679 r. miała 17 lat, zmarła już rok później, w 1680 r., w wieku 18 lat.

Bardziej na rękę było mu to, że jego poddani byli skłóceni, a on mógł na tej sytuacji skorzystać.

W czasie, gdy miała miejsce sprawa Niedzieliny, na Rozbarku urodził się chłopczyk. Był synem właścicieli rozbarskiego folwarku. Gdy dorósł, najpierw uczył się w rozbarskiej szkole parafialnej, a później wyjechał na studia do Pragi. W dniu 23 grudnia 1690 r. przyjął cztery niższe święcenia kapłańskie, a w 1692 r. pełne święcenia. W dniu 10 stycznia 1698 r. otrzymał stanowisko kapelmistrza Katedry Wawelskiej (łac. *Magister capellae musices Ecclesiae Cathedralis Cracoviensis*). Jeszcze przed powołaniem na kapelmistrza katedralnego został opiekunem więźniów osadzonych w basztach zamku na Wawelu. Zajmował się również nawracaniem Żydów i innowierców. Jego największym hobby było jednak komponowanie muzyki religijnej. Gdy urodził się na Rozbarku, nosił nazwisko Gorczyca. Później zmienił je na Gorczycki. Grzegorz Gerwazy Gorczycki zmarł w dniu 30 kwietnia 1734 r. w Krakowie³⁵. Został pochowany w kościele w Smoleńsku, gdzie przez jakiś czas był proboszczem. Wszystkie swoje dzieła podpisywał trzema literami: G.G.G.³⁶ Jako dziecko był świadkiem bytomskich procesów czarownic...



Ilustracja 16 – Tablica upamiętniająca Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego w kościele Bożego Miłosierdzia w Krakowie; źródło: www.wikipedia.pl

³⁵ W katedrze wawelskiej ma swoją płytę epitafijną, gdzie określono go jako „*Gemma Sacerdotum*” czyli „Klejnot kapłaństwa”.

³⁶ Masoni uważali literę G za najważniejszą. Dla nich oznacza ona przede wszystkim Boga.

1666 – majowy targ

„Czarownice powinno się zabijać, ponieważ kradną, rozbijają małżeństwa, porywają i mordują. Niektóre z nich z pogardą twierdzą, że nie mogły uczynić czegoś takiego. Jednak – na pewno mogły. Z diabelską pomocą wyrządzają ogromne szkody”

Marcin Luter

Czwartek. Tradycyjny w Bytomiu dzień targowy. Na niezbyt obszernym rynku, od niedawna wybrukowanym łamanym kamieniem wapiennym, zebrało się mnóstwo ludzi. Pojawili się bytomscy rzemieślnicy i handlarze, przybyło też wielu rolników z podbytomskich wsi. Niektórzy kupcy i handlarze przybyli z bardzo daleka. Część z nich mówiła w obcych językach. Mieszkańcy miasta pojawili się tłumnie. Rynek nie mógł pomieścić wszystkich, więc część kramów stała ustawiona w bocznych uliczkach. Pogoda tego dnia dopisała. Słońce pyszniło się na niebie całym swoim blaskiem. Drewniane domy na rynku były kryte gontem, w odróżnieniu od tych z przedmieść, krytych strzechą. Na rynku kupowano, sprzedawano, targowano się o cenę, a wszystko odbywało się bardzo głośno. Gwar ludzkich głosów, przez który przebijały się odgłosy wydawane przez zwierzęta, był niesamowity. Czwartkowa bytomska codzienność. Kolorowa i krzykliwa. Od czasu do czasu w różnych miejscach targowiska wybuchały sprzeczki – z bardzo różnych powodów. Ludzie byli podnieceni i podenerwowani. To dało się od razu zauważyć.

– Witaj, Józefie – powiedział Andrzej zbliżając się do swojego brata, który stał w pobliżu ratusza. Po drewnianym budynku, który kiedyś jako swoją podręczną kuchnię nakazał na swój koszt wznieść kardynał Hipolit Aldobrandini, już od dawna nie było śladu.

– Witaj, bracie – odpowiedział Józef obejmując i przytulając go do siebie.

– Dlaczego spotykamy się tutaj? Przecież wiesz, że w moim domu jesteś zawsze bardzo mile widziany – powiedział nieco zdziwiony niecodzienną sytuacją Andrzej. Józef spokojnie rozejrzał się dookoła.

– Nie chcę, aby o tym słyszały nasze żony, czy dzieci – powiedział – Dla naszego i ich bezpieczeństwa.

Andrzej spojrzał na niego ze zdziwieniem. Doskonale znał swojego rodzonego brata. Wiedział, że Józef nie żartuje.

– O co chodzi? – spytał. Gwar ludzkich głosów pozwalała na anonimowość ich rozmowy.

Józef spojrzał na niego.

– Pytałeś mnie ostatnio, gdy wracaliśmy z próby wody, co się dzieje – powiedział.

– No tak. Zasmuciłeś mnie wtedy swoimi słowami, bracie – odparł z wyraźnym wyrzutem Andrzej.

– Wiem i proszę cię o przebaczenie. Nie chciałem cię urazić. Ja się po prostu boję... O ciebie, o siebie, o swoją rodzinę...

Andrzej spoglądał na niego w milczeniu. Józef wyglądał na mocno zdenerwowanego.

– Dlaczego? – spytał.

– Bracie, ja długo myślałem nad tym wszystkim – odparł Józef – Uwierz mi, bardzo długo. Pokojarzyłem wiele faktów... To, co ci powiem, mogłoby nam przysporzyć problemów. Stąd takie spotkanie...

Andrzej przysunął się bliżej swojego brata.

– Mów – powiedział krótko.

Józef w milczeniu uważnie rozejrzał się wokół. Upewnił się, że nikt ich nie podsłuchuje. Nikt nie będzie świadkiem jego słów.

– Pamiętasz, jak nasz dziadek opowiadał nam o wizycie w Bytomiu tego kardynała, który został później papieżem? – spytał Józef.

– Oczywiście, że pamiętam. Nasz dziad pięknie to opowiadał.

– Pamiętasz też, jak opowiadał o tej dawnej klątwie?

– Tak. Za zamordowanie księży. Zawsze podkreślał, że miasto wtedy strasznie podupadło.

– Moim zdaniem wtedy się zaczęło – powiedział krótko Józef.

Andrzej spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Co się zaczęło?

– Dobro przegrało walkę ze złem – odparł krótko Józef.

Andrzej musiał przetrwać jego słowa.

– Możesz mówić jaśniej? Bo nie rozumiem – powiedział.

– Bracie, od momentu tej klątwy w naszym mieście zaczęło się panoszyć zło.

– Józef, przecież nasz dziad opowiadał nam to jak bajkę, przekazywaną z pokolenia na pokolenie.

– Wtedy też tak na to patrzyłem. Bajdurzenie starego człowieka. Teraz rozumiem, że miał rację.

Andrzej podejrzliwie spojrzał na brata. W jego wzroku widać było troskę o zdrowie Józefa.

– Nie patrz tak na mnie. Nie zwariowałem – powiedział Józef rozglądając się dookoła – Ten kardynał, którego nasz dziadek pamiętał, próbował z tym walczyć. Nie wiem dokładnie jak, ale podobno tak było. Rozmawiałem o tym z wieloma ludźmi.

Chyba coś mu się udało, bo zło nagle przycichło, choć wokół działa się źle. W całej Europie działa się źle...³⁷.

Andrzej milczał. Wpatrywał się w swojego brata.

– Przycichło, ale tylko na moment – mówił dalej Józef – Dopóki nie pojawili się nowi panowie.

– O kim myślisz?

Józef ponownie uważnie rozejrzał się dookoła.

– O Hohenzollernach – powiedział cicho.

– Bracie, skąd możesz wiedzieć? Przecież nie było nas wtedy na świecie – powiedział Andrzej.

– Mam znajomego zakonnika w klasztorze minorytów³⁸, który studiuje dawne kroniki³⁹. Szuka śladów dawnego mnicha Aleksego⁴⁰. Pamiętasz, dziadek też nam o nim opowiadał.

– Tak, pamiętam. Kolejna bajka.

– Żadna bajka, bracie. To prawda. On naprawdę istniał. Zakonnik jest tego pewien. Andrzej wierzył bratu. Wiedział, jak potrafi być dociekliwy.

³⁷ Obszar Niemiec w latach 1585-1593 nawiedziły dwie wielkie epidemie dżumy, a na początku XVII w. pojawiła się kolejna. W tym czasie ludzie dopatrywali się we wszystkim czarów i magii. W latach ok. 1530-1589 żył Peter Stumpp (inaczej Peter Stubbe, Peter Stübbe lub Peter Stumpf). Był zamożnym rolnikiem w swojej wiejskiej społeczności. W latach 80-tych XVI w. był wdowcem z dwójką dzieci: córką i synem. Był seryjnym zabójcą. W ciągu kilku lat zabił trzynastoro dzieci i dwie kobiety w ciąży. Złapany został poddany torturom. Wtedy przyznał się do uprawiania czarnej magii i kontaktów ze Złym. Został skazany na śmierć. W dniu 31 października 1589 r. został wrzucony do koła, gdzie „mięso zostało zerwane z jego ciała” w dziesięciu miejscach, szarpano jego ciało rozpalonymi do czerwoności szczypcami, a następnie szarpano jego ręce i nogi. Potem jego kończyny zostały złamane tępa stroną topora. Następnie został ścięty, a jego ciało spalono na stosie. Jego córka Beele (Sybil) została obdarta ze skóry i uduszona (za kazirodczy związek z ojcem). Jego kochanka Katherine została obdarta ze skóry i uduszona. Szczątki obydwu spalono na stosie. Stumpp twierdził, że dostał od Diabła specjalny pas, który pozwalał mu na przemianę w wilka. Nazywano go „Wilkołakiem z Bedburga”. Jako ostrzeżenie przed podobnym zachowaniem lokalne władze wzniosły słup z kołem tortur i figurą wilka na nim, a na samym szczycie umieścili odciętą głowę Petera Stumppa. Strach przed wilkołakami narastał, gdy w trakcie wojny 30-letniej znacznie wzrosła populacja wilków (żywiły się zwłokami martwych ludzi). Było ich tak dużo, że czasami atakowały ludzkie osady. Tylko w 1683 r. w pobliżu miasta Marburg zabito około 600 wilków. Innym przykładem szerzącego się zabobonu może być sprawa matki słynnego matematyka, astronoma i astrologa Johanna Keplera (1571-1630), Kathariny Kepler (z domu Guldenmann), która była zielarką i znachorką. Z oskarżenia swojej znajomej Ursuli Reinhold została posądzona o czary. Groziły jej tortury, ale nie przyznała się do winy. W 1621 r. została zwolniona z więzienia, w czym niewątpliwie udział miał jej syn, już wówczas znany, ceniony i wpływowy cesarski matematyk.

³⁸ Klasztor określano mianem konwentu, a przełożonego klasztoru określano mianem gwardiana. Minoryci to popularna nazwa Zakonu Braci Mniejszych czyli franciszkanów (łac. *Ordo Fratrum Minorum*). Mowa o bytomskim klasztorze minorytów na Placu Klasztornym.

³⁹ W XVII w. w bytomskim konwencie minorytów prawdopodobnie funkcjonowała pierwsza, a jednocześnie jedyna biblioteka w mieście.

⁴⁰ W 1489 r. w bytomskim klasztorze minorytów zmarł w nimbie świętości słynący cnotami i cudami o. Aleksey. Prawdopodobnie chodzi o zakonnika minorytów, który przebywał w bytomskim konwencie, ale pochodził ze Spiszu. W średniowieczu bardzo popularna była legenda o św. Aleksym, symbolizująca najwyższy ideał ascezy i uniżenia chrześcijańskiego. Święty był bogatym szlachcicem, który wzorem św. Franciszka cały swój majątek oddał biednym i postanowił żyć w ubóstwie. Świętobliwy minoryta z Bytomia przybrał imię Aleksego zapewne pod wpływem owego wzoru świętego ascety. Świadczenie potwierdził jego 89 cudów. Gdy zmarł, został pochowany w kościele (lub w klasztorze) minorytów w kaplicy św. Krzyża. Wkrótce potem pojawiły się informacje, że z jego grobu wydobywa się cudowna woń. W XVII w. po miejscu jego pochówku nie było już śladu. Do dzisiaj nie ma pewności, gdzie został dokładnie pochowany.

– On spisuje również historię naszego miasta – mówił dalej Józef – Wiem od niego wiele rzeczy. Wiem, jak to się zaczęło. Dokładnie w 1603 r. ziemię bytomską przejął margrabia Joachim Fryderyk Hohenzollern⁴¹. Dostał ją od cesarza w zastaw za udzieloną pożyczkę.

– Tak, pamiętam – odparł Andrzej – Nasz dziadek o nim wspominał. Podobno nigdy się tutaj nie pojawił.

– Zakonnik też tak twierdzi – odparł Józef – Pomimo tego margrabia rozpoczął starania o dziedziczne przekazanie mu tych ziem.

– Udało mu się?

– Nie – odparł krótko Józef i przerwał, bo w ich pobliżu zatrzymała się grupka osób, które prowadziły ze sobą ożywioną dyskusję. Naradzali się nad kupnem dużej ilości sukna. Andrzej rozpoznał dwóch z nich. To byli bytomscy rzemieślnicy. Po krótkiej naradzie ruszyli w kierunku środka rynku.

– Jemu się nie udało – mówił dalej Józef – Pięć lat później zmarł. Zdążył jednak przekazać swój majątek młodszemu synowi margrabiemu Janowi Jerzemu⁴².

– Kiedy to było?

– W 1606 r. Tak twierdzi zakonnik. Przekazał majątek synowi jeszcze za swojego życia.

– Dlaczego?

– Tego nie wiem – odparł Józef – Myślę jednak, że czegoś się obawiał.

– Czego, bracie?

– Miał już swoje lata. Być może słyszał o Bytomiu, że w mieście panoszy się zło. Sam tu nie bywał, więc obciążył tym syna. Nie chciał rezygnować z tych ziem.

– To brzmi słusznie – powiedział Andrzej – Jak poradził sobie syn?

– Zaczął dobrze. Próbował podnieść rangę podupadłego miasta. W 1609 r. potwierdził statut bytomskiego cechu rzeźników, w 1611 r. przywileje dla szewców, a w 1617 r. dla krawców. Zadbał o bytomskie rzemiosło. To zaczęło przynosić efekty. W dniu 3 stycznia 1613 r. potwierdził dawne przywileje miasta. Dodatkowo przyznał radzie prawo patronatu nad kościołem parafialnym i zmienił terminy ustanowionych w 1561 r. jarmarków.

– Dziadek opowiadał, że oni byli protestantami – powiedział Andrzej.

– Tak, miał rację. Jan Jerzy dobrze znał się z samym Lutrem. Pisywali do siebie listy – odparł Józef.

– Oooo, nie wiedziałem – Andrzej był zaskoczony.

⁴¹ Żył w latach 1546-1608. Wójtem Bytomia był wtedy Jerzy Götzke.

⁴² Żył w latach 1577-1624.

- Bytomski kościół parafialny też był wtedy w rękach protestantów - mówił Józef
- Jednak w 1611 r. margrabia zmienił wyznanie. Z Lutra stał się Kalwinem.

- Dlaczego?

- Mogę tylko podejrzewać - powiedział Józef - Polityka. Religia Kalwina dawała mu szersze pole działania. Szczególnie wśród szlachty i chłopów. Dbał o wydobywanie rud i srebra. Ludzie się bogacili, choć musieli na to ciężko zapracować. Poza tym, w 1609 r. cesarz Rudolf II Habsburg wydał „*List majestatyczny*” przyznający pełną wolność religijną i prawo do budowy własnych kościołów i szkół.

- Nie poznaję cię, bracie - powiedział nagle Andrzej - Mówisz jak uczony.

- Wiele czasu na to poświęciłem, mówiłem ci. Słuchaj dalej. Miasto zaczęło się podnosić. Margrabia stawał się coraz bardziej religijną osobą. W 1616 r. został wielkim mistrzem Baliwatu Brandenburskiego.

- Boże, co to jest? - powiedział szczerze zdziwiony Andrzej - Nie nadążam za tobą. Chyba za głupi na to jestem.

- Nie jesteś głupi, tylko nigdy o tym nie słyszałeś. Ja też. Zakonnik mi wytłumaczył. Baliwat Brandenburski to odłam zakonu joannitów, który przeszedł na protestantyzm.

Andrzej w milczeniu skinął głową na znak, że zrozumiał słowa brata.

- Pomimo tego, że margrabia był protestantem, nie prześladował katolików. Nawet im pomagał. Bytomskim starostą ziemskim był wtedy Bernard Lichnowski, protestant niechętny katolikom. Margrabia często się z nim spierał.

- Jak pomagał?

- To zakonnik akurat wie doskonale. W tym czasie bytomscy minoryci powrócili do swojego klasztoru. Kościół i klasztor były całkowicie zniszczone. Podobno w ich odzyskaniu pomógł papież Klemens VIII. To ten kardynał, który został papieżem, o którym mówił nasz dziadek. Jedyne, co ocalało, to dwa kościelne dzwony i dwie armaty w kaplicy św. Anny. Po grobie Aleksego nie było już śladu.

- Aż trudno uwierzyć...

- Tak było, bracie. W 1608 r. miasto zwróciło klasztorowi skradzione sprzęty i kosztowności. Zakonnik twierdzi, że była to srebrna monstrancja, trzy pozłacane kielichy, srebrne ampułki oraz czternaście ornatów. Nie doszłoby do tego, gdyby margrabia był temu przeciwny.

- Masz rację...

- To nie wszystko. W klasztornym kościele zamontowano nowe organy i wiszące chorągwie. Odnowiono klasztor, gdzie zakonnicy uruchomili własną piekarnię i browar. W obejściu znajdowała się stajnia i sad owocowy. Bytomski konwent minorytów odżył.

- Za zgodą margrabiego... - dodał Andrzej.

– Tak.

– Dziwne. W końcu był Lutrem.

– Tak. Myślę, że walcząc ze złem robił wszystko, co możliwe. Bez względu na wyznanie. Bronił ludzi. Pamiętasz, jak dziadek opowiadał o Kozakach?⁴³

– O tak... – odpowiedział Andrzej – Nie da się tego zapomnieć...

– A jak wspominał kobietę? Jak jej tam było... von Bucherwitz... – mówił Józef – Pamiętasz?

– Tak, tak – uśmiechnął się Andrzej – To dopiero była historyjka...⁴⁴

– W 1617 r. bytomscy minoryci podjęli wielką akcję na rzecz katolicyzmu. W naszym kościele farnym⁴⁵ odbyła się publiczna dysputa z katolikami⁴⁶. Wszystko za zgodą margrabiego. Minoryci zaczęli tworzyć swoją bibliotekę klaszorną, z której teraz korzysta mój znajomy zakonnik. Wszystko szło w dobrym kierunku. Praca zakonników i braci zaczęła owocować licznymi powołaniami z całej okolicy. Zakonnik wspominał nawet o jednym z bytomskich minorytów, który w tym czasie był szczególnie aktywny. To był ojciec Gundisław Brześciański.

– Słyszałem o nim, bracie. Ludzie go zapamiętali – odparł Andrzej.

– Tak, ja też słyszałem. Zło znowu się cofnęło, bo w mieście działo się coraz lepiej – mówił Józef. Nagle podskoczył, bo w jego nogi uderzył sporych rozmiarów pies uciekający z podwiniętym pod siebie ogonem. Za moment pojawiła się grupa małych dzieci, która z wrzaskiem ścigała uciekającego zwierzątko.

– No i co dalej? – spytał Andrzej.

– Wybuchła wojna⁴⁷, bracie. Pomiędzy katolikami i protestantami, którą dobrze pamiętamy – odparł Józef.

– Aż za dobrze... – wymamrotał Andrzej – Pamiętasz, zaczęło się od komety⁴⁸...

– Tak. Nasze dzieciństwo, a jakby to było wczoraj...

Obydwoj na chwilę zamilkli. Wspomnienia były zbyt bolesne. Głód, strach, zaraza i śmierć.

⁴³ W 1611 r. w okolicach Wielkanocy na Tarnowskie Góry i okoliczne wsie najechali polscy Kozacy. Podejrzewano, że Piotr Philipp, syn sołtysa z Chorzowa był z nim w zмовie. Został za to osądzony i skazany na więzienie w Karniowie. Najazd Kozaków miał typowo łupieżczy charakter. W latach 1612-1620 polska szlachta również często najechała na Śląsk rabując, plądrując i uprowadzając do Polski bydło. Najazdy docierały również do Bytomia. W samym Bytomiu przebywali też przedstawiciele polskiej szlachty, nie zawsze odpowiednio się zachowując.

⁴⁴ W 1614 r. starosta Hartwich von Sitten polecił bytomskiej radzie miejskiej złożyć raport na temat żony Macieja Reicharta von Bucherwitz z Wrocławia, która podobno przebywała w Bytomiu i bałamuciła miejscowych żonatych mężczyzn. Nie wiadomo, co się z nią później stało.

⁴⁵ Mowa o kościele WNMP na bytomskim rynku, pochodzącym z ok. 1231 r.

⁴⁶ Kaznodzieją ewangelickim w tej debacie był Jan Krocze. Z inicjatywy bytomskich minorytów przybył do Bytomia pierwszy jezuita, który reprezentował stronę katolicką.

⁴⁷ Mowa o wojnie trzydziestoletniej rozgrywającej się w większości Europy w latach 1618-1648.

⁴⁸ W 1618 r. nad Europą pojawiły się trzy komety. Największa z nich, znana obecnie jako C/1618 W1, była widoczna aż do kolejnego roku. W tamtych czasach pojawienie się komety było uznawane za zapowiedź nieszczęść, śmierci i złych plonów. Z powodu pojawienia się komety w 1619 r. wybito nawet specjalny srebrny medal. W dniu 19 listopada 1618 r. komętę ujrano po raz pierwszy. Dziesięć lat później komętę z 1618 r. zaczęto interpretować jako zapowiedź wojny trzydziestoletniej (1618-1648).



Ilustracja 17 – Rozmawiający bracia.

– Margrabia Jerzy ruszył na wojnę – snuł swoją opowieść Józef – Został wybrany dowódcą wojsk protestantów śląskich, walczących z katolickim cesarzem Ferdynandem II Habsburgiem. Stany śląskie wystawiły armię liczącą cztery tysiące piechoty i dwa tysiące jazdy. Podzielono ją na dwie części. Jedna została na Śląsku, by go bronić przed ewentualnym uderzeniem od strony Polski, a druga część ruszyła pod Kłodzko.

– Tak, to nasze dziecinne lata.

– W 1620 r. Czesi przegrali bitwę pod Białą Górą. Wojska margrabiego poniosły klęskę.

– To pamiętam. Wszyscy wtedy o tym mówili – powiedział Andrzej.

– Stracił wszystko. Skonfiskowano mu majątek⁴⁹, w tym ziemię bytomską. On sam został skazany na banicję. Skończył się dobry okres dla miasta. Margrabiowie odeszli. No i wtedy pojawili się nasi obecni panowie...

– Hencklowie... – dodał Andrzej.

– Tak. Ja myślałem, bracie, że wraz z ich pojawieniem zło odżyło.

⁴⁹ Wyrok utraty majątku i banicji wydał cesarz Ferdynand II w dniu 23 stycznia 1621 r.

– Błżnizs! – krzyknął Andrzej i od razu zamilkł. Jakiś mężczyzna spojrzał w ich kierunku. Józef spokojnie odczekał krótką chwilę, dopóki obserwator nie stracił zainteresowania.

– Uspokój się – powiedział.

– Bracie, przecież za takie słowa można zawisnąć – odparł cicho Andrzej – Gdyby ktoś to usłyszał...

– Słuchaj, komu mam to powiedzieć? Siedzi to we mnie jak cierń. Myślę o tym codziennie. Codziennie. Tylko tobie mogę to wyznać. Nikomu więcej.

– Ja nie chcę tego słyszeć, bracie. Nie chcę wiedzieć...

– Sam mnie pytałeś – odparł spokojnie Józef – Przecież chciałeś wiedzieć...

Andrzej spojrzał na niego z zakłopotaniem. Widać było, że miał ochotę odwrócić się na pięcie i odejść. Pewnie by tak zrobił, gdyby rozmówcą był ktoś inny, a nie jego brat. Toczył walkę sam ze sobą. W końcu przysunął się bliżej Józefa.

– Mów – powiedział cicho rozglądając się dookoła.

– Jesteś pewien?

– Mów, do cholery.

– Chodź za mną – powiedział Józef – Musimy zmienić miejsce, aby nie rzucać się w oczy. Za długo tu stoimy.

Bracia ruszyli w stronę środka placu. Przeciskali się pomiędzy osobami, które w swoim zakupowym szaleństwie nie zwracały na nic uwagi. Minęli znudzonego strażnika, który oparty o halabardę pilnował porządku. Nawet na nich nie spojrzał. W końcu doszli do przeciwległego krańca rynku, do miejsca, gdzie od czasów średniowiecza znajdowała się waga miejska. Stanęli u wylotu jednej z uliczek. Upewnili się, że miejsce jest bezpieczne. To wymagało spokojnej obserwacji otoczenia. Stali bardzo blisko siebie, by nie mówić za głośno.

– Mów – powiedział Andrzej. Józef wziął głęboki oddech.

– W 1623 r., już podczas wojny, ziemia bytomska przeszła w ręce Donnersmarcków – powiedział – Pierwszym z nich był hrabia Łazarz⁵⁰. Jego pojawienie nie spotkało się z zadowoleniem mieszkańców miasta.

– Pamiętam, dziadek o tym mówił – odparł Andrzej – Ale dlaczego?

– Nie był człowiekiem stąd. Był bogatym kupcem i bankierem wywodzącym się ze Spisza. Właściwie z Węgier. Posiadał tylko węgierskie szlachectwo. Nigdy nie miał ze Śląskiem nic wspólnego.

– To jeszcze nic nie znaczy...

⁵⁰ Chodzi o Łazarza I Henckel von Donnersmarck zwanego Starszym (1551-1624), pierwszego pana Bytomia, Tarnowskich Gór i Bogumina.

– Masz rację – powiedział spokojnie Józef – Nic więcej bym na ten temat nie wiedział, gdyby nie zakonnik. Wiesz kto nadał tytuł szlachecki przodkom Hencklów?

– Skąd mam wiedzieć, bracie?

– Król czeski, węgierski i niemiecki Zygmunt Luksemburski, który pod koniec życia został cesarzem rzymskim. Zakonnik długo szukał tego w dokumentach. Otrzymali od niego węgierski tytuł szlachecki w 1417 r.

– Dlaczego tylko węgierski, skoro był cesarzem? – spytał Andrzej.

– Bo w momencie, kiedy to zrobił, był tylko królem węgierskim – spokojnie wyjaśnił Józef – Nic więcej nie mógł dla nich zrobić. Byli mu jednak potrzebni...

– Do czego? Nadal nie rozumiem, jakie to ma znaczenie – powiedział Andrzej.

– Ten sam Zygmunt Luksemburski był zaciekleym obrońcą chrześcijaństwa. Szczególnie wobec inwazji Turków. Był fanatykiem. Miał swój udział w schwytaniu uznanego za heretyka Jana Husa, który został osądzony i spalony na stosie.

– Chodzi o tego Czecha?

– Tak, bracie.

– Kiedyś słyszałem o nim straszne opowieści... – szepnął Andrzej.

– Powiem ci jeszcze coś – kontynuował Józef – Żoną Zygmunta Luksemburskiego była Maria Andegaweńska, wnuczka króla Węgier Karola Roberta Andegaweńskiego.

– Bracie, ja się już gubię...

– Król Karol Robert był w Bytomiu... – wtrącił nagle Józef.

– Ooooo.... Po co?

– Przyjechał po żonę. Pierwszą, bo miał ich aż trzy. Została nią księżniczka Maria⁵¹, córka bytomskiego księcia. Gdy wyszła za Karola Roberta miała 12 lat. Zmarła bardzo młodo.

Andrzej głęboko westchnął. Widać było, że zrozumienie słów brata kosztuje go wiele wysiłku.

– Co ona ma z tym wspólnego? – spytał.

– Właściwie nic – odparł Józef – Będę mówił dalej o Zygmuncie Luksemburskim, któremu Hencklowie tak wiele zawdzięczają.

– Dobrze...

– Panicze, kupcie ser! – wrzasnęła kobieta, która przy nich stanęła – Dobry, kozi, świeży! – mówiąc to przełamała serowy walec na pół, by pokazać im środek swojego koziego skarbu. Józef szybko sięgnął do niewielkiej sakwy, którą miał przywiązana do skórzanego pasa. Wyciągnął monetę i podał ją kobiecie.

– Daj nam dwa – powiedział.

⁵¹ Chodzi o Marię bytomską (ur. przed 1300 r. – zm. 1317), córkę księcia bytomskiego Kazimierza.

Kobieta schowała monetę, najpierw dokładnie się jej przypatrując. Z wiklinowego koszyka wyciągnęła dwa sery, które podała Józefowi. Ten podał jeden bratu. Kobieta odwróciła się na pięcie i odeszła, głośno zachwalając innym swój produkt. Andrzej trzymając ser w dłoniach ugryzł kawałek.

– Nie wiem, czy on jest taki świeży... – powiedział mieląc ser w ustach – Ja jej dam! Gdzie ona?

– Daj jej spokój – odparł Józef nadgryzając swój ser – Nie jest taki zły... Jedz. Mniej będziemy się rzucać w oczy.

Ugryzli jeszcze po jednym kawałku i spożywali go w milczeniu, rozglądając się dookoła. Faktycznie, nie był taki zły.

– Zygmunt Luksemburski stworzył nowy zakon rycerski – powiedział po chwili Józef – Nazwał go Zakonem Smoka.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Ja też. Mnich mi to wytłumaczył. To był zakon, w skład którego weszła szlachta i arystokracja. Mieli fanatycznie walczyć z innowiercami. Podobno istnieją do dzisiaj.

– Hmmmm... nie słyszałem – odparł Andrzej.

– Jednym z członków tego zakonu został gospodar wołoski Vlad II nazywany Diabłem. Bardzo ciekawa postać. Jego syna nazywano Vladem Palownikiem.

– Boże, skąd te przydomki?

– Bo robili straszne rzeczy, bracie. Przeróżające. Vlad Palownik podobno zabił 50 tysięcy ludzi...

– Hencklowie też byli członkami tego zakonu?

– Tego nie udało się zakonnikowi ustalić – powiedział Józef – Nie wiem. Nawet, jeśli nie byli, to żyli w kręgu tych wszystkich ludzi. Znali metody ich działania. Oni wszyscy zaczęli prowadzić dziwną walkę. Jakoby ze złem, w obronie katolickiej wiary, ale wroga zwalczali jeszcze większym złem. Hencklowie musieli to widzieć.

– Pewnie tak...

– Poza tym – mówił Józef – Żona Vlada Palownika Justyna Szilágyi de Horogszeg urodziła mu dwóch synów i jedną córkę. Nikt nie zna ich imion. Wiadomo jedynie, że byli katolikami...

– Bracie, ja... – mamrotał Andrzej patrząc na Józefa wzrokiem szukającym litości.

– Wiem, to mnóstwo informacji. Najważniejsze jest to, że Hencklowie zostali wyniesieni do godności w czasach Zakonu Smoka. Dwieście lat później pojawili się tutaj.

– Tak, to rozumiem – powiedział nieco uspokojony Andrzej.

– Ich przodkowie musieli się wynieść z Węgier i Spiszu, bo Turcy odnosili tam coraz większe sukcesy. Pomimo przenosin, Hencklowie rośli w siłę i zaszczyty.

– To trochę dziwne.. – skwitował Andrzej.

– Wiedzieli, jak to robić. Służyli wielu władcom. Byli wierni i lojalni. Za to ich nagradzano. Przyszedł czas, że powrócili na Węgry i pomnażali tam swoje bogactwo. Ich ród tak się rozrósł, że byli w wielu krajach Europy. Budowali własne zamki...

– Jak królowie... – dodał Andrzej.

– Tak, bracie. Byli nawet bogatsi od niejednego władcy. Na krótko przed przybyciem do Bytomia zmienili wiarę. Stali się Lutrami.

– Dlaczego?

– Widać to pasowało do ich dalszych planów. Tu nie chodzi o wiarę, Józef. To była po prostu polityka.

– Rozumiem – odparł Andrzej gryząc kolejny kawałek sera.

– Nasz pierwszy pan z Hencklów, Łazarz I, mieszkał w Wiedniu, ale nadal robił interesy na terenie Węgier i Siedmiogrodu. Duże interesy... Później zamieszkał w zamku w Świerklańcu. Od samego początku wojował z mieszkańcami Bytomia...⁵² Opierał się też akcji rekatalizacyjnej...

Andrzej w milczeniu miał w ustach kawałek sera.

– Zaraz po objęciu przez niego władzy nad Bytomiem w 1624 r. w Gliwicach odbył się proces czterech czarownic. Wszystkie zostały spalone na stosie. Podobno sam hrabia maczał w tym palce. W tym samym czasie w Nysie odbywały się kolejne procesy posądzenia o magię. To tak, jakby Łazarz I przywłókł to ze sobą.

– Co? – spytał Andrzej z ustami wypełnionymi kozim serem.

– Zwalczanie rzekomego zła złem, bracie. Dokładnie to samo, co robił Zakon Smoka.

Andrzej nie odpowiedział.

– Ludzie go nie lubili – kontynuował Józef – Szczególnie tutaj. Bali się go. On sam pojechał do Wiednia i tam zmarł w dniu 13 lipca 1624 r. Został pochowany na wiedeńskim cmentarzu Przed Bramą Szkołą. Mówiono o nim, że zasłużył się cesarzowi poprzez „zdobycie i dostarczenie wielu milionów w złocie”. Niektórzy mówili, że jego śmierć to klątwa rzucona przez niesłusznie osądzone kobiety. Bo hrabia miał też swoją mroczną stronę.

– Jaką?

– Jako niezwykle gorliwy protestant, w niektórych miejscach, zaczął zwalczać katolików. W pewnej miejscowości w 1609 r. kazał zakuć w łańcuchy wszystkich katolików, w tym także kobiety i dzieci i wszystkich wrzucił do lochów. Nie wiadomo, ilu z nich przeżyło...

– Boże... Co dalej?

⁵² W dniu 7 grudnia 1623 r. ganiono bytomskich rajców, że nie powiadomili hrabiego o przemarszu wojsk polskich. W tym samym roku hrabia nakazał mieszkańcom przygotować miasto do obrony.

– Ludzie nie chcieli już Hencklów, ale cesarz się uparł. Jeszcze w 1624 r. Ferdynand II kazał uznać mieszkańcom ziemi bytomskiej, jego syna Łazarza II⁵³, za swojego pana. Zrobiono to, ale z wielką niechęcią⁵⁴.

– Sam cesarz?

– Tak, bracie. Sam cesarz.

– No to mają wsparcie – powiedział Andrzej – Godne pozazdroszczenia.

– Tak. Dzięki swojej pozycji i pieniądзом. Nadal byli potrzebni cesarzom. Łazarza II znamy doskonale.

– O tak... – odparł Andrzej – Znamy...



Ilustracja 18 – Hrabia Łazarz II; źródło: wikipedia

– Zakonnik powiedział mi o nim jeszcze więcej. To właśnie on uzyskał od cesarza dziedziczne prawo do naszych ziem. Oczywiście za pieniądze. Wielkie pieniądze, bracie... W 1632 r. Łazarz II objął całkowitą władzę nad tymi ziemiami. Stał się prawdziwym władcą. Oczywiście przy poparciu cesarza...

⁵³ Chodzi o urodzonego w Tarnowskich Górach hrabiego Łazarza II (1573-1664) nazywanego Młodszym. Jego małżonką była Maria Jakubina, z domu Bairin. Ich wesele odbyło się w 1601 r. w Gedenkbuch. Podobno Maria Jakubina zmarła w 1635 r. Jego drugą małżonką była Eleonora de Suarez, wdowa po margrabim Agostino de Caldano, matka księżniczki Clerii de Piombino, wielka ochmistrzyni arcyksiężnej Anny Austriackiej. Jej pochodzenie i przeszłość może sugerować związek z krajem, w którym kościelna Święta Inkwizycja działała bardzo prężnie.

⁵⁴ W kościele św. Małgorzaty znajduje się tablica epitafijna poświęcona pamięci bytomskiego mieszczanina Jakuba Długonikla (Długinikla), który był miejskim ławnikiem, racją, sędzią dworskim, a na koniec burmistrzem. Zmarł w dniu 16 maja 1629 r. Tablicę w 1637 r. ufundowała jego małżonka. To prawdopodobnie on był świadkiem przejęcia władzy w mieście przez Donnersmarcków. W tym samym czasie proboszczem bytomskiego kościoła św. Ducha był ksiądz Jan Bratkowski.

- Ciągłe potrzebni... - dodał Andrzej.
- Pamiętasz, jak dziadek mówił nam o wielkim gradzie? - spytał Józef.
- Tak - odpowiedział Andrzej - Myślałem, że to jego bajdurzenie...
- Nie, to prawda - Józef był pewny swoich słów - Powiedział mi to zakonnik. Dokładnie w dniu 24 maja 1626 r. spadł tak potężny grad, że ziemia została pokryta warstwą o grubości prawie jednego metra...
- O Boże... - szepnęła Andrzej - W życiu czegoś takiego nie widziałem...
- I obyśmy więcej nie widzieli, bracie - przerwał mu Józef.
- Jak tam nowy hrabia? - spytał Andrzej zmieniając temat.
- Zaczął dobrze - odpowiedział mu Józef - Potwierdził wszystkie wcześniejsze przywileje i prawa swych poddanych.
- Pamiętam, że nikt go tu nie chciał.
- Tak, chociaż jego tu prawie nie było. Stale przebywał w Wiedniu. Dlatego bezpośredni zarząd nad ziemią bytomską oddał w ręce swojego syna Gabriela, naszego ukochanego hrabiego - powiedział z wyraźnym przekąsem Józef.
- Ciszej, bracie.... Błagam cię, ciszej... - szeptał Andrzej nerwowo rozglądając się dookoła.
- Wiem, nie bój się. Nikt nas nie podsłuchuje - uspokoił go Józef - Trwała wojna...⁵⁵ Pamiętasz... Już w 1624 r. nasze miasto musiało zapłacić 200 talarów dla oddziałów polskich lisowczyków wspierających cesarza⁵⁶. Przebywali w okolicy Bytomia od 1623 r.
- Pamiętam. Wojna wybuchła dwa lata po „śmierci Trzęsinogi”⁵⁷. Właściciele gospód skarżyli się wtedy na ogromne straty za wypite piwo.
- Tak. Rok później do Bytomia wkroczyły wojska hrabiego Ernsta von Mansfelda⁵⁸, niemieckiego dowódcy wojskowego walczącego po stronie protestanckiej.
- Pamiętam doskonale. Złupili wtedy miasto i klasztor - potwierdził Andrzej - Panoszyli się na ulicach. Część miasta spalili...
- Słyszałeś o Schramku? - spytał Józef.
- Andrzej zamyślił się na chwilę.
- Chyba nie... - powiedział.

⁵⁵ Mowa o wojnie 30-letniej (1618-1648).

⁵⁶ Podczas wojny 30-letniej polskie oddziały często przebywały w okolicy Bytomia - w tym oddziały kozackie. W swojej kronice Franz Gramer wspomina takie nazwiska, jak płk Jaroschowsky, płk Stanowsky, płk de Colloredo, rotmistrz Siratzky, kapitan Wagner, rotmistrz Walowski i rotmistrz Halisnowski, płk Majos, Dembiński, rotmistrz Czechowicz.

⁵⁷ W 1616 r. zmarł znany właściciel bytomskiej gospody Jakub Trzęsinoga. Jego położona na rynku gospoda była tak znana i ceniona, że po jego śmierci bytomianie odliczali lata „od śmierci Trzęsinogi”. Drugą znaną gospodę na bytomskim rynku prowadził Marcin Pogorzałek.

⁵⁸ Żył w latach ok. 1580-1626.

– Błażej Schramek zabił swojego szwagra Kozickiego. Fakt, podobno zrobił to nie-umyślnie. To stało się podczas bójki. Jego sprawę rozpatrywał bytomski sąd. Nie dopatrzył się dużej winy, więc nie ukarał Schramka na wysoką karę pieniężną. Wtedy odezwał się hrabia. Miał pretensje do rajców, że umniejszili jego dochody, bo ewentualna kara miała być przeznaczona dla niego i na utrzymanie szpitala – mówił Józef.



Ilustracja 19 – Przemarsz wojsk.

– Nieważna wina, tylko pieniądze? – spytał Andrzej.

– Właśnie tak – odparł Józef – Bytomskim starostą ziemskim był wtedy Baltazar Ohm. Dwa lata później w Bytomiu znowu pojawiły się obce wojska⁵⁹ – kontynuował Józef – Zakonnik pokazał mi pewien dokument. W lipcu 1627 r. na prośbę bytomskiego gwardiana minorytów sporządzono wykaz, w którym przedstawiono ogrom strat. Praktycznie całe wyposażenie bytomskiego klasztoru zostało zniszczone lub rozkradzione, a reszta zdewastowana. Nawet pochówków nie szczędzili. Sprofanowali je...

⁵⁹ W swojej kronice Franz Gramer podaje, że już w 1626 r. pod Bytomiem stacjonowały wojska cesarskie. W dniu 27 lutego 1627 r. do Bytomia wdarł się protestancki oddział dowodzony przez płk-a Holuke. Podobno weszli w nocy wysadzając minami bramy miasta. Splądrowano wtedy ratusz, plebanie, a także prywatne domy.

- To były straszne czasy – odparł Andrzej.
- Znamy je dobrze, bracie. Pamiętasz? Po odejściu wojsk protestanckich do Bytomia weszły cesarskie wojska katolickie dowodzone przez hrabiego Karola Hannibala von Dohna, który był cesarskim egzekutorem podatków.
- Pewnie. Wielu możnych z miasta rozliczano za współpracę z wojskami protestanckimi⁶⁰. Oooo... działo się wtedy w mieście.
- Szukali ludzi, bracie, którzy działali bez wiedzy hrabiego. Nic więcej – przerwał mu Józef – W 1629 r. hrabia Łazarz II otrzymał od cesarza nasze ziemie jako swoją dziedziczną własność⁶¹.
- Bytom był wtedy totalnie zniszczony... – dodał Andrzej – Ludzie gadali, że zginał co trzeci mieszkaniec...
- To możliwe. Zakonnik wspominał, że gwardianem minorytów był wtedy o. Franciszek Marcinkowski, który szukał funduszy na odbudowę klasztoru – powiedział Józef – Miał szczęście, bo pewna wdowa⁶² przekazała na ten cel sporą sumkę. Dzięki niej się udało. Hrabiowie nie pomogli. Zakonnicy próbowali stanąć na nogi. W jednej z bytomskich kamienic prowadzili karczmę, gdzie sprzedawali importowane piwo, a w pobliżu klasztoru zezwalali na sprzedaż wina i szampana. Zaczęli na tym nieźle zarabiać.
- Józek, ja to wszystko doskonale pamiętam... – odparł Andrzej – Tylko co to ma wspólnego z hrabią?
- Jak to co? Psuli mu interes. Część bytomskich rajców napisała wtedy skargę na zakonników do Wrocławia, skąd przyszedł dekret zakazujący im handlu winem i piwem. Wątpię, czy napisali ją sami od siebie...
- No tak...
- W okolicy szalała zaraza⁶³. Ludzie umierali jak muchy... No i dochody hrabiego spadały...

Andrzej ze zrozumieniem, ale i zdziwieniem popatrzył na Józefa.

⁶⁰ Dohna nakazał aresztowanie ówczesnego burmistrza Bytomia Walentego Twardokęsa (alias Victus), wójta miejskiego Hansa Scholza (alias Putna), rajców Grzegorza Oparkę, Wawrzyńca Giermka, Jerzego Gerka, Stanisława Zdena i Macha z Dąbrówki. Wszystkim postawiono zarzut współpracy i kolaboracji z wojskami protestanckimi. Śledztwo w ich sprawie prowadził Daniel Thalwenzel (pisarz urzędu celnego) i Hans Meisner (członek sądu).

⁶¹ W 1629 r. rodzina Henckel von Donnersmarck otrzymała ziemię bytomską w dziedziczną własność. Łazarz II Młodszy w 1629 r., za niespłacone wcześniej sumy oraz za nowe udzielone cesarzowi kredyty o łącznej wartości ponad 367 tys. guldenów otrzymał prawa dziedziczne i zwierzchnie do bytomskiego oraz bogumińskiego państwa stanowego wraz z miastami Bytomiem i Tarnowskimi Górami. Państwa stanowe były „...na podstawie specjalnych przywilejów wyłączone z ogólnej administracji i jurysdykcji, (...) [a ich] właściciele podlegali bezpośrednio cesarzowi, z pominięciem książąt i starostów. Wolni panowie stanowi mieli swe sądowe forum tylko przed panującym lub przed praską izbą apelacyjną i zasiadali w sejmie śląskim w kurii książęcej. Od sytuacji książąt różniło ich w sejmie jedynie to, że posiadali oni wszyscy łącznie jeden głos (wotum), gdy tymczasem każdy z książąt rozporządzał własnym odrębnym głosem...”. W latach 1629-1632 bytomskim burmistrzem był Jan Grochut.

⁶² Mowa o młynarzowej Jadwidze z Bogucic, która w 1629 r. podarowała bytomskim minorytom 100 guldenów i 80 polskich groszy oraz 100 gontów z przeznaczeniem na odbudowę klasztoru.

⁶³ Epidemia dżumy trwała w latach 1630-1634. W 1630 r. hrabia Eliaz wydał władzom Bytomia nakaz oczyszczenia ulic z brudu i nieczystości, usunięcie żebraków i wzmocnienie straży przy bramach miejskich.

– Powiedz mi teraz, bracie – mówił Józef – jakim cudem protestancki hrabia w czasach wojny cieszył się tak dużym poparciem katolickiego cesarza? Mnich mi mówił, że cesarz Ferdynand II Habsburg nadał im w dniu 18 grudnia 1636 r. w Ratyźbonie dziedziczną godność barona cesarstwa⁶⁴. Zmieniono wtedy ich herb. Bytom i okoliczne ziemie zaczął symbolizować jednorożec w herbie. Symbol Chrystusa. Na terenie miasta działał przeciwko katolickim zakonnikom...

– Faktycznie, to dziwne...

– To nie wszystko – mówił Józef – Arcyksiążę Ferdynand Karol Habsburg z Tyrolu w dniu 29 lipca 1651 r. w Innsbrucku nadał hrabiemu Łazarzowi II dziedziczną godność hrabiego cesarstwa⁶⁵ z tytułem „wysoko i dobrze urodzony”⁶⁶, a cesarz Leopold I nadał mu w dniu 5 marca 1661 r. w Wiedniu dziedziczną godność czeskiego hrabiego.

Andrzej nie odpowiedział.

– Jak to możliwe, bracie? – spytał Józef.

– Bo ciągle byli potrzebni...

– Tak. Właśnie tak. Zdarzały się jednak rzeczy, które im nie pasowały. Pamiętasz Jana Markowicza?⁶⁷

Andrzej zamyślił się na chwilę.

– Syna kobiety, która miała na rynku sklep korzenny?

– Tak. O nim właśnie mówię...

– Pamiętam.

– On też mi rozjaśnił wiele rzeczy – powiedział Józef – Rozmawiam z nim czasami, gdy przyjeżdża odwiedzić nasze miasto. W 1625 r. biskup krakowski Marcin Szyszkowski napisał list do bytomskiej rady, w którym nakazał przywrócenie kościołów w mieście do dawnego stanu. To się hrabiom nie spodobało. W 1629 r. cesarz wydał dekret nakazujący zwrot przez protestantów mienia zagarniętego katolikom, w tym kościołów. Łazarz II był temu również niechętny.

– Dlaczego?

⁶⁴ Niem. *Reichsfreiherr*.

⁶⁵ Niem. *Reichsgraf*.

⁶⁶ Niem. *Hoch- und Wohlgeboren*.

⁶⁷ Urodził się w dniu 10 kwietnia 1613 r. w Krakowie. Jego matką była Zuzanna z Fontanów. Gdy w Krakowie wybuchła zaraza, jego rodzice przeprowadzili się do Bytomia. Założyli tam sklep korzenny. Gdy zmarł jego ojciec, pochowano go w bytomskim kościele minorytów. Matka kupiła dom przy rynku i dalej prowadziła sklep. Jan chodził do szkoły protestanckiej w Bytomiu. W 1624 r. wyjechał na naukę j. niemieckiego do Nysy. Po zakończeniu nauki wraz z matką powrócił do Krakowa. Dalszą jego edukację prowadził brat od matki, jezuita z Lublina. Po 1642 r. Jan założył własny sklep. W 1655 r. w jego krakowskim domu zatrzymał się komisarz wojskowy króla Szwecji Mittelstedt, który wyjeżdżając zostawił tam całą swoją bibliotekę. To stało się impulsem do kontaktu Jana z literaturą historyczną. Od 1660 r. zaczął prowadzić zapiski dotyczące historii Polski. Pisał też wiersze i inne utwory literackie. Zmarł w 1683 r. Był bardzo światłym umysłem, chociaż nigdy nie ukończył studiów uniwersyteckich.

– Bo sięgano do jego kieszeni, bracie – odparł Józef – W 1631 r. ku jego niezadowoleniu w Bytomiu przebywała komisja rekatalizacyjna⁶⁸. W tym samym roku trzyosobowa Komisja Wykonawcza Wyższego Urzędu we Wrocławiu ustaliła wysokość odszkodowania należnemu bytomskiemu klasztorowi franciszkanów i kościołowi parafialnemu, a także grzywny, jakie miasto będzie musiało zapłacić do skarbu państwa.

– To się tym bardziej nie spodobało... – skwitował to Andrzej.

– Pewnie, że się nie spodobało. Nie mieli jednak innego wyjścia. Byli zależni od cesarzy...

– O kim mówisz? – spytał Andrzej – o Łazarzu Młodszym czy Gabrielu?

– O jednym i o drugim – odparł Andrzej – Daleko jabłko od jabłoni nie upada... W 1632 r. z naszego kościoła farnego został usunięty protestancki pastor, a kościół wrócił w ręce katolików⁶⁹. Hrabiowie nie zareagowali...

– Dlaczego?

– Bo zależało im, żeby otrzymać tytuł dziedziczny do tych ziem. Nie chcieli narażać się cesarzowi...

– No tak... Czekaj, Józek – powiedział głośno Andrzej – Janek idzie... Ten ochlaptus...

– Ooooo, braciszku! – usłyszeli nagle. W ich kierunku szedł otyły mężczyzna z wielkim kuflem piwa w rękę. Po jego chodzie było widać, że to nie był pierwszy – Jak tam targ? Kupiliście coś? Ser? – mówił patrząc na ich ręce, w których trzymali kawałki sera.

– Ano ser. Pyszny, kozi – odparł Józek – Stanęliśmy z boku, żeby nacieszyć się smakiem. Chcesz spróbować?

– Nieeeeee... Mam swój skarb – powiedział głośno Janek podnosząc do góry rękę z kuflem – Gdzie wasze niewiasty?

Janek był znany nie tylko z miłości do piwa.

– W domu – odparł Andrzej – Już kupiły to, co trzeba.

– Nie widziałem ich – westchnął Janek – Szkoda...

– Dobrze, bracie – powiedział głośno Józef do Andrzeja – Czas do domu. Z Bogiem...

– Z Bogiem, bracie – odparł Andrzej – Janek, ty zostajesz?

⁶⁸ Franz Gramer w swoje kronice podaje, że członkami tej komisji byli Wacław von Oppersdorf, Wacław von Kaminsky i Jacobus Schickfusius.

⁶⁹ Pierwszym katolickim plebanem został Józef Prussius, a ostatni ewangelicki pleban Martin Sisencius opuścił miasto. Wraz z nim wyjechało 20 ewangelickich rodzin. W 1643 r. proboszczem był Kozubiusz (Kossubius), który prosił hrabiego Łazarza II o pomoc w ściąganiu należności od bytomskiego burmistrza i rajców, a także zaległych długów wobec parafii. W 1652 r. bytomski starosta ziemski ponownie wezwał do uregulowania tych długów. W tym czasie bytomski kościół św. Małgorzaty stracił na znaczeniu.

– Pewnie. Gdzie mi będzie lepiej? Jest co wypić, jest na kogo popatrzeć... – oblizał się obleśnie spoglądając w stronę młodej kobiety, która trzymając pod ręką wiklinowy koszyk przechodziła obok nich. Bracia nie oglądając się za siebie rozeszli się do domów. Janek chwiejnym krokiem ruszył w ślad za młodą kobietą, popijając po drodze z kufła i snując własne, zbereżne fantazje.



Ilustracja 20 – Targowisko na Rynku.

Na początku XVII w. nowym właścicielem dóbr bytomskich, w tym również terenów dzisiejszych Piekar Śląskich został Łazarz I Starszy Henckel von Donnersmarck. Nowi panowie mieli jednak spory problem z objęciem w posiadanie swojej nowej własności, gdyż od 1619 r. na świecie szalała wojna 30-letnia, która pochłaniała morze ludzkich istnień i miała znamiona wojny światowej. Podczas trwania tego wielkiego konfliktu zbrojnego, w 1623 r. Hencklowie formalnie objęli władzę nad dobrami bytomskimi i tarnogórskimi, lokując się w pobliskim zamku w Świerklańcu. Jednakże faktycznie objęli je w posiadanie dopiero w 1632 r. Od tego momentu historia Bytomia, Tarnowskich Gór, a także terenów dzisiejszych Piekar Śląskich, była nierozzerwalnie związana z historią tego rodu. Skutki wojny 30-letniej, a więc fala głodu i epidemii, zahamowała działalność wydobywczą. W 1634 r. Śląsk został spustoszony przerażającą epidemią. Spora część ludzi umierała z głodu, a niektórzy

bezlitośnie bogacili się kosztem innych. Historia wspomina o szlacheckiej rodzinie z Kozłowej Góry, która w tym czasie z powodzeniem trudniła się rozbojem.

Do śmierci hrabiego Łazarza II całość państwa stanowego znajdowała się pod władzą jednego pana. Jednak już przed śmiercią, w trakcie długiego pobytu w Wiedniu, wyznaczył on synów do zarządzania w jego imieniu górnośląskimi włościami. Po jego śmierci synowie, dzieląc między siebie spadek, zawarli w 1665 r. odpowiednią umowę. Eliaśz otrzymał Bogumin, gdzie sprawował władzę jako administrator już za życia ojca. Młodszy, Gabriel i Jerzy Fryderyk, podzielili się ziemiami bytomskiego państwa stanowego. Pierwszy otrzymał część bytomską, drugi tarnogórską. Dodatkowo Jerzy Fryderyk miał sprawować władzę i jurysdykcję nad rycerstwem i wolną ludnością nieszlachecką. Obaj bracia byli administratorami ziemi bytomskiej jeszcze za życia ojca.

1666

„Także też gdy obraz z wosku abo co podobnego dla uczarowania kogo czarownik uczyni abo gdy przez czary obraz czyjkolwiek na wodzie bądź na ołowie pokazuje się, cokolwiek złego się stanie onemu obrazowi, bądź co zaktócie, bądź rana jaka, choć się ona obraza przez czarownice rzeczą samą w obrazie dzieje, a szatan człowieka, dla którego uczarowania on obraz uczyniony jest, takimże sposobem i w toż miejsce niewiedomie obrazi, słusznie wszakże ta sprawa czarownicy bywa przypisana, bo bez niej nigdy by Pan Bóg szatanowi takowej obrazy w człowieku uczynić nie dopuścił ani by się szatan sam przez się nie ważył”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

Minęło kilka dni, podczas których życie miasta toczyło się swoim torem. Różnica polegała na tym, że częstym tematem rozmów była sprawa Niedzieliny. Ludzie zastanawiali się, gdzie dotarła, co się z nią stało i jaki będzie jej dalszy los. Nikt nie próbował jej bronić. Wiedźma to wiedźma. Nikt jej nie współczuł. Tego dnia Józef ruszył na Plac Klasztorny, gdzie umówił się ze swoim znajomym zakonnikiem. Wiedział, gdzie go szukać. W klasztorным sadzie. Tam zakonnik przebywał najchętniej. Józef nie pomylił się. Zauważył go krzątającego się wokół przepięknych jabłoni rosnących w bliskim sąsiedztwie bytomskich murów obronnych, na tyłach klasztoru minorytów.

– Szczęść Boże, mój przyjacielu – powiedział Józef. Zakonnik odwrócił się gwałtownie i uśmiechnął.

– Szczęść Boże – odparł wesoło.

– Powiedz mi, jak ty to robisz? – spytał Józef.

– Co?

– Jakim cudem twoje jabłonie tak pięknie wyglądają i rodzą tak smaczne jabłka? Robię, co mogę, ale nigdy takich nie udało mi się zebrać...

– To proste, Józefie – powiedział zakonnik – Dbam o nie, rozmawiam z nimi, spędzam z nimi wiele czasu, modlę się o nie. To wystarczy...

– No tak – odparł rozbawiony Józef – W to nie wątpię...

Zakonnik roześmiał się głośno.

– Wiesz, rozmawiałem ze swoim bratem – powiedział ciszej Józef – Powiedziałem mu o naszych rozmowach...

– Józefie... – odparł zakonnik z nutą żalu w głosie – Przecież umawialiśmy się, że treść naszych rozmów pozostanie tajemnicą. Jesteś za niego pewny?

– Całkowicie – odparł z pełnym przekonaniem Józef – Może nigdy nie zostanie uczonym, ale jest bardzo honorowym człowiekiem. No i moim bratem...



Ilustracja 21 – Dawny klasztor minorytów na Placu Klasztornym w Bytomiu.

- Rozumiem – powiedział zakonnik – Nadal jednak uważam, że niepotrzebnie...
- Nie obawiaj się – uspokoił go Józef – Musiałem mu powiedzieć, choć nie jestem pewien, ile z tego wszystkiego zapamięta.
- No tak... – uśmiechnął się zakonnik.
- Niech nas bytomska Madonna⁷⁰ ma w opiece – powiedział, właściwie samo do siebie Józef – Wiesz, ja ciągle mam w głowie obraz tej Niedzieliny – powiedział podnosząc z ziemi dość dorodne jabłko – Nie mogę się od niego uwolnić. Prześladowe mnie w snach...

Zakonnik nie odezwał się. Józef, gryząc kolejny kawałek jabłka spojrzał na owoc.

- Mnichu! Tu jest robak wielki jak ślimak! – powiedział głośno.
- Robak też stworzenie boże – odparł zakonnik zaglądając do Józefowego jabłka – Noooo, niezły...

Przez chwilę nie odzywali się do siebie.

- Jestem pewien, że hrabia Gabriel to wszystko zaaranżował... – powiedział cicho Józef – Jaki on ma w tym cel?
- Prosty – odparł krótko zakonnik – Własną korzyść.
- Jaką?

⁷⁰ Szacuje się, że obraz nazywany bytorską Madonną został namalowany przed 1430 r. Jest to wyobrażenie Matki Boskiej namalowane na desce lipowej. Na bogatym, złotym tle widoczna jest postać Madonny odzianej w płaszcz ozdobiony liliami, która na ręku trzyma maleńkiego Chrystusa. W późniejszym okresie (prawdopodobnie w XVI w. – po pożarze miasta) po bokach Madonny domalowano dwie postacie kobiece – prawdopodobnie Katarzynę i Agnieszkę, co być może stanowi odniesienie do dwóch księżnych bytowskich, mianowicie Agnieszki i Katarzyny, które w XIV w. będąc córkami księcia bytowskiego Bolesława związały swoje życie z klasztorem cysterek w Trzebnicy. Obraz bytowskiej Madonny jest bardzo podobny do obrazu Matki Boskiej Piekarskiej. W 1863 r. proboszcz kościoła WNMP w Bytomiu Józef Szafranek przekazał obraz do kaplicy św. Józefa w Szombierkach. Obecnie (od 1977 r.) oryginał bytowskiego obrazu znajduje się w budynku kościelnej plebanii parafii WNMP w Bytomiu, a w kościele wisi jego kopia.

Zakonnik spojrzał na Józefa.

– Słyszałeś kiedyś o Sydonii von Borck?⁷¹

– Nie – zgodnie z prawdą odparł Józef.

– Była szlachcianką – mówił zakonnik – Jej pradziadkiem był Matzko von Borck⁷², który solidnie dał się we znaki Zakonowi Krzyżackiemu. Była jedną z najpiękniejszych kobiet swoich czasów. Jej rodzice popadli w długi. Po ich śmierci brat pozbawił ją prawa do dziedziczenia majątku. Przenosiła się z miejsca na miejsce. Miała bardzo trudny charakter.

– Dlaczego?

– Była skora do konfliktów. Potrafiła być agresywna – odparł zakonnik – W 1604 r., ku zadowoleniu rodziny, wstąpiła do klasztoru cystersek w Marianowie.

– Sama tego chciała? – spytał Józef gryząc kolejny kęs jabłka.

– Myślę, że nie. Rodzina chyba miała nadzieję, że w ten sposób pozbędzie się problemu. Pomylili się. Sydonia przebywając w klasztorze nadal wszczyniała kłótnie i procesy sądowe.

– Może po prostu nie chciała być w klasztorze?

– To możliwe – powiedział zakonnik – Jako zakonnica zachowywała się dziwnie. Otaczała się zwierzętami, często kontaktowała z zielarkami, interesowała się też właściwościami ziół i udzielała wielu ludziom porad lekarskich. Potężnemu rodowi Gryfitów zapowiedziała upadek, co naprawdę nastąpiło.

– O... To pachnie czarami... – powiedział Józef.

– Tak. W 1612 r. postawiono jej taki właśnie zarzut. Przez długi czas zdołała się bronić, ale w 1619 r. trafiła do więzienia. Tam poddano ją strasznym torturom, w efekcie których przyznała się do winy.

– Do czarów?

– Tak – odparł spokojnie zakonnik – Przyznała się, że jest wiedźmą. W 1620 r. skazano ją na śmierć przez ścięcie mieczem.

– Nie chciano jej spalić na stosie?

– Była szlachcianką, Józefie. Nie wypadało... Wyrok wykonano poza murami miasta, ale po jej śmierci szczątki i tak spalono i pochowano na cmentarzu w Szczecinie wśród miejskiej biedoty.

– Dlaczego mi o niej mówisz? – spytał Józef.

– Bo jej proces o czary był zmanipulowany. Komuś bardzo zależało na jej usunięciu.

– Komu?

⁷¹ Żyła w latach 1548-1620. Pochodziła z zachodniopomorskiego rodu szlacheckiego.

⁷² Żył w latach ok. 1360 – ok. 1426.

- Tego nie wiadomo – odparł zakonnik – Możliwe, że nawet jej rodzinie.
 - Nadal nie rozumiem... – zaczął Józef.
 - Pamiętasz proces Hanny Kurowej? – przerwał mu zakonnik.
- Józef zamyślił się na chwilę.
- Pamiętam – odparł – Pamiętam bardzo dobrze... Pewnie dlatego, że od 1652 r. w Bytomiu i w okolicy szalała zaraza...⁷³



Ilustracja 22 – Kościół minorytów na Placu Klasztornym.

⁷³ Epidemia zarazy wygasła dopiero w 1656 r.

1653 – sprawa Kurowej

„(...) Mąż zaś święty rzekł szatanowi: rozkazuję, szatanie, w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, abyś zaraz stąd odszedł, a na takim miejscu mieszkał, gdzie byś żadnemu Błogosławioną Pannę pozdrawiającemu szkodzić nie śmiał”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

W czerwcu 1653 roku⁷⁴ w Bytomiu została uwięziona mieszkanka miasta, Hanna Kurowa. Posądzono ją o stosowanie czarów i postawiono przed sądem.

– Kobieto, czy rozumiesz zarzuty? – spytał przewodniczący sądu wójtowskiego. Kobieta w średnim wieku, dość mocno zniszczona trudami życia i niesamowicie wystraszona, nie odpowiedziała. Przerażonym wzrokiem rozglądała się dookoła. Jej ubranie było w strzępach. Widać było na nim plamy zaschniętej krwi.

– Sąd zarzuca ci stosowanie czarów – powiedział głośno przewodniczący.

Hanna wiedziała, że milczenie jej nie pomoże.

– Czy przyznajesz się do winy? – spytał przewodniczący.

– Nie! – krzyknęła głośno przełamując strach.

– Oskarżona nie przyznaje się do winy – powtórzył przewodniczący zwracając się do mężczyzny, który dokumentował przebieg procesu – Niech wejdzie Jadwiga Kozia.

Do sali obrad sądu weszła pulchna kobieta w wieku podobnym do Hanny. Nie miała odwagi, by spojrzeć w oczy oskarżonej. Wolnym krokiem podeszła do miejsca, które jej wskazano. Stała wyprostowana. Hanna widziała jej twarz tylko z profilu.

– Pamiętaj, Jadwigo, że zeznajesz przed sądem wójtowskim i przed Bogiem – powiedział głośno przewodniczący – Zeznajesz w procesie przeciwko Hannie Kurowej. Powiedz nam, co wiesz.

Jadwiga głośno przełknęła ślinę.

– Panie sędzio – zwróciła się do przewodniczącego – Nie tak dawno zmarło jedno z moich dzieci. Trudno mi było się z tym pogodzić. Bałam się, że Bóg zabierze mi kolejne. Płakałam, trzęsłam się ze strachu i modliłam, aby tak się nie stało.

Przewodniczący i ławnicy z uwagą słuchali jej słów.

– Pewnego dnia spotkałam Hannę Kurową... – mówiła dalej.

– Czy to ta kobieta, która jest na sali? – spytał przewodniczący.

Jadwiga krótkim spojrzeniem obrzuciła Hannę.

⁷⁴ W tym czasie bytomskim burmistrzem był Jan Gniatko.

- Tak, to ona.
- Co się wtedy stało?
- Opowiedziałam jej o swoich lękach – odparła Jadwiga – Wysłuchiła mnie, a potem poradziła coś dziwnego.
- Co takiego? – spytał przewodniczący.
- Mówiła, żeby w trumnie swojego dziecka ukryć trzy kawałki chleba i krzyżyk spleciony z zieleń kłokociny⁷⁵.
- Po co?
- Żeby uchronić swoje dzieci przed podobnym losem – odparła Jadwiga.



Ilustracja 23 – Kurowa przed sądem.

Przewodniczący spojrzał na Hanę Kurową. Oskarżona wpatrywała się w Jadwigę.

- Co jeszcze mówiła? – spytał.
- Powiedziała, że to samo zrobiła, gdy zmarł jej syn.

⁷⁵ Chodzi o rzadką w tym rejonie Europy roślinę nazywaną kłokoczką południową, która występuje pod postacią wysokich, liściastych krzewów. Jest uważana za roślinę magiczną. W takim celu stosowali ją już Celtowie. Jej owoce uważano za silny środek ochronny i uzdrawiający.

Przewodniczący ponownie spojrzał na Hannę. Ta nagle opuściła wzrok, jakby dotknęło ją jakieś przykre wspomnienie.

- Co jeszcze?

- To wszystko, panie - odparła Jadwiga. Widać było po niej, że chciała już odejść.

- Dlaczego razem z mężem złożyliście donos? - spytał przewodniczący.

- Bo wydało nam to się dziwne.

- Dlaczego?

- Panie, to czary. To nie po chrześcijańsku - powiedziała Jadwiga nerwowo gładząc ręką swoje włosy.

Zapadła chwila ciszy.

- Chodzą słuchy, że wasz mąż uganiał się za Kurową. Czy to prawda? - zadając pytanie przewodniczący uważnie przypatrywał się twarzy Jadwigi.

- Ale gdzie tam, panie! - krzyknęła nerwowo kobieta - Przecież to wiedźma! Mój mąż nie zadawałby się ze złym.

- Sąd jeszcze nie orzekł, czy oskarżona jest wiedźmą - odparł spokojnie przewodniczący - Czyli zaprzeczacie, że donos miał charakter zemsty?

Jadwiga przerażonym wzrokiem spojrzała na Kurową.

- Tak, panie, zaprzeczam - powiedziała.

- Przysięgasz na Boga, kobieto?

Na twarzy Jadwigi widać było strach i mocne zakłopotanie. Przez chwilę nie odpowiadała, jakby namyślała się nad swoimi słowami.

- Zaprzeczam, panie - powiedziała.

- Dobrze, możesz odejść.

Kobieta skinęła głową i pospiesznym krokiem oddaliła się.

- Proszę zapisać, że w związku z oskarżeniem sąd już wcześniej nakazał sprawdzenie, czy w trumnie pochowanego niedawno syna Hanny Kurowej znajdują się przedmioty, o których mówiła Jadwiga Kozia - powiedział spokojnie przewodniczący - Niech wejdzie kolejny świadek⁷⁶.

Na salę wszedł starszy mężczyzna. Przewodniczący ręką wskazał mu miejsce, gdzie miał stanąć.

- Jak się nazywacie? - spytał.

- Piotr Gniadosz, panie - odparł mężczyzna.

- Kim jesteście?

- Opiekunem cmentarza.

⁷⁶ W tamtych czasach cmentarz, na którym grzebano zmarłych mieszkańców Bytomia znajdował się poza murami miasta w miejscu, gdzie obecnie wznosi się kościół św. Trójcy przy ul. Piekarskiej.

– Sąd nakazał wam sprawdzenie trumny zmarłego syna oskarżonej Hanny Kurowej. Czy wykonaliście to zadanie?

– Tak, panie.

– Powiedźcie, czy coś znaleźliście.

Mężczyzna sięgnął za pazuchę, skąd wyciągnął niewielkie zawiniątko. Pokazał je przewodniczącemu.

– Cóż to takiego?

– To, co znaleźliśmy, panie – odparł mężczyzna.

– Pokażcie... – powiedział przewodniczący.

Świadek podszedł do obszernego stołu, za którym zasiadał przewodniczący i ławnicy. Położył zawiniątko na stole. Przewodniczący sięgnął po nie ręką. Rozwinął je delikatnie.

– Co to według was jest? – spytał mężczyznę.

– Kawałki chleba, panie i jakaś roślina. Nie wiem, jaka...

Przewodniczący przypatrywał się przedmiotom znajdującym się w zawiniątku. Kiedy już obejrzał, przekazał je siedzącym wzdłuż stołu ławnikom.

– Czy było tam coś jeszcze? – spytał.

– Nie, panie. Tylko to. Przeszukaliśmy dokładnie, choć ciało chłopca było już w stanie rozkładu.

Na dźwięk tych słów Hanna Kurowa wybuchła głośnym płaczem. Przewodniczący spojrział na nią.

– Dziękujemy świadkowi. Możecie odejść – powiedział.

Mężczyzna wyszedł z sali. Hanna ciągle zanosila się spazmatycznym szlochem. Trwało dłuższą chwilę, zanim się uspokoiła.

– Czy oskarżona poznaje to zawiniątko? – spytał przewodniczący.

Kobieta w milczeniu potakująco skinęła głową.

– Czyli oskarżona przyznaje się, że sama włożyła ten przedmiot do trumny swojego syna?

Hanna podniosła głowę. Rękawem otarła sobie twarz i nos.

– Tak, panie, przyznaję się – odparła.

– W jakim celu?

Kobietę kosztowało wiele wysiłku, by zapanować nad swoim zdenerwowaniem.

– Chciałam uchronić dzieci... – powiedziała cicho.

– Co mówisz, kobieto? – powiedział głośno przewodniczący.

– Chciałam uchronić pozostałe dzieci przed śmiercią, panie – odparła głośniej Kurowa.

– Czy oskarżona zdaje sobie sprawę, że to czary?

Hanna ponownie otarła rękawem nos.

– Nie, panie, to nie tak...

– Co mówicie?

– To nie tak – głośno powiedziała kobieta – Ta roślina przepędza zło.

– Przepędza zło? – spytał przewodniczący – Kto wam to powiedział?

– Panie, wszyscy wiedzą, że tak jest – słowa Kurowej wydawały się pewniejsze – Ludzie robią sobie z niej paciorki, żeby uchronić się przed złem. Mówią, że Zły ich się lęka. Robią z nich też różańce. To roślina, której Zły nie lubi.

Zapadła chwila ciszy.

– Skąd ją mieliście? – spytał przewodniczący.

– Kupiłam od jednego z pielgrzymów – odparła Hanna – Mówił, że pielgrzymował do Ziemi Świętej i tam nabył owoce kłokociny. Zapewniał, że mają świętą moc, a Zły będzie je omijał z daleka.

Przewodniczący obrócił się w stronę pozostałych członków sądu wójtowskiego. Zaczął z nimi energicznie dyskutować. Nikt nie słyszał o czym rozmawiali, ale widać było, że starają się określić wiarygodność słów Kurowej. Narada trwała dość długo. Hanna w milczeniu obserwowała twarze osób, które miały zadecydować o jej losie. Przestała płakać. Uspokoiła się. Widać było, że przestała się również bać. Powiedziała prawdę.

– Sąd po naradzie potwierdza, że roślina zwana kłokociną jest w naszej wierze uznana za środek do zwalczania zła – powiedział głośno przewodniczący – Tak jest od wieków. Uznaliśmy również, że roślinę używa się do odpędzania złych mocy, w tym wiedźm i czarownic. Niech oskarżona nam jeszcze powie, dlaczego włożyła do trumny chleb?

Hanna spojrzała na przewodniczącego. Wydawało się, że jest wyraźnie zdziwiona pytaniem.

– Panie, przecież to ciało boże... – odparła z przekonaniem.

Przewodniczący nie odpowiedział. W milczeniu przypatrywał się Kurowej. Po chwili ponownie pogrążył się w dyskusji z pozostałymi członkami sądu. Hannie wydawało się, że trwało to w nieskończoność.

– Po wysłuchaniu świadków i oskarżonej sąd doszedł do wniosku, że jest niewinna – powiedział głośno przewodniczący – Przedmioty, które włożyła do grobu swojego zmarłego dziecka miały na celu ochronę reszty rodziny przed złem. Takiej rady udzieliła również swojej sąsiadce i zrobiła to w dobrej wierze. Sąd nie widzi podstaw, aby uznać oskarżoną za wiedźmę. Stosowanie rośliny, która jest uznawana za środek do walki ze złem wyklucza możliwość współpracy z Szatanem. Hannę Kurową uważamy za uniewinnioną!

Na sali zapanował szum. Głosy mieszały się ze sobą. Jedni potwierdzali, że wyrok jest sprawiedliwy, a inni domagali się surowego ukarania rzekomej wiedźmy.

– Koniec posiedzenia sądu! – powiedział głośno przewodniczący i wstał z krzesła. To samo zrobili ławnicy. Hanna upadła na kolana i zaczęła głośno szlochać. Tym razem ze szczęścia.

Hrabia Gabriel Henckel von Donnersmarck siedział w sali bytomskiego ratusza. Rozsiadł się wygodnie na krześle, przyjmując postawę dumnego pana i władcy. Naprzeciw niego stał wójt, przewodniczący w procesie Hanny Kurowej, który odbył się w Bytomiu dwa dni temu. Baron trzymał w jednej ręce kielich wypełniony piwem. Nie wyglądał na człowieka, który tego dnia miał dobry humor.

– Wójcie, proszę mi powiedzieć, skąd taki wyrok? – spytał.

– W trakcie procesu sąd ustalił niewinność oskarżonej – wójt próbował zachować w swoim głosie pewność siebie.

– Na jakiej podstawie? – spytał hrabia.

– Na podstawie zeznań świadków i samej oskarżonej.

– Co zeznali świadkowie?

– Potwierdzili, że Hanna Kurowa włożyła do trumny swojego syna kawałki chleba i owoce kłokociny. Ona też się do tego przyznała.

– No proszę... A wy ją uniewinniliście?

– Panie hrabio... – zaczął wójt – Kłokocina jest w tradycji chrześcijańskiej uznana za roślinę, za pomocą której odpędza się zło. Wiedźma nie mogłaby jej użyć.

Gabriel pociągnął spory łyk piwa z kielicha. Widać było, że się zastanawia.

– Panie wójcie, czy widział pan już kiedyś w życiu kłokocinę? – spytał po dłuższej chwili.

Na twarzy wójta pojawiło się zakłopotanie.

– Nie, panie hrabio, nie przypominam sobie – odparł – Jedynie o niej słyszałem.

– Czy ławnicy byli pewni, że to ta roślina? – pytał dalej Gabriel.

Wójt był coraz bardziej zakłopotany.

– Naradzaliśmy się – powiedział – Część ławników potwierdziła, że to kłokocina.

– Skąd mieli pewność? – nie dawał za wygraną Gabriel.

– Nie wiem, panie hrabio. Oparłem się na ich opinii.

Gabriel pogrążył się w myślach.

– Panie wójcie, żądam wznowienia procesu – powiedział stanowczo – Uważam, że niepotrzebnie ją uniewinniliście, opierając się na własnej opinii, którą nie można uznać za pewną.

Na twarzy wójta zakłopotanie przerodziło się w strach.

– Rozumiem, panie hrabio – powiedział – Czyli proces ma zostać wznowiony?

– Tak. Taka jest moja decyzja. Dostaniecie stosowne dokumenty. Tylko teraz odpowiednio ją przesłuchajcie.

Wójt wiedział, do czego zmierza Gabriel.

– Mamy zastosować tortury? – spytał niepewnym głosem.

– Tak, oczywiście.

Wójt opuścił głowę. Wbił wzrok w ziemię. Przez jakiś czas stał nieruchomo nie odzywając się.

– Panie hrabio... – zaczął niepewnie – Przecież ona z bólu przyzna się do wszystkiego...

– Wójcie – przerwał mu Gabriel – Przyzna się, jeśli jest winna. Jeśli faktycznie nie jest wiedźmą, Bóg jej pomoże.

Wójt wiedział, że nie ma już pola do dalszej dyskusji. Posłusznie skinął głową.

– Proces ma być wznowiony jak najszybciej – powiedział hrabia – Oczekuję sprawiedliwego wyroku. Przyślę panu ludzi, którzy ją fachowo przesłuchają.

Swoich siepaczy – pomyślał wójt.

– Trzeba też ogłosić, że ludzie muszą się przed nią chronić... – powiedział hrabia.

– Jak, panie?

– Jak zawsze. Udziałem w ceremoniach kościelnych, kropieniem wody i spożywaniem święconej soli – odparł hrabia – To wszystko. Może pan odejść, panie wójcie – powiedział Gabriel i wstał z krzesła kierując się w stronę okna. To był znak, że chce zostać sam. Wójt uklonił się i wyszedł z pomieszczenia. Hrabia Gabriel Henckel von Donnersmarck stał przy oknie pogrążony we własnych myślach. *Finis justificat modo*⁷⁷...

W ówczesnej strukturze politycznej Śląska miasto Bytom znajdowało się w granicach bytomskiego państwa stanowego, w którym od 1623 r. panował szlachecki ród Henckel von Donnersmarck. Wolne państwa stanowe (niem. *Freie Standesherrschaft*) stanowiły zupełnie niezależne terytoria, wyodrębnione ze struktury ustrojowo-prawnej księstw lennych i dziedzicznych. To z kolei oznaczało, że każde postępowanie sądowe odbywało się tutaj z reguły pod ogromnym wpływem hrabiów Henckel von Donnersmarck, gdyż posiadali oni status panów nadrzędnych. To upoważniało ich nie tylko do ustalania procedur i kontroli funkcjonowania sądów niższej instancji, ale również do pełnienia wobec nich funkcji instancji wyższej. Miało to ogromny wpływ na działalność bytomskiego sądu miejskiego, bo panom nadrzędnym przysługiwało prawo zatwierdzania, korygowania bądź odrzucenia wyroku sądów miejskich, zwłaszcza w zakresie spraw kryminalnych, jakimi były wtedy procesy o czary. W kompetencje sądu wójtowskiego ingerowała też rada miejska, która również posiadała swoje uprawnienia w zakresie sądow-

⁷⁷ Z j. łac. *Cel uświęca środki*.

nictwa. W takich ośrodkach miejskich, jak Bytom powodowało to zacieranie się granic kompetencji sądowniczych pomiędzy oboma organami (sądem wójtowskim i burmistrzowskim). Przyjęło się jednak, że wójt wraz z ławnikami miejskimi sądzili w zakresie spraw cywilnych spornych (takich, w których winę należało ustalić) oraz kryminalnych, a burmistrz i rada miejska starali się rozstrzygać sprawy cywilne niesporne (takie, w których вина była wiadoma). Rada miejska miała jednak prawo nadzoru wobec sądu wójtowskiego oraz stanowiła wyższą instancję odwoławczą od jego wyroków. Ponadto określała zakres uprawnień sądu wójtowskiego i oddziaływała na jego poszczególne decyzje. Nie ulega wątpliwości, że w sprawach o czary większy jednak okazał się być udział pana nadrzędnego.

Bytomski sąd wójtowski obejmował swoim zasięgiem miasto i okolice. W przypadku mieszczan poszkodowany wnosił skargę osobiście i bezpośrednio przed sąd wójtowski. Rozprawy zazwyczaj odbywały się w Bytomiu, ale na prośbę zainteresowanych mogły być wyjazdowe. Straż więzienna pilnowała celi oskarżonego. Każda z osób zaangażowana w proces otrzymała wynagrodzenie za wykonanie poszczególnych czynności pomimo tego, że za sam udział w przewodzie sądowym nie wypłacano wynagrodzenia. Czasami pieniądze na pokrycie tych opłat pochodziły ze sprzedaży majątku osoby oskarżonej, który został jej skonfiskowany.

Hanna Kurowa z przerażeniem patrzyła na kata, który zbliżył się do niej. W tym samym pomieszczeniu było jeszcze kilka innych osób, związanych z jej procesem. Siedzieli za suto zastawionym stołem. Nie przeszkadzał im nawet smród, jaki unosił się w powietrzu. Sama Hanna też okrutnie śmierdziała. Od momentu aresztowania była w jednej sukni, często związana w celi lub zakuta w dyby, robiąca pod siebie, śpiąca w błocie i otoczeniu głodnych szczurów. Nie pozwolono jej umyć, nie zmieniono ubrania. Śmierdziała niemiłosiernie. Kiedyś byłoby jej z tego powodu wstyd. Teraz nie miała na to siły.

– Zaczynaj, kacie – rzekł przewodniczący, który chyba jako jedyny nie chciał tu być.

– Szukamy znamion? – spytał potężnych rozmiarów mężczyzna z twarzą osiłka, który od lat pełnił funkcję miejskiego kata.

– Tak! – krzyknął jeden z ławników – Koniecznie!

Kat wprawnym ruchem zerwał z Hanny całe odzienie. Nie miała siły, by zasłonić się rękoma. Nie czuła wstydu. Mężczyzna wprawnymi ruchami przywiązał ją do drewnianej konstrukcji z szeroko rozchylonymi nogami. Teraz powrócił wstyd. Tylu mężczyzn wpatrujących się w jej kobiecość, uśmiechających się i śliniących.

– Golimy? – spytał kat.

Gorliwy ławnik wskazał ręką pochodnię. Nie chciał tracić czasu. Kat chwycił ją do ręki i przyłożył do łona kobiety. Ta nieludzko wrzasnęła. Włosy spaliły się od pło-

mienia. To samo uczynił z jej pachami. Kobięce wrzaski nie przeszkadzały biesiadującym. Przewodniczący patrzył na to z przerażeniem. Przez następnych kilkanaście minut kat dokładnie oglądał nagie ciało kobiety szukając znamion, które uważano za diabelskie znaki. Znalazł tylko kilka pieprzyków, które boleśnie nakłuwał igłą. Gdy Hanna wrzasnęła z bólu, dawał spokój. Przecież każdy wie, że czarownice mają znamiona, które nakłuwane nie bolą.

– Nic nie ma – powiedział głośno kat do przewodniczącego.

Ten podszedł do nagiej Hanny.

– Kobięto, przyznaj się – powiedział do niej – Unikniesz najgorszego.

Hanna nie odpowiedziała. Nawet na niego nie spojrzała.

– Podnieś ją! – krzyczał ławnik – Niech wisi!

Kat reagując na polecenie odwiązał kobietę od stelaża. Liną związał jej ręce z tyłu, a pod ramionami przeciągnął kolejną linę, za którą podniósł ciało Hanny do góry. Kobięta tracąc oparcie pod stopami bezwiednie wisiała, nie wykonując nawet żadnych gwałtownych ruchów. Ból musiał być niesamowity. Ciężar ciała chciał jej wyrwać ramiona ze stawów. Kat zaczął okręcać jej ciało wokół zwisającej liny, powodując jeszcze większy ból. Hanna wrzeszczała. Ławnicy i inne osoby podniosły ton głosu, by mogli ze sobą rozmawiać. Przewodniczący był przerażony. Jeden z ławników wstał od stołu i chwiejnym, nieco podchmielonym krokiem podszedł do szamocącej się w powietrzu kobiety.

– Wiesz, na czyje to życzenie? – powiedział – To hrabia... To hrabia kazał ci to zrobić...

Hanna nie odpowiedziała. Starła się nie krzyczeć. Nie wytrzymała, gdy podszedł do niej kat i silnym ruchem pociągnął ją w dół. Ramiona wyskoczyły ze stawów. Kobięta wrzeszczała wniebogłosy. Kat podniósł ją z ziemi i posadził na drewnianym, oślizłym fotelu. Hanna nadal wrzeszczała.

– Podziękuj hrabiemu, kurwo – mamrotał pijany ławnik – To on zapłacił za tortury, przesłuchanie i naszą ucztę. Taki hojny dla ciebie...

– Przestań! Usiądź! Daj jej spokój! – krzyknął do niego przewodniczący.

Ławnik popatrzył na niego gniewnym wzrokiem, ale po chwili posłusznie usiadł. Znał swoje miejsce w miejskiej hierarchii. W tym czasie kat przywiązał jedną rękę Hanny do poręczy krzesła. Następnie wziął do rąk dwie stalowe płytki, które zaciśnął na kciuku Hanny. Odpowiednią śrubą zaczął je ścisnąć. Płytki miażdżyły palec kobiety. Trysnęła krew, która opryskała biesiadników. Ci, mocno zaskoczeni umilkli. Ławnik, który przed chwilą tak ubliżał kobiecie, widząc plamy świeżej krwi na swojej koszuli, zwymiotował. Bohater... – pomyślał przewodniczący patrząc na ocierającego usta ławnika – Chryste, to trzeba skończyć...

Przewodniczący podszedł do Hanny.

- Kobieto, przyznaj się! Unikniesz bólu! Mów! - krzyczał do niej.

Kat młotkiem uderzył w jedną ze stalowych płytek. Hanna wrzasnęła niehumanicznym głosem. Krew znowu bluznęła dookoła.

- Przyznaj się! - krzyczał przewodniczący.

Kat ponownie uderzył młotkiem. Wrzask Hanny rozdzierał umysł i serce.

- Przestań! - krzyknął do kata przewodniczący - Daj jej chwilę!

Głowa Hanny opadła nisko. Ciężko oddychała. Jej kciuk przypominał krwawą miazgę. Nie patrzyła na niego. Cieszyła się chwilą spokoju. Widzowie tego przerażającego widowiska w milczeniu spoglądali na jej twarz.

Trzeba ją załamać - pomyślał przewodniczący - Inaczej umrze podczas tortur.

- Pokaż jej hiszpańskie buty - powiedział do kata.

Ten podszedł do drewnianego regału stojącego w kącie pomieszczenia i chwycił do ręki stalowe nagolenniki nazywane „hiszpańskimi butami”, których używano do ściskania i miażdżenia fragmentu nogi. Hanna nie patrzyła. Jej głowa cały czas bezwiednie zwisała ku dołowi. Kat chwycił ją za włosy i podniósł głowę do góry, pokazując jej kolejne narzędzie tortur.

- To cię czeka... - powiedział do niej przewodniczący - Przyznaj się!

Kurowa z przerażeniem spoglądała na „hiszpańskie buty”. Szepcąc coś pod nosem starała się odsunąć, uciec. Przywiązana do krzesła nie była w stanie tego zrobić. Szarpała się i szamotała. Kat zaczął przymierzać się do nałożenia jednego z „hiszpańskich butów”.

- Przyznaję się! - wrzasnęła Hanna.

Przewodniczący podniósł rękę do góry przerywając działania kata.

- Co mówisz? - spytał.

- Przyznaję się... - powiedziała ciszej.

- Do czego?

- Do wszystkiego! - krzyknęła Hanna. Nagle spojrzała prosto na przewodniczącego.

- Powiedz mi - powiedziała z niezwykłą siłą w głosie - Jeśli się przyznam, zanim mnie spalą, zostaną ścięta? Obiecujesz?

Tyle chyba mogę dla niej zrobić - pomyślał przewodniczący.

- Tak, obiecuję...

Hanna spojrzała na pozostałych mężczyzn.

- Przyznaję się do bycia wiedźmą... do stosowania czarów... do kontaktów cielesnych z Diablem... do udziału w sabatach czarownic... do psucia bydła... do ściągania nieurodzaju.. Przyznaję się do wszystkiego!

Odpowiedziała jej głucha cisza.

- Zanotuj to! - powiedział nagle przewodniczący do urzędnika, który zajmował się sporządzaniem dokumentów - Pisz wszystko!

Pisarz wszystko dokładnie notował. Przewodniczący zadał Hannie kilka dodatkowych pytań, w których ustalał szczegóły jej diabelskiej działalności. Kurowa odpowiedziała na wszystkie pytania, czasami nadzwyczaj szczegółowo. Wszystko zanotowano.

- Przesłuchanie skończone - zarządził przewodniczący - Odprowadźcie oskarżoną do celi.

Strażnik podniósł z drewnianego fotela prawie omdlałą Hannę i poprowadził w kierunku więzienia.

Dobrze, że się przyznała - pomyślał przewodniczący.

- Dziękuję wam, panowie, za obecność na przesłuchaniu - powiedział głośno - Widzimy się jutro na sali rozpraw. Dziękuję...

Żeby wam to w gardle stanęło i nie dało zasnąć...- pomyślał.

Gdy wszyscy wyszli, przewodniczący rzucił jeszcze okiem na drewniany fotel, na którym przed chwilą siedziała Hanna. Potem wyszedł. W pomieszczeniu pozostał tylko niepokieszony kat, który spodziewał się dłuższego i bardziej spektakularnego zajęcia. Szkoda, że już się przyznała. Tym bardziej, że męskość kata już dawno zbudziła się do życia...



Ilustracja 24 - Kurowa podczas przesłuchania.

Tortury traktowano jako „*regina probationis*” czyli „królową dowodu”. Skazani byli trzymeni w ciemnych, wilgotnych pomieszczeniach, często przykuci do ściany

bądź w dybach. Kobiety podejrzane o czary trzymano związane w beczkach (nie miały mieć kontaktu z ziemią, by nie mieć kontaktu z Szatanem). Bardzo często golono je na łyso. Podczas przesłuchania zazwyczaj obecny był cały skład sędziowski (najczęściej pijany). Podczas rozmowy oskarżona miała być odwrócona tyłem do składu sędziowskiego, by nie czarować jego członków. Następnie grożono jej torturami i pokazywano narzędzia tortur. Gdy to nie pomogło, przystępowano do tortur. Ich pierwszy etap to rozciąganie za pomocą specjalnych bloków. Kolejny etap to przypalanie ciała, potem tzw. „hiszpańskie buty” lub ześrubowanie palców u rąk, sznurowanie ramion czy tortura wodna polegająca na wlewaniu do ust dużych ilości wody. W Niemczech stosowano również tzw. krzesła czarownic, podgrzewane od dołu ogniem. Tortury miały trwać jedną godzinę w ciągu jednego dnia. Zgodnie z prawem niemieckim mogły być jednak zastosowane tylko trzykrotnie. Oskarżone czasami przebierano w specjalne suknie, w których znajdowały się symbole uznane za święte (łańcuszki, medaliony, różańce). Podczas procesów oskarżone wskazywały również na inne kobiety – takie nazywano „czarownicami powołanymi”. One też często były palone na stosach. Kobiety skazane na śmierć czasami zaszywano w skórzanych workach i topiono. Kara spalenia na stosie był zarezerwowana dla najcięższych przestępców. Kobiety, które przyznały się do winy, przed spaleniem mogły być ścięte mieczem lub uduszone. Czasami przed spaleniem wbijano je na pal. Jeśli jakaś oskarżona wytrzymała tortury i nie przyznała się do winy, zalecano jej banicję. Znacznie łagodniej traktowano młode dziewczyny. Nie wolno było torturować dzieci oraz kobiet w ciąży. Obawiano się, aby uwięziona i torturowana osoba nie popełniła samobójstwa, gdyż mogło to oznaczać problemy dla składu sędziowskiego. Zeznania uzyskane podczas tortur nie były wystarczającym dowodem. Oskarżona musiała je „dobrowolnie” potwierdzić poza salą tortur w ciągu następnych 24 godzin. Jeżeli odwołano zeznania, wracano do tortur. Sędziowie wierzyli, że zastosowanie tortur jest słuszne, a uzyskane w ten sposób zeznania prawdziwe. Wychodzono z przekonania, że Bóg ochroni niewinnych.

Hanna Kurowa, poddana torturom, wycieńczona i złamana psychicznie, stała ledwie trzymając się na nogach. Nie miała siły, by spoglądać na twarz przewodniczącego oraz ławników miejskich. Zresztą, po co? Nie miała złudzeń jaki przeznaczono jej los.

– Po ponownym rozpatrzeniu sprawy Hanny Kurowej, co miało miejsce na życzenie hrabiego, jak również po jej przyznaniu się do winy – mówił głośno przewodniczący – sąd orzekł o winie oskarżonej. Została uznana za wiedźmę. Sama przyznała się do uprawiania zakazanych czarów! Zgodnie z prawem powinna zostać spalona na stosie. Czy oskarżona potwierdza swoje zeznania?

Kurowa spojrzała na niego wzrokiem pełnym bólu.

– Tak, potwierdzam... – powiedziała.

Wszystkie osoby słuchające sentencji wyroku wstrzymały oddech.

– Hrabia Gabriel Henckel von Donnersmarck, kierując się miłosierdziem, w imieniu swojego ojca Łazarza II podjął decyzję, aby wyrok spalenia na stosie zmienić na „wyświęcenie”. Wykonanie wyroku nastąpi natychmiast! – dokończył przewodniczący. Usiadł na krześle, by po chwili podnieść się z niego i ruszyć w stronę wyjścia. Za nim ruszyli pozostali członkowie sądu wójtowskiego. Widać było jednak, że przewodniczący starał się ukryć wyraz zakłopotania na twarzy. To samo niektórzy z ławników. Wyrok był taki, a nie inny. Zgodnie z baronowskim życzeniem. Najbardziej zaskoczona była Hanna, która spodziewała się zupełnie czegoś innego.



Ilustracja 25 – Wygnanie Kurowej.

Przez Bramę Krakowską wyprowadzono ją poza mury miasta. Tam, w rejonie stawu Klukowiec została wypędzona za pomocą mioteł, co właściwie sprowadzało się do bicia, plucia, kopania i obrażania Kurowej. Przez wszystkich. Przez mężczyzn, kobiety, a nawet przez dzieci. Pleban WNMP Kacper Zygmunt Kossubius nie mógł nic zrobić. Hanna wytrzymała to wszystko z pokorą i godnością. Ruszyła pełną ścieżką w kierunku Szarleja. Po chwili zauważyła, że na wielkim kamieniu, który przez rol-

ników został zepchnięty na skraj pola, siedzi mężczyzna. Po jego stroju widać było, że jest wędrowcem. Siedział z głową spuszczoną w dół. Kurowa nie widziała jego twarzy. Wystraszyła się go. Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby na nią czekał.

- Czego chcesz? - powiedziała - Nie wolno ci ze mną rozmawiać. Nie wolno mieć kontaktu. Czego chcesz? Masz mnie zabić?

Mężczyzna nie odpowiedział. Kurowa bała się ruszyć dalej w jego kierunku.

- Proszę cię, przepuść mnie.

Mężczyzna obudził się z letargu i wolno obrócił w jej stronę twarz. Hanna zobaczyła jego oczy. Hipnotyzujące swoim głębokim błękitem. Już się go nie bała.

- Chcesz zemsty? - spytał.

- Tak - odpowiedziała bez wahania kobieta - Niczego innego nie pragnę...

Mężczyzna uśmiechnął się do niej lekko i spokojnym ruchem podniósł z kamienia, na którym siedział. Ręką wskazał kierunek, w którym wspólnie mieli się udać. Tak też zrobili...



Ilustracja 26 - Mężczyzna siedzący na kamieniu.

1666

Zakonnik skończył swoje opowiadanie o sprawie Kurowej. Józef cały czas słuchał w skupieniu każdego słowa.

- Dlaczego baron to zrobił?

Zakonnik spojrzał na niego.

- Wykorzystał tragedię tej kobiety do własnych, osobistych celów. Poświęcił ją. Dokładnie tak samo, jak wcześniej stało się to w przypadku Sydonii von Borck...

- Przecież to grzech. Skłamał - powiedział Józef.

- Cel uświęca środki. Hrabowie zło zwalczają złem. Czasami jeszcze większym - powiedział zakonnik, choć na jego twarzy widać było głębokie zamyślenie - Dochodzi do tego, że granica zła robi się bardzo płynna. W pewnym momencie już nie wiadomo, co jest dobre, a co złe. Cel przestaje uświęcać środki...

- Tak, masz rację - odparł Józef i również pogрузzył się w swoich myślach.

Na dworze słońce pieściło gałązki drzew i jaskrawozielone liście, zapowiadające urodzaj. Kwiaty jabłoni zaczęły rozkwitać. Zakonnik krzątał się od drzewa do drzewa, a Józef starał się mu pomóc w codziennych czynnościach.

- Powiedz mi - zwrócił się do niego Józef - Jaki oni mają cel?

- Własne dobro. Nic więcej - odparł zakonnik - Religia niewielkie ma tu znaczenie. Teraz są Lutrami. Jak trzeba będzie, staną się katolikami, a jak zajdzie taka potrzeba, przejdą na islam. To rzecz wtórna. Jeśli będzie to konieczne, dla najważniejszego celu poświęcą wszystkich i wszystko.

- A my? - spytał nieco naiwnie Józef.

- Jacy my? - zakonnik roześmiał się głośno - My dla nich nie istniejemy. Jesteśmy tylko tłem. Narzędziem. Wytrychem. Popatrz sam...

Józef skupił wzrok na twarzy zakonnika.

- W 1630 r. w okolicy wybuchła zaraza, która była nieodłącznym skutkiem wojny. W tym samym roku hrabia Elias zabronił bytomskiemu magistratowi udzielania w mieście schronienia Żydom. Tłumaczył, że Żydzi mają wpływ na rozwój epidemii.

- Przecież to głupie... - powiedział Józef.

- Dla hrabiego nie - odparł mnich - Nastąpił szybki proces rekatolizacji mieszkańców miasta. Mieszkańcy Bytomia byli z tego faktu mocno niezadowoleni. Wszelkie nieszczęścia przypisywali Donnersmarckom, a właściwie ich chwiejnej polityce. W 1639 r. hrabia Jerzy Fryderyk upomniął burmistrza Bytomia⁷⁸, by mieszczenie nie

⁷⁸ Był nim wtedy Jan Koskius.

wyrzucali śmieci na ulice i rynek. Prawdopodobnie w okolicy szalała kolejna epidemia. Bytomskim wójtem był wtedy Mateusz Chmiel. Ponownie wszyscy szukali winnych, ale Hencklowie próbowali zrzucić winę na Żydów...

- Dlaczego?

- Bo Żydzi swoimi interesami psuli interesy hrabiego. Dlatego... - powiedział spokojnym głosem mnich - Chcieli się ich pozbyć. Potrzebowali kolejnego wstrząsu, by skupić ludzi wokół siebie. W 1640 r. odbył się proces Maruszy Kijowej, podejrzanej o czary. Spadło to hrabiom jak prezent z nieba...

1640 – sprawa Maruszy

„Z wielkim zdumieniem usłyszeliśmy, że mieszczenie dopuszczają się poważnych wybryków i nawet osoby spośród członków rady uprawiają bezwstydnie nierząd. W żadnym przypadku nie wolno Wam przyzwalać na takie zachowania, lecz raczej karać wszystkie przewinienia bez względu na osoby, abyście sami nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności, czemu jako mniemam zapobiegiecie”

z listu hrabiów Gabriela i Eliasza Henckel von Donnersmarck
z dnia 16 grudnia 1637 r.

– Tak, panie. Jestem pewien. To wiedźma – mówił Grzegorz Oparka, kierując swoje słowa do wójta – Zajmuje się czarami, gusłami i omywaniem⁷⁹.

Sąd wójtowski odbywał się w bytomskim ratuszu. Ławnicy uważnie przysłuchiwali się słowom świadka.

– Skąd ta pewność, Grzegorzu? – spytał wójt, pełniący funkcję przewodniczącego.

– Panie, ja to wiem. Widziałem, jak ona będąc u pana Cellarego jadła psa... – powiedział Oparka nachylając się w stronę wójta i okropnie plując przez spore szpary w zębach.

– Co?

– Jak Boga kocham, panie. Jadła psa – potwierdził swoje słowa Oparka kiwając znacząco głową.

Wójt spojrzał na niego.

– Grzegorzu... – zaczął po chwili – Czy ty czasem nie wpadłeś w konflikt z Wojciechem Kijem, swoim sąsiadem?

Oparka cofnął się o krok.

– Tak, panie, to prawda – odparł.

– O co chodziło? – spyta łwójt.

– Nooo... – zwlekał z odpowiedzią Oparka – Postawiłem płot pomiędzy naszymi ojcowiznami. Wojciech twierdził, że płot stanął na jego ziemi.

– A stanął?

– A gdzie tam, panie. Kłamał, psia jego mać...

– Grzegorzu – pytał dalej wójt – Pomiedzy wami wywiązała się kłótnia. To prawda?

– Tak, panie. Ta gnida zaczął krzyczeć i machać łapami.

⁷⁹ Z języka staropolskiego „omywanie” to inaczej „oczyszczanie”.

- Tak, to potwierdzili świadkowie - odparł wójt - Jak nazwaliście żonę Wojciecha Kija?

Chłop zamilkł. Widać było, że zastanawia się, co odpowiedzieć.

- No, panie. On mnie sprowokował... To w nerwach było...

- Jak nazwaliście? - nie dawał za wygraną wójt.

- Noooo, panie, powiedziałem, że to wiedźma...

- Tylko tyle?

Chłop otarł rękawem nos.

- Nieee, panie. Rzekłem, że jego kobieta to kurwa...



Ilustracja 27 - Marusza przed sądem.

Wójt spojrzał na niego.

- Grzegorz - spytał - Czy ty wiesz, kogo nazywa się kurwą?

- Tak, panie. Wiem.

- Czy masz dowody na to, że Marusza Kijowa handluje swoim ciałem?

Chłop głośno przełknął ślinę.

- Nie, panie. Nie mam.

Wójt wstał z krzesła.

- Wiesz, że Marusza i jej mąż wniesli przeciwko tobie pozew o zniesławienie?

Mężczyzna był już nieźle przerażony.

- Nie. Nic o tym nie wiem... - odparł.

- Po rozpatrzeniu sprawy podjąłem decyzję. Grzegorz Oparka, zostajesz skazany na grzywnę i pracę za składanie fałszywych zeznań i zniesławienie Wojciecha i Maruszy Kijowej oraz naruszenie ich własności i spokoju! Odejść.

Grzegorza ze strachu sparaliżowało. Nie ruszył się nawet o centymetr.

- Słyszysz mnie? - spytał wójt - Kara grzywny i nakaz pracy na rzecz miasta!

Oparka upadł na kolana i wznosił dłonie ku niebu, wypowiadając pod nosem słowa jakieś modlitwy.

- Nie trzeba było składać fałszywych zeznań - powiedział wójt patrząc na zachowanie Grzegorza - Jak trwoga, to do Boga...

W tym samym roku papież Urban VIII określił niemieckich, niezwykle gorliwych łowców czarownic mianem „*zelanti*” („zagorzałych fanatyków”). Fanatyzm w każdej formie był i jest niebezpieczny...

1666

- Wójt ją uniewinnił? – spytał Józef patrząc na zakonnika.

- Tak.

- Dlaczego?

Zakonnik z prawdziwą miłością w gestach gładził konar jabłoni.

- Trwała wojna, zbliżała się szwedzka nawałnica, a ród hrabiowski był świeżo po nadaniu zaszczytów – odparł.

- Co z tym Grzegorzem⁸⁰, który oskarżył Maruszę Kijową? – Józef z podziwem przypatrywał się gestom zakonnika.

- Rozpił się. Stoczył się na dno. Łaził po okolicy i żebrał. Bajdurzył o jakimś mężczyźnie o błękitnych oczach, który spotykał się z Maruszą Kijową i spiskowali przeciwko niemu. Nikt go nie rozumiał. Potem się stracił. Pewnie gdzieś zmarł, w jakimś dole...

- Rozumiem – powiedział Józef – Jak na to zareagowali ludzie?

- W mieście działo się coraz gorzej – odparł zakonnik – W tym samym roku miejscowy snycerz zaskarżył przed sądem wójtowskim stolarza Jana Frankowicza, który pobił w karczmie i zniesławił jego czeladnika Wojciecha Zaborowskiego, pomawiając go o partactwo i nielegalne uprawianie zawodu.

- To była prawda?

- Nie. W ludzi wstąpiła jakaś dziwna agresja. Zło i hrabiowska pycha panoszyły się na ulicach. W 1640 r. hrabia rozkazał przywiązać do kuny⁸¹ bytomskiego zagrodnika, który pobił wysłannika hrabiego żądającego od niego narąbania drewna na opał świerkłanieckiego zamku.

- Przecież nie miał takiego obowiązku – odparł Józef – No chyba, że za konkretne pieniądze...

- No właśnie. W 1642 r. przed sąd trafiła sprawa przeciwko Wacławowi Koska i jego pijanym kompanom, którzy w gospodzie zażądali wydania piwa, a gdy to nie nastąpiło, wyłamali drzwi i pobili znajdującą się tam kobietę. Szerzyło się cudzołóstwo...

- Pamiętam to. Masz rację, nie działo się dobrze... – powiedział Józef.

- W 1642 r. świadkowie zeznali przed sądem, że w piwnicy Adama Koski natknęli się na córkę właściciela, która w ciemnościach przebywała z Grzegorzem Kozłową-

⁸⁰ Być może jest to ten sam Grzegorz Oparka, którego Franz Gramer wspomina w swoje kronice jako radcę miejskiego, aresztowanego przez Dohnę za zarzut współpracy z wojskami protestanckimi.

⁸¹ Dawna nazwa miejskiego pręgierza, który przez lata stał na bytomskim rynku.

skim. Matka oskarżyła Kozłowskiego o zniesławienie i uwodzenie jej córki oraz zażądała odszkodowania – mówił dalej zakonnik.

– No tak, tylko ona naprawdę się za nim uganiała. Całe miasto o tym mówiło... – odpowiedział Józef.

– Do tego te problemy z wojną... – kontynuował zakonnik – W 1641 r. burmistrz Jakub Koskius⁸² był zmuszony płacić kontrybucję na rzecz wojska.

– Pamiętam – powiedział Józef – Stali wtedy żołdacy pod Bytomiem i grabili. A potem...

– Tak – przerwał mu zakonnik – Potem przyszli Szwedzi... Lennart Torstensson⁸³... Dumny szwedzki paw, który odniósł wielkie zwycięstwo⁸⁴. Niesiony na lektyce jak rzymski cesarz⁸⁵.

– Pamiętam szwedzkich żołnierzy – westchnął Józef – To jakby wczoraj...

– Weszli do miasta w dniu 7 października 1643 r. – mówił zakonnik – Ponownie zrabowali kościół i klasztor minorytów. Cesarski komendant miasta⁸⁶ wraz ze swoją rodziną został aresztowany i przewieziony do Opolą, a bytomskiego starostę ziemskiego⁸⁷ zastrzelono. Cesarski poborca celi Jan Gniastko w koszuli uciekał z miasta. Na Rozbarku powieszono kilku chłopów, którzy nie chcieli oddać Szwedom żywności. Dopuszczono się gwałtów na bardzo wielu kobietach. Szwedzi chcieli nawet spalić miasto... Wcześniej zażądali kontrybucji⁸⁸. Długo tu byli...⁸⁹

– Tak, ludzie bali się wychodzić z domów – powiedział Józef – Mówiono, że Szarlej chodził pod pachę ze szwedzkimi żołnierzami.

– W końcu odeszli – mówił mnich – Wtedy zakonnicy ponownie przystąpili do odbudowy kościoła i klasztoru. Okazało się, że w kościele trzymano konie. Tak Szwedzi szanowali naszą religię. Piszczalki nowych organów przetopiono na kule, a duży, średniowieczny krzyż nosił ślady wielu postrzałów. Tak po prostu – strzelali do niego. Do świętego krzyża...

⁸² W swojej kronice Franz Gramer podaje, że hrabia Gabriel odkupił od cesarskiego poborcy celi Jana Gniastko folwark, który ten wcześniej odkupił od burmistrza Jakuba Koskiusa. Hrabia urządził w zabudowaniach folwarku gospodę, którą przekazał w użytkowanie znajomemu Żydowi. Ów folwark znajdował się już za Bramą Pyskowiacką, czyli poza murami miasta. Funkcjonowanie tej gospody było powodem ciągłych konfliktów z mieszkańcami miasta.

⁸³ Żył w latach 1603-1651.

⁸⁴ Torstensson jako naczelną dowódcę armii szwedzkiej w 1642 r. w bitwie pod Breitenfeld o mało co nie rozbił całkowicie cesarskiej armii Habsburgów.

⁸⁵ Torstensson był niesiony na lektyce ze względu na swoją ciężką chorobę. Miał problemy z nogami. Był doskonałym dowódcą artylerii, znakomitym inżynierem wojskowym, a także bardzo dobrym strategiem słynącym z szybkości działania.

⁸⁶ Był nim baron Zerotin.

⁸⁷ Prawdopodobnie był to B. Ohm. Burmistrzem Bytomia w latach 1642-1648 był Martin Scholz.

⁸⁸ W piśmie z dnia 9 czerwca 1642 r. szwedzki kapitan Jakub Richter informował bytomską radę miejską, że Bytom i przynależne doń dobra zostały podporządkowane generałowi-majorowi Wranglowi, któremu należało przekazać kontrybucję.

⁸⁹ Franz Gramer w swojej kronice podaje, że Szwedzi nauczyli wtedy mieszkańców Bytomia gry w karty, która dotąd nie była znana (tzw. *Landsknecht*). Poza tym pojawił się zwyczaj palenia tytoniu, picia wódki oraz piwa zamiast miodu.



Ilustracja 28 – Przemarsz wojsk.

– Pamiętam, ile budynków zniszczyli – odparł Józef – Mówiono, że 180. Tylko w 60 dało się mieszkać. Resztę trzeba było odbudować. Niektórzy jeszcze do dzisiaj to robią...

– Tak – powiedział zakonnik – Józefie, pamiętasz wtedy naszych hrabiów? Józef zamyślił się przez chwilę.

– Nie – odparł – Jakby zapadli się pod ziemię.

– No właśnie – kontynuował zakonnik – Nie było ich. Przecież nadal byli protestantami. Nie powinni obawiać się protestanckiej armii... A jednak zniknęli jak kamfora... A przecież hrabia Łazarz II właściwie stracił cały majątek...

Obydwaj mężczyźni pogрузyli się we własnych myślach.

– No i wtedy wyszła sprawa Niwkowej... – przerwał ciszę zakonnik.

– Tak, pamiętam... – odparł cicho Józef.

1645 – sprawa Niwkowej

„O białych głowach zaś, których szatan żądzami, rozkoszami cielesnymi do siebie pociąga, przykładów jest barzo wiele. W czym osobliwie wiedzieć to potrzeba, iż jako szatan więcej pragnie i stara się kusić dobrych, aniżeli złych – tak też wszelkie panienki i dziewczeczki świętobliwsze bardziej zwieść usiłuje (...)”

„Młot na czarownice. Postępek zwierchowyny o czarach (...)”, 1487

Tym razem cała historia rozpoczęła się w lutym 1645 r. w Tarnowskich Górach. Adam Brusiek wniósł do tamtejszego sądu oskarżenie przeciwko własnej żonie, Annie Bruśkowej, którą posądził o cudzołóstwo.

– Czy jesteście tego pewien? – spytał Adama wójt Tarnowskich Gór, który wyprostowany stał przed sędziowskim stołem.

– Tak, panie. Całkowicie – odparł zapytany. Na jego twarzy widać było determinację.

– Skąd ta pewność?

– Bo wiem, kto jest jej kochankiem.

– Kto?

– Marcin Niwko.

Wójt wskazał osobie zapisującej przebieg przesłuchania konieczność zapisania podanego nazwiska.

– Czy widzieliście moment cudzołóstwa?

– Tak, panie – odparł Adam.

– Dobrze – powiedział wójt – Przyjmujemy oskarżenie. Wkrótce wezwiemy świadków.

Kilka dni później przed sądem stanął wezwany Niwko.

– Czy to prawda, że cudzołożyliście z małżonką Adama Brusieka, Anną? – spytał wójt.

– Nie, panie. To nieprawda – odparł Marcin.

– Ale znacie ją?

– Tak, znam.

– Jej mąż twierdzi, że widział was w trakcie aktu cudzołóstwa.

– Wiem, panie. Rozповіда to wszystkim dookoła. To jednak nieprawda...

– W takim razie dlaczego tak twierdzi? – spytał wójt.

Zapytany rozejrzał się dookoła. Wyglądał na zakłopotanego, ale pewnego swoich słów.

– Bo on sam cudzołoży. Wszyscy o tym mówią. Kiedy Anna to odkryła, obciążył ją oskarżeniem, żeby ratować własną skórę.

– No dobrze. Tylko dlaczego wskazał was?

– Bo nie mógł przeboleć, że Anna mi się zwierza. Był zazdrosny.

– Skąd wiedział, że ona wam się zwierza?

– Sama mu to powiedziała, panie – Niwko nie stracił pewności – Kiedy się kłócili, Anna powiedziała mężowi, że jest obleśnym wieprzem i kłamcą, którego Bóg osądzi. Byłem świadkiem tej sceny. On był bardzo zły, że to widzę. Spytał ją, czy wprowadza mnie we wszystkie tajemnice ich małżeństwa, a ona odparła, że jestem jej przyjacielem i wiem o wszystkim.



Ilustracja 29 – Niwkowa przed sądem.

Tego samego dnia sąd przesłuchał również Annę Brusiek.

– Wasz mąż oskarżył was o cudzołóstwo – powiedział wójt kierując swoje słowa w stronę młodej kobiety o łagodnych rysach twarzy.

– Wiem, panie – odparła Anna. Kobieta stała dumnie wyprostowana.

– Czy to prawda?

– W żadnym razie, panie.

– Zeznajecie przed Bogiem... – dodał wójt.

– Zdaję sobie z tego sprawę i nie boję się mówić prawdy – odparła stanowczo kobieta – Bóg mnie osądzi.

– Mąż podał imię waszego kochanka. Marcin.

– To też wiem, panie.

– Zaprzeczacie, że Marcin jest waszym kochankiem?

– Tak, panie.

– Kim on dla was jest? – spytał wójt.

Kobieta pewnym siebie wzrokiem spojrzała na wójta.

– To mój zaufany przyjaciel. Jego żona była moją kuzynką. Znamy się od lat. Niestety, Bóg zabrał moją kuzynkę z tego świata. Marcin wychowuje ich wspólne dzieci – powiedziała.

– Dlaczego wasz mąż tak twierdzi?

– Bo to obleśny wieprz, który nie przepuści żadnej niewieście – odparła Anna.

– Skoro tak twierdzicie, to znacie kobiety, które z nim cudzołożyły?

– Tak, panie, znam.

– Podajcie nam, kto to był – powiedział wójt.

Anna podała kilka nazwisk kobiet, które według niej obcowały z Adamem Brusiekiem. Sądowy protokolant wszystkie skrzętnie zanotował.

Dwa dni później sąd ponownie wezwał na przesłuchanie Adama. Przedstawiono mu nazwiska niewiast, które podała Anna. Mężczyzna wszystkiego się wyparł. Podał nazwiska innych, którzy rzekomo spotykali się z jego małżonką. Gdy wójt zapytał go, dlaczego nie podał ich wcześniej stwierdził, że zapomniał. Żenująca sądowa batalia trwała kilka dni. W pewnym momencie w sprawie wypłynęło nazwisko mieszkanki Bytomia Doroty Niwkowej⁹⁰. To spowodowało, że w tej samej sprawie bytomski sąd wójtowski rozpoczął przesłuchanie świadków.

– Jak się nazywacie? – spytał bytomski wójt rośłego mężczyznę w średnim wieku, który wyprostowany stał przed sędziowskim stołem w bytomskim ratuszu.

– Jerzy Giermek, panie – odparł zapytany.

– Zostaliście wezwani jako świadek – wyjaśnił mu wójt – Sąd was przesłucha. Pamiętajcie, że wasze zeznania są składane przez sądem i przed Bogiem.

– Tak, panie – Jerzy ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Jesteście rzeźnikiem?

Giermek skinął twierdząco głową.

– Odpowiedzcie – powiedział wójt.

⁹⁰ Zbieżność nazwiska z postacią Marcina Niwko raczej przypadkowa. W trakcie tego procesu osoba Doroty Niwkowej wypłynęła jakby niechcący – prawdopodobnie jako domniemanej kochanki Adama Brusieka.

- Tak, panie. Jestem rzeźnikiem i członkiem cechu.
- W tamtych czasach członkowie cechu cieszyli się znaczącym poważaniem.
- Macie żonę?
- Nie. Jestem wdowcem. Bóg ją zabrał do siebie.
- Czy znacie Dorotę Niwkową?
- Tak.
- Skąd?
- Po śmierci mojej małżonki odwiedzałem ją. Myślałem, że uda mi się ją poślubić.
- Czy Niwkowa ma męża? - spytał wójt.
- Nie, panie, to wdowa.
- Długo ją odwiedzaliście?
- Trzy lata, panie.
- Czy łączyły was stosunki cielesne?
- Jerzy z zakłopotaniem opuścił głowę.
- Tak, panie... - odpowiedział.
- Wójt znacząco spojrzał na ławników, którzy zasiadali przy sędziowskim stole.
- Doszły nas słuchy - powiedział - że Niwkowa obdarowała was wieniec.
- Wiem, że tak się mówi, panie.
- Czy to prawda?
- Nie.
- Czy wiecie, czemu taki wieniec ma służyć? - spytał wójt.
- Wiem od plotkarek, które umiały takie wieńce pleść, że ten, kto go od niewiasty dostanie, potem do niej stale przybiega.
- Czyli to rodzaj czarów? - spytał wójt.
- Plotkarki mówiły, że tak - odparł Jerzy.
- Spytam jeszcze raz. Dostaliście od Niwkowej taki wieniec?
- Nie, panie...
- Jak myślicie, dlaczego ludzie źle mówią o takim wieńcu?
- Panie, ja się nie znam na czarach. Ja wiem, że ona darzy mnie uczuciem. Nic więcej.
- Nie zwracaliście uwagę na to, co mówią inni?
- Jerzy z zakłopotaniem splótł ręce.
- Panie, ludzie którzy plotkują zazwyczaj robią to w karczmach, gdzie piją ponad miarę. Nie słucham takich ludzi. Nie odwiedzam karczmy.
- Wójt spojrzał na Giermka przenikliwym wzrokiem.
- Powiedźcie, darzycie Niwkową głębokim uczuciem?
- Tak, panie - odparł Jerzy z wielką stanowczością w głosie.
- Sąd wie, że wasze zaloty miały miejsce wiele lat temu. Dlaczego jej nie poślubiliście?
- Jerzy spojrzał na wójta, a w jego wzroku dało się zauważyć autentyczny żal.

– Nie chciała mnie, panie. Odmówiła.

– To wszystko, możecie odejść – powiedział wójt. Przez chwilę ława sędziowska zatopiła się w dyskusji. Rozmawiano, żywo gestykulowano, wymieniano się opiniami i spostrzeżeniami. Tego samego dnia przesłuchano jeszcze dwóch innych świadków. Na koniec przed sądem wójtowskim stanęła sama Niwkowa. Była piękną kobietą w średnim wieku o jasnej cerze i równie jasnych włosach. Nie sprawiała wrażenia przebiegłej i kłamliwej.

– Jesteście wdową? – spytał wójt.

– Tak, panie.

– Kiedy wasz małżonek odszedł z tego świata?

– Krótko po ślubie. Zginął na wojnie.

– Od tego momentu żyjecie samotnie?

– Tak.

– Macie dzieci?

– Nie.

– Czy znacie tych mężczyzn? – spytał wójt wymieniając nazwiska, w tym również Adama Brusieka.

– Tak, panie.

– Któregoś szczególnie? – spytał wójt.

– Tak.

– Którego?

– Jerzego Giermka – odparła zapytana.

– Dlaczego? – wójt chciał poznać całą prawdę.

– Długo mnie odwiedzał. Chciał mnie poślubić. Po czasie doszłam do wniosku, że nie wyjdę za niego.

– Dlaczego? – dopytywał wójt.

Dorota spojrzała ku górze, jakby chciała przypomnieć sobie te chwile.

– On był bardzo nachalny. Mówił tylko o ślubie i o dzieciach.

– Co w tym złego?

– Nic, panie. Tylko, że ja chyba nie mogę mieć dzieci...

Wójt spojrzał na nią zdziwiony.

– Skąd taka opinia? – spytał.

Dorota wzięła głęboki oddech.

– Kiedy jeszcze żył mój mąż, bardzo się staraliśmy. Nic z tego nie wyszło. Moja siostra też nie ma dzieci. Myślę, że to rodzinne...⁹¹

⁹¹ Dopiero pod koniec XVII w. dokładniej poznano funkcje żeńskich jajników, a także znaczenie dni płodnych i nieplodnych. Na początku XV w. powstał zawód akuszerki.

- Kochaliście Giermka? - spytał wójt.
- Tak, panie. Do pewnego czasu mocno... Później zdobyłam się na odwagę i powiedziałam mu, żeby szukał innej kobiety. Takiej, która mu urodzi dzieci.
- Czy pleciecie wieńce? - spytał wójt.
- Tak, czasami tak. Lubię to robić, panie - odparła Niwkowa.
- Wójt spojrzął po twarzach siedzących przy stole ławników.
- Dlaczego to robicie? - spytał.
- Ozdabiam nimi dom. Lubię kwiaty i ich zapach. Pięknie wyglądają...
- Czy wiecie, że wieńce mają znaczenie magiczne?
- Słyszałam plotki - powiedziała Niwkowa - że obdarowuję nimi wielu mężczyzn, by przyciągać ich do siebie. To nieprawda, panie. Wieńce są tylko dla mnie.
- Z jakiej rośliny robicie wieńce?
- Często z wierzbowych gałązek⁹², panie - doparła bez wahania Niwkowa.
- Czy podarowaliście taki wieniec Giermkowi?
- Kobieta zastanowiła się przez chwilę.
- Nie, panie. Nie przypominam sobie, żeby tak było.
- Na pewno? - spytał wójt.
- Tak, panie.
- Jak sądzicie - wtrącił się jeden z ławników - Dlaczego kilku mężczyzn, w tym Adam Brusiek, wskazali na was jako na niewiastę posługującą się czarami?
- Dorota Niwkowa spojrzała na ławnika.
- Z zazdrości, panie - odparła - Z zazdrości i złości, że nie odpowiadałam na ich zaloty. Brusiek chciał tylko jednego, a ja szanuję sama siebie.
- Giermek zeznał - kontynuował ławnik - że utrzymywała pani z nim kontakty cielesne.
- Tak, to prawda - odpowiedziała bez wahania Niwkowa.
- Jak to się ma do waszego poszanowania własnego ciała? - spytał ławnik.
- Dorota spojrzała na niego wzrokiem pełnym pewności siebie.
- Ja go kochałam, panie. Przez pewien czas sama myślałam, że zostanie moim małżonkiem. To różnica...
- Ławnik nie odpowiedział. Wójt zakończył przesłuchanie Niwkowej i sąd odbył długą naradę. Po jej zakończeniu wójt ogłosił wyrok.
- Uznajemy Dorotę Niwkową za niewinną - powiedział głośno - Oskarżenie o stosowanie przez nią czarów uznajemy za nieważne. W jej czynach nie dopatrujemy się magii, a jej postawa nie budzi zastrzeżeń sądu.

⁹² Wierzba była uważana za symbol czystości, a leszczyna za symbol rozpusty. Buk w niektórych rejonach Francji uważano za drzewo wrózek, co można było mylnie interpretować jako drzewo czarownic.

Niwkowa już nigdy nie stanęła przed sądem. Sprawa małżeństwa Brusiek toczyła się jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu została zakończona. Nie wiadomo, jakim wyrokiem. W tym samym roku bytomski sąd musiał pochylić się jeszcze nad sprawą Mikołaja Guznara, który w gospodzie należącej do Martina Posysałka w Bytomiu obrzucił obelgami Mariannę Borkowską, wymachując czekanem. Trudno powiedzieć, co wzbudziło jego gniew. Być może to, że Borkowska bez wątpienia znała Niwkową – może nawet była jej przyjaciółką.

1666

- Pamiętam Niwkową - powiedział Józef - To była piękna i porządna kobieta. Zwykła ludzka zazdrość...

- Tak, Józefie - odparł zakonnik - Czy pamiętasz, aby hrabia wniósł o ponowne przesłuchanie Niwkowej?

- Nie pamiętam.

- Bo nie wniósł. Gdyby to zrobił, sąd musiałby się na to zgodzić. Hrabia w sumie miał argument - sprawa wieńca nie została do końca wyjaśniona, a magiczna moc takich przedmiotów jest bezsporna. Tak się ogólnie sądzi...

- Dlaczego więc tego nie zrobił?

- Bo w tym momencie nie widział takiej potrzeby - odparł zakonnik - Niwkowa nie była mu potrzebna jako ofiara. Ciągłe toczyła się wojna. Hrabia chciał uspokoić ją, a nie jej krwi...

Józef nie odpowiedział. Analizował słowa zakonnika.

- Zobacz - mówił dalej zakonnik - Osiem lat później w podobnym procesie Hanny Kurowej zażądał rewizji procesu, a przecież przedmiotem podejrzeń był tylko chleb i kłokocina...

- To prawda...

- Była jednak różnica - powiedział zakonnik - Wtedy Kurowa była mu potrzebna do realizacji własnych planów. Wojna się zakończyła, a on mógł powrócić do swoich celów.

- Jakich? - spytał Józef.

- O to trzeba by zapytać samego hrabiego... - odparł ze spokojem zakonnik - Jak pamiętam, to on od razu przystąpił do działania. Wyroki bytomskiego sądu nagle mocno się zaostrzyły. W 1645 r. Anna Smarzowa została skazana na śmierć za cudzołóstwo z Błażem Herusem.

- Nie ścięli jej - powiedział Józef.

- Tak. Tylko apelacja do hrabiego uchroniła ją przed ścięciem. W tym samym roku oskarżono Mikołaja Guznara. Hrabia znowu maczał palce w tym procesie. Uczył się...

- Uczył? - spytał Józef.

- Tak, uczył się, jak można kierować procesem sądowym - odparł zakonnik - Pamiętam, że w 1650 r. przed sądem ziemskim toczył się proces przeciwko Janowi Borkowskiemu.

- Tak... - potwierdził Józef - Borkowski uprowadził za granicę i zamordował w Chrzanowie swojego krewniaka.

– Stanisława Floriana Ozorowskiego. Zrobił to powodowany chęcią zagarnięcia jego majątku.

– Skazano go na ścięcie... – powiedział cicho Józef.

– Tak. Zasłużył sobie na to. W tym samym roku hrabia wspaniałomyślnie potraktował innego przestępcę – Jana Judasza, któremu karę spalenia na stosie zamienił na karę wcześniejszego ścięcia mieczem, a dopiero później spalenia na stosie.

– Cóż za wspaniałomyślność... – mruknął Józef.

– W 1651 r. na polecenie wójta został uwięziony brat porucznika wojsk koronnych Tomasz Makowski – mówił dalej zakonnik – Powodem aresztowania było wywołanie przez niego sporej bijatyki. Narozrabiał, ale nie był przestępcą...

– Czyżby znowu hrabia? – spytał niepewnie Józef.

– Myślę, że tak. Coraz pilniej się uczył. Czerpał wiedzę od innych – odparł zakonnik – Słyszałeś o „młocie na czarownice”?

Józef spojrzał na zakonnika ze zdziwieniem.

– Nie – powiedział – Cóż to takiego?

– Nie co, tylko kto – odparł spokojnie zakonnik – Matthew Hopkins⁹³. Tak się nazywał. Był Anglikiem i synem duchownego. Zdobył prawnicze wykształcenie. Od 1644 r. zaczął tropić w Anglii czarownice. Miał wtedy 24 lata.

– Taki młody? – spytał ze zdziwieniem Józef.

– Tak. Był fanatykiem. Ogłosił siebie „generalnym łowcą czarownic”. Dobrał sobie grono czterech współpracowników. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety. W jego kraju w tym czasie toczyła się wojna domowa. Panował chaos...

– U nas też toczyła się wtedy wojna – dodał Józef.

– Tak. To mu pomogło. Skorzystał z chaosu i strachu – powiedział zakonnik – Wystarczyła zwykła plotka, żeby kobieta stanęła przed jego sądem. Trudno to zresztą nazwać sądem...

– Dlaczego?

– Wszystkie zeznania wymuszali okropnymi torturami. Jednego z nich nazywano „Szpikulcem czarownic”.

– O Boże...

– Działali przez trzy lata. Tylko przez trzy... – dodał zakonnik – W tym czasie skazali na śmierć i zamordowali ponad dwieście kobiet.

– Ile? – spytał głośno Józef.

– Dobrze słyszałeś – odparł zakonnik – Ponad dwieście. Zrobili sobie z tego źródło dochodu. Większość z nich to starsze kobiety hodujące zwierzęta domowe. Uważali, że to cecha czarownic.

⁹³ Żył w latach 1620-1647.

- Przecież to nie ma sensu – powiedział Józef.
- Dla nich miało. Potrafili zamordować dużą liczbę kobiet z jednej wsi. Nazywali to „oczyszczeniem”. Bardzo często stosowali próbę wody. Jego okrutne praktyki oburzyły duchownych. Jeden z nich zdemaskował Hopkinsa i jego sposoby zmuszania oskarżonych do przyznania się do winy. W Anglii tortury w śledztwie były i są zakazane. Powstrzymali go.
- Co się z nim stało? – spytał Józef.
- W wieku 27 lat zmarł w swoim domu na gruźlicę – odparł zakonnik – Chyba nikt nie wierzył, że to była normalna śmierć. Pochowali go w małej wiosce, prawie że w tajemnicy.
- Dlaczego mi o nim opowiadasz? – spytał Józef.
- Nie rozumiesz? Nasz hrabia musiał słyszeć o Hopkinsie i jego metodach. Wszyscy możni w Europie o nim słyszeli. W 1645 r. w Bytomiu trwała sprawa Niwkowej. Hrabia nie wiedział jeszcze, jak zareagować. To było w czasie, gdy oprawcy Hopkinsa jeszcze bezkarnie szaleli w Anglii. Dopiero potem zaczął szukać u nas czarownic... Przecież w 1653 r. odbył się proces Kurowej. Nie pozwolił tej kobiecie na sprawiedliwy proces. To dzięki niemu została uznana za czarownicę i skazana...
- Zakonnik zamilkł. Słońce chyliło się ku zachodowi, a jego promienie nabierały coraz bardziej złotego koloru. Jabłonie, oświetlone słonecznym światłem, wyglądały cudownie.
- „Młot na czarownice” nazywa się podręcznik do zwalczania czarownic, który napisano w 1487 r.⁹⁴ – szepnął zakonnik – To przerażające, że coś takiego w ogóle powstało...
- Coś takiego istnieje? – spytał zdziwiony Józef.
- Tak, istnieje... Byłeś na próbie wody Niedzieliny? – spytał zakonnik.
- Tak, razem z bratem.
- Widziałeś, co się stało?
- Józef rozejrzał się dookoła.
- Tak – powiedział cicho.
- Powiedz mi... – odparł zakonnik.

⁹⁴ „Młot na czarownice” czyli „*Malleus Maleficarum*” został po raz pierwszy wydany w 1486 r. Został napisany przez dominikańskiego inkwizytora Heinricha Krämera. Autorstwo drugiego mnicha, Jacoba Sprengera, nie jest potwierdzone. Książka była rodzajem podręcznika dla inkwizytorów. Potem powstało wiele innych dzieł traktujących o czarownicach. W 1524 r. sędzia papieski Paulus Grillandus opublikował „*Tractatus de Hereticis et Sortilegiis*”, które stało się źródłem informacji na temat sabatów czarownic. W 1595 r. lotaryński sędzia Nicolas Remy opublikował traktat „*Demonolatreiae*”, który stał się „godnym” następcą „*Młota na czarownice*”. Nieco później belgijski jezuita Martin Del Rio wydał rozprawę „*Disquisitionum Magicarum Libri Sex*”, która stała się najpopularniejszym w XVII w. traktatem o czarach. Burgundzki sędzia Henri Boguet w 1602 r. napisał traktat „*Discours des sorciers*”. W 1612 r. francuski sędzia Pierre de Lancre stworzył „*Tableau de l'inconstance des mauvais anges et demons*”, a w 1635 r. luterński sędzia z Saksonii Benedict Carpzow wydał „*Practica Rerum Criminalium*”. Wszystkie te dzieła stanowiły rodzaj podręczników dla sędziów skazujących w procesach o czary.

– Widziałem, jak przywiązali jej coś do nóg – głos Józefa był bardzo cichy – Inni wrzeszczeli i podniecali się całą sytuacją, więc nie zauważyli.

– Jesteś pewien? – spytał zakonnik.

– Tak.

– Twój brat też to widział?

– Nie. Nie mówiłem mu o tym, co widziałem.

Zakonnik ze zrozumieniem skinął głową.

– Jak myślisz, czemu hrabia to zrobił?

Józef przez dłuższą chwilę milczał.

– Potrzebował jej krwi dla własnych celów – powiedział.

– Tak – odparł zakonnik – Poświęcił ją dla własnych interesów. Rzekome zło zwalcza złem. Dawno już przekroczył granice zdrowego rozsądku. Musi spotkać go za to kara... Bóg to widzi.

– Myślisz, że coś się stanie? – spytał Józef.

– Jestem tego pewien – odparł zakonnik – Obydwoje to zobaczymy. Podobno w 1618 r. nad światem przeleciały aż trzy komety... Wiesz, co to oznacza?

– Ogrom nieszczęść...

Pomału zmierzchało.

– Pójdę już – powiedział Józef – Dziękuję za wszystko.

– Z Bogiem, przyjacielu – odparł zakonnik i podając rękę na pożegnanie szeroko uśmiechnął się do Józefa – Ja zaraz też pójdę – dodał – Modlitwa wzywa...



Ilustracja 30 – Awers i rewers medalu wybitego z okazji przelotu komety w 1618 r.

Pięć miesięcy po wygnaniu Katarzyny Niedzieliny hrabia Gabriel Henckel von Donnermarck rozstał się z tym światem⁹⁵. Kiedy się o tym dowiedziano, Józef popę-

⁹⁵ Wcześniej zmarło dwoje jego dzieci, w tym jedyny syn.

dził w stronę klasztoru. Nie był pewien, czy mnich o tym wie. Gdy tam dotarł, zobaczył zakonnika, który klęcząc w sadzie pogrążył się w modlitwie. Józef nie podszedł do niego. Wiedział, że mnich o śmierci hrabiego już się dowiedział...

1667

*„Uczy nas tego i doświadczenie, że córki czarownic i onym podobnych jako te, które w tropy matek swoich wstępowały, zawsze były o czary podejrzane, i naród prawie wszytek zarażony”
„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487*

Rok zaczął się tęgimi mrozami, które ścisnęły bytomski świat w swoim stałym uścisku. Śniegu napadało co niemiara. Niektóre dachy domów zawaliły się pod jego ciężarem. Dzieci biegały i tarzały się w śniegowych zaspach. Każda deska służyła za rodzaj sań. Boże Narodzenie upłynęło w spokojnej atmosferze. Nowy Rok też. W bytomskich kościołach dzwony rozbrzmiewały wzywając ludzi na nabożeństwa. Ludziom wyleciały już z głowy straszliwe sceny związane z Niedzieliną i poprzednim rokiem. Próba wody czy wygnanie jej z miasta. Pogodzono się również ze śmiercią hrabiego Gabriela i nie zastanawiano się, dlaczego tak nagle odszedł⁹⁶. Zastąpił go jego młodszy brat Leon Ferdynand. Stycziowy mróz zamroził wszystkie złe myśli. Budzące się promienie słońca dawały nadzieję na lepszą przyszłość. Bytom szykował się do nadchodzącej wiosny i lata nieświadomy, co przyniosą.

W marcowy czwartek na bytomskim rynku odbył się kolejny targ. Dwaj bracia, Andrzej i Józef, ponownie spotkali się, by w tłumie wrzeszczących, klójących się i gestykujących osób zgubić się i rozplątać. Stanęli w okolicy budynku bytomskiego ratusza.

– Już ci przeszło? – spytał Józef widząc brata opatulonego aż pod sam nos – Wiem, że trochę chorowałeś. Moja Aniela spotkała twoją Jankę.

– Tak – odparł Andrzej – Musiałem zwalczyć gorąco w moim ciele. Wiesz, maści i mikstury, paskudne w smaku i zapachu, jednak pomagają...

Józef zaczął się śmiać.

– Jeszcze ci nimi czuć – powiedział wesoło.

Brat uśmiechnął się do niego. W jego oczach, nieco zmęczonych chorobą, też pojawiła się wesołość.

– Jeszcze dzisiaj rano piłem mleko z miodem i cebulą – powiedział – O Boże, długo nie spojrzę na cebulę... Wiesz, bracie, miałem dużo czasu na przemyślenia.

⁹⁶ Hrabia Gabriel pozostawił po sobie cztery córki (Anna Sydonia 1646-1717, Maria Jakobina 1647-1681, Eleonora 1648-1710, Emerencja 1653-1654). Miał tylko jednego syna Łazarza, który urodził się w 1651 r. i żył niecały miesiąc.



Ilustracja 31 – Zimowe miasto.

Józef wiedział, że Andrzej po śmierci hrabiego Gabriela bardziej uwierzył w jego słowa i teorie. Rozmawiali o tym potajemnie podczas świąt Bożego Narodzenia.

– No i co wymyśliłeś? – zapytał.

– Wiele... Po pierwsze przypomniałem sobie, jak u Polaków szaleli Szwedzi⁹⁷. Wiesz, mówię o tym, co zaczęło się w 1655 r.

– Oczywiście, że pamiętam.

– Dwa lata wcześniej w Bytomiu odbywała się sprawa Hanny Kurowej. Wiesz, tej niewiasty, którą uznano za wiedźmę i wygnano z miasta.

– Hrabia Gabriel wspańałomyślnie uratował ją od stosu – powiedział Józef.

– Tak – odparł Andrzej – Zaraz potem, jeszcze w tym samym roku, hrabia kazał otoczyć miasto kwarantanną. Pamiętasz?

– Tak. Mówiono, że gdzieś w okolicy wybuchła zaraza. Podobno szła od Częstochowy...⁹⁸

⁹⁷ Mowa o „potopie szwedzkim” trwającym w sąsiedniej Rzeczypospolitej w latach 1655-1660. Teren Śląska będąc poza granicami Polski jedynie graniczył z terenem objętym szwedzkim najazdem.

⁹⁸ W październiku 1656 r. hrabia Jerzy Fryderyk nakazał burmistrzowi Bytomia zamknięcie bram miejskich i furt, gdyż z kierunku Częstochowy (obleganej przez Szwedów) rzekomo szła zaraza.

- No właśnie. Wiesz, niedawno rozmawiałem z pewnym człowiekiem, który jako żołdak brał udział w tworzeniu kordonu sanitarnego.

- O bracie, zadziwiasz mnie... - szepnął Józef.

Andrzej uśmiechnął się do brata.

- Ten człowiek twierdzi, że wtedy nie było żadnej zarazy - powiedział.

- No to po co ten kordon?

Andrzej rozejrzał się dookoła.

- To był rozkaz hrabiego - szepnął - Podobno hrabia czegoś się bał. Dlatego wymyślił bajeczkę o zarazie. Tak naprawdę sam się chronił⁹⁹.

- Czego mógł się bać nasz wspałały hrabia? - spytał ironicznie Józef.

- Złego - odparł szybko Andrzej.

- Słucham?

- Bał się Złego, mój bracie.

- O czym ty mówisz?

- Miał swój czynny udział w skazaniu i wygnaniu Kurowej, która tak naprawdę była niewinna. Zmusił ją do tego.

- Już nie wierzysz w to, że była wiedźmą? - spytał Józef patrząc bratu w oczy.

- Nie, już nie wierzę - odparł z wielką pewnością w głosie Andrzej.

Józef nie odpowiedział.

- Podobno Gabriel wiedząc, że z jego powodu doszło do jej wygnania, a być może nawet i śmierci, zdawał sobie sprawę z tego, że Zły może przyjść po niego, by wymierzyć swoją karę. Dlatego się chronił. Nie dopuszczano nikogo, kogo nie znano. Taki cel miał kordon. Zły deptał mu po piętach. Co więcej, jego małżonka Sydonia von Suneck zmarła w 1665 r. Hrabia pozostał sam...

- Wtedy mu się udało... - dodał Józef - Teraz już nie. Za Niedzielinę zapłacił własnym życiem.

- Tak, Zły go dopadł - powiedział Andrzej.

Obydwaj bracia zamilkli. Trzeba było uporządkować sobie w głowach dziesiątki myśli.

- W 1655 r. Szwedzi wkroczyli do Polaków - przerwał ciszę Andrzej - Nieco później przez Bytom przejeżdżał ich król Jan Kazimierz.

- Tak... - odparł Józef - Uciekał i nie wyglądał po królewsku...

- Nic dziwnego - powiedział Andrzej - Ratował życie. Zaraz potem na Śląsku znalazła się potężna grupa uciekinierów z Polski.

- Tak, u nas też. Mieli pieniądze i prosili o pomoc - dodał Józef.

⁹⁹ W 1655 r. w Bytomiu stacjonowały dwa szwadrony cesarskich rajtarów z pułku Adama von Garnier. Bytomskim starostą ziemskim był wtedy Joachim Bujakowski (pan na Knurowie i Bujakowie). Rajtarzy ochraniali miasto.

– Pamiętasz, co wtedy zrobił hrabia?

Józef na chwilę zatopił się w swoich myślach.

– W 1657 r. ogłosił kolejną kwarantannę¹⁰⁰ – dodał po chwili.

Andrzej uśmiechnął się do niego.

– Dlaczego? – spytał.

– Mówiono wtedy, że uciekinierzy przynieśli ze sobą zarazę – odparł Józef.

– Słyszałeś o jakichś ofiarach tej zarazy?

– Nie – powiedział Józef – Czyli co? To samo? Hrabia znowu chronił się przed Złym?

– Przy tak dużej liczbie obcych możliwym było, że Zły wtopi się w ten tłum i dojdzie w otoczenie hrabiego – powiedział spokojnie Andrzej.

Józef spojrzał w oczy brata. Andrzej miał rację.

– Pamiętam jak wiele problemów wtedy się pojawiło. Ty pewnie też pamiętasz – zwrócił się Andrzej do Józefa – W 1655 r. garncarz tarnogórski Balcer Janasik oskarżył żonę bytomskiego organisty Zofię Szołtysek o napaść na jego wysłannika przy Bramie Gliwickiej i kradzież czapki oraz podarcie szat.

– Tak – uśmiechnął się Józef – Niepozorna żona organisty miała okraść wielkiego chłopa na oczach wszystkich...

– Faktem jest, że energiczna była... – dodał rozbawiony Andrzej. Obydwaj zanieśli się śmiechem – Rok później burmistrzem był Marcin Schollz.

– Tak, pamiętam go. Widuję go jeszcze czasami... – odpowiedział Józef.

– Wraz z uciekinierami pojawiła się spora grupa Żydów – kontynuował Andrzej – Hrabia Jerzy Fryderyk pozwolił burmistrzowi, aby Żydzi osiedlali się w Bytomiu. Zabronił ich prześladować. Chyba nie uzgodnił tego ze swoim bratem¹⁰¹. Dotąd hrabiowie nie tolerowali Żydów. Jeszcze w 1655 r. hrabia Gabriel wysłał pismo do Urzędu Zwierzchniego we Wrocławiu w sprawie wprowadzenia rejestru osób pochodzenia żydowskiego. Chciał mieć wszystko pod kontrolą. Pomimo wprowadzanych restrykcji antyżydowskich w dniu 23 kwietnia 1656 r. polecił bytomskiemu burmistrzowi udzielić pomocy tylko jednemu Żydowi, Moisesowi.

– Dlaczego?

¹⁰⁰ W 1657 r. przez Bytom przeszła część cesarskiej armii dowodzonej przez gen. Hatzfelda. Cesarski oficer Jan Hildebrand zażądał drewnianych bali do wzmocnienia bram i murów miejskich. Często dochodziło do rekwizycji koni i wozów. Bytomskim starostą ziemskim nadal był Jan Bujakowski. Hildebrand najprawdopodobniej był kimś w rodzaju cesarskiego komendanta wojskowego miasta Bytom.

¹⁰¹ Nie tylko Gabriel miał negatywne nastawienie do Żydów. W 1630 r. jego brat hrabia Eliaz wysłał do rady miejskiej Bytomia pismo, w treści którego nie wyraził zgody na osiedlanie się Żydów w mieście. Pisał: „*Przyjęcie Żydów przeczy nadto dawnej tradycji, a to w mieście nigdy nie było zgody na osiedlanie się Żydów*”. W późniejszym okresie nastawienie rodziny hrabiowskiej do ludności żydowskiej uległo zmianie. Żydzi byli im potrzebni ze względu na panujący kryzys finansowy. Zajmowali się nie tylko prowadzeniem karczm, ale również handlem towarami wełnianymi, lnianymi i jedwabnymi, korzeniami, muślinem, miodem czy ziemniakami. Z bytomskich Żydów z tego typu działalności znani byli Aaron i Izaak Löbel, Abraham Böhm, Aaron Wolf czy Josef Aaron.

– Tego nie wiem, bracie. Pewnie Żyd był mu do czegoś potrzebny. Gdy hrabia Jerzy Fryderyk pozwolił burmistrzowi na wpuszczanie Żydów, Gabriel się zdenerwował... Wysłał do Bytomia swojego człowieka, Jana Kozielskiego, by ten zmusił burmistrza do zmiany decyzji.

– A tak... – przypomniał sobie Józef – Nasz pleban Kacper Cosubius opowiadał, że Kozielski dopadł burmistrza na plebanii. Jak nie pomogły groźby, dotkliwie go pobił...

– Tak, lecz pleban zapomniał dodać, że był wtedy pijany w sztok – dodał Andrzej – Po prostu popijali z burmistrzem. Rok później przed sądem stanęła Maryna. Ta niewiasta z Radzionkowa.

– O tak, pamiętam ją... – powiedział Józef.

1657 – sprawa Maryny

„Białogłowy zaś ten frasunek miewają, dla utracenia czystości i siroctwa, będąc albowiem porzucane od miłośników, z którymi w nadzieję małżeństwa obiecanego wstydu utraciły, gdy już prawie na koszu zostają, i oślawionemi się być znają do ratunku i pomocy szatańskiej, jakożkolwiek udają się, żeby się zemściły, uczarowawszy onego młodzieńca albo żonę jego, dla której czują się być porzucone, albo też wszelkimi plugastwami i bezbożnością mazaty. Takich białych głów, jako jest wielkość niewypowiedziana, co się z żalem przypomina, tak też i liczby nie masz czarownic z nich powstających”

„Młot na czarownice. Postępek zwierchowyny o czarach (...)”, 1487

Przed sądem wójtowskim stanęła młoda kobieta o imieniu Maryna. Pochodziła z sąsiedniego Radzionkowa. Słynęła ze swojej niecodziennej urody. Rozumem nie grzeszyła, ale uroku Bóg jej nie poskąpił. Mężczyźni uganiali się za nią od dziecka. Nauczyła się z tego korzystać i czerpać odpowiednie korzyści. Maryna nie była ladacnicą. Po prostu lubiła prezenty. Rozprawa sądowa odbywała się w gmachu bytomskiego ratusza.

– Zostajecie oskarżoną o zamordowanie własnego dziecka i ukrycie tego faktu – wójt odczytał jej akt oskarżenia – Czy rozumiecie ten zarzut?

Kobieta zaczęła głośno szlochać trzymając twarz w dłoniach.

– Rozumiecie? – pytał dalej wójt.

– Tak, panie, rozumiem, ale to nieprawda... – odparła kobieta, a poszczególne słowa były rozdzielone głośnym szlochem.

– Dzisiaj odpowiecie na pytania sądu. Szczerze, bo zeznacie przed Bogiem. Rozumiecie?

– Tak, panie...

– Czy byliście w ciąży? – spytał wójt.

– Nie, panie, nie byłam – odparła cicho kobieta.

– Mówcie głośniej, bo nie wszyscy to słyszą, a słyszeć muszą. Byliście?

– Nie, panie, nie byłam.

– Świadkowie twierdzą co innego. Widziano was w zaawansowanej ciąży, którą, według świadków, starałaś się ukryć. Czy to prawda?

Kobieta przestała szlochać. Nabierała pewności siebie.

– Nie, panie. To nieprawda. Nie byłam w ciąży.

– Nigdy?

– Nigdy, panie.

Wójt na chwilę umilkł.

– To dziwne. Tak wiele osób się pomyliło? – mówił sam do siebie – To właściwie niemożliwe. Czy jesteście szczerą w waszych zeznaniach?

– Tak, panie. Mówię to przecież przed Bogiem.

Jeden z ławników nachylił się w stronę wójta. Dość długo szeptał mu coś do ucha.

– Sąd doszedł do wniosku, że zeznania oskarżonej budzą wiele wątpliwości. Aby być pewnym jej słów, oddajemy oskarżoną do dyspozycji strażników, którzy do jej przesłuchania zastosują tortury.

Maryna na dźwięk tych słów zachwiała się i padła zemdlna.

– Wyprowadźcie oskarżoną z sali – powiedział wójt – Jak dojdzie do siebie, przesłuchajcie ją ponownie. Musi powiedzieć prawdę.



Ilustracja 32 – Maryna przed sądem.

Następnego dnia, gdy Maryna doszła już do siebie, przystąpiono do jej przesłuchania. W tym samym czasie w mieszkaniu bytomskiego burmistrza Bartosza Gockiego pojawił się tajemniczy gość, który poprosił o poufną rozmowę. Burmistrz, nieco zdziwiony, choć chyba bardziej wystraszony całą sytuacją, wyraził zgodę. Jednocześnie uprzedził swoją rodzinę, że w razie jakichś problemów mają uciekać jak najdalej. Podejrzewał kłopoty. Gość nie ujawnił swojego imienia, a tym bardziej na-

zwiska. Zamknęli się w ciemnym pokoju, w którym burmistrz zazwyczaj pracował, gdy był w domu. Obydwaj usiedli na ciężkich, drewnianych, pokrytych delikatnymi snycerskimi zdobieniami krzesłach, które pamiętały jeszcze czasy mnicha Aleksego.

- O co chodzi, panie? - zaczął Bartosz.

- Jestem tu w imieniu mojego pana - odpowiedział mężczyzna.

- Czyli kogo? - spytał Bartosz.

- Tego nie mogę ujawnić.

- No dobrze... - odparł burmistrz - W takim razie jaki jest cel waszej wizyty?

- Będę mówił wprost, aby nie tracić czasu... Sąd wójtowski rozpatrywał wczoraj sprawę Maryny z Radzionkowa.

- Tak, to prawda. Jest oskarżona o zamordowanie własnego dziecka.

- Oskarżenie jest fałszywe - odparł mężczyzna - Mój pan chce, aby dziewczynie nic się nie stało.

- Dlaczego?

- To już nie wasza sprawa, burmistrzu...

Bartosz zdenerwował się.

- Jeśli twojemu panu zależy na sprawiedliwości, to niech się zgłosi do sądu! - powiedział głośno - Złoży zeznanie, wyjaśni wszystko i dziewczyna będzie uwolniona z zarzutów. Nic prostszego...

Mężczyzna cierpliwie wysłuchał tych słów.

- Chyba pan nie zrozumiał, burmistrzu... - powiedział spokojnie - Mój pan nie mówi, że ona jest całkowicie niewinna, ale nie chce, by stała się jej krzywda. Bardzo mu na tym zależy...

O co, do cholery, chodzi? - pomyślał Bartosz.

- Panie, jeśli ona zostanie skazana przez sąd, nawet na karę śmierci, to co ja mogę zrobić? - spytał burmistrz - To sąd wójtowski...

- Może pan spowodować, że zniknie z więzienia, a do wykonania kary nie dojdzie - niezwykle spokojnie odpowiedział mężczyzna.

Burmistrz zerwał się z krzesła.

- Czy zwariowałeś, panie? Wyjdź! Natychmiast wyjdź! - krzyczał.

Mężczyzna nie poruszył nawet palcem u ręki. Spokojnie przeczekał wybuch złości burmistrza.

- Usiądź, człowieku! - syknął przez zęby - Już!

Burmistrz, zszokowany takimi słowami, posłusznie usiadł.

- Najpierw pomyśl, kto może być moim panem - powiedział mężczyzna - Nie pytaj, tylko pomyśl! Kto może żądać tego od burmistrza?

Bartosz zagłębił się w myślach. No kto... Ktoś, komu burmistrz podlega... Hrabia! - nagle go olśniło - Sam hrabia.

– Widzę, że zrozumiałeś, panie – powiedział mężczyzna – Teraz pomyśl, dlaczego mojemu panu może zależeć na ukryciu faktu, że prosta dziewczka miała dziecko?

Tu nie trzeba było długo myśleć. Hrabia pewnie był ojcem tego dzieciaka.

– Mój pan nie miał wpływu na to, co się stało – powiedział mężczyzna.

On chce mi powiedzieć – myślał Bartosz – że hrabia nie miał wpływu na to, co kobieta zrobiła ze swoim dzieckiem. Pewnie je zabiła...

– Mojemu panu zależy, żeby cała sprawa pozostała tajemna, a jego imię nigdzie się nie pojawiło. Rozumiecie, panie?

Bartosz potakująco skinął głową. Mężczyzna sięgnął za pazuchę swojego eleganckiego okrycia i wyciągnął stamtąd sakiewkę z monetami. Sporą.

– Ja... – zaczął burmistrz.

– Mój pan nie znosi sprzeciwu – przerwał mu mężczyzna kładąc sakiewkę na stole

– Kobieta podczas tortur pewnie przyzna się do wszystkiego. Ty, panie, postarasz się, aby przed wykonaniem wyroku zdołała uciec z więzienia. To twoje zadanie...

– A jeśli odmówię? – próbował bronić się Bartosz.

Mężczyzna zdecydowanym ruchem wstał z krzesła. Sakiewka z monetami pozostała na stole.

– Nie zrobisz tego, panie. Jesteś zbyt rozsądny i bardzo kochasz swoją rodzinę – powiedział – Żegnam cię w imieniu mojego pana. Pewnie już się nie zobaczymy.

Nie czekając na odpowiedź mężczyzna wyszedł z pomieszczenia i z domu burmistrza. Bartosz przez dłuższą chwilę siedział na krześle nie poruszając się. Musiał przetrwać w głowie to wszystko, co przed chwilą usłyszał. Do pokoju weszła jego żona. Od razu spojrzała na leżącą na stole sakiewkę. Bez słowa spojrzała na Bartosza. Ten opuścił wzrok. Ze wstydu...

Następnego dnia wycieńczona i zmaltretowana torturami i bólem kobieta po wtórnie stanęła przed wójtowskim sądem. Ledwie trzymała się na nogach. Jej dawna pewność siebie całkowicie znikła. Uroda umknęła z jej twarzy pokrytej plamami krwi i siniakami. Suknia była brudna, zanieczyszczona odchodami i śmierdząca. Jeden z jej kciuków był owinięty jakimś skrawkiem brudnego materiału. Najprawdopodobniej był zmiążdżony. Wyglądała okropnie. Wójt najpierw wezwał dowódcę strażników, którzy przesłuchiwali Marynę.

– Czy oskarżona przyznała się do winy? – spytał go wójt.

– Tak, panie, przyznała się – odparł strażnik.

– Do czego się przyznała?

– Do ukrywania ciąży, urodzenia dziecka i jego zabicia.

– Zastosowaliście tortury? – zapytał wójt.

– Tak, panie, zgodnie z zaleceniem sądu – odparł strażnik.

Po jego wyjściu wójt przystąpił do przesłuchania Maryny. Pozwolono jej siedzieć na krześle, bo nie była w stanie utrzymać się na nogach.

- Przypominam, że jesteście oskarżoną o urodzenie i zamordowanie własnego dziecka – powiedział głośno wójt – Czy przyznajecie się do winy?

Na sali zapadła chwila dłuższej ciszy. Twarz Maryny, targana emocjami, zmieniała co chwilę swoje barwy.

- Tak, panie, przyznaję się.

- Przyznajecie się do urodzenia dziecka? – pytał wójt.

- Tak, panie.

- Przyznajcie się do jego zamordowania?

- Tak, panie...

- Jak to zrobiliście? – spytał wójt. Jego pytanie uderzyło we wszystkich, jak grom z jasnego nieba.

- Udusiłam je – powiedziała cicho Maryna podnosząc wzrok na wójta – Udusiłam je zaraz po urodzeniu, a ciało spaliłam...

Na sali rozległ się głośny szum. Ludzie zszokowani słowami, które przed chwilą usłyszeli, próbowali ze sobą rozmawiać. Wójt o nic więcej nie pytał. Ławnicy podszli do niego i wspólnie naradzali się nad wyrokiem. Nie trwało to długo. Chyba nikt nie miał wątpliwości, jaka powinna być decyzja sądu.

- Jesteście wiedźmą? – spytał wójt.

- Tak, panie – powiedziała Maryna.

- Utrzymujecie kontakt ze Złym?

- Tak.

- W jaki sposób?

- Udaję się z nim na spotkania.

- Gdzie i jak?

- Jak to gdzie, panie? – spytała Maryna udając zdziwienie. – Na górę naszych spotkań...

- Czyli gdzie? – dopytywał wójt.

- Na Brocken¹⁰², panie – odparła Maryna.

- Jak się tam dostawałaś? – wójt nie dawał za wygraną – To daleko stąd...

Maryna nerwowo rozglądała się dookoła siebie. Było widać, że próbuje zyskać na czasie, by udzielić odpowiedzi na pytania, których się nie spodziewała. Jednocześnie spoglądała na twarze obecnych na sali osób, jakby szukała w nich reakcji na swoje słowa.

¹⁰² W tamtych czasach wierzono, że miejscem spotkań czarownic z terenu Niemiec była góra Brocken w górach Harzu. Opisał ją W. Goethe w „Fauście”.

- Na miotle - bez namysłu odpowiedziała Maryna - Smarowałam ją specjalną maścią¹⁰³ i unosiłam się w powietrze. Każda wiedźma to potrafi...

Ktoś jej tych wszystkich głupot natłukł do głowy - pomyślał wójt - Nie moja sprawa...

- Czy całe ciało waszego dziecka zostało spalone? - spytał wójt.

Maryna chwilę się zastanowiła. Wyglądało to tak, jakby przypominała sobie, co ma powiedzieć.

- Nie, panie...

- Powiedz więc sądowi, co się stało - powiedział wójt.

- Zanim spaliłam ciało, to je poćwiartowałam - odparła Maryna - Część zmieliłam i dodałam do maści...

- Jakich maści? - spytał jeden z ławników.

- Przeróżnych, panie...

- Jaki był ich skład? - pytał dalej ławnik. Chyba też doszedł do wniosku, że w tych zeznaniach jest coś nie tak. Maryna nie odpowiadała. Wyglądała na zakłopotaną.

- Słyszysz mnie, kobieto? - powiedział głośnie ławnik.

- Tak... - odparła Maryna - Ja nie pamiętam, panie...

- Czego nie pamiętasz?

- Składu tych maści...

Ławnik zaśmiał się głośno.

- Jeszcze nie słyszałem, żeby jakaś wiedźma zapomniała składu maści, które robiła... - śmiał się głośno - To jakaś parodia...

Wójt spojrzał na niego karcącym wzrokiem. Znali się dobrze. Po co robisz sobie problemy? - pomyślał wójt patrząc na znajomego. Trzeba to zakończyć...

- W imieniu sądu wójtowskiego jako jego przewodniczący oznajmiam - powiedział głośno - Po rozpoznaniu sprawy Maryny z Radzionkowa, po jej przesłuchaniu i przyznaniu się do winy ustalono, że oskarżona urodziła, a następnie zamordowała swoje dziecko poprzez uduszenie, a jego ciało spaliła. Kierując się prawem i boskimi przykazaniami skazujemy oskarżoną na karę śmierci przez ścięcie. Wyrok zostanie wykonany niebawem, a egzekucja będzie publiczna. Na tym posiedzenie sądu zamykam. Odprowadźcie oskarżoną do więzienia - powiedział do strażników.

¹⁰³ Jeden z przepisów na ową maść: „Bagnistego węża szczeka niech w ukropie tym rozmięka, żabie oko, łapki jeża, psi pysk i puch nietoperza, żądło żmii, łeb jaszczurczy, sowi łot i ogon szczurzy, niech to wszystko się na kupie warzy w tej piekielnej zupie”. Po wnikliwych badaniach okazało się, że w owej maści występuje substancja zwana atropiną, której zastosowanie w odpowiedniej ilości do nacierania skóry mogło spowodować zaburzenia świadomości i halucynacje. Wiadomo również, że ekstrementy ropuchy mogą działać halucynogennie. W XVII w. prawdopodobnie dość częste było używanie narkotyków, choć robiono to najczęściej nieświadomie. W 1895 r. badacz okultyzmu i teozof Karl Kiesewetter zmarł podczas przeprowadzonej na samym sobie próby tzw. maści czarownic. Miał wtedy 40 lat.

Ci podeszli do kobiety, chwycili ją pod ramiona i zaczęli podnosić do góry, by stanęła na własnych nogach. Wójt, który w tym czasie rozmawiał z jednym z ławników, nie zauważył, że skazana kobieta, patrząc prosto na wójta, syknęła w jego kierunku:

– Jeszcze nie wiesz, kto był jego ojcem, głupcze...

Usłyszeli to tylko strażnicy.



Anonim, *Czarownice sporządzające tajemniczy wywar*, Kupferstichkabinett Staatliche Museum Preussischer Kulturbesitz, Berlin

Ilustracja 33 – Przyrządzanie wywaru przez czarownice;
źródło: wikipedia

Gdy Maryna trafiła do więzienia postanowiono, że egzekucja nastąpi po kolejnych dwóch dniach, kiedy kobieta poczuje się nieco lepiej i będzie w stanie samodzielnie iść. Dostarczano jej wodę i jadło. Maryna faktycznie czuła się coraz lepiej. Gdy nadszedł dzień wykonania wyroku, dwóch strażników udało się do celi, by ją wyprowadzić. Ku ich zdziwieniu okazało się, że drzwi celi są otwarte, a kobieta zniknęła. Nie było po niej śladu. Gdy zgłoszono to wójtowi, ten próbował dowiedzieć się, co mogło się stać. Strażnicy zeznali, że w nocy poprzedzającej dzień egzekucji w więzieniu zjawił się mężczyzna, który powołując się na znajomość i pozwolenie od burmistrza wszedł do celi i dłuższą chwilę z nią rozmawiał. Potem wyszedł, a Maryna nadal tam przebywała. Tego strażnicy byli pewni. Rankiem już jej nie było. Nikt nie widział,

aby opuściła celę. Kiedy zapytano burmistrza, czy kogoś wysłał do skazanej, ten stanowczo zaprzeczył. Maryny z Radzionkowa już nigdy nie zobaczono. Jej los pozostał tajemnicą.



Ilustracja 34 – Maryna w celi.

Maryna wiedziała, co się stało. Jej tajemniczy gość wręczył jej klucz do celi. Powiedział, że krótko po jego wyjściu, gdy strażnicy zasną, ma cicho opuścić celę. Cekał na nią w pobliżu więzienia. Tak zrobiła. Szła bosą, aby nie wydawać żadnych dźwięków. Była bardzo ostrożna. Wiedziała, że stawką jest jej życie. Jednocześnie była szczęśliwa, bo wiedziała, że ojciec jej dziecka to wszystko zorganizował. Razem z tajemniczym mężczyzną pod osłoną ciemności opuściła miasto. W dużym oddaleniu od murów miasta czekały dwa konie. Mężczyzna usadowił ją na jednym z nich, a sam dosiadł drugiego. Ruszyli pędem w kierunku północnym, w stronę granic Polski. Jechali przez resztę nocy, poranek i sporą część dnia. Konie były już zmęczone, więc gdzieś w leśnych ostępach postanowili odpocząć. Maryna, niesamowicie znużona podróżą i swoimi przeżyciami ułożyła się na ziemi, by zasnąć. Mężczyzna w milczeniu zajmował się końmi. Nawet nie wiedziała, kiedy jej oczy zamknęły się. Po chwili je otworzyła. Właściwie nie wiadomo, dlaczego. Coś kazało jej wyrwać się ze snu. Ujrzała swojego kompana, który trzymając w ręku długi sztylet zbliżał

się w jej kierunku. Wtedy kobieta wszystko zrozumiała. Ojciec jej dziecka pomógł jej uciec, ale jednocześnie kazał zabić, by usunąć wszelkie ślady swojego udziału w tej sprawie. Raz na zawsze. Próbowwała uciec, ale mężczyzna był szybszy. Dopadł ją i podniósł rękę, by zadać jej śmiertelny cios. W tym momencie jego ciało wygięło się mocno do tyłu. Maryna zauważyła, że w jego piersi sterczy długie, zakrwawione ostrze. Z ust wydobył się głośny, charczący krzyk. Ostatni w jego życiu. Po chwili bez ducha osunął się na ziemię. Za jego plecami kobieta zauważyła innego mężczyznę, który zadał jej oprawcy zbawienny dla niej cios. Od razu zwróciła uwagę na kolor jego oczu. Były niesamowicie piękne i błękitne.



Ilustracja 35 – Mężczyzna o błękitnych oczach.

- Coś ty zrobił? – krzyknęła.
- Chciał cię zabić – powiedział cicho niebieskooki wycierając ostrze sztyletu.
- Maryna nie wiedziała, co ma robić.
- Chcesz zemsty? – spytał mężczyzna.
- Zemsty? – powiedziała Maryna – Jaką zemstę może mi dać taki oberwaniec, jak ty?

Mężczyzna dalej czyścił ostrze sztyletu. Podniósł wzrok i spojrzał na nią niebieskimi oczami.

- Tak, chcę... - szepnęła Maryna.

Po chwili bez słowa ruszyli dalej we wspólną podróż.

1667

„To powiemy, iż szatani i uczniowie jego czarami swemi błyskawice z piorunami, grady i niepogody pobudzać mogą, a to za daniem mocy od Boga szatanom, a pozwoleniem uczniom jego”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

Bracia nadal spacerowali po bytomskim rynku, na którym odbywało się cotygodniowe, czwartkowe targowisko. Opowieść o Marynie przywołała niechciane wspomnienia.

– Pamiętasz, jak Maryna uciekła z więzienia? – spytał Andrzej.

Wokół nich marcowy targ osiągał swój kulminacyjny punkt, co można było zauważyć po ilości toczących się kłótni i sporów.

– Tak – odparł Józef – Podejrzewano burmistrza, ale nie chce mi się w to wierzyć.

– No pewnie – dodał Andrzej – To jest porządny człowiek. On miałby być ojcem dziecka Maryny?

– Wątpię. No dobrze... – powiedział Józef – To w takim razie kto nim był?

Andrzej nie odpowiedział. Z uwagą wpatrywał się w twarz brata. Józef też nie spuszczał oczu z jego twarzy. Nie odzywali się, ale chyba doszli do tego samego wniosku.

– Jeszcze w tym samym roku prokurator Mikołaj Kalus domagał się od bytomskiego starosty ziemskiego postawienia przed sądem służącej Jana Koszembora, która dopuściła się przerywania ciąży – powiedział po chwili Andrzej.

– O tym nie słyszałem – odparł Józef.

– Tak było. Dziewczyna nie stanęła przed sądem, a wszyscy podejrzewali, że ojcem jej dziecka pewnie był Koszembor.

– No tak, to logiczne.

– Tylko, że niekoniecznie on nim był – powiedział cicho Andrzej – Dlaczego dziewczyna nie stanęła przed sądem? Kto ją chronił?

Józef nie odpowiedział.

– Bracie, ja tylko snuję swoje przypuszczenia. Nic więcej – rzekł Andrzej – Może Maryna też nie zabiła swojego dziecka, tylko płód był martwy? Może w ostatnim momencie ktoś usunął płód?

– Rozumiem, tylko do czego zmierzasz?

– Niczego nie jesteśmy w stanie udowodnić – odpowiedział Andrzej – Wiem tylko, że hrabia nie miał syna, a bardzo chciał go mieć...

– No jak to? A jego żona? Przecież to by nie przeszło...

– Józefie, czy problemem jest udawać ciążę, a później wychowywać dziecko urodzone przez inną kobietę?

On ma rację – pomyślał Józef – Mogło tak być.

– Hrabia ciągle się chronił. W 1657 r. w Tarnowskich Górach stacjonował gen. Melchior von Hatzfeld...¹⁰⁴ – kontynuował Andrzej.

– Tak, pamiętam. Bytom musiał dostarczyć mu prowiant.

– Tak.... Hrabia stale jęczał, że mury miejskie wymagają remontu – mówił Andrzej

– Hrabia Raimondo de Montecúcoli¹⁰⁵ ograbiał bytomian ze wszystkiego... Pod pretekstem zaprowiantowania cesarskich wojsk...

– Tak, pamiętam – odparł Józef.

– W 1657 r. na okoliczne ziemie spadł kataklizm. Nie tylko ucierpiały z powodu rekwizycji obcych wojsk, ale pojawiły się również obfite opady deszczu, które zniszczyły uprawy. Pojawił się nieurodzaj. Chłopi zaczęli masowo opuszczać wsie i przenosili się dalej na północ. Jakby ktoś się mścił na Bytomiu...

– A później pojawiły się polskie oddziały¹⁰⁶ – wtrącił Józef.

– Tak – potwierdził Andrzej – To był początek kolejnych nieszczęść. W 1660 r. Jerzy Rymułtowski wszczął kłótnię z jednym ze sług hrabiego i zabił go pchnięciem rapiera – mówił Andrzej – Gdy wytrzeźwiał, wystraszył się odpowiedzialności i uciekł. Zagrożono, że jeżeli nie stawi się przed wymiarem sprawiedliwości, to straci swój majątek. W 1661 r. wrócił. Jak myślisz, stanął przed sądem?

– Pewnie tak.

– Ależ skąd. Dogadał się z hrabią. Zapłacił i sprawę umorzono... Hrabia potrzebował pieniędzy. Zresztą, i tak nigdy nie płacili cesarzowi podatków na czas... Wieczne problemy finansowe...

– Morderstwo umorzono? – spytał ze zdziwieniem Józef.

– Tak. Hrabia musiał jednak być ostrożny.

– Dlaczego?

– W 1661 r. w miasteczku Lindheim miała miejsce nieco podobna sprawa. Georg Ludwig Geisz, sędzia w procesie skazał na śmierć akuszerkę i sześć innych kobiet za

¹⁰⁴ Żył w latach 1593-1658. Cesarski marszałek polny. W 1657 r. dowodził wyprawą wojsk cesarskich w sile 16 tys. ludzi zorganizowaną dla wsparcia Polski podczas „potopu szwedzkiego”. Zmusił Szwedów do opuszczenia obleganego Krakowa. Podczas tej wyprawy ciężko zachorował i po kilku miesiącach zmarł w swoich dobrach.

¹⁰⁵ Żył w latach 1609-1680. Był znanym i cenionym cesarskim wodzem. Nosił tytuł księcia Świętego Cesarstwa Rzymskiego i neapolitańskiego księcia Melfi. Był wybitnym teoretykiem wojskowym. W 1657 r. wziął udział w ekspedycji wojskowej przeciwko Rakoczemu i Szwedom, którzy walczyli z Polską. W dniu 12 stycznia 1658 r. został marszałkiem polnym armii cesarskiej. Wspólnie z elektorem Brandenburgii Fryderykiem Wilhelmem oraz ekspedycyjnymi wojskami polskimi pod Stefanem Czarneckim walczył w Danii przeciwko Szwedom. Walki te zakończył pokój w Oliwie w 1660. Później dowodził wojskami, które walczyły z Turkami.

¹⁰⁶ Chodzi o oddziały dowodzone przez rotmistrzów von Skalla i Kozłowskiego (1659).

rzekome zabójstwo noworodka w celu sporządzenia z jego ciała magicznej maści. Podejrzani byli nawet rodzice dziecka. Polowanie rozwijało się. Wykonano trzydzieści egzekucji. Sprawa dotarła jednak do Najwyższego Trybunału Rzeszy w Speyer. Tam zarządzono przerwanie polowania. Sędzia Georg musiał uciekać z miasta...

- Pewnie ludzie chcieli go zabić - dodał Józef.

- Tak. Przesadził. Nasz hrabia na pewno o tym wiedział. W 1663 r. bytomskim starostą ziemskim został Wacław Ohm. To był człowiek hrabiego - mówił dalej Andrzej - Wtedy dopiero się zaczęło...

- O tak, masz rację - odpowiedział Józef - Pamiętam, jak w 1664 r. bytomska marszałek Klaczka musiała zapłacić 5 marek odszkodowania za pobicie sługi hrabiego. W tym samym roku burmistrz powiadomił hrabiego, że proboszcz piekarski Jakub Koczkowitz, będąc pod wpływem alkoholu w święto Bożego Ciała, ubliżał zarządcy miasta. Poskarżył się jak dzieciak...

- Tak, bo wiedział, że jego protektor zareaguje - odparł Andrzej - Był tego pewien...

- W tym samym roku zmarł Łazarz II Młodszy, formalny pan Bytomia - powiedział Józef - To był 1664 rok.

- Zgadza się - odparł Andrzej - Jego synowie rok później oficjalnie podzieli się majątkiem. Hrabia Eliasza otrzymał Bogumin, gdzie zresztą sprawował władzę jako administrator już za życia ojca. Młodszy, Gabriel i Jerzy Fryderyk, podzielili się ziemiami bytomskiego państwa stanowego. Pierwszy otrzymał część bytomską, którą zarządzał od wielu lat w imieniu ojca, a drugi tarnogórską.

- Bracie, teraz to ty mnie zadziwiasz - powiedział Józef.

- Józefie, ja mam oczy szeroko otwarte. Nie jestem tak mądry jak ty, nie mam swojego zakonika, który może mnie oświecić w wielu sprawach, ale pamiętam doskonale to, co działo się za mojego życia. Teraz miałem czas, żeby to wszystko sobie przemyśleć...

Józef spoglądał na niego z miłością i podziwem.

- Jasna cholera! - krzyknął nagle Andrzej. Jeden z miejskich gołębi, szalejących nad targowiskiem, wypróżnił się dokładnie nad jego głową. Obficie. Zdenerwowany Andrzej spojrzał w niebo i zaczął ściągać dłonią z głowy niechciany prezent. Józef wybuchnął głośnym śmiechem.

- To na szczęście, bracie - powiedział mocno rozbawiony - Będziesz żył długo i szczęśliwie.

- Żeby go poskręcało... - Andrzej usiłował wszystko z siebie zetrzeć, a Józef starał mu się w tym pomóc.

- Stworzenie boże, bracie... Nie mów tak - śmiał się głośno Józef.

- To niech sobie sra gdzie indziej - uśmiechnął się Andrzej.

Po chwili uporali się z problemem.

- Nie uważasz, że powinniśmy zmienić miejsce? - spytał Józef - Za długo tu stoimy.

- Jeszcze chwila, bracie - odparł Andrzej - Chciałem ci tylko zwrócić uwagę na jeszcze jeden fakt. Pamiętasz, jak rzadko hrabia Gabriel pojawiał się w Bytomiu? Wszystkie sprawy załatwiano z nim poprzez urzędową korespondencję.

- Tak, to prawda.

- Jak myślisz, dlaczego? - spytał Andrzej.

- Bo żył w ciągłym strachu - odparł Józef po krótkim namyśle - Uciekał od kontaktów z ludźmi. Przebywał zamknięty w swoim zamku w Świerklańcu, gdzie pewnie czuł się bezpieczny.

- Tak - odparł Andrzej - Zły i tak go dopadł. Czegoś hrabia nie dopilnował...

- Pewnie dopuścił Złego do swojego otoczenia.

- Też tak myślę, bracie.

Przez chwilę stali zamyśleni.

- Powiedzmy, że to wszystko prawda - powiedział Józef - Nie rozumiem jednak, dlaczego Zły miałby polować na hrabiego, który również stosował zło. Logika mówi, że powinien go wspierać, a nie ścigać... Jaki to ma sens?

Andrzej spojrzał na niego.

- Skąd pewność, że Zły jako pan Piekła nie ściga ludzi za krzywdę wyrządzoną innym? - powiedział - Może Bóg zlecił mu ściganie najbardziej zagorzałych grzeszników, żeby trafili tam, gdzie trzeba. Żeby ponieśli odpowiednią karę.

Jest w tym jakaś logika - pomyślał Józef - Pogmatwana, ale jest...

Po czasie wyciągnął rękę w stronę brata.

- Chodźmy do domów - powiedział - Pewnie zmarzełeś...

- Nie jest tak źle - odparł Andrzej - Moje myśli mnie rozgrzewają. Z Bogiem, bracie.

- Z Bogiem, Andrzej.

Tego czwartku targ miejski dość wcześnie się zakończył. Wokół do życia budziła się wiosna. Miało być spokojnie, ale wcale tak się nie stało...

1667 – sprawa Wacławczykowej i Słupskiej¹⁰⁷

„Zaczem wiedzieć potrzeba, iż jako trojakię są czarownice, to jest szkodzące, a ratować nie-mogące: drugie, które ratować mogą, ale z jakiś osobliwej z szatanem umowy nie szkodzą. Trzecie, które i szkodzą, i ratować mogą”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

Starosta powiatowy (landwójt) spojrział na dokumenty, które leżały przed nim na stole. W ich treści pisarz ziemski księstwa siewierskiego Teodor Marcin Kryliński domagał się, aby proces dwóch oskarżonych o czary kobiet odbył się w jego majątku w Bytkowie¹⁰⁸. Pismo było datowane na dzień 25 kwietnia 1667 r. Autor skierował je do bytomskiego starosty ziemskiego. Drugie pismo było datowane na dzień 27 kwietnia. Kryliński zawarł w nim prośbę o skierowanie do Bytkowa wójta i czterech ławników. Jednym z nich był Józef, brat Andrzeja, którego powołano na ławnika w tym procesie. Cieszył się w mieście sporym szacunkiem. Uważano go za niezwykle uczciwego. Pewnie temu zawdzięczał swoją nominację.

– Czy to zgodne z prawem? – spytał landwójt czterech wybranych ławników siedzących przy stole w pomieszczeniu bytomskiego ratusza.

– Tak. W pełni zgodne. On ma do tego prawo... – odparł jeden z nich.

– No dobrze. Niech tak się stanie. Będziemy je sądzić w Bytkowie, a nie w Bytomiu – powiedział landwójt.

– Panie wójcie, czy słyszeliście o tym, co się dzieje w księstwie nyskim? – spytał nagle Józef.

– Nie... A co? – odparł nieco zaskoczony landwójt.

– Już od dawna na terenie tego księstwa ilość procesów o czary rośnie z roku na rok – wyjaśniał Józef – Podobno w 1651 r. sądzono tam 42 kobiety i wszystkie zostały skazane na śmierć.

Landwójt popatrzył na niego ze szczerym zdziwieniem.

– Tak twierdzi proboszcz z Nysy Jan Feliks Padewitz – dodał Józef.

– Czy Zły tak się tam panoszy? – spytał landwójt.

– Być może. Na terenie księstwa kościelna inkwizycja działa niezwykle sprawnie. To za sprawą wysłanników miejscowych biskupów. Proboszcz wspominał o Marti-

¹⁰⁷ Ich sprawa bardzo przypomina sprawę Doroty Pałuszki, oskarżonej w 1619 r. w Gnieźnie o czary, którą w swoim opracowaniu opisuje Jacek Wijaczka.

¹⁰⁸ Obecnie część Siemianowic Śląskich.

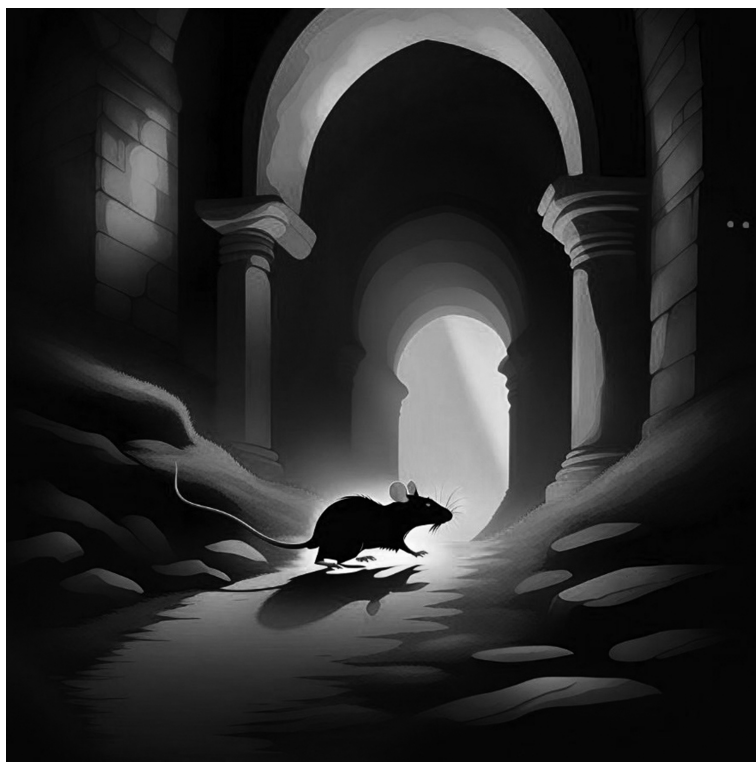
nie Lorenzu i Janie Baltazarze Liesch von Hornau¹⁰⁹ – mówił dalej Józef – Ten drugi podobno wymyślił specjalny rodzaj pieca do palenia czarownic.

– O mój Boże – głośno westchnął landwójt – Aż tak?

Józef skinął twierdząco głową.

– Mówi się jeszcze o ławniku sądu inkwizycyjnego Heinrichu Franzu Boblig von Edelstadt. Podobno też jest zaciekłym łowcą czarownic – powiedział.

– Słyszałem, że w Raciborzu dzieje się podobnie – powiedział trzeci z ławników, który dotąd nie odzywał się – W 1663 r. odbył się tam pierwszy proces o czary. Skazano trzy kobiety. Podobno szykują się następne.



Ilustracja 36 – Więzienny korytarz.

– Musimy być ostrożni – powiedział landwójt – Widać Zły rozwija swoje ciemne skrzydła.

– To niewykluczone – dodał Józef – Można jednak mieć wrażenie, że kościelni inkwizytorzy są zbyt gorliwi...

¹⁰⁹ Johann Balthasar Liesch von Hornau (1592-1661), od 1625 r. pomocniczy biskup wrocławski. W tym okresie zasłynął wyjątkowym okrucieństwem i bezwzględnością w zwalczaniu czarów, które jakoby miały nawiedzić Nysę. Doprowadził do wybudowania pieca przeznaczonego do palenia czarownic, by nadążyć z wykonywaniem wyroków. Ofiary, które przyznawały się do winy i okazywały skruchę w akcie łaski przed spaleniem tracono mieczem, pozostałe zaś duszono.

Zapadła niezręczna cisza. Nikt mu nie odpowiedział. Każdy zrozumiał, że stwierdzenie Józefa jest bardzo niebezpieczne. Woleli nie ujawniać własnego zdania, choć wszyscy pomyśleli to samo.

- Dobrze, panowie, wróćmy do naszych zadań – powiedział landwójt ucinając dyskusję, która poszła w niebezpiecznym kierunku – Według jakich artykułów będziemy się sądzić?

- „*Magia sive sortilegium*” i „*De criminibus extraordinaris*” – odparł pierwszy z ławników – To z kodyfikacji czeskiego prawa miejskiego spisanej przez Pavla Kristiána z Koldína, kanclerza praskiego¹¹⁰.

- Dobrze. W takim razie widzimy się na procesie w Bytkowie – powiedział landwójt wstając z krzesła – Czy hrabia Jerzy Fryderyk¹¹¹ został o tym powiadomiony?

- Dzisiaj wyjdzie z naszej kancelarii odpowiednie pismo do hrabiego – odparł czwarty z ławników.

- To dobrze – powiedział landwójt – Materiał dowodowy został zebrany?

- Tak – prawie chórem odpowiedzieli czterej ławnicy – Obydwie kobiety zostały już przesłuchane przez wójta.

Decyzja została podjęta.

¹¹⁰ Pierwszy z wymienionych przepisów reguluje tryb śledztwa stanowiąc, iż dobrowolne przyznanie się do winy powinno zakończyć dalsze przesłuchanie. Artykuł „*Magia sive sortilegium*” stanowi, że czarodziejstwo lub wszelka inna szkodliwa działalność będzie karana śmiercią poprzez ścięcie mieczem w przypadku mężczyzny bądź spaleniem, jeśli czynu dopuściła się kobieta. Artykuł „*De criminibus extraordinaris*” wskazuje zapobiegawczo na istnienie przestępstw do tej pory nieujętych w normach prawnych, dlatego w gestii sądu znajduje się samodzielna ocena owych czynów oraz odpowiadający im dobór kary. Ten artykuł dawał szerokie pole do popisu sądom rozpatrującym oskarżenia o czary.

¹¹¹ Jerzy VII Fryderyk Henckel von Donnersmarck urodził się 26 sierpnia 1611 r. w Wiedniu. Był najmłodszym synem Łazarza II i Marii Jakuby von Bayr (Payr). Władzę nad ziemią bytomską sprawował jeszcze za życia ojca razem ze starszym bratem Gabrielem. Dość często ingerował jako pan zwierzchni w toczące się w Bytomiu procesy sądowe. W dniu 5 stycznia 1659 r. zażądał od mieszczan Bytomia, aby ciało samobójcy pogrzebał kat (chodziło o ciało Jana Gniastko, sędziego, który popełnił samobójstwo), a nie duchowny. Rok później zmienił wyrok śmierci w jednej ze spraw ze spalenia na stosie na ścięcie mieczem, potem jednak powtórnie nakazał spalenie na stosie (chodziło o Jana Judasa z Wielkich Paniów). W 1663 r. nakazał uwięzienie w izbie pacholków miejskich mistrza cechowego Michała Zubera, dopóki ten nie uiścił zaległości finansowych. W 1664 r., gdy zmarł jego ojciec, otrzymał w spadku zamek w Świerklańcu oraz Tarnowskie Góry. Gdy w 1666 r. zmarł jego brat Gabriel, otrzymał także Bytom. Jeszcze w dniu 27 lipca 1665 r. wydał przywilej, w którym zobowiązywał się do przestrzegania wszystkich dotychczasowych praw nadanych jego poddanym. Tak jednak nie było. Toczył częste spory z bytomskimi mieszczanami. Nakładał kary na rzemieślników, a żony trzech bytomian za odmowę bielenia płótna dla hrabiny nakazał aresztować. Nie był lubiany w Bytomiu. Hrabia i baron cesarstwa zmarł w dniu 9 maja 1671 r. w Wiedniu. Zapewne został pochowany w Bytomiu, ale jego grób nie zachował się. Małżonką Jerzego Fryderyka była hrabina Anna Helena, z domu von Kaunitz. Miał z nią dwóch synów: Leona Ferdynanda i Karola Maksymiliana, założycieli dwóch głównych, istniejących do dzisiaj linii rodu Henckel von Donnersmarck (świerkłańckiej i siemianowickiej).

1667 (nieco wcześniej) Dzień pierwszy – przesłuchanie Krystyny Waclawczyk

„Jawny i zawołany sposób bywa, gdy czarownice dnia pewnego do kupy się gromadzą i szatana w postaci ludzkiej widzą, który gdy ich do dotrzymania sobie wiary, obiecując szczęśliwe na świecie powodzenie i długi żywot, upomina: one czarownice zalecają mu nowicjatkę, to jest nowo przystającą, prosząc, żeby ją w opiekę swą przyjął. Szatan wtedy, jeśli do odstąpienia wiary i nabożeństwa chrześcijańskiego także też szerokiej niewiasty (...) podaje rękę”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

To był dzień 25 kwietnia 1667 r. Przed bytomskim sądem w charakterze oskarżonej stanęła Krystyna Waclawczyk, poddana Teodora Marcina Krylińskiego z Bytkowa. Jej przesłuchanie, które było przygotowaniem do ostatecznego sądu w Bytkowie odbywało się w budynku bytomskiego ratusza. Była kobietą w średnim wieku, mocno zniszczoną życiem i swoimi przeżyciami. Wyglądała na starszą, niż w rzeczywistości była. Widać było po niej, że jest autentycznie przerażona. Nic w tym dziwnego. Zdawała sobie sprawę z tego, jak poważne oskarżenie jej dotyczyło. Drżała ze strachu. Mówiła bardzo cichym głosem. Czterech ławników, w tym Józef, przysłuchiwało się jej zeznaniom.

– Jak się nazywacie? – spytał wójt.

– Krystyna Waclawczyk, panie – odparła kobieta przełamując strach.

– Skąd jesteście?

– Z Bytkowa.

– Kto jest waszym panem? – spytał wójt.

– Pan Teodor Kryliński...

– Odczytamy wam teraz akt oskarżenia. W imieniu sądu uczyni to Waclaw Koska – powiedział wójt. Zza stołu sędziowskiego poniósł się niski, otyły mężczyzna, który trzymając przed sobą dokument zaczął czytać.

– Katarzyna Waclawczyk zostaje oskarżona o używanie czarów „pięciorakich” i „siedmiorakich”¹¹². Zostaje posądzona o pakt z Diablem¹¹³, stosowanie czarów na szkodę majątku Krylińskiego, zapowiedź śmierci trzech osób z dworu Krylińskiego, spowodowanie choroby pani Krylińskiej i śmierć ich dzieci, którymi się opiekowała – powiedział Koska i usiadł na krześle.

¹¹² Sformułowanie z oryginalnego aktu oskarżenia Waclawczykowej – „czary pieciorakie a potym siedmiorakie”. To jedyny przypadek z bytomskich procesów o czary, gdzie zachował się oryginalny protokół przesłuchania oskarżonych.

¹¹³ W oryginale: „zapomniąc się nad P. Bogiem, miała z duhnym Nieprzyjacielem porozumienie”.

Na sali dało się słyszeć szum. To były niezmiernie poważne zarzuty. Na twarzy kobiety widać było pełzający po każdym zakątku jej ciała strach, który wszystkimi sposobami starała się opanować. Wiedziała, że jej słowa zaważą na jej przyszłości.

– Czy rozumiecie akt oskarżenia? – spytał wójt.

– Tak, panie.

– Jesteście mężatką?

– Byłam. Mąż odszedł z tego świata. Jestem wdową.

– Macie dzieci?

– Tak. Syna Walentego. Tylko jego mam, panie.

Kobieta stawiała się coraz bardziej opanowana, a jej odpowiedzi jaśniejsze i konkretnie. Tego właśnie oczekiwał sąd.

– Macie własne gospodarstwo? – spytał wójt.

– Tak, panie. Syn mi w nim pomaga. Jakoś sobie radzimy...

– Widzę, że macie swojego obrońcę – powiedział wójt.

– Tak. To Jan Kalus.

– Dobrze – odparł wójt – To zgodne z prawem. Niech oskarżona mi powie, czy stosowała jakieś czary?

Krystyna wystraszona spojrzała na wójta.

– Panie, ja chciałam tylko pomóc. Nie byłam świadoma, że to jakieś czary...

– Wytlumaczcie, o co wam chodzi... – powiedział wójt.

Krystyna głęboko westchnęła, zbierając myśli.

– Pani Krylińska chorowała. Bałam się, że może stać się jej coś złego. Dlatego podlałam wodą wszystkie progi w dworze Krylińskich, a także kazałam jednemu z chłopów wylać wodę pod kurnikiem...

– Po co?

– No jak to, panie... Woda obmywa i czyści. Chciałam przepędzić chorobę.

– Skąd wiedzieliście, że to pomoże? – spytał wójt.

– Jak byłam mała, mówiła mi o tym babcia. Kiedyś byłam ciężko chora i zrobiłam to samo. Pomogło, panie... To stary sposób...

Wójt znacząco spojrzał na ławników.

– Krylińskiej pomogło? – spytał.

– Nie, panie... – kobieta opuściła wzrok w dół

– Co się stało?

– Pani Krylińska niebawem zmarła, a zaraz po niej jej dzieci... – odparła ciszej kobieta.

Józef zakręcił się nerwowo na krześle.

– Czy oskarżona nie uważa, że czary mogły jej zaszkodzić?

W tym momencie odezwał się obrońca Jan Kalus.

– Panie, ona chciała pomóc, a nie zaszkodzić. Poproszono ją o pomoc, a Krystyna jako osoba życzliwa tej pomocy udzieliła¹¹⁴.

Wójt spojrzał na Krystynę.

– Co powiedzieliście pani Krylińskiej? – spytał.

– Powiedziałam, że jej choroba miała jeszcze potrwać ze dwa tygodnie, ale ja postaram się jej pomóc¹¹⁵.

– Czy podlaliście tylko progi, czy coś więcej? – powiedział wójt.

– Przygotowałam wywar... – odparła kobieta.

– Co to za wywar?

– Ja nie wiem, panie...

– Jak to?

– Ja widziałem we śnie, jak się go przygotowuje. Nie znałam go wcześniej.

Wójt aż westchnął z wrażenia. Ławnicy sztywniej usiedli na swoich krzesłach. Na sali ucichło. Józef skupił swój wzrok na twarzy oskarżonej.

– Kto wam go pokazał we śnie?

– Ja tego nie wiem, panie...

– Jak to?

– Nie pamiętam. Miałam sen i widziałam w nim, jak ktoś przygotowuje cudowny wywar, który mógłby pomóc. Nie widziałam dokładnie, kto go przygotowuje...

Wójt odwrócił się w stronę ławników. Przez dłuższą chwilę naradzali się ze sobą. Bardzo gorączkowo. Tylko Józef nie brał udziału w tej naradzie. Jedynie przysłuchiwał się.

– Niech oskarżona jeszcze raz opowie o tym śnie... – mówił wójt – Ktoś przygotowywał wywar?

– Tak, panie...

– Mężczyzna czy kobieta?

– Ja nie wiem...

– Widzieliście ręce? – spytał wójt.

– Tak, panie...

– To były dłonie niewiasty czy mężczyzny?

– Nie wiem, panie...

Kobieta chyba zaczęła żałować, że wspomniała o swoim śnie. Jej obrońca nie odzywał się. Siedział z opuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę.

– Panie, ja po tej nocy zrobiłam wywar, ale o śnie zapomniałam. Może moja służąca będzie pamiętała, bo jej o śnie opowiadałam.

¹¹⁴ Woryginalne: „to podlanie miała uczyniła to z życzliwosci ku Panu swemu”.

¹¹⁵ Woryginalne: „jeszcze [wasz mość] miała chorowacz dwie niedziele, ale ja [wasz mości] pomogę”

– Jak się nazywa? – spytał wójt.

– Zofia Janikowa, panie. To komornica¹¹⁶.

Wójt ponownie zwrócił się do ławników.

– Na dzisiaj kończymy. Musimy jutro przesłuchać Janikową. Odprowadźcie oskarżoną do celi – zwrócił się do strażników – Mamy jeszcze jedną osobę do przesłuchania...

Józef obserwował, jak strażnicy wyprowadzają z sali przerażoną Krystynę. Nie odzywał się. Obawiał się, że los kobiety jest już przesądzony. Z powodu jej snu...



Ilustracja 37 – Czarownica.

¹¹⁶ W tamtych czasach komornicą określano bezrolną chłopkę mieszkającą w cudzej chacie.

1667 – przesłuchanie Anny Słupskiej

„ (...) Te tedy w kolebkach albo przy boku matek ich leżące obrzędami naszemi zabijamy: które z grobów potajemnie kradniemy i w kotle warzymy, aż gdy kości odpadną, wszystko ciało się rozpułynie, z gęstszej materiej czyniemy maść, naszej nauce potrzebną i pojazdom służącą: resztą zaś napełniamy flaszki albo bukłaczek, z którego gdy kto się napije, przydawszy nieco ceremonii, zaraz stawa się uczestnikiem i uczonym w naszej sekcie”

„Młot na czarownice. Postępek zwierchowny o czarach (...)”, 1487

Zaraz po zakończonym przesłuchaniu Krystyny Waclawczyk sąd przystąpił do drugiego. Józef nadal siedział na swoim krześle przeznaczonym dla jednego z czterech ławników. Tym razem zeznawała Anna Słupska, którą Kryliński wskazał jako drugą winną i podejrzaną. Była to kobieta w podeszłym wieku o twarzy mocno zaznaczonej zmarszczkami, bardzo ubogo ubrana i wątła. Na sali pozostał też Jan Kalus, który również był obrońcą Słupskiej.

– Jak się nazywacie? – spytał wójt.

– Anna Słupska, panie.

– Pamiętajcie, że zeznajecie przed sądem i Bogiem. Musicie mówić prawdę.

Kobieta skinęła potakująco głową.

– Jesteście oskarżoną o stosowanie czarów – powiedział wójt.

– Wiem, panie, ale to nieprawda – odparła pewnie Anna.

– Skąd pochodzicie? – spytał wójt.

– Nie wiem, panie. Mieszkalam w różnych miejscach.

– Gdzie?

– W Mikołowie, a potem w Chorzowie...

– Czym się zajmujecie?

– Pasę owce. Znam się również na roślinach i staram się pomóc ludziom.

– Jesteście znachorką? – spytał wójt.

– Tak, panie. Tak o mnie mówią...

Kobieta nerwowo kręciła w ręku kawałkiem swojej brudnej spódnicy.

– Dlaczego wyrzucona was z Mikołowa?

– Och, panie... Oni mówili, że jestem wiedźmą...

Wójt zdziwiony spojrzał na Słuską. Zaskoczyła go jej szczerość. Kobieta to zauważyła.

– No bo panie, ludzie do mnie przychodzili, żeby im pomóc, a ja starałam się to robić...

- W jaki sposób?
- Robiłam wywary z różnych roślin leczniczych.
- Skąd mieliście taką wiedzę?
- Moja babcia nauczyła mnie różnych rzeczy. Potem też matka, ale ją niewiele pamiętam. Chyba najwięcej nauczyła mnie ciotka¹¹⁷. Sama też się uczyłam...
- Wójt spojrzał znaczącym wzrokiem na ławników.
- Wasza ciotka jeszcze żyje? – spytał.
- Nie wiem, panie. Dawno jej nie widziałam.
- Z Chorzowa wygnali was za to samo? – po chwili spytał wójt.
- Tak...
- Braliście od ludzi pieniądze za swoją pomoc?
- Kobieta spojrzała na wójta.
- Panie, ja niczego nie żądałam. Sami zostawiali, bo chcieli...
- Czy rzucaliście na kogoś urok?
- Gdzie tam, panie...
- Mam tu napisane – mówił wójt – że rzuciliście urok na poborcę podatkowego, który się u was zjawiał po odbiór długu. Powiedzieliście do niego „żeby was pokurczyło”.
- Jaki to urok, panie?
- Wójt spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem.
- Zdenerwował mnie i tyle... – dodała Słupska.
- Jak trafiliście do majątku Krylińskich?
- Kobieta zamyśliła się na chwilę.
- Gdy kazali mi odejść z Chorzowa, szukałam miejsca, gdzie mogłabym żyć. Najpierw wróciłam do Mikołowa. Tam jednak wtrącono mnie do celi¹¹⁸. Po jakimś czasie wypuścili. Znowu szukałam spokojnego miejsca. Znalazłam takie. Nie wiedziałam, że to ziemia Krylińskich. Dopiero po czasie się dowiedziałam...
- Jak poznaliście Waławczykową?
- Ja ją mało znam, panie – odparła Anna – Kiedyś do mnie przyszła, szukając pomocy...
- Jakiej?
- Chciała uchronić Krylińskich od choroby.
- Pomogliście?
- Tak, panie... – odparła Anna.
- W jaki sposób?

¹¹⁷ W oryginale: „ma z ciotki gdy iej uczila znac ziolka, z ktorych ludziom dopomagaiq”.

¹¹⁸ Słupska przebywała w areszcie w Mikołowie w 1665 r.

– Waclawczykowa twierdziła, że ktoś rzucił czar na Krylińskich, ich dzieci, a także na bydło.

– Ktoś rzucił czar? – dopytywał się wójt.

– Tak... Mówiła, że z czarem rzuconym na Krylińskich już sobie poradziła, ale nie mogła dać rady z czarem na bydło. Szukała pomocy...

– Pomogliście?

– Tak, panie...

– Jak?

– Powiedziałam jej, jak sporządzić wywar i gdzie ma zakopać garniec.

– Coś jeszcze? – spytał wójt.

– Nie, panie, to wszystko co wiem – odparła Słupska.

– Odprowadźcie ją do celi – powiedział wójt do strażników.

Józef patrzył, jak mężczyźni bez pardonu łapią kobietę pod ręce i wyprowadzają z sali. Żał mu było tej starej niewiasty, mocno pokrzywdzonej przez życie. Zazwyczaj pomagała innym, często bezinteresownie, a teraz...

– Na tym kończymy dzisiejsze posiedzenie sądu – zakomunikował wójt wstając z krzesła. Józef i pozostali ławnicy podnieśli się ze swoich. Skinieniem głowy pożegnali się i poszli do domów, by przemyśleć sobie wszystko, co tego dnia słyszeli. Było nad czym myśleć...

Wójt zbierał dokumenty ze stołu. Trwało to dłuższą chwilę. Większość osób opuściła już salę. W pewnym momencie podszedł do niego dość bogato odziany mężczyzna. Wyciągnął rękę, w której trzymał kawałek papieru. Wójt go znał. To Jan Gadeczka, człowiek hrabiego Jerzego Fryderyka.

– To wiadomość od pana hrabiego – szepnął – Poufna. Tylko dla pana.

Wójt spojrzał na niego zdziwiony. Mężczyzna odwrócił się na pięcie i pośpiesznie opuścił salę. Zaskoczony sytuacją wójt stał nieruchomo z kawałkiem papieru w ręce. Po chwili otrząsł się z letargu. Spojrzał na papier. To był rodzaj listu. Widać było na nim napis: „Tylko dla wójta”. Z wielką ostrożnością otworzył go. Ujrzał niezwykle staranne, odręczne pismo. Zaczął czytać.

„Panie Wójcie. Z wielką uwagą śledzę przebieg procesu. Jestem zaskoczony tym, co słyszę. Jako pan nadrzędny domagam się powtórnego przesłuchania oskarżonych z użyciem tortur. Chcę, aby uczyniono to jeszcze dzisiaj. Wysłałem w tym celu swojego człowieka do więzienia. Jestem przekonany, że wszystkie oskarżone przyznają się do winy. Hrabia Jerzy Fryderyk Henckel von Donnersmarck”.

Wójt długo wpatrywał się w każde słowo zapisane na papierze. Analizował je po kolei. Hrabia domaga się powtórnego przesłuchania, ale z użyciem tortur. Dlaczego tak mu zależy? Wszystkie oskarżone? Co to za sformułowanie? Przecież mamy tylko dwie... No cóż, skoro hrabia domaga się tego, musi tak być. Wójt zwinął papier i schował go do kieszeni. Zanim opuścił budynek bytomskiego ratusza, wydał dyspozycję, aby Krystyna Waclawczyk i Anna Słupska zostały powtórnie przesłuchane, lecz z użyciem tortur. Żaden z ławników nie miał pojęcia o takiej decyzji wójta. Tym bardziej Józef, który mocno zamyślony zbliżał się do swojego domu.

1667 – dzień drugi – drugie przesłuchanie oskarżonych

„Czego doświadczeniem częstokroć doszliśmy, ponieważ z przyznania się tych wszystkich, którechmy skazali na ogień, pokazało się, że poniewoli czarami się bawili, gdyż bicia i razów onym od szatanów zadanych, gdy im nie chciały być posłuszne, prawda się pokazywała. Częstokroć albowiem były widziane z twarzami opuchłymi, zasiniątymi. Także te też my sami doznali, iż po przyznaniu występów na męce zawsze chcą się wieszać, czego przestrzegając, straż nad każdą godzinę bywa przysądzona, która tego pilnuje, i podczas zaniedbalstwem straży znajdowano je zawieszane na rzemikach albo podwikach, a to pewnie za poduszczeniem szatańskim (...)”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

W dniu 26 kwietnia 1667 r. przed bytomskim sądem ponownie stanęły Krystyna Waclawczyk i Anna Słupska. O zastosowanych wobec nich torturach ławnicy nie mieli zielonego pojęcia. Obydwie wyglądały na niezwykle zmęczone i zmaltrretowane. Ich wola walki całkowicie osłabła, a psychika poddała się nieuchronnemu losowi. Józef przyglądał im się uważnie. Miał nieodparte wrażenie, że kobiety przeżyły w nocy straszne chwile. Być może je torturowano. Tylko po co? Kto wydał takie dyspozycje?

– Czy oskarżona przyznaje się do zastosowania czarów poprzez podlanie wodą progów i kurnika Krylińskich? – swoje pytanie wójt skierował do Waclawczykowej.

– Tak, panie... – powiedziała cicho Krystyna.

– Czy oskarżona przyznaje się do swojego snu, w którym widziała inne postacie przygotowujące magiczny wywar?

– Tak, panie...

– Czy oskarżona przyznaje się do sporządzenia tego wywaru i jego użycia?

– Tak, panie, tak było – głos Krystyny był coraz cichszy.

Torturowano je – pomyślał Józef – To pewne.

– To sabat! – wtrącił nagle Waclaw Koska, który w procesie pełnił rolę oskarżyciela

– Niech sąd zwróci uwagę, że oskarżona śniła w czasie godów¹¹⁹, w nocy po pierwszym pianiu koguta¹²⁰. To czas magiczny, z którego korzystają wiedźmy, czarownice i wspierający je Zły. To sabat!

Wójt spojrzał na niego karcącym wzrokiem.

¹¹⁹ W Kościele rzymskokatolickim jest to okres od pierwszego dnia Świąt Bożego Narodzenia do Trzech Króli.

¹²⁰ W oryginale: „tydzien po godzinach [...] w nocy pierwiej niz kokot zapiał”.

– Czy przyznajecie się, że przy pomocy Anny Słupskiej sporządziliście wywar, który składał się z wody święconej¹²¹, zwykłej wody po upieczeniu dziewięciu bochenków chleba?

– Tak, panie...

– Tym wywarem kropiliście dwór Krylińskich?

– To prawda, panie.. – Waławczykowa straciła już wszelką chęć walki.

– Czy kazaliście swojej szwagierce Reginie zakopać pod płotem kociołek?

– Tak...

– Po co?

– Tamtędy przechodziło bydło, panie – odparła Krystyna – Także bydło od Bochny Ociepiny, która kiedyś rzuciła czar na bydło Krylińskich. Chciałam się zemścić.

– Dlaczego?

– Myślałam, że choroba Krylińskich to sprawa Ociepiny. Ona ich nienawidziła...

– Dlaczego?

– Nie wiem... To jakieś dawne sprawy... – odparła Krystyna.

– Czy wasza szwagierka Regina żyje?

– Tak, panie.

– A Ociepina?

– Odeszła z tego świata zaraz po śmierci Krylińskich.

Ławnicy i wójt niezwykle znacząco spojrzeli po sobie. Józef widział na ich twarzach, że stają się przekonani o winie Słupskiej.

– Ten kociołek został znaleziony pod płotem – wtrącił głośno Waław Koska – Był pusty...

– Czy tylko Słupska pomogła wam sporządzić ten wywar? – spytał wójt.

– Nie, panie...

– Kto jeszcze?

– Hedwiga Kostellanka.

– Czy ona żyje?

– Nie, panie...

– Czy przyznajecie się, że wasze czary spowodowały śmierć Krylińskich?

Krystyna podniosła wzrok i spojrzała na wójta.

– Nie, panie, nie przyznaję się... Chciałam tylko pomóc...

Kobieta nisko opuściła głowę. Straciła chęć życia.

– To wszystko – powiedział wójt – Wyprowadźcie oskarżoną i przyprowadźcie Melchiora z Chorzowa.

Któż to taki? – pomyślał Józef.

¹²¹ W oryginale: „z trzech kociołow w niedziela nowa wziętą”.

– Zeznajecie przed sądem i Bogiem, człowieku – takim słowami przywitał wójt rosłego mężczyznę, który wszedł na salę w obecności jednego ze strażników.

– Rozumiem, panie – odparł Melchior. Stał się wyprostowany i gotowy na pytania.

– Czy znacie Annę Słuską? – spytał wójt.

– Tak. Wiele osób w Chorzowie ją zna.

– Skąd?

– Wszyscy wiedzą, że w razie choroby czy jakiegoś nieszczęścia można się do niej udać.

– Po co?

– Stara się pomóc, panie – odrzekł pewnie Melchior.

– Czy wiadomo wam coś, aby Słuska stosowała czary?

– Nie. Ona używa tylko wywarów roślinnych.

– Żadnych zaklęć czy guseł? – dopytywał wójt.

– Nie. Na pewno nie.

No i co teraz, panie wójcie? – pomyślał Józef.

– Co ludzie mówią o oskarżonej? – spytał po chwili namysłu wójt.

– Panie, ludzie różne rzeczy mówią... – odparł wymijająco Melchior.

– Co o niej mówią? – dopytywał głośno wójt.

– Niektórzy bajdurzą, że to wiedźma. Ja w to nie wierzę – powiedział Melchior odważnie patrząc w oczy wójta.

– To wszystko. Proszę wyprowadzić świadka – powiedział wójt – Wprowadźcie na salę Annę Słuską.

Józef ze współczuciem patrzył, jak strażnicy wprowadzają na salę wycieńczoną i zmaltretowaną starą kobietę. Nie mogła ustać na nogach. Strażnicy przytrzymywali ją pod ramiona. Gdy znalazła się przed stołem sędziowskim, mężczyźni próbowali ją puścić, ale mocno zachwiała się na nogach. Dlatego powtórnie złapali ją pod ramiona. Józef spojrzał na wójta. Ten nie reagował ani nie wykazywał żadnego zdziwienia. Ty wiesz... – pomyślał Józef – Wiesz o torturach...

– Czy oskarżona przyznaje się do znajomości z Krystyną Wacławczyk?

Słuska szepnęła coś pod nosem.

– Głośniej, kobieto! – krzyknął wójt.

– Tak, panie – jej głos był ledwie słyszalny.

– Czy wspólnie przygotowałyście wywar, który miał zaszkodzić bydłu?

– Tak, panie...

– Czy oskarżona przyznaje się do stosowania czarów? – wójt rzucał szybko słowami, jakby chciał to mieć już za sobą.

Anna spojrzała na niego.

– Nie, do tego się nie przyznaję. Nie jestem wiedźmą...

Wójt zamilkł. Spoglądał w dokumenty i nie podnosił wzroku. Wszyscy czekali na jego reakcję.

– Wyprowadźcie ją! – powiedział nagle.

Jak to? – pomyślał Józef – Tylko tyle?

Na tym posiedzenie sądu wójtowskiego zakończyło się. Jan Kalus, obrońca oskarżonych, tego dnia nie odezwał się ani słowem.

1667 – dzień trzeci – przesłuchanie Zofii Janikowej

„(...) Wszystkie nauki kłamliwe i zabobonne z jakiegoś zaraźliwego obcowania szatanów z ludźmi jakoby jakie umowy, i związki zdradliwej przyjaźni postanowione zgola mają być odrzucone”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

W dniu 27 kwietnia 1667 r. przed bytomskim sądem stanęła Zofia Janikowa, pracownica w bytkowskim gospodarstwie Krystyny Waclawczyk, poddana Krylińskiego. Wójt przyglądał się jej bardzo uważnie. Jej zeznania miały wiele wyjaśnić. Była starszą kobietą, w której ruchach widać było wielką energię. Józef ponownie zajął miejsce przy stole sędziowskim jako jeden z czterech ławników.

- Czy zdajecie sobie sprawę, że zeznacie przed sądem i Bogiem? – spytał.
- Tak, panie – kobieta bardzo energicznie skinęła głową.
- Jak się nazywacie?
- Zofia Janikowa – odparła spokojnie.
- Niech złoży tekst przysięgi – powiedział głośno Józef.
- Tak, to racja – powiedział wójt – Niech złoży przysięgę.

Do Janikowej podszedł jeden z urzędników zapisujących przebieg procesu. W rękę trzymał Pismo Święte. Kazał kobiecie położyć na nim rękę i powtarzać głośno swoje słowa.

– „Ja Zophia przysiegam Panu Bogu wszechmogącemu w Troycy Sw Iedinemu i ze cokolwiek przed Prawem Zagaionym pytana bede ze chce wszelyako prawde, prawqa a sprawiedliwa czymkolwiek wiem przyczymech byla i czom widziala, slyszala, wyznac y powiedziec nic niezataiac, ani nieprzyczyniaiac, nieogladaiac się na przyiazn y na nieprzyiazn, na przyjacielstwa ani na nieprzyjacielstwa, ani na dary, na gniew, na zawiscz na grozbę, ani na nic takowego, coby mię od swietey prawdy odwiescz y odpędzić mielo. Atak mi Pan Bog pomagai w Trooycy Sw Iedyny, a dostojna Panno Maria i Wszyscy Sw Amen”¹²²

Cały skład sądu wójtowskiego z uwagą wysłuchał słów przysięgi. Urzędnik powrócił na swoje miejsce.

- Skąd pochodzicie? – spytał wójt.

¹²² Tekst oryginalny.

- Z Polski, panie... – odparła kobieta.
- Skąd się tutaj wzięliście?
- Przyjechałam za pracą.
- Czy znacie Krystynę Waławczykową?
- Tak, pracuję u niej od lat.
- Co robicie?
- Zajmuję się jej gospodarstwem. Mąż Waławczykowej nie żyje, a syn nie ze wszystkim sobie radzi.
- Czy dobrze poznaliście Waławczykową? – spytał wójt.
- Tak, panie... To dobra kobieta... – mówiąc to Janikowa spojrzała w bok sali, gdzie siedziała Waławczykowa. Uśmiechnęła się do niej.
- Czy pamiętacie noc, kiedy Waławczykowa miała swój sen?
- O tak – odparła Janikowa z wielką powagą na twarzy – Bardzo się wtedy wystraszyłam.
- Dlaczego?
- Ona dostała tej nocy gorączki, panie. Majaczyła. W pewnym momencie obudziła się, choć mnie się wydawało, że ona ciągle śni.
- Czego chciała? – spytał wójt.
- Zaczęła mówić o swoim śnie – odparła kobieta – Powiedziała, że widziała zamaskowane postacie, które gotowały wywar z jałowca, jaszczurki, węża, żaby, piór z koguta i „koskow czwartkowych”.
- Kto w tym śnie to gotował?
- Janikowa na chwilę zamilkła. Widać było, że stara się sobie wszystko dokładnie przypomnieć.
- Waławczykowa mówiła, że były to dwie kobiety i jeden mężczyzna o wielkim, paskudnym nosie¹²³. Mówiła też, że widziała tam osoby, które wkrótce miały umrzeć: młodzieńca, mężczyznę i kobietę¹²⁴.
- Słowa Janikowej wywołały głośny szum na sali. Wójt naradzał się z ławnikami.
- Gdy Waławczykowa obudziła się, ugotowała ten wywar? – spytał wójt.
- Tak, panie – odparła Janikowa – Kazała go rozlać pod drzwiami kurnika. Powiedziała też o swoim śnie kucharce Krylińskich i prosiła, żeby im przekazać, że muszą się chronić przed niebezpieczeństwem.
- Uwierziliście jej?
- A dlaczego nie, panie? My zawsze sobie pomagaliśmy...
- Na sali znowu zawrzało.

¹²³ W oryginale: „chłop był, nos miał wielki, okrutny”.

¹²⁴ W oryginale: „jeden młodzieniec, drugi chłop, a trzecia biała głowa”.

– Czy widzieliście kiedykolwiek, aby Waławczykowa zajmowała się czarami? – spytał wójt.

– Nie, panie, nigdy – odparła Janikowa z wielkim przekonaniem w głosie.

– Jesteś pewna? – dopytywał się wójt – Żadnych wywarów, guseł i temu podobnych?

– Nie, panie. Nigdy tego nie robiła – odpowiedziała kobieta.

– Dobrze... Czy na podłaniu wywarem kurnika wszystko się skończyło?

– Nie, panie...

– Co jeszcze?

– Waławczykowa, jak całkiem doszła do siebie, mówiła, że trzeba kopać pod kurnikiem, by zrzucić zły czar i ratować Krylińskich.

– Kopać? – spytał głośno wójt.

– Tak, panie.

– Zrobiliście to? Razem?

– Tak... Chciałam pomóc... – powiedziała mocno zakłopotana Janikowa.

Wójt wyciągnął z kieszeni kawałek materiału, którym przetarł sobie czoło. Józef uważnie go obserwował. Miał nieodparte wrażenie, że wójta coś trapi. Mógł tylko podejrzewać, co. Ktoś na niego naciskał. Tymczasem zeznania świadków szły nie w tym kierunku, który był oczekiwany...

– To wszystko na dzisiaj – powiedział wójt – Ostatnia rozprawa odbędzie się w Bytkowie, zgodnie z życzeniem pana Krylińskiego.

Kto każe ci to robić? – pomyślał Józef wstając z krzesła, ciągle przypatrując się wójtowi. Jego gwałtowne ruchy wskazywały na dużą nerwowość. Kto? Józef był pewien, że wójt przestał samodzielnie działać i podejmować decyzje. Ktoś inny robił to za niego.

Józef mocno zamyślony wracał do domu. Nie ulegało wątpliwości, że dzisiejsze zaznania Janikowej pogłężyły obydwie oskarżenia. Teraz należało się spodziewać najgorszego. W mieście głośno były dzwony. Józef nie wiedział, dlaczego. Zbliżając się do domu nie zauważył, że czeka na niego brat.

– Słyszałeś wieści? – spytał Andrzej wyrывая Józefa z myślowego letargu.

– Jakie wieści, bracie?

– Hrabia Eliaz¹²⁵ dzisiaj zmarł.

Józef z przerażeniem w oczach spojrzał na Andrzeja.

– Jak to? – szepnął.

¹²⁵ Hrabia Eliaz zmarł w Boguminie w dniu 27 kwietnia 1667 r. Jego synem był Eliaz Andrzej, który ożenił się z Anną Marią, kobietą z rodu Hohenzollernów. Przejął po swoim ojcu majątek bogumiński. Córka hrabiego Eliasza została wydana za mąż za hrabiego Karla von Auersberg.

– Zmarł w Boguminie – odparł Andrzej – Teraz to ogłoszono. Przed chwilą. Dwóch braci już nie żyje... Został tylko trzeci...

Józef nie wiedział, co odpowiedzieć. Brat zrobił to za niego.

– Zły zmiata ich po kolei z tego świata, bracie – powiedział – Jednego po drugim. Jak przegniłe drzewa...

Józef nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Dzwony... – pomyślał.

– To może przypadek? – wyszeptał po chwili.

– Bracie, przypadek? Nie wierzę – odparł pewnie Andrzej – Jak tam przesłuchania?

Józef nie mógł pozbierać myśli. Nie wiedział, co ma bratu powiedzieć. Był zszokowany informacją o śmierci hrabiego Eliasza.

– Spalą je na stosie – powiedział.

Andrzej tylko w milczeniu skinął głową.

– Tak myślałem... Zły będzie miał ręce pełne roboty... Nie przyczyniaj się czasem do tego, bracie... – dodał po chwili – Z Bogiem. Uważaj na siebie – powiedział na pożegnanie.

Józef przez dłuższą chwilę stał nieruchomo patrząc, jak sylwetka brata robi się coraz mniejsza. Porywy kwietniowego, chłodnego wiatru uderzały go po twarzy. Hrabia Eliasza... W uszach ciągle dźwięczały mu słowa brata: *„Zły zmiata ich po kolei z tego świata, bracie. Jednego po drugim”*. Boże, Andrzej ma rację...

1667 – rozprawa w Bytkowie

„ (...) jako czarownice swą szatańską nauką ludzi obojej płci w bestie odmieniają”

„Młot na czarownice. Postępek zwierchowny o czarach (...)”, 1487

To był dzień 29 kwietnia 1667 r. W Bytkowie w obecności landwójta Jana Miroszewskiego i czterech ławników miała się odbyć ostateczna rozprawa. Jako miejsce, gdzie miał odbyć się proces, wybrano dużą salę w dworku Krylińskich. Józef, jako jeden z czterech ławników, wchodził tam z przerażeniem. Miał wrażenie, że w pustym i cichym dworku już na zawsze zamieszkała śmierć. Ciężkie zasłony w oknach, zakurzone meble, zaduch i zapach wilgoci. Woń śmierci i żałoby. Nic więcej... Po chwili wszyscy członkowie sądu byli już przygotowani do rozpoczęcia rozprawy. Oczywiście był na niej obecny sam Kryliński, jak również Jan Kalus jako obrońca Wacławczykowej i Słupskiej, dotąd dość nieudolny, a także Wacław Koska pełniący rolę oskarżyciela. Liczbę osób, które miały być świadkami procesu, znacznie ograniczono. Landwójt najpierw odczytał akt oskarżenia, a później treść zeznań Wacławczykowej i Słupskiej. Józef słuchał z wielkim skupieniem. Kolejne dokumenty, kolejne zdania, kolejne opinie i spory pomiędzy oskarżycielem i obrońcą. To wypełniało cały proces.

– Sąd nie ma pewności, co do snu Wacławczykowej. Bardziej jesteśmy skłonni uważać, że to tylko jej senne majaczenia – powiedział w pewnym momencie landwójt.

– To sabat! – krzyknął Koska – To bez wątpienia sabat, który ledwo co pamiętała! Nikt nie odpowiedział.

– Obydwie oskarżone, a szczególnie Krystyna Wacławczyk, wszystko co zrobiły, zaplanowały w dobrej wierze – mówił w innym momencie obrońca Jan Kalus – Ich zabiegi nie miały żadnego źródła magicznego. To po prostu dawna medycyna ludowa, o której wiedzę oskarżone posiadały. Nie ma w tym żadnej magii.

– To więdźmy! – krzyczał Koska – Doprowadziły do śmierci wielu osób! Są temu winne! Co z pozostałymi kobietami? To hańba! One wszystkie są więdźmami!

– Sąd nie widzi w nich żadnej winy – mówił landwójt.

W trakcie procesu przywiezione do Bytkowa Krystyna Wacławczyk i Anna Słupska, a w szczególności ta druga, były w bardzo słabej kondycji fizycznej. Czasami miało się wrażenie, że nie do końca były świadome, co dzieje się na sali. Koska zarzucił Słupskiej kolejne czynności magiczne, jak zakopywanie czarów, rzucenie klątwy, czczenie innych bogów, szkodzenie krowom i ogólny nieurodzaj na włościach Krylińskiego.

– Czy oskarżona przyznaje się do winy? – spytał Annę landwójt.

Słupska nie odpowiedziała. Pokręciła jedynie głową na znak, że się nie przyznaje. Nie miała siły wydobyć z siebie głosu. Koska jednocześnie poinformował członków sądu, że Kryliński już nie raz próbował pozbyć się Słupskiej ze swojej ziemi, ale nigdy to się nie udało. Zawsze wracała.

– Dlaczego? – spytał Koskę landwójt – Dlaczego pan Kryliński próbował się jej pozbyć?

– Bo źle o niej słuchy chodziły – powiedział Koska po chwili narady z Krylińskim – Mówiono, że kradnie, że dostała wyrok za spędzanie płodu w Chorzowie oraz awanturnictwo¹²⁶.

– Ludzie zeznawali, że zajmowała się jedynie praktykami leczniczymi i sporządzała z ziół różne wywary – powiedział landwójt – Zaprzeczali, że stosowała magię.

– To nieprawda! – krzyczał Koska.



Ilustracja 38 – Czarownica.

Przesłuchano miejscowego młynarza Melchiora Szczekalę, który z powodu swojej choroby kiedyś trafił do Słupskiej. Jego małżonka też.

¹²⁶ W oryginale: „narzekanie iest na nią, a ludzie mówią, że się czarami i gusłami bawiła”.

– Jakie praktyki wobec was zastosowała oskarżona? – spytał go landwójt.

– Nic wielkiego, panie – odparł świadek – Kazała nam często się kąpać, obmywać ciało gorzałką i wywarem z ziół i wody święconej.

– Nie ma w tym żadnej magii – mówił obrońca Kalus – To tylko ludowa medycyna.

– To czary! To magia! – krzyczał Koska.

– Przecież pan Bóg stworzył zioła¹²⁷ – próbowała w pewnym momencie bronić się sama Słupska, choć kosztowało ją to wiele wysiłku.

– Przecież to dawny ludowy zwyczaj, święcenie ziół, które później wykorzystywane są przez ludzi do leczenia chorób – mówił w jej imieniu Kalus.

Józef przez cały proces miał wrażenie, że tak naprawdę decyzja już zapadła. Już po wszystkim. Na koniec landwójt Jan Miroszewski jako przewodniczący sądu odczytał wyrok¹²⁸:

– Za zarządzeniem starosty ziemskiego jegomości Jana Miroszewskiego, pana na Michałkowicach, hetmana ziemskiego państwa bytomskiego (...), a także za zarządzeniem sławnych, mądrych i opatrnych panów burmistrza Bytomia, rady miejskiej, my wójt, landwójt i zaprzysiężone osoby i ławnicy miasta Bytomia orzekamy¹²⁹. Wszyscy zachowali się należycie jadąc na grunt pana Teodora Marcina Krylińskiego, dziedzicznego pana na Bytkowie i Rogoźniku, pisarza ziemskiego księstwa siewierskiego, którego wspierały osoby starsze z dziedziny i gruntów Michałkowice i Siemianowice¹³⁰. Na miejscu zasiedliśmy razem z Wacławem Koską, człowiekiem pana Krylińskiego i oskarżycielem, a także Krystyną Wacławczykówną i Anną Słuską, których obrońcą był Jan Kalus¹³¹. Po rozpatrzeniu spraw związanych z czarami i gusłami¹³², wszystko zgodnie z obowiązującym prawem¹³³ uznajemy oskarżone Krystynę Wacławczyk za winne posługiwania się czarami. Obydwie zostają uznane za wiedźmy. Karą za ich czyny, zgodną z prawem, powinna być śmierć

¹²⁷ W oryginale: „Pan Bog Ziola dla pożytku zdrowia ludzkiego stworzil, gdzie y Doctor drogiemi leykami leczą a przecę ludzie umierają”.

¹²⁸ Wyrok cytowany jest w oryginalnym brzmieniu i tłumaczeniu autora.

¹²⁹ W oryginale: „Za narządzeniem y poręczeniem JMsci Pana Jana Miroszewskiego z Mieroszowicz na Michalkowiczach a Malobandzu Heytmana Ziemskiego Panstwa Bythomskego, a Podśodka xstwa Sziewierskego, któremu datum na Malobandzu dnia 25 Aprilis przytomnego 1667 Roku, także y za narządzeniem sławnych, Mądrych y opatrnych Panow Burmistrza y Raddy Miasta Bythomia, My Woyt, Landwoyt y przysięzne osoby Vrżędy y Prawa Lawicy miasta Bythomia [...]”.

¹³⁰ W oryginale: „[...] takoz my się należycie zachowali, a ziadąc na grunt JMsci Pana Theodora Marcina Krylinskiego dziedzicznego Pana na Bytkowie a Rogozniku, Pisarza Ziemskiego xstwa Siewierskiego mając przydanych sobie osoby y starszych z gruntow y dziedziny Michalkowicz y Ssymianowicz”.

¹³¹ W oryginale: „Zasiednawszy Prawożmy Zagayili, w tej przy[czynie] między Wacławem Koską, pomocnym Człowiekiem na miejscu [...] Pana Krylinskiego Zalobnikiem z iedney, a Krystyną Wacławczykówną y Anną Słuską mającą przy sobie za defensora Jana Kalusa”.

¹³² W oryginale: „posprawie nieyakych czarow albo y guslow, obzalowaną zstrony drugiey”.

¹³³ W oryginale: „[...] co zobu stron ustnie przemówiono, listownie y articulami prawnymi allegirowano bylo, wszystkie okolicznosci, podług neylepszey moznosci pilnie uważaiac z Prawa naszego Zagaionego a niepodeyżrzalego ten Decret ferujemy [...]. [...] z tych a takowych przyczyn, a ze na gruncie JM. Pana swego zgorszenie przesto dala, podług articulu prawnego, de criminibz extraordinarys, pod lit: P. articula 23. W pokutę y karanie upadla powinna iest”.

poprzez spalenie na stosie. Ich majątek będzie podlegał konfiskacie. Syn Krystyny Waławczykowej Walenty zobowiązuje się pozostać lojalnym poddanym pana Krylińskiego. Zgodnie z życzeniem dobrotliwego hrabiego Jerzego Fryderyka Henckel von Donnersmarck, wyrok zostaje zmieniony na banicję.

Czyli też śmierć – pomyślał Józef – Tylko innego rodzaju...

Landwójt usiadł. Nikt nie zabrał głosu. Na sali było słyhać tylko szepty i ściszone rozmowy. Wszyscy pogodzili się z treścią wyroku. Skazane również. Tylko Józef nie miał czystego sumienia. Uważał, że przyłożył do tego rękę, choć jako ławnik zaznaczał swoje odrębne zdanie. On, Józef z Bytomia, nie widział w tych kobietach żadnej winy...

1667 – banicja skazanych

„Naprzód tedy wiedzieć potrzeba, iż sześciami sposobów czarownice ludziom szkodzić mogą, wyjąwszy sposoby, którymi insze stworzenia zarażają. Pierwszy sposób jest, gdy nieporządną miłością mężczyznę ku białogłowie albo białogłową ku mężczyźnie zapalają. Wtóry, gdy nienawiść lub zazdrość ku komu sprawują. Trzeci, którym ludzi czarują, żeby moc rodzajną mężczyźnie ku białogłowie lub białogłowa mu mężczyźnie traciła: albo też inszymi sposobami poronienie sprawują. Czwarty, gdy w członku jakim człowiekowi szkodzą. Piąty, gdy o śmierć przyprowadzają. Szósty, gdy do szaleństwa przywodzą. Przy czym przyznać musim, iż w każdym innym stworzeniu, wyjąwszy okręgi niebieskie, które dla przytomności Aniołów obracających także dla powszechnego dobra świata wszystkiego od czar wolne są prawdziwe choroby, czynić mogą czarownice mocą szatana (...)”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

Skazane wyrokiem sądu Krystyna Waclawczyk i Anna Słupska zostały wyprowadzone z miasta przez Bramę Pyskowską w pobliże miejsca, które mieszkańcy nazywali Ścinadłem¹³⁴. Towarzyszyła im spora grupa ludzi, w tym wójt, urzędnicy miejscy, członkowie rady miejskiej i ławnicy. Kobiety, pogodzone ze swoim losem, szły spokojnym krokiem. Przed wściekłością i nienawiścią tłumu broniła ich grupa strażników. Padaly obelgi i wyzwiska, rzucano kamieniami i patykami, pluto i znieważano te, które sąd uznał za winne. Waclawczykowa starała się pomóc Słupskiej, która z powodu procesu i tortur znacznie podpadła na zdrowiu. Podtrzymywała ją pod ramię. Józef siedł w milczeniu razem ze swoim bratem Andrzejem. Z niepokojem spoglądali na reakcję ludzi.

Gdy doszli na miejsce, z tłumu padły głośnie okrzyki: Uhrfrid! Uhrfrid! Niech złoży Uhrfrid!

¹³⁴ Miejsce poza murami miasta Bytom przy obecnej ul. Wrocławskiej, oznaczone wysokim drewnianym krzyżem (naprzeciw najstarszej części bytomskiego więzienia), gdzie od czasów średniowiecza wykonywano wyroki śmierci. Stała tam szubienica oraz sporych rozmiarów drewniany kłoc, na którym skazanemu układano głowę do ścięcia. Najprawdopodobniej w późniejszym okresie znajdował się tam również przegrzęd (wcześniej usytuowany na rynku). Osoby, które zostały tam powieszzone, wisiały na stryczku przez wiele dni, wydane na pastwę ptaków i dzikich zwierząt. Na przykładzie Gliwic można spodziewać się, że w pobliżu bytomskiego Ścinadła znajdował się również cmentarz, na którym chowano ofiary egzekucji. W 2013 r. podczas budowy odcinka miejskiego drogi DTŚ odkryto w Gliwicach obszerne cmentarzysko, na którym pochowano 44 osoby. Groby były kopane na miarę, więc dokładnie było wiadomo, kto będzie w nich leżał i jak zostanie pochowany. Przy szczątkach nie odnaleziono żadnego wyposażenia, jedynie haftkę do zapięcia koszuli. 17 osób miało odcięte głowy, położone między nogami, na dłoni albo na ramieniu. Pochowani w Gliwicach to skazańcy, natomiast umieszczenie głowy to rodzaj antywampirycznego zabiegu. Jednemu mężczyźnie obcięto głowę już po śmierci. Specjaliści datują powstanie tego gliwickiego cmentarzyska na koniec XV lub pocz. XVI w. Później został zapomniany. W Bytomiu taki cmentarz też musiał istnieć. Prawdopodobnie było to w okolicy Ścinadła.

Nad wrzeszczącymi złowieszczo sterczała sporych rozmiarów solidna szubienica. Nie pozwalała zapomnieć, jakie to miejsce.

– Skazane na wyświecenie złożą w tej chwili Uhrfid! – krzyknął wójt.

Strażnicy zmusili kobiety do ukłęknięcia.

– Czy przysięgacie, że już nigdy nie powrócicie na te ziemie? – spytał głośno wójt.

Wacławczykowa klęczała z nisko opuszczoną głową, obejmując ręką szlochającą Słupską.

– Przysięgacie? – krzyczał wójt.

Wacławczykowa podniosła głowę.

– Przysięgam już nigdy tu nie powrócić – powiedziała cicho, ale na tyle zrozumiale, że wójt poczuł się usatysfakcjonowany. Krystyna знаła reguły Uhrfid. Wypowiadając wcześniejsze słowa przyłożyła dwa palce prawej dłoni do lewej piersi. Wójt przeniósł wzrok na Słupską. Stara kobieta nie była w stanie wydusić z siebie żadnego dźwięku. Patrząc na wójta głęboko skinęła głową, jak również przyłożyła palce do piersi. Wójt uznał, że przysięga została złożona.

– Czy przysięgacie, że nie podejmiecie żadnej zemsty wobec waszego oskarżyciela i waszych sędziów? – spytał.

Wacławczykowa spojrzała na niego, ale nie odpowiedziała ani słowem. Słupska nie miała już na nic siły. Wójt wiedział, że nic więcej z nich nie wydusi.

– Zabraniam wam podejmowania takich działań pod groźbą najsurowszej kary! – krzyknął tak, aby wszyscy go słyszeli – Idźcie z Bogiem!

Tłum oszalał. Ludzie zaczęli wrzeszczeć, każąc kobietom jak najszybciej oddalić się z tego miejsca. Ponownie poszły w ruch kamienie i patyki. Pojawiło się nawet kilka mioteł, którymi uderzano klęczące kobiety. Wacławczykowa dumnie podniosła się do pozycji stojącej. Pomogła wstać ślaniającej się na nogach Słupskiej. Objęła ją mocno ramieniem. Po chwili kobiety ruszyły w kierunku zachodnim. Szły bardzo powolnym krokiem. Tylko na tyle było je stać. Tłum nadal szaleńczo wrzeszczał. Postacie kobiet powoli oddalały się. Po jakimś czasie przerażający spektakl zakończył się. Ludzie wrócili do miasta, a wygnane posłusznie szły w kierunku swojego losu.

– Jak się z tym czujesz, bracie? – spytał Andrzej, gdy wracali już do miasta. Celowo zostali nieco w tyle, aby nikt nie słyszał ich słów – Widzę, że ci ciężko...

Józef przez chwilę nie odpowiadał. Wlekli się krok za krokiem.

– Andrzej, to nie był sprawiedliwy proces – powiedział po chwili – Byłem tam, wszystko widziałem i słyszałem... One nie zajmowały się czarami. Nie dość, że chciały pomóc, to użyły do tego zwykłych ludowych zwyczajów.

– Dlaczego więc taki wyrok?

Józef znowu zagłębił się w swoich myślach.

– Jestem pewien, bracie, że ktoś naciskał na wójta i landwójta – powiedział – Komuś bardzo zależało, by zostały uznane za wiążące...

– Został już tylko jeden, któremu mogło zależeć – powiedział cicho Andrzej.

Ma rację – pomyślał Józef – Mój brat ma rację...

– Powiedz mi – powiedział stawiając wolno krok za krokiem – Dlaczego im tak zależy? Jaki w tym mają cel?

– Długo się nad tym zastanawiałem – odparł Andrzej – Nie jestem pewien, ale myślę, że to ich niezdrowy sposób na rządzenie. Pewnie są przekonani, że robią dobrze.

– Przecież wyrządzają ludziom krzywdę – Józef nie mógł się z tym pogodzić.

– Bracie, kim my dla nich jesteśmy? – Andrzej nagle stanął w miejscu i spojrzał na brata – Kim? Parobkami, poddanymi, przedmiotami, które można dowolnie traktować. Czy dla nich liczy się nasze szczęście? Nie. Czy obchodzi ich nasza krzywda? Też nie. Co dla nich znaczy nasze życie? Zupełnie nic. Liczy się tylko ich cel. Władza i pieniądze. Tytuły i zaszczyty. Dla nich poświęcą każdego z nas.

Józef z przestachem patrzył na brata. Nie spodziewał się takich słów z jego ust. Rozejrzał się dookoła. Nikogo w pobliżu nie było.

– Andrzej, za takie słowa mogą cię zabić – powiedział cicho – Nie przerażaj mnie...

– Nie ja jestem ich sprawiedliwością, bracie – odparł Andrzej – Ktoś inny ją wymierza...

– Masz na myśli Złego?

– Tak.

– Dlaczego miałby to robić? Przecież to nie jest nasz obrońca. To Zły...

Andrzej spojrzał na niebo, na którym stado ptaków zataczało szerokie kręgi.

– Zło przyciąga Złego – powiedział – On tego nie robi tego dla nas. On to robi dla siebie...

Umilkli. Po chwili ponownie ruszyli w stronę Bramy Pyskowskiej, ale nadal szli bardzo powoli.

– Wiesz, słyszałem niedawno – mówił Andrzej – że na krótko przed śmiercią hrabiego Gabriela pojawił się u niego jakiś zakonnik. Spowiednik.

– Kto ci to mówił? – spytał Józef.

– Jeden z parobków hrabiego – odparł Andrzej – Spił się w gospodzie i gadał wszystko, jakby sam był na spowiedzi. Mówił, że zakonnik wszedł do komnaty, gdzie leżał umierający Gabriel i dłuższą chwilę był z nim sam na sam. Gdy wyszedł, hrabia zaraz wyzionął ducha.

– Czyli zdążył się wyspowiadać ze swoich grzechów – powiedział Józef.

– Tak – odrzekł Andrzej – Tylko nikt nie wie, kim ten zakonnik był. Szukano go później, ale jakby zapadł się pod ziemię...

– To ciekawe...

– Eliasz podobno odszedł bardzo szybko. Pogromca Żydów. Nienawidził ich... – dodał Andrzej.

– Tak. Wieści też się szybko rozeszły – powiedział Józef – Jeszcze tego samego dnia były u nas dzwony.

– Myślę – odparł Andrzej – że jego brat się tego spodziewał. Jakby był na to przygotowany...

Józef nie odpowiedział.

– Popatrz – mówił dalej Andrzej – Eliasz pozostawił tylko jednego syna. Gabriel nie miał spadkobierców...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zły chce zakończyć ich ród. Pewnie uważa, że sobie na to zasłużyli.

– Boże, Andrzej... – szepnął wystraszony Józef nerwowo rozglądając się dookoła.

– Jak to inaczej wytłumaczyć, bracie? – powiedział stanowczo Andrzej – Uznamy, że wszystko to przypadkowy zbieg okoliczności?

To nie jest zbieg okoliczności – pomyślał Józef – Na pewno nie jest.

– Powiedz mi, co osiągnęli? Na co im zaszczyty? Tylko ludzi ze sobą skłócili... – dokończył Andrzej z ogromnym wyrzutem w głosie.

– Zamknij się, głupcze – syknął Józef – Będziemy mieli przez to problemy. Zamilcz!

Przez dłuższą chwilę szli nie odzywając się do siebie.

– Kolejna sprawa sądowa się szykuje – przerwał niezręczną ciszę Józef.

– Jaka? Znowu o czary?

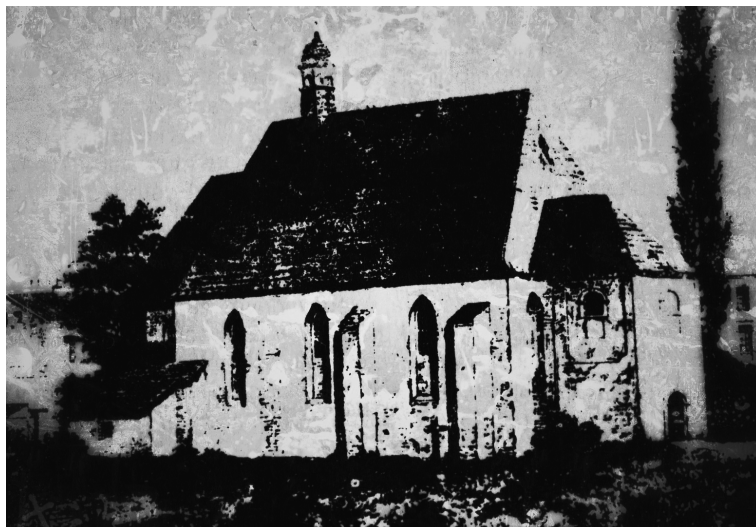
– Nie... Cech sukienników wniósł oskarżenie. Podobno podczas ich spotkania pokłócili się ze sobą, a jeden obraził drugiego używając słów: „ty psie siwy, zdrajco”.

– Źle się dzieje... – powiedział cicho Andrzej – Ludzie skaczą sobie do gardeł... Zbliżając się do Bramy Pyskowskiej mijali znajdujący się nieco na północ od bramy niewielki, ogrodzony cmentarzyk, na którym w 1617 r. wzniesiono kaplicę cmentarną¹³⁵ w formie niewielkiego kościółka noszącego zarówno cechy neoromańskie, jak i neogotyckie. Kościółek zbudowano z kamienia wapiennego i przykryto drewnianym gontem. Bracia dość często tam zaglądali, gdyż pochowano tam ich dziadka, a także rodziców. Minęli Bramę Pyskowską. Miasto wróciło do swojego codziennego życia.

– Zły wgrzyzł się w to miasto, bracie – powiedział cicho Andrzej patrząc na bytomian, którzy wrócili do swoich obowiązków – Wbił się głęboko pazurami... Pójdę już... Będzie coraz gorzej... Z Bogiem, Józefie.

¹³⁵ W swojej kronice Franz Gramer podaje, że władze miasta Bytom pożyczły od mieszczan Jana Cirana i Jana Zuchera z Tarnowskich Gór kwotę 600 talarów na budowę kaplicy cmentarnej, na co wystawiono weksel w dniu 20 czerwca 1617 r. Pożyczka miała być oddana w ciągu roku, ale przeszkodziła w tym wojna 30-letnia. Dług został zwrócony dopiero w 1664 r.

Andrzej powolnym krokiem ruszył w stronę swojego domu. Józef długo za nim patrzył. Miał wrażenie, że jego brat wygląda jakoś inaczej. Jakby starzej. Przytłoczony życiem i swoimi myślami. Po chwili ruszył w stronę ratusza. Sprawa cechu sukienników czekała, ale nie tylko ona. Józef chciał się o czymś przekonać. Szybkim krokiem zawrócił w stronę Ścinadła. Poszedł tam, skąd przed chwilą przyszli...



Ilustracja 39 – Kaplica cmentarna z 1617 r. na cmentarzu miejskim; źródło: wikipedia

Wacławczykowa była coraz słabsza. Starła się ciągle podtrzymać Słupską, ale zaczęło brakować jej sił. Szły ziemnym traktem w kierunku zachodnim, w stronę grodu w Pyskowicach. Odeszły już spory kawałek od Bytomia.

– Zostaw mnie tutaj – powiedziała Anna – Nie przejmuj się mną. Jesteś młoda. Możesz jeszcze ocaleć. Ja już nie mam siły na życie. Zostaw mnie, proszę...

Krystyna na dźwięk tych słów mocniej ujęła Annę pod rękę.

– Nigdy w życiu – odparła – Przeszliśmy przez to razem, to i teraz damy radę. Jeszcze trochę i odpoczniemy...

Ruszyły dalej, choć ich kroki stawały się coraz powolniejsze i chwiejne. Pomimo tego nie rezygnowały.

– Boże... – szepnęła nagle Krystyna spoglądając na drogę. Na jej środku stał mężczyzna odziany w strój wędrowca. Nie było widać jego twarzy, bo miał nisko opuszczoną głowę. Jego ręce zwisały wzdłuż tułowia. Krystyna stanęła w miejscu. Anna też go dojrzała.

– Pozwól nam przejść – powiedziała Krystyna – Nie rób nam krzywdy. Proszę...

Mężczyzna nie odpowiedział. Nie uniósł nawet głowy.

– Odejdź – głos Wacławczykowej stawał się coraz bardziej stanowczy – Daj nam spokój... Mało nam upokorzeń?

– Pewnie chce nas zabić – szepnęła do niej Słupska.

Krystyna trzymając ją ciągle pod rękę zrobiła kilka kroków w stronę mężczyzny.

– Zejdź nam z drogi! – powiedziała głośno.

Mężczyzna podniósł głowę. Błękitne oczy spojrzały prosto na Krystynę i Annę. Kobiety nagle przestały bać się wędrowca, a on przyjaźnie uśmiechnął się do nich.



Ilustracja 40 – Waławczykowa i Słupska.

– Chcecie zemsty? – spytał.

– Jakiej zemsty, panie? – pierwsza odpowiedziała Słupska z wyraźną nutą strachu w głosie.

Waławczykowa nie odzywała się.

– Chcecie? – ponowił swoje pytanie mężczyzna.

– Składaliśmy Uhrfid – powiedziała Krystyna – Nie chce łamać swojej przysięgi... Zrobili ze mnie wiedźmę, ale przed Bogiem nie stanę się krzywoprzysiężcą...

– Nie musisz – odparł mężczyzna – Ja zrobię to za ciebie... Mało zła wam wyrządzono?

– Tak – powiedziała stanowczo Waławczykowa – Uczyniono nam krzywdę...

– Nie uważasz, że należy im się kara?

Krystyna spojrzała na zmaltretowaną Annę.

- Tak, należy im się kara... – powiedziała.
- Chodźcie za mną – powiedział niebieskooki i ruszył drogą. Kobiety, jakby z niewymi siłami, posłusznie podążyły za nim.



Ilustracja 41 – Mężczyzna o niebieskich oczach.

Nikt z nich nie zauważył, że w oddali, w ukryciu między drzewami znajdowała się ludzka postać. Mężczyzna, aby wtopić się w zimowy krajobraz, ubrał na siebie białe płótno. Przez dłuższy czas śledził Waławczykową i Słupską. Widział, jak traciły siły, jak upadały, jak znowu podnosiły się i z godnością szły dalej. W innej sytuacji chętnie by im pomógł, ale tym razem nie mógł. Zdradziłby swoją obecność. Widział moment nagłego, niespodziewanego pojawienia się obcego mężczyzny, przed którym kobiety nagle stanęły na drodze. Widział, jak prowadzą z nim rozmowę. Patrząc z ukrycia mężczyzna uważnie wpatrywał się w kobiece postacie i ich nowego towarzysza. Chwilę z nim rozmawiały, a następnie wspólnie ruszyli. Co dziwne, tym razem żwawo i ochoczo. Mężczyzna obserwował ich, dopóki nie zniknęli mu z oczu. Z kim rozmawiały? Kto je poprowadził w dalszą drogę? Mężczyzna podejrzewał, kim był tajemniczy towarzysz. Bał się jednak tej myśli. Po chwili ruszył w kierunku miasta.

1667

„Ostatni jest rodzaj czarów, który się między męską płcią znajduje trojakim obyczajem, są abowiem jedni z nich strzelcy czarownicy, którzy na każdy dzień trzech albo czterech ludzi nieomylnie, jeśli chcą zabić, mogą. Drudzy, którzy broń rozmałą zamawiają, żeby im nie szkodziła, iżeby rany w sobie mieć nie mogli. Trzeci, którzy dla obrony ciała swego słowa pewne abo charaktery przy sobie noszą”.

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

Nastał wiosenny maj 1667 r. Na dworze było coraz cieplej. Wokół miasta chłopci pojawili się na polach, obsiewając je i szykując do lata. W mieście ludzie coraz więcej czasu spędzali na ulicach. Rzemieślnicy pracowali w swoich warsztatach, często wynosząc narzędzia na zewnątrz, korzystając ze słońca i wiosennego ciepła. Po śniegu nie było już śladu. Drzewa i krzaki zaczęły pokrywać się wiosennym kwieciami. Ptaki wesoło świergotały, a miejskie koty leniwie wylegiwały się w słońcu.

Pewnego majowego dnia Józef wybrał się z wizytą do znajomego zakonnika. Od dawna z nim nie rozmawiał. Po prostu nie było na to czasu. Jako ławnik miał ręce pełne roboty. W ratuszu toczyły się kolejne sprawy sądowe – jedna za drugą. Tego dnia mógł sobie pozwolić na przerwę i wizytę. Ruszył w kierunku Placu Klasztornego. Gdy doszedł do klasztoru minorytów, od razu udał się na jego tyły. Wiedział, że tam najłatwiej spotkać zakonnika. Nie pomylił się. Ten pracował przy swoich owocowych drzewach. Jak zwykle robił to z miłością i sercem.

- Szczęść Boże – powiedział do niego Józef. Zakonnik spojrzał na niego.
 - Szczęść Boże, Józefie – odparł – Dawno cię nie było.
 - Miałem sporo zajęć.
 - Wiem, słyszałem... Jesteś ławnikiem.
 - Tak.
 - To odpowiedzialna funkcja. Spraw sądowych też nie brakuje...
 - Nie spodziewałem się – powiedział Józef – że będzie ich aż tyle. Brak mi czasu na domowe zajęcia.
 - Musisz pamiętać o domu – rzekł zakonnik – Pamiętać o żonie i dzieciach.
 - Tak, wiem...
 - Rodzina jest najważniejsza... Nigdy o tym nie zapominaj.
- Józef ze zrozumieniem skinął głową.
- Co dzisiaj robisz? – spytał

Zakonnik ruszył w stronę niewielkiej drewnianej szopy, która stała w pobliżu. Tam trzymał swoje narzędzia. Józef ruszył za nim.

- Każdego dnia jest co robić - odparł zakonnik - Wiesz, zanim pojawią się liście, trzeba przyciąć drzewka. Ptaki jeszcze nie wróciły do gniazd. Muszę to zrobić teraz, bo później zrobię im krzywdę...

- No tak.

- To moje dzieci. Muszę o nie dbać - roześmiał się zakonnik.

Józef spojrzał na niego z sympatią. Zawsze zadziwiał go spokój i niesamowita siła życia, jaka emanowała z tego człowieka. Zakonnik wszedł do wnętrza szopy. Grzebał w jej wnętrzu. Po chwili wyrzucił na ziemię krótką piłę do cięcia.

- Józefie, pomożesz? - krzyknął ze środka.

- Oczywiście.

- Muszę wyciągnąć drabinę. Zaklinowała się czy co...

Wspólnymi siłami wyciągnęli na zewnątrz sporej długości drewnianą drabinę, którą oparli o szopę.

- Stara ta drabina - powiedział Józef - Będiesz na nią wchodził?

- Pewnie. Od lat mi służy.

- Ja bym się bał... Popatrz na te szczeble.

- To solidna drabina, Józefie. Tylko tak wygląda... Ja mam swoje lata, ona też. Dobrze się dogadujemy.

Józef uśmiechnął się do niego.

- Słyszałem, że brałeś udział w procesie tych dwóch kobiet - powiedział mnich.

- Tak.

- Co o nich powiesz?

- Pytasz, czy naprawdę były winne?

- Tak - powiedział mnich.

- Według mnie nie.

- To dlaczego je skazano?

- Pierwszego dnia wójt prowadził ich przesłuchanie całkiem normalnie - powiedział Józef - Starał się być bardzo dociekliwy i ostrożny. Drugiego dnia nastąpiła w nim jakaś zmiana. Zachowywał się tak, jakby już znał wyrok...

- To ciekawe...

- Co więcej, po pierwszym przesłuchaniu obydwie były torturowane, ale nikt o tym nic nie mówił... Wójt udawał, że nie widzi ich ran...

- Ktoś mu kazał - odparł mnich.

- Tak, też tak myślę - powiedział Józef.

- W trakcie procesu zmarł hrabia Eliaz - Józef nadal przyglądał się drabinie - Tak po prostu...

- Co chcesz powiedzieć?
- Rozmawiałem z bratem - powiedział Józef - On jest przekonany, że to nie jest zbieg okoliczności.
- Czyli? - spytał mnich.
- Mój brat twierdzi, że Zły zabiera ich po kolei...
- Zapadła chwila ciszy. Zakonnik nie odpowiadał.
- Dlaczego?
- Za ich grzechy. Za skazywanie i krzywdzenie niewinnych...
- Zakonnik znowu nie odpowiedział. Milczał. Józef rozglądał się po sadzie. Wszystkie drzewa i krzewy owocowe wyglądały wzorcowo. Jak z obrazka.
- Dlaczego Zły miałby ingerować w to wszystko? - spytał zakonnik.
- Nie wiem - odparł Józef - Może po prostu karze ich za egoizm? Za przedkładanie własnego interesu ponad wszystko?
- Zły miałby nas bronić przed nimi? - powiedział zakonnik - Przecież to bez sensu...
- Mój brat twierdzi, że Zły nas nie broni - odpowiedział Józef - tylko niszczy ich ród za czynienie zła. Zabiera ich za to do siebie...
- Tak, to zmienia postać rzeczy - odparł zakonnik - Pomożesz?
- Józef podszedł do drabiny i wraz z mnichem przeniósł je pod jedno z drzew. Wysoką jabłoń. Wspólnymi siłami oparli ją o pień drzewa.
- Przytrzymasz? - powiedział zakonnik wchodząc na szczeble, z piłką w jednej ręce.
- No pewnie - powiedział Józef - Wiesz, mój brat wspomniał, że przy śmierci hrabiego Gabriela pojawił się jakiś zakonnik, który na chwilę przed śmiercią go wyspowaiał. Podobno zaraz potem zniknął. Nikt nie wie, kto to był. Słyszałeś coś o tym?
- Tak, coś mi się obilo o uszy - powiedział zakonnik dochodząc prawie do szczytu drabiny.
- Ciekawe, co usłyszał... - odparł Józef mocno trzymając drabinę - To musiało być coś ważnego... Uważaj - powiedział do zakonnika.
- Ten chwycił ręką jedną z gałęzi i zaczął ją piłować. Robił to powoli i starannie.
- Tego nigdy się nie dowiemy - powiedział do Józefa.
- Piła w jego ręku pracowała miarowo i spokojnie. Z góry sypały się drewniane wióry. Jeszcze trochę, a gałąź spadnie na ziemię. Nagle Józef usłyszał głośny trzask. Przestraszony spojrzał do góry. Zakonnik wypuścił z ręki piłę i starał się utrzymać równowagę. Józef spojrzał na drabinę. Szczebel, na którym stał zakonnik, pękł. Przestał istnieć. To dlatego zakonnik stracił równowagę. Próbował jeszcze trzymać się gałęzi, ale nie dał rady. Zaczął zsuwać się w dół. Robił wszystko, aby nie spaść. Trwało to ułamki sekund. Józef nie wiedział, co ma zrobić. Przerażony patrzył na postać

zakonnika. Na szczęście ten zaczepił się habitem o dłużnicę drabiny. Wisiał zaczepiony, jak jedno z jego jabłek na gałęzi. Józef słyszał wyraźnie trzask pękającego materiału. Habit pod ciężarem zakonnika zaczął pękać i rozrywać się.

– Skacz! Złapię cię! – krzyknął Józef.

– Nie mam jak!

– Skacz!

– Nie mogę! Habit mnie trzyma! – krzyczał zakonnik.

Nagle rozległ się głośny dźwięk pękającego materiału, a zakonnik jak dorodne jabłko runął na dół. Józef puścił drabinę i rozłożył ręce, by złapać lecące z góry ciało. Nie było to łatwe, bo zakonnik swoje ważył. Udało mu się jednak go złapać. Obydwaj ciężko upadli na ziemię.

– Nic ci nie jest? – krzyknął Józef jednocześnie sprawdzając, czy sam nie ma połamanych rąk czy nóg.

– Nie... – odparł zakonnik gramoląc się z ziemi.

– Mówiłem ci, że ta drabina do niczego się nie nadaje – powiedział Józef – Boże, dobrze, że nic się nie stało... Mogłeś się nieźle połamać.

– Cały habit mi rozerwało...

Józef spojrzał na zakonnika. Faktycznie. Habit na jego piersi dosłownie rozdarł się na pół.

– Dzięki temu nie spadłeś jak kamień – powiedział do mnicha.

Ten nie odpowiedział. Józef ponownie spojrzał na niego. Dopiero wtedy zauważył duże, czerwone pręgi na piersi zakonnika, które układały się w jakiś wzór.

– Nie jesteś ranny? – spytał wskazując ręką rany na piersi zakonnika.

– Nieee... to stara historia – odparł zakonnik starając się zakryć pierś. Józef ciągle przyglądał się ranom, które faktycznie wyglądały na stare. Były bardzo duże. Musiały też być głębokie, co było widać po bliznach. Wyglądały okropnie i zajmowały całą pierś zakonnika. Miały regularny kształt i nie wyglądały na przypadkowe.

– Co się stało? – spytał cicho Józef – Kto ci to zrobił?

Zakonnik szybko starał się je zakryć, ale habit był tak zniszczony, że nie było to łatwe.

– Kiedyś, gdy byłem jeszcze bardzo młody, pojмали mnie źli ludzie – powiedział.

– Byłeś już mnichem? – spytał Józef.

– Dopiero się uczyłem.

– Co ci zrobili?

– Chcieli mnie upokorzyć – odparł nerwowo mnich – Zostawili mi na piersi swoje piętno... Nieważne, to stara historia.

Józef zrozumiał, że zakonnik nie chce do tego wracać pamięcią. Widać wspomnienia były zbyt bolesne. Obydwaj wstali z ziemi. Obejrzel się dokładnie.

- No, miałeś szczęście – powiedział Józef.
- Bez twojej pomocy byłoby gorzej – odparł mnich.
- Jeszcze takiego jabłka nie łapałem – powiedział wesoło Józef.

Obydwaj zaczęli się głośno śmiać.

- Proszę cię – powiedział po chwili Józef – Nie wchodź już na drabinę. Ona nie wytrzyma twojego ciężaru.

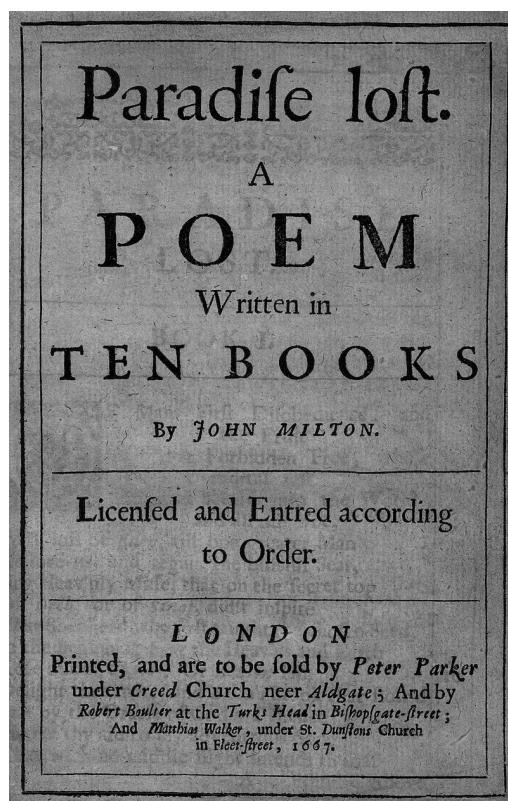
Zakonnik spojrzał na niego, ciągle zakrywając strzępami materiału swoją pierś.

- Chyba muszę zrobić nową – powiedział.
- Chyba tak... Nie będziesz już na nią wchodził? – upewniał się Józef.
- Nie, już nie...
- To dobrze. Pójdę już do domu. Z Bogiem...
- Z Bogiem, Józefie. Jeszcze raz dziękuję.

Józef spokojnym krokiem ruszył przez Plac Klasztorny w stronę swojego domostwa.

- Mam tylko ciebie, przyjacielu – powiedział cicho zakonnik, ale Józef już tego nie słyszał. Zmierzał do domu. Po drodze myślał o ranach zakonnika. Boże, musiał strasznie cierpieć. Rany były paskudne. Nawet teraz, po latach... Na dworze płomienie majowego słońca pomału szycowały się do odpoczynku, oplatając złotym światłem dachy domów. To był piękny wieczór...

Tego roku lato było szczególnie piękne. Słońce nie żałowało swojego blasku, ogrzewając świat ciepłem swoich promyków. Na polach zboże urosło dorodne i wysokie. Plony były doskonałe. Zwierzęta pasły się na zielonych, pełnych roślinności polach. Wojny toczyły się gdzieś daleko. W Bytomiu czasami mówiono o konflikcie pomiędzy Polakami i Rosją o Ukrainę, która w tym roku zakończyła się podpisaniem pokoju i podziałem Ukrainy. To jednak działo się daleko od murów miasta. W Bytomiu wykorzystano ten dobry czas na remonty domów, na porządkowanie miasta, jego podwórek i placów. Trzeba było też w kilku miejscach dokonać naprawy murów miejskich, które nadwyreżone zębem czasu wymagały remontu. Życie upływało spokojnie i miarowo, zgodnie z rytmem natury. Wydawało się, że niespokojne czasy minęły. Jedynie hrabia Jerzy Franciszek dawał się we znaki mieszcza-
nom, próbując wprowadzać swoje prawa, nie zawsze zgodne z miejscową tradycją i obyczajami. Niektórych mieszczań, szczególnie opornych, kazał nawet uwięzić. Rezydując w świerkłanieckim zamku wtykał swoje trzy grosze we wszystko, co działo się w mieście. Józef, ciągle wypełniając funkcję ławnika brał częsty udział w różnych sprawach sądowych. Starał się jednak nie zapominać o swojej rodzinie. Andrzej miał się nieco lepiej. Całkowicie wyzdrowiał i odzyskał siły, a nawet wziął się za rozbudowę domu. Ludzie starali się normalnie i spokojnie żyć...



Ilustracja 42 – Strona tytułowa „Raju utraconego”,
źródło: wikipedia.

Gdzieś w dalekiej Anglii dokładnie 27 kwietnia 1667 r., czyli w dniu, w którym w Bytomiu odbywał się proces Waclawczykowej i Słupskiej, biedny pisarz, który z powodu swojej nędzy stracił wzrok, sprzedał za 10 funtów prawa do swojego dzieła, które nazywał „Raj utracony”. Nazywał się John Milton. Jego opowieść była niezmiernie dziwna. Na początku eposu opisał moment, gdy Szatan w swojej walce z Bogiem został strącony do Piekła. Dziwaczny był ten jego Zły. To stworzenie niezwykle tajemnicze i inteligentne, o buntowniczej i mocno indywidualistycznej naturze, pozostające w konflikcie ze wszystkimi normami społecznymi, jakie od zawsze istniały na świecie. Pomimo tego miał spore wyrzuty sumienia za wszystkie złe rzeczy, które robił w przeszłości. Wokół miltonowskiego Złego skupiła się grupa aniołów, które zbuntowały się przeciwko Bogu. Może nie tyle przeciwko Stwórcy, ale bardziej wobec jego zbytnej sympatii do gatunku ludzkiego. Zbuntowane anioły poczuły się odsunięte i niechciane. W dalszej części swojego eposu Milton opisał świat ludzi jako konkurencyjny wobec anielskiego porządku, w którym jednak boskie siły wprowadziły swoje zmiany. Zarówno Grzech, jak i Śmierć to konkretne osoby o nadnaturalnych cechach, od wieków żyjące pośród ludzi. Mroczny jest ten miltonowski świat. Epos kończy się sceną wygnania Adama i Ewy z Raju. Za co? Za grzech, za nieposłuszeństwo i za ludzki egoizm.

Ani Józef, ani Andrzej nie mogli poznać treści tego eposu, bo w reszcie Europy ukazał się on o wiele później. Szkoda, bo mógłby im wiele wyjaśnić...

- Witaj Józefie – powiedział Jan Markowicz wyciągając rękę w stronę Józefa. Ten stanął jak wryty. Początkowo nie poznał swojego rozmówcy. Upływ lat robi swoje. Pomimo tego piękne i słoneczne popołudnie nastrojało niezwykle optymistycznie. Spotkali się na jednej z bytomskich ulic, w pobliżu rynku.

- Witaj, Janie... – odparł – Prędzej bym się ducha spodziewał, niż ciebie...

- Nie bluźnij – powiedział Jan śmiejąc się głośno.

Gdy obydwaj nacieszyli się uściskami i swoją bliskością, Józef zapytał.

- Cóż cię sprowadza do miasta?

- Właściwie jestem przejazdem. Jadę do Rud...

- Gdzie? – Józef nie zrozumiał.

- Do klasztoru cysterskiego w Rudach pod Raciborzem – odparł wyczerpująco Jan.

- Po co?

Jan uśmiechnął się szeroko i spojrzał na niebo.

- Po materiały do mojego dzieła, przyjacielu – powiedział – Byłeś kiedyś w Rudach?

- Podobno jako dziecko – odpowiedział Józef – Nic z tego nie pamiętam...

- Wiesz, że rudzki klasztor ufundował ojciec twojego miasta?

- Ojciec miasta? – Józef nie krył zdziwienia.

- Tak. Księżę Władysław Opolski. Ten sam, który w 1254 roku przyznał miastu Bytom prawo do lokacji.

- Nie wiedziałem...

- No tak... W 1258 r. ufundował cysterski klasztor w Rudach¹³⁶. Dokładnie wtedy, gdy ufundował wam klasztor minorytów...

- Wam? – przerwał mu Józef – Nie jesteś już stąd? Tak zakorzeniłeś się już w Krakowie?

- Józefie, ja urodziłem się w Krakowie...

- A tak, przepraszam... – odparł nieco zmieszany Józef – Dla mnie zawsze będziesz z Bytomia...

Jan ze zrozumieniem przytaknął głową.

- Gdzie teraz idziesz? – spytał Józef.

- Odwiedzę grób ojca w kościele minorytów. Jak tam twój brat?

¹³⁶ Jeszcze wcześniej, w 1248 r. ufundował klasztor franciszkanów w Opolu. Klasztor w Rudach na początku składał się z opata, 12 zakonników i nieznanej liczby konwersów (osoby zbliżone do zakonników, lecz bez zakonnej przysięgi, stojące nieco niżej w hierarchii zakonu). W XIV w. liczył ok. 40 zakonników i konwersów. Do tego dochodzili jeszcze tzw. *familiars* czyli wolne osoby świeckie, pozostające w luźnym związku z opactwem.

- Wszystko dobrze - powiedział Józef - Wiesz, tam zboli, tam strzyka... taka starości muzyka...

Obydwoje zanieśli się śmiechem.

- Czym się teraz zajmujesz? - spytał Józef.

- Piszę o historii wielu miejsc - odparł Jan - Potrzeba mi dostępu do cysterskiej biblioteki w Rudach. Co w mieście? Jakie zmiany?

- Mamy ogromne sukcesy w wykrywaniu i skazywaniu czarownic - odparł z sarkazmem Józef - Na szczęście nie palimy je na stosie... Łamiemy im tylko życie...

Jan patrzył na niego w skupieniu.

- Oprócz tego hrabiowie obrastają nam w piórka... - mówił dalej Józef - Zły panoszy się w okolicy... A poza tym wszystko dobrze...

- Aż tak? - spytał po chwili Jan.

Józef w milczeniu pokiwał twierdząco głową.

- To niedobrze... - skwitował po chwili Jan - Przykro mi to słyszeć... Jednakże cały świat stanął na głowie...

- Dlaczego Rudy, Janie? - zmienił nagle temat Józef.

- Bo mają tam obszerną bibliotekę. Sporo jest tam z czasów śląskich Piastów - mówił Jan - Tego właśnie potrzebuję...

- Zazdroszczę ci - westchnął Józef - To pewnie skarbnica wiedzy.

- O tak... Wiesz, coś ci powiem... - mówiąc to Jan bardziej nachylił się w stronę Józefa - Znam się dobrze z tamtejszym zakonnikiem-bibliotekarzem. Oni w swoich zbiorach mają coś niezwykle dziwnego i ciekawego...

- Cóż takiego? - spytał Józef.

- Nazywają „*Katalogiem magii*”¹³⁷ - odparł Jan - Podobno napisał go mnich o imieniu Rudolf...

- Dawno?

- Tak. Chyba w XIII w.

- Co to jest? - pytał zaciekawiony Józef.

- Po pierwsze to nie jest oryginał, tylko kopia dzieła, które powstało gdzieś w Niemczech... - mówił Jan - Trafiło do klasztoru w Rudach, bo miał go tam przywieźć jakiś mnich o imieniu Rudolf, którego nikt nie pamiętał. Zakonnicy nawet nie wiedzą, czy naprawdę istniał. Jest tylko taka legenda, że ów mnich miał niezwykle błękitne oczy...

Józef ze strachem spojrzał na twarz Jana.

- O co chodzi? - spytał Jan widząc jego reakcję.

¹³⁷ Rękopis tego dzieła (łac. *Summa de confessionis discretione - Evangelia dominicalia cum orationibus brevibus*) istnieje do dzisiaj. Liczy 148 kart zapisanych dwustronnie na pergaminie przez jednego pisarza. Szacuje się, że dzieło powstało w XIV w.

– Nic, nic... Mów dalej... To bardzo ciekawe – powiedział Józef.

– Kopia tego dzieła mogła trafić do Bytomia – kontynuował Jan – Jednym z kopistów i pisarzy klasztornych był Andrzej Tinczer z Bytomia. Co prawda przepisywał tam słownik łacińsko-niemiecki¹³⁸, ale mógł mieć dostęp do tego katalogu... W tym dziele autor mówi o kobiecym bóstwie, które można utożsamiać z czarownicą...

– O kim? – pytał Józef.

– Holda czy Pani z Hollen – odpowiedział Jan – Starogermańskie bóstwo. To kobiecy demon o bardzo dużej mocy. Podobno może mieszkać wszędzie i przybrać dowolną postać. Włada podziemnym światem i innymi demonami. Jak je nazywają? Kolie lub huldy...

– Nie słyszałem – powiedział Józef.

– Okiełznała przyrodę. Zsyła burze, zawieruchy, śnieżyce i rześiste deszcze. Od niej zależy pomyślność uprawy roli – mówił dalej Jan – Jest również opiekunką noworodków, które mogła obdarzyć nadnaturalną mocą. Niekoniecznie jest wrogiem ludzi. Czasami bywa przyjacielem... W południowych Niemczech nazywaną ją Perchtą.

– To ciekawe...

– To nie wszystko, Józefie – mówił Jan – Ten mnich wspomina również o innych kobiecych bóstwach. Nazywa je Clotho, Lachesis i Atropos. To podobno trzy siostry, którym składa się ofiary, by być szczęśliwym i bogatym. Jak greckie moiry...

– Boginie szczęścia... – powiedział Józef.

– Nie do końca – odparł Jan – Wierzano, że pojawiają się przy narodzinach dziecka. Stawały przy kołysce i przepowiadały noworodkowi przyszłość. Były nieubłagane. Uosabiały prawo, które muszą przestrzegać ludzie i bogowie. Gdy ktoś je łamał, bezlitośnie zabijały...

– Ten mnich je opisał?

– Tak – odparł Jan – Jednak on się ich bał. Widać głęboko wierzył w ich istnienie. Pisał o tzw. magii miłosnej¹³⁹, o sposobach unikania ciąży¹⁴⁰, czyli o typowych rzeczach przypisywanych czarownicom...

– Prawie 300 lat temu... – zadumał się Józef.

¹³⁸ Słownik łacińsko-niemiecki, jaki znajdował się w rudzkiej bibliotece, składał się z trzech części. Dwie powstały w klasztorze w Krzeszowie na Dolnym Śląsku, a trzecia już w Rudach.

¹³⁹ Rudolf pisze: „Żeby (ich mężowie) kochali, robią im na ramionach krzyż z wydzielin wspólnego stosunku płciowego. Swoją krew męstrualną dają im do pokarmu albo napoju. Przygotowują dla nich ciastka, do których mieszają włosy z całego ciała swojego i nieco swojej krwi. Oprócz tego pokrzywy zamoczone we własnej urynie, kości umarłych, drzewo z grobów i wiele innych rzeczy wrzucają do ognia, aby jak one płonę w ogniu, tak mąż ich płonął miłością do nich. Inne, które się mają za mądrzejsze w tej szatańskiej sztuce, robią sobie figurki mężów swoich to z wosku, to z ciasta, to z innego materiału i wrzucają je albo do ognia, albo do mrowiska, aby ich kochankowie cierpieli”.

¹⁴⁰ Rudolf pisze: „Gdy siedzą albo leżą, kładą pod siebie kilka palców. Wierzą mianowicie, że tyle lat nie zajądą w ciąży, ile palców pod siebie położyły. To, co nazywają swoimi kwiatem, rzucają na drzewo czarnego bzu i mówią: ty noś za mnie, a ja będę kwitła za ciebie”.

– Tak... – odpowiedział Jan – Znam dobrze opata klasztoru Andrzeja Emanuela Pospela¹⁴¹ – Stara się, aby bracia byli jak najbardziej wykształceni. Przebudowuje klasztor z drewnianego w murowany. Stara się o wszystko. Wiem, że oni wszyscy czytają owo dzieło, by poszerzyć wiedzę o tym, co ich może spotkać w pracy duszpasterskiej... Tylko się do tego nie przyznają...

– Rozumiem – odparł Józef – Tylko dlaczego mi to mówisz?

– Może egzemplarz tego dzieła jest w Bytomiu? – powiedział Jan – Może ktoś ciągle się nim posługuje? Czyta? Analizuje? Stosuje?

Józef zamyślił się.

– To niewykluczone – odparł – Powiedz mi, legenda mówi o mnichu o niebieskich oczach?

– Tak – powiedział Jan – Dlaczego o to pytasz?

Józef spojrzał na niego. Nie chciał go okłamywać.

– Tu w pobliżu również mówi się o mężczyźnie o niebieskich oczach... – powiedział.

– Tak? – zapytał zdziwiony Jan – To pewnie zbieg okoliczności...

– Może masz rację...

Jan spojrzał na Józefa.

– Jeśli masz rację, to niedobrze wróży. Wiesz... – mówił dalej Jan – Cysterscy zakonnicy z Rud prowadzą swoją klasztorną szkołę¹⁴². Uczą w niej swoich zasad. Pewnie również przekazują tam treści związane z tym, co znajduje się w ich bibliotece. Niejeden chłopak mógł już zostać zapoznany z „*Katalogiem magii*”...

– I może stosować to u nas – dokończył za niego Józef.

– Właśnie... – dodał Jan.

– Powiedz mi – pytał dalej Józef – Co tam się dzieje w wielkim świecie? Niewiele wieści tu dociera...

– Dzieje się, dzieje... – odparł Jan – W dniu 20 czerwca 1667 r. został wybrany nowy papież, który przyjął imię Klemensa IX. Nazywa się Giulio Rospigliosi. Słyszałeś?

– Niewiele – odparł Józef.

– Jest człowiekiem skromnym i uczciwym – mówił Jan – Zwalcza korupcję i nepotyzm w Kurii Rzymskiej. Ma jednak jedną obsesję.

– Jaką?

¹⁴¹ Pełnił funkcję opata w Rudach w latach 1648-1679. W tym czasie doprowadził do finansowego i gospodarczego rozkwitu klasztoru. On też na własny koszt wybudował trzy skrzydła klasztorne oraz odnowił kościół. Jego następcą został opat Józef I (1679-1696), który kontynuował dzieło poprzednika. Kolejni opaci to Bernard II (1696-1716), Józef II (1716-1735), Bernard Thrill (1735-1753). W 1755 r. miała miejsce próba otrucia wszystkich zakonników przez klasztornego brata o notorycznych skłonnościach do kradzieży Augustyna Grula, skazanego za to na dożywotnie więzienie.

¹⁴² W XVI w. klasztor dokonał reformy tej szkoły, dodając przedmioty przyrodnicze, geografii i matematykę.

- Chce wyzwolić Kretę spod panowania tureckiego¹⁴³ – powiedział Jan.
- Niejeden już chciał... – skwitował to Józef.
- Tak... – przytaknął Jan – Toczą się wojny... Anglicy walczą z Holendrami, a Francja z Hiszpanią.
- Ciekawe, czy kiedykolwiek przestaną... – podsumował to Józef.
- Jan tylko przytaknął.
- Będziemy mieli nowego świętego... – mówił – Kapucyn Bernard z Corleone umarł w nimbie świętości.
- Tak, czekamy na to z niecierpliwością – odparł z uśmiechem Józef. Jan roześmiał się głośno. Fakt, świętych w kościele katolickim wyraźnie brakowało.
- W Dubrowniku miało miejsce straszliwe trzęsienie ziemi – odezwał się po chwili Jan – Niektórzy wspominali, że na krótko przed katastrofą można było spotkać w okolicy mężczyznę o błękitnych oczach.
- Józef nagle bardzo spoważniał. Przez chwilę nie odzywali się do siebie. Józef gorączkowo myślał o mężczyźnie o niebieskich oczach, a Jan przypominał sobie kolejne wydarzenia.
- W Rzeczypospolitej jakaś żałoba – wyręczył go po chwili Józef.
- A tak... – przypomniał sobie Jan – Szlachta ubolewa nad ogromnymi stratami, jakimi były śmierć hetmana polnego koronnego Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, śmierć hetmana wielkiego koronnego i wojewody krakowskiego Stanisława Rewera Potockiego, a szczególnie królewskiej małżonki Ludwiki Marii Gonzaga de Nevers.
- Przecież jej nie lubili – przerwał mu Józef.
- Tak, to się zgadza – odpowiedział Jan – To była mądra i odważna kobieta. Jeszcze jako panna toczyła we Francji spór ze słynnym kardynałem Rechelieu. Wyobraż sobie, że w jej przypadku szlachta nie chciała obchodzić żałoby. Nie lubili jej za życia, bo wszelkimi sposobami starała się wzmocnić władzę królewską.
- Śmierć godzi wszystkich – odparł Józef – Niezbyt to mądre...
- Twoi hrabiowie też jej nie lubili – przerwał mu Jan.
- Dlaczego?
- Działała przeciwko Habsburgom, którym Hencklowie służyli – odpowiedział mu Jan.
- Brudna polityka – mruknął Józef – Już lepiej zająć się przeszłością...
- Jan roześmiał się szeroko.
- Tak, przyjacielu, masz całkowitą rację...
- Józef spojrzał na niego z sympatią.

¹⁴³ W tym celu papież zorganizował wielką papieską flotę, która dowodzona przez jego krewnego Vincenzo Rospigliosiego w dniu 6 września 1669 r. poniosła całkowitą klęskę. Wenecja musiała poddać Turkom swoją ostatnią twierdzę na Krecie. Papież, fanatycznie wierzący w boską Opatrzność, załamał się. W dniu 9 grudnia 1669 r. dostał udaru mózgu i zmarł.

- Martwisz się tym wszystkim - powiedział Jan - Widzę to po tobie, przyjacielu...

- Bo to jakieś szaleństwo - odpowiedział Józef - Ogromna krzywdą, ogromna... Bóg za to nas wszystkich rozliczy... Albo ukaże...

- Dlaczego interesują cię informacje o mężczyźnie z błękitnymi oczami? - spytał Jan, któremu widać nie dawało to spokoju.

Józef na chwilę zamilkł.

- Mówiłem ci... W okolicy chodzą słuchy, że kręci się tutaj mężczyzna o niebieskich oczach - odparł.

Tym razem Jan wpadł w krótkie zamyślenie.

- Jeśli to prawda, to naprawdę źle to wróży wielu osobom - powiedział.

- Tak, masz rację...

- Ważne, aby pozostać uczciwym człowiekiem - powiedział stanowczo Jan - Tego się trzymaj, mój przyjacielu. Muszę się już pożegnać... Z Bogiem... - powiedział kierując się w stronę klasztorного kościoła minorytów.

- Z Bogiem, Janie... - odparł Józef machając mu energicznie ręką.

Już nigdy nie zobaczyli się ani nie spotkali. Los nie był dla nich taki łaskawy...



Ilustracja 43 - Józef i Jan.

W 1667 roku urodził się Jonathan Swift, angielski pisarz, autor słynnych „*Podróży Guliwera*”, który z fantazją opowiadał o różnych fikcyjnych miejscach na świecie. Był produktem swoich czasów, a jednak nie bał się uruchomić pokładów własnej wyobraźni, by opisać różne niezwykle miejsca. Gdyby urodził się wcześniej, ktoś mógł go jednak posądzić o czary. Swift spłonąłby wtedy na stosie...

1668

„Nadto kościelne Exorcismy nie zawsze bywają pomocne dla ukrócenia szatanów: co się tknie wszelkich chorób cielesnych, a to za tajemną sprawą sądów Bożych”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

Był początek czerwca. Dni stawały się coraz dłuższe, a lato pukało radośnie do drzwi bytomskich domostw. Józef zrezygnował już z funkcji ławnika i skupił się na swojej pracy oraz rodzinie. Zdołał dokonać kilku remontów, zarobić nieco pieniędzy, zgromadzić spore zapasy, więc przyszłość zapowiadała się w różowych barwach. Ciągłe jednak miał przed oczyma sprawę Wacławczykowej i Słupskiej. Męczyło go sumienie. Analizował w głowie ich słowa. Przypominał sobie obraz ich zmaltretowanych ciał. Wspominał również moment, który widział na drodze, gdy zostały wygnane. Moment spotkania z kimś. Prawdopodobnie ze Złym... Gdy wracały te obrazy, jego ciałem wstrząsał dreszcz. To nie były miłe wspomnienia. Józef poczuł chęć porozmawiania z zakonnikiem. Teraz i już. Porzucił więc swoje zajęcie i ruszył w stronę konwentu minorytów na Placu Klasztorным. Gdy tam dotarł, napotkał gwardiana¹⁴⁴, którego dobrze znał.

– Oooo, Szczęść Boże – powiedział.

– Szczęść Boże, Józefie – odparł gwardian – Pewnie szukasz zakonnika-ogrodnika?

– Tak – uśmiechnął się Józef – Chciałem z nim porozmawiać.

– On bardzo chwali sobie dysputy z tobą.

– Cieszę się. Dla mnie one też dużo znaczą. Pewnie znajdę go w sadzie?

– Oczywiście – odparł gwardian – Nie może być inaczej...

Józef ruszył w stronę sadu, ale nagle coś sobie przypomniał.

– Ojcie, mogę o coś spytać?

– Tak, Józefie. Słucham.

– Męczy mnie ciągle jeden fakt. Podobno, gdy umierał hrabia Gabriel, jakiś zakonnik przyjął jego ostatnią spowiedź, a później zniknął. Słyszał ojciec o tym?

Gwardian wyglądał na nieco zdumionego.

– No oczywiście, że słyszałem.

– Tak? Czy ojciec może wie, kto to był? Wyjaśniło się coś?

Gwardian wyglądał, jakby trafił w niego piorun. Nie odzywał się.

– No jak to... Nie powiedział ci?

¹⁴⁴ W tym czasie prawdopodobnie był nim Johannes Pardkowski z Tarnowskich Gór.

Teraz Józef wpadł w zdziwienie.

- Kto? Co?

Gwardian patrzył na niego.

- Nasz ogrodnik. Nie powiedział ci?

- Nie... - odparł Józef.

- No przecież to był on - powiedział niepewnie gwardian - Jego wezwano...

- Słucham?

- Też byliśmy tym faktem zdziwieni. Dostarczono mi pismo o nagłej potrzebie wysłania do Zamku Orawskiego naszego zakonnika. W piśmie wskazano jego i wyłącznie jego.

- Kto wzywał?

- Ludzie hrabiego Gabriela.

Józef poczuł, jakby nogi zamieniły mu się w kamienne słupy. Ciśnienie skoczyło, a w gardle stanęła klucha. Nie mógł wydusić ani słowa.

- Pojechał - mówił dalej gwardian - Nie wiem jakim cudem tak szybko pokonał sporą odległość.

- Zamek Morawski... - wydusił Józef - Czyj to zamek?

- Oooo, to długa historia - odparł gwardian - Od pewnego czasu był własnością rodu Thurzonów. Podobno ów ród był przodkiem rodu Henckel von Donnersmarck. Zarządzali nim Węgrzy.

Józef stał i słuchał w zdumieniu.

- Dotarł na czas? - spytał.

- Tak, oczywiście - odparł gwardian - Jestem zdumiony, że ci tego nie powiedział.

- Mówił coś o hrabim?

- Nie. Tajemnica spowiedzi, Józefie - gwardian lekko się uśmiechnął.

Józef opuścił wzrok i zatopił się w myślach. Dlaczego mi nie powiedział?

- Idź do niego i sam spytaj - powiedział gwardian - Ja cenię jego pracę, ale to dziwny człowiek...

- Dlaczego? - spytał Józef.

Gwardian umilkł na chwilę. Pewnie zbierał myśli...

- Przyszedł do nas nie wiadomo skąd... - odparł gwardian - Pewnego dnia po prostu stanął w drzwiach naszego klasztoru i poprosił o przyjęcie... Podobno uciekł z innego konwentu, który padł ofiarą jakichś żołdaków... Twierdził, że wszyscy jego współpracownicy zginęli... Przyjęliśmy go... Co mieliśmy zrobić... Tak naprawdę nikt nie potwierdził, kim jest i jaka była jego przeszłość... Nie wnikać. Nie mam z nim żadnych problemów...

Józef słuchał w milczeniu. Nigdy tego wszystkiego nie usłyszał z ust swojego znajomego zakonnika.

– Jak on właściwie ma na imię? – spytał.

– Bernard.

– Dlaczego gwardian nazwał go dziwnym?

– Bo on nic nie potrzebuje do życia... Odrobina jedła, skromne łóżko, kawałek ziemi do spania... – odparł gwardian – Kocha tylko te drzewa i nimi zajmuje się przez całe dnie. Mówi do nich, głaszcze jak żywe stworzenia... Uczestniczy w naszych modłach na tyle, na ile musi. Resztę czasu poświęca swoim drzewom. W zimie całymi dniami studiuje księgi. Najdziwniejsze jednak jest to, że czasami znika... Tak po prostu... Gdy go pytam, gdzie był, jedynie opuszcza wzrok... Co mam zrobić? Wyrzucić go z klasztoru? Zginie w świecie... Przynajmniej mamy z niego pożytek. Owoce przetwarzamy i sprzedajemy, a także sami je spożywamy. Przynajmniej tyle...

Józef nie mógł w to wszystko uwierzyć. Nie tak wyobrażał sobie klasztorne życie swojego znajomego.

– Nie wiedziałem... – powiedział po chwili.

– Dziwne, że ci o tym nie wspomniał – powiedział gwardian i ruszył do swoich codziennych obowiązków. Józef przez długą chwilę nie ruszał się z miejsca. W końcu poszedł w stronę sadu. Zakonnik pochylony nad jednym z krzaków okadzał go jakimś dymem. Na głowie miał coś przypominającego nakrycie głowy, jakie noszą pszczelarze. Józef podszedł do niego i stanął w pewnej odległości.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – powiedział.

Zakonnik, zaskoczony głosem rozglądał się dookoła, ale nie zauważył Józefa.

– Tu jestem... – powiedział głośniej Józef – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Zakonnik odwrócił się w jego stronę.

– Szczęść Boże, Józefie. Czego ci nie powiedziałem?

Józef nie spuszczał z niego wzroku.

– O swoich odwiedzinach przy łóżku umierającego hrabiego Gabriela – powiedział Józef.

Zakonnik zesztywniał. Sięgnął ręką i ściągnął z głowy zadziwiające nakrycie, które zawiesił na gałązce jabłoni. Odłożył też kadzielnicę. Nie odzywał się.

– Powiedz mi, dlaczego? – nie dawał za wygraną Józef.

– Nie chciałem cię martwić przyjacielu – odparł po chwili zakonnik.

– Martwić? Co ty mówisz?

Zakonnik spokojnym wzrokiem spojrzał na Józefa.

– Zostałem tam wezwany – powiedział.

– Wiem, gwardian mi mówił.

– Nie mam pojęcia, dlaczego chcieli akurat mnie. Przecież Gabriel to Luter. Chcieli katolickiego spowiednika...

Józef nie odpowiedział.

- Pojechałem konno - mówił dalej zakonnik - Gnałem jak wicher. Chciałem zdążyć.

- Do Zamku Orawskiego.

- Tak, Józefie. Właśnie tam. Mroczne to miejsce... Dotarłem tam przed zmierzchem. Hrabia już jedną nogą był na tamtym świecie. Poproszono mnie do jego łoża. Chciał się wypowiadać. Wysłuchałem jego grzechów, dałem rozgrzeszenie i po wszystkim. Jak wyszedłem, zmarł. Podobno mnie szukali, ale błyskawicznie wróciłem do Bytomia.

- Konno? - spytał Józef.

- Tak.

- W nocy?

Zakonnik zamilkł na chwilę.

- Nie chciałem tam zostawać. Tam ściany śmierdzą grzechem, pychą i ludzkim występkiem. Wolałem ryzykować podróż w nocy.



Ilustracja 44 - Zamek Morawski.

Józef przez chwilę analizował słowa zakonnika.

- Mówili coś o niebieskookim zakonniku - powiedział po krótkim czasie.

- Tak, słyszałem. Podejrzewali jakieś czary. Bzdury. To byłem ja.

– Mówili, że ten zakonnik rzucił jakąś klątwę na hrabiego – mówił dalej Józef.

– On już był jedną nogą na tamtym świecie, Józefie. Brednie opowiadają.

Zakonnik stał się bardzo stanowczy i pewny w swoich odpowiedziach.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego zataiłeś to przede mną – powiedział Józef.

Zakonnik spojrzał mu prosto w oczy.

– Józefie, tyle razy rozmawialiśmy o hrabiowskiej rodzinie i jej grzechach. Razem dochodziliśmy do różnych wniosków. Dyskutowaliśmy i wspieraliśmy się nawzajem. Obawiałem się, że kiedy dowiesz się, że zostałem wezwany do hrabiego Gabriela, stracisz do mnie zaufanie. Z bardzo prostego powodu. Hrabia wyznał mi swoje grzechy, a ja nie mogę ci o nich nic powiedzieć. Tajemnica spowiedzi. Dla mnie to ogromny ciężar, ale muszę go unieść.

– Swojego imienia też nie mogłeś mi wyjawić?

Zakonnik spojrzał na Józefa.

– Wyjawiłbym, gdybyś kiedyś o to zapytał – odparł – Nigdy nie pytałeś. Zwą mnie Bernard.

Józef patrzył prosto w oczy zakonnika. Na pewno nie były błękitne.

– Nie musiałeś mi mówić o jego grzechach – powiedział – Ale nie musiałeś mnie okłamywać.

– Ja cię nie okłamałem, Józefie – odparł zakonnik.

– Jak to? Pytałem cię o tego zakonnika, a ty powiedziałaś, że obito ci się o uszy.

Bernard nie opuścił wzroku.

– Już ci mówiłem. Obawiałem się o ciebie. O twoje zaufanie.

– Myślisz, że w ten sposób będzie ono większe? – spytał Józef – Chyba żartujesz...

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu.

– Przepraszam cię, przyjacielu – powiedział cicho zakonnik.

Józef nie odpowiedział.

– Przyjaciół się nie okłamuje – odparł po chwili i odwróciwszy się wyszedł z sadu szybkim krokiem. Bernard ze smutkiem w oczach patrzył za nim, dopóki Józef nie skręcił w boczną uliczkę.

– Mam tylko ciebie – szepnął – Tylko ciebie. Nie porzucaj mnie...

Józef potrzebował wiele czasu, aby przemyśleć słowa zakonnika. Zraniło go to, że człowiek, którego uważał za swojego przyjaciela, w pewnym sensie go oszukał. Nie powiedział mu prawdy. Starał się zrozumieć argumentację zakonnika. Tajemnica spowiedzi. Zakonnik nie mógł nic powiedzieć Józefowi o ostatnich słowach hrabiego. To zrozumiałe. Jednak co stało na przeszkodzie, żeby powiedzieć o samym fakcie wizyty u umierającego hrabiego? Fakt, to dziwne, że wezwano właśnie jego. Katolickiego, prostego bytomskiego zakonnika do łóża umierającego protestanta. Dlaczego

nie gwardian czy inni zakonnicy? Dlaczego właśnie zakonnik z dziwną i niejasną przeszłością, zajmujący się na co dzień roślinami, a nie spowiedzią? Józef nie mógł na te pytania znaleźć odpowiedzi. W swoich uczuciach nie przekreślił zakonnika, ale nie mógł się zdobyć na kolejną wizytę. Tego roku widzieli się jeszcze raz, podczas jednego z czwartkowych targów. Pozdrowili się tylko uniesioną ręką. Nie podeszli do siebie i nie zamienili ani jednego słowa. Obdarzyli się tylko krótkim spojrzeniem i nic więcej. Józef potrzebował czasu, aby wyciszyć w sobie żal, który ciągle czuł. Może kiedyś...

1668

– Kogo szukasz, kobieto? – spytał gwardian.

Młoda niewiasta wyglądała na zdenerwowaną. Była dobrze ubrana, więc należała do zamożniejszej części mieszkańców miasta.

– Szukam pewnego mnicha – odpowiedziała.

– Kogo?

– Podobno zajmuje się sadem – odparła kobieta.

Gwardian spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Sadem, mówisz? – powiedział – Znam tylko jednego takiego...

– Tak? Gdzie go znajdzie? – dopytywała kobieta.

– W sadzie... – odparł ze spokojem gwardian nie spuszczać wzroku z twarzy niewiasty. Ręką wskazał jej kierunek.

– Dziękuję, ojcie – powiedziała kobieta i ruszyła we wskazanym kierunku.

Gwardian odprowadzał ją wzrokiem. Coś mu się nie spodobało w tej kobiecie. Nie wiedział, co, ale poczuł to wyraźnie. Czego ona chce? – pomyślał.

– Mnichu! – powiedziała głośno kobieta wchodząc do klasztornej sady – Szukam cię!

Zakonnik powoli położył na ziemi skrzynkę z sadzonkami, którą trzymał w rękach. Ze zdziwieniem spojrzał na niewiastę.

– Jestem Jadwiga – przedstawiła się kobieta – Szukałam cię...

– Mnie? – odparł zdziwiony zakonnik – Po co?

Jadwiga rozejrzała się dookoła.

– Znam Krystynę... – szepnęła.

– Kogo?

– Wacławczykową...

– A ktoś to taki?

Jadwiga ponownie rozejrzała się z uwagą.

– Nie udawaj, mnichu... – powiedziała cicho – Krystyna powiedziała mi o tobie.

– Kobieto, co ty mówisz? Niczego nie rozumiem... – zakonnik był nieco zirytowany.

Jadwiga podeszła bliżej.

– Mój mąż handluje sukniem – powiedziała – Ostatnio byliśmy na targu w Opolu. Spotkałam tam Krystynę. Myślałam, że nie żyje, a ona ma się całkiem dobrze. Długo rozmawiałyśmy. Opowiedziała mi o swoim wygnaniu i spotkaniu na drodze. Z tobą. Anna już nie żyje. Nie wytrzymała skutków tortur. Opowiedzia-

łam Krystynie o swoim problemie, a ona poradziła mi, żebym skontaktowała się z tobą.



Ilustracja 45 – Rozmowa mnicha z kobietą.

Zakonnik nie krył zdziwienia.

– Nic nie rozumiem – powiedział – Ze mną? To jakaś pomyłka...

Jadwiga roześmiała się.

– Tak, z tobą, mnichu...

Zakonnik rozejrzał się po sadzie. Nikogo więcej tam nie było. Za murami obronnymi było słychać gwar codziennych zajęć, ale tu nie sięgał żaden wzrok.

– Czego chcesz? – spytał nagle kobietę.

Jadwiga podeszła jeszcze bliżej.

– Chodzi o mojego męża... – powiedziała cicho.

Zakonnik milczał.

– To świnią i cudzołożnik... – mówiła kobieta – Miał wiele kochanek. Niektóre nawet urodziły jego dzieci. Wiem o wszystkim...

– Współczuję ci, niewiasto – powiedział zakonnik – Tylko co ja mam z tym wspólnego?

Jadwiga nagle spoważniała.

– Możesz go ukarać? – szepnęła – Proszę...

– Ja? W jaki sposób?

Jadwiga była śmiertelnie poważna.

– Ostatnio pokłóciliśmy się – powiedziała – Wygarnęłam mu wszystko, co wiem. Zdenerwował się niemiłosiernie. Powiedział, że jeśli będę go oskarżała i rozpowiadała o jego czynach, ukaże mnie. Zagroził, że posądzi mnie o czary. Twierdził, że ma sporo znajomych we władzach miasta. Uwierzą mu. Zostanę uwięziona i przesłuchana. Torturami wymuszą na mnie przyznanie się do winy i spalą na stosie. Mówił to całkowicie poważnie... Gdy go wyśmiałam, zaczął mnie bić. To już nie pierwszy raz, ale tym razem myślałam, że mnie zabije...

Zakonnik ze spokojem słuchał słów kobiety.

– Nie jestem czarownicą – powiedziała Jadwiga – To on zasługuje na karę. Wiem jednak, że nie rzuca słów na wiatr. On naprawdę może to zrobić...

Zakonnik w skupieniu wpatrywał się w jej twarz.

– Wiem, że każesz za zło. Krystyna mi mówiła. Dlatego do ciebie przyszłam... – Jadwiga miała w oczach coś niepokojącego.

Zakonnik oparł się plecami o drzewo jabłoni.

– Jeśli dobrze zrozumiałem – zaczął mówić – Przyszedłeś do mnie po to, abym ukarał twojego męża cudzołżnika. Mam go zabić? O to ci chodzi?

– Tak – bez wahania odparła kobieta.

Zakonnik umilkł. Pochylił się i sięgnął po leżące pod drzewem jabłko. Podniósł dwa, a jedno podał Jadwidze.

– Nie chcę jabłka mnichu, tylko sprawiedliwości! – powiedziała kobieta odsuwając jego rękę.

– Jedz – powiedział zakonnik głosem nie znoszącym sprzeciwu. Kobieta spojrzała w jego oczy i posłusznie wyciągnęła dłoń po jabłko. Ugryzła niewielki kęs.

– Nie masz błękitnych oczu – powiedziała przezuwając – Krystyna mówiła, że po takich cię poznam.

Zakonnik zignorował te słowa.

– Przychodzisz do mnie, do zakonnika, żebym użył swoich mocy i zabił twojego męża? – spytał.

Jadwiga ugryzła kolejny kęs jabłka i potwierdzająco skinęła głową. Nie zwróciła uwagi, że zakonnik ani razu nie ugryzł swojego.

– Jesteś szalona – powiedział – Jeśli masz problem, powinnaś udać się do burmistrza, a nie do mnie. Jeśli mówisz prawdę, twój mąż zostanie ukarany za cudzołóstwo. Przecież to nie trudno udowodnić.

Jadwiga spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Czy ty masz kochanka? – spytał nagle zakonnik.

Kobieta zamarła.

- Czy on ma na imię Piotr? – dopytywał zakonnik – Obiecał, że się z tobą ożeni, kiedy już twojego męża nie będzie na tym świecie?

Jadwiga nie wytrzymała.

- Skąd ty to wiesz? – spytała przestraszona – Mój mąż ci powiedział?

- Nie znam twojego męża, niewiasto...

- To skąd?

Zakonnik nie odpowiedział. W milczeniu wpatrywał się w twarz kobiety.

- Jesteś zła – przerwał milczenie – Jesteś niegodziwa. Sama popełniłaś ciężki grzech, a teraz próbujesz się ratować. Twój mąż dowiedział się o wszystkim. Dlatego zagroził ci oskarżeniem. Nie o czary, tylko o cudzołóstwo... Za to można zostać świętym.

Kobieta z wściekłością rzuciła jabłko na ziemię. Zakonnik patrzył jak owoc upada w wysoką trawę.

- Krystyna mówiła... – próbowała się bronić.

- Bo ją też okłamałaś – przerwał jej zakonnik – Nie wspomniałaś o swoim grzechu. Opowiedziałaś jedynie o zdradach męża. Krystyna, gdyby wiedziała, nigdy nie próbowała by ci pomóc...

W oczach Jadwigi pojawił się gniew.

- Ty podły klecho – wysyczała – Chcesz mnie pouczać? Krystyna mówiła mi, co robisz... Ty chcesz mi mówić o grzechu?

- Odejdź kobieto – powiedział zakonnik – Nie chcę już z tobą rozmawiać.

- Pewnie, że pójdę! – krzyknęła Jadwiga – Wiesz gdzie? Prosto do burmistrza. Opowiem mu o tym, co mówiła o tobie Krystyna. Mnie spalą na stosie, tak? To ciebie klecho, spalą...

- Z Bogiem, niewiasto – odparł zakonnik i odwrócił się do niej plecami.

- Nie odwracaj się do mnie! – krzyknęła Jadwiga i z wściekłością rzuciła w stronę zakonnika zgniłe jabłko, które leżało u jej stóp. Mężczyzna poczuł na plecach uderzenie. Jabłko rozpadło się na kawałki, zostawiając na plecach mokry ślad.

- Idę do burmistrza! – powiedziała głośno Jadwiga i ruszyła w stronę Placu Klasztorного. Zakonnik nie patrzył za nią. Spokojnie podniósł skrzynię z sadzonkami i ruszył w głąb sadu.

- Znalazłaś ogrodnika? – spytał gwardian, który sprzątał przed wejściem do klasztorного kościoła.

Jadwiga spojrzała na niego gniewnym wzrokiem.

- Tak – powiedziała – Spotkałam tego podłego klechę.

Gwardian stanął jak wryty. Nie takiej spodziewał się odpowiedzi.

- Teraz idę do burmistrza! – krzyczała Jadwiga – Wszyscy będziecie mieli problem!

- Ale... – gwardian nie wiedział, co ma powiedzieć – Co się stało?

– Ten mnich to nie mnich – odparła pełna gniewu Jadwiga – To czarownik.

– Kobieto, co ty bredzisz?

– Bredzę? – kobieta podeszła bliżej gwardiana – Ty też jesteś z nim w zмовie?

Gwardian patrzył na nią z niepokojem. Miała w oczach szaleństwo.

– Wszyscy tacy sami... – mówiła sama do siebie Jadwiga – Nauczyciele moralności, a sami...

Gwardian nagle zauważył, że ciało kobiety zaczęło się chwiać. Jej wzrok zrobił się jakiś mętny. Ona też to poczuła.

– Co ci jest? – spytał.

Jadwiga nie odpowiedziała. Chwiała się coraz bardziej.

– Źle się czujesz? – pytał dalej gwardian.

Kobieta nagle osunęła się na kolana. Z jej ust zaczęła toczyć się piana. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Gwardian patrzył na to z przerażeniem. Jadwiga nagle przewróciła się na bok i zaczęła charczeć. W ustach było coraz więcej piany. Z trudem łapała powietrze. Trwało to krótką chwilę. Gwardian pochylił się nad nią. Chciał jej jakoś pomóc, ale nie wiedział jak. Po chwili jej oddech ustał. Zakonnik patrzył na to z przerażeniem. Ona nie żyje... – pomyślał.

– Nie żyje – usłyszał nagle za swoimi plecami. Gwardian odwrócił się gwałtownie. Stał tam zakonnik z sadu.

– Widziałeś to? – spytał wystraszony – Co jej się stało? Tak nagle... Ona nie żyje?

– Nie oddycha – odparł Bernard – Nie żyje.

– Boże przenajświętszy... – westchnął gwardian – Tak nagle?

– Czasami tak się dzieje – odparł spokojnie Bernard – Musiała na coś chorować...

– Co teraz? – spytał gwardian.

– Trzeba wezwać jej męża – odparł Bernard – Niech zabierze jej ciało. Może on nam powie, na co chorowała...

Gwardian nagle wstał z kolan.

– Tak, masz rację – powiedział – Ale jak znajdziemy jej męża? Ja nawet nie wiem, jak ona miała na imię...

– Jadwiga – odparł mnich – Wiem, kto jest jej mężem...

– Tak? To poślij po niego!

Zakonnik nie odpowiadając ruszył w stronę klasztornych zabudowań. Nie było go przez dłuższą chwilę. W tym czasie gwardian stał nieruchomo nad ciałem kobiety, bijąc się z własnymi myślami. Po jakim czasie zauważył zakonnika zbliżającego się w towarzystwie wysokiego, szczupłego mężczyzny, który z przerażeniem patrzył na ciało kobiety.

– Jak to? – spytał mąż Jadwigi patrząc na leżące na ziemi zwłoki swojej żony – Przyszła, porozmawiała i umarła?

- Tak - odparł gwardian - Wiem, że to dziwne, ale tak było. Upadła i umarła na moich oczach. Chorowała?



Ilustracja 46 - Martwa kobieta.

- Nic o tym nie wiem - odparł mężczyzna - Wiedziałbym, gdyby to było coś poważnego.

Stali w trójkę. Gwardian, Bernard i mąż Jadwigi.

- Z kim rozmawiała? - spytał mężczyzna.

- Ze mną - odparł zakonnik.

- Czego chciała?

- Opowiadała coś o swoich problemach, o cudzołóstwie...

- Swoim? - spytał mężczyzna.

- Nie, o twoim - odparł zakonnik.

- Suka... - wyszczał przez zęby mąż Jadwigi.

- Panie, nie godzi się nad jej zwłokami - upomniał go gwardian.

Mężczyzna odwrócił się w jego kierunku.

- A jak mam mówić, ojcze? - powiedział - Szłała się, pałętała z innymi chłopami. Puszczala się...

- Nie wolno źle mówić o zmarłych - powiedział zakłopotany gwardian.

- Wiem, ojcie... - mężczyzna zaczął szlochać - Tyle wstydu mi przyniosła. Mnie i dzieciom...

Przez chwilę stali w trójkę w całkowitym milczeniu, przerywanym jedynie szlochem męża Jadwigi.

- Co mogło się stać? - spytał mężczyzna - Skąd tak nagle śmierć?

- Nieznane są wyroki boskie - odparł zakonnik.

- Musisz zabrać jej zwłoki i pochować, panie - powiedział gwardian - Możemy ci tylko w tym pomóc...

Mężczyzna zaniósł się głośnym szlochem.

- Latawica była, ale jak to? Bez niej? - płakał coraz głośniej - Co ja powiem dzieciom?

Zakonnicy nie odpowiedzieli. Pozwolili mężczyźnie wypłakać swój żal.

- Może żyje! - mężczyzna nagle rzucił się na kolana i pochylił na zwłokami żony

- Może to jakiś letarg?

Mówiąc to schylił się do jej głowy. Podniósł ją ręką. Była całkowicie bezwładna. Z ust wytoczyła się piana o krwawym kolorze. Mężczyzna chwycił za jej nadgarstek szukając pulsu. Szlochając szukał śladów życia. Zakonnik też pochylił się nad ciałem kobiety. Przyłożył palce do jej szyi.

- Nie żyje - powiedział cicho - Zaczyna już sinieć... Wygląda, jakby się udusiła...

- Boże.... - mężczyzna zaczął głośno płakać - Co ja powiem dzieciom? Jadwisiu...

Ocknij się, na Boga...

Głowa kobiety bezwiednie opadła do tyłu.

- Chryste Panie - powiedział nagle gwardian.

- Co? - odpowiedział mężczyzna - Żyje?

Gwardian wpatrywał się w szyję kobiety.

- Ona ma znamie - powiedział.

- Jakie znamie? Gdzie? - mężczyzna ocierając łzy spojrzał na ciało żony.

- Popatrz na jej szyję... - odparł gwardian.

Mąż Jadwigi pochylił się nad szyją kobiety.

- Co to jest? - powiedział głośno - Nigdy tego nie widziałem...

- Znamie czarownicy - odparł zakonnik.

- Co ty bredzisz? - mężczyzna nie mógł uwierzyć - Jakiej czarownicy?

- Tak to wygląda - potwierdził słowa zakonnika gwardian.

- Co wy gadacie? - mężczyzna nie dawał za wygraną - Jadwiga czarownicą?

- Widziałeś kiedyś to znamie? - spytał mnich.

- Nigdy.

- Jesteś pewien?

- No przecież znam ciało swojej żony. Może to jakaś rana?

- To nie jest rana - powiedział gwardian.

- To co?

- Znamię pojawiło się w chwili jej śmierci - powiedział zakonnik - To znak, że była czarownicą.

- Boże, to niemożliwe... - szlochał mężczyzna - Moja Jadwiga? To niemożliwe...

- To jak wytłumaczyć pojawienie się znamienia? - spytał zakonnik.

- Nie wiem! Nie wiem! - mężczyzna stracił panowanie nad sobą - Nie mam pojęcia, co to jest!

Na dworze już zmierzchało. Miasto pomału szykowało się do wieczornego odpoczynku. Nikt nie pojawił się na placu. Było już po ostatnim nabożeństwie, więc ludzie nie mieli powodu, żeby kręcić się w pobliżu klasztoru.

- Musimy ją pochować - powiedział nagle gwardian.

Mąż Jadwigi zerwał się z kolan.

- Gdzie? - spytał.

- Tutaj - odparł gwardian.

Mężczyzna ze zdziwieniem spojrzał na niego.

- Co ty mówisz? Oszalałeś? - powiedział do gwardiana - Dlaczego nie na cmentarzu?

- Czarownic nie chowa się w poświęconej ziemi - odparł zakonnik.

Mężczyzna dopadł do niego i chwycił pod szyję za habit.

- Ona nie była czarownicą... - wysyczał.

Zakonnik spokojnie spojrzał w jego twarz.

- Wiesz, po co tu przyszła? - spytał - Chciała cię zabić... Wyjawiła mi to...

Mąż Jadwigi odskoczył do tyłu.

- Kłamiesz... - powiedział.

- Chciała cię zabić, żeby móc żyć ze swoim kochankiem - mówił dalej zakonnik.

Gwardian ze strachem wsłuchiwał się w jego słowa.

- To nieprawda - mężczyzna nie chciał dopuścić do siebie prawdy.

- Powtarzam ci to, co do mnie mówiła - odparł zakonnik.

- Nie wierzę ci - powiedział mężczyzna - Przyszła do ciebie, żeby wyjawić ci swój zamiar zabicia mnie? Przecież to nie ma sensu...

- Szukała pomocy - odparł zakonnik.

- Jakiej?

- Nie wiem. Może miała nadzieję, że coś jej doradzę. Nie wiem...

- Pomocy? Gdyby była wiedźmą, sama by to załatwiła - odparł mężczyzna - To się kupy nie trzyma...

- Może chciała uciec od odpowiedzialności i obarczyć winą kogoś innego? Na przykład mnie? - powiedział zakonnik.

Mężczyzna spojrzał na ciało żony. Chyba zaczęło do niego docierać, co starał się mu powiedzieć Bernard.

- Tego chciałaś? Naprawdę? Po tych wszystkich latach? Żyłem z wiedźmą?

Ciało Jadwigi bezwiednie leżało na ziemi w dość nienaturalnej pozycji.

- Musimy ją pochować tutaj - powiedział gwardian - I to szybko. Gdy wyda się, co chciała zrobić i kim była, możesz mieć kłopoty. Twoje dzieci też¹⁴⁵. Mogą je potraktować jako dzieci Złego...

Mężczyzna przestał płakać. Wpatrywał się w ciało swojej żony i rozważał słowa gwardiana.

- Gdzie? - spytał - Przecież tu nie ma miejsca...

- Pochowamy ją pod murem¹⁴⁶ - odparł zakonnik - Tam nikt jej nie znajdzie.



Ilustracja 47 - Pochówek.

¹⁴⁵ W niektórych przypadkach dzieci czarownic były podejrzane o uprawianie praktyk, gdyż sądzono, że magiczna moc przeszła na nie dziedzicznie. W 1617 r. na wyspie Guernsey dwie córki Jeanne Guignon zostały osądzone, a następnie stracone wraz ze swoją matką. W następnym roku ten sam los spotkał męża Joanny, Jeana de Callais. On jednak nie został stracony, tylko wygnany z wyspy. W 1660 r. w Saksonii dwoje dzieci czarownika skazano i stracono wspólnie z ojcem.

¹⁴⁶ Teren bytomskiego klasztoru minorytów przylegał (nadal przylega) do średniowiecznych murów miejskich. W XVII w. nie miały już one większego znaczenia obronnego, choć przed nimi dodatkowo usypano ziemne wały. Chodziło o ich osłonę przed artylerią. Ścieki miejskie były rynsztokiem odprowadzone na zewnątrz miasta, być może do miejskiej fosy. W rejonie dzisiejszego Placu Klasztornego najprawdopodobniej znajdował się ich zrzut do fosy.

- Zaraz przy rynsztoku? - spytał gwardian, który sam był zaskoczony determinacją zakonnika.

- Tak - odparł Bernard.

- Jak przestępcę - szepnął mężczyzna.

- Jak czarownicę... - odparł cicho gwardian.

- Tego się nie utrzyma w tajemnicy... - powiedział mąż Jadwigi - Dzieci się dowiedzą...

- Nie mogą się dowiedzieć - odparł zakonnik - Dla ich bezpieczeństwa.

Mężczyzna stał nieruchomo bijąc się z własnymi myślami.

- Nikt nie może się dowiedzieć. Zdarzały się przypadki, że dzieci czarownic także oskarżano i palono na stosie. Ciebie też mogą... - mówił z wielkim przekonaniem w głosie zakonnik.



Ilustracja 48 - Placzące dzieci.

Mąż Jadwigi ze strachem spojrzał na niego. Docierały do niego argumenty.

- Dobrze... - powiedział po chwili - Powiem dzieciom, że odeszła z kimś innym. Sąsiadom też. Dzieci nie mogą wstydzić się i cierpieć za swoją niewierną matkę. Pochowajmy ją... Boże, za jakie grzechy? Co my zrobiliśmy Bogu, że musimy tak cierpieć? To się musi skończyć...

Potem nie odezwali się ani słowem. Zakonnik przyniósł dwie łopaty z sadu. Pod kamienną nawierzchnią wykopali niezbyt głęboki dół, do którego wrzucili ciało kobiety. Gdy skończyli, miasto ogarnął już mrok. Ciemność ukryła ich tajemnicę. Przysypali ciało kobiety i łopatami ubili grunt. Gwardian stojąc nad jej mogiłą modlił się żarliwie, gdy mąż Jadwigi i zakonnik kopali, a później zasypali grób. Gdy skończyli, bez słowa rozeszli się. Mężczyzna już nie płakał. Na jego twarzy było widać skupienie i determinację. Poszedł do domu opowiedzieć dzieciom o haniebnej ucieczce ich matki. Można było tylko mu współczuć.

– Nie możemy nikomu powiedzieć – powiedział gwardian do zakonnika, gdy zostali już sami – On nikomu nie powie...

– Wiem, ojcie – odparł Bernard.

– Tylko tak możemy pomóc temu biedakowi... – dodał gwardian – Boże, miej w opiece jego dzieci...

Zakonnik w ciszy przytaknął. O jednym tylko nie wspomniał gwardianowi. O jabłku, którym poczęstował kobietę. Nikomu o tym nie powiedział...



Ilustracja 49 – Miasto nocą.

1669

„(...) Omamienie, właśnie jest oszukiwanie szatańskie, które nie gruntuje się na odmianie rzeczy, ale tylko na poznawającym człowieku, który bywa oszukany na zmysłach, tak wewnętrznych, jak i zwierzchownych. Czemu dziwować się nie potrzeba, że szatani to mogą, ponieważ i przyrodzenie to może, a zwłaszcza nakażone, jako widzimy w szaleńcach, melankolikach, maniakach i pijanicach niektórych, którzy rozeznać się nie mogą. Ludzie szaleni rozumieją, że dziwy widają bestie i insze straszne stworzenia, czego najmniej w prawdzie nie masz. Potwierdza tego i rozum”.

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

W dzień Bożego Ciała, które w tym roku przypadło na 20 czerwca, Józef późną nocą wracał przez miasto do domu. Rzadko zdarzało mu się wypić, ale tego dnia było inaczej. Przebywając w domu swojego dobrego znajomego raczyli się trunkami, które teraz czuł w nogach i w głowie. Umysł pracował trzeźwo, ale nogi trochę się płątały. Szedł nieco chwiejnie przez Plac Klasztorny. Obrzucił wzrokiem zabudowania klasztorne, ciche, ciemne i spokojne. Przed oczami stanęła mu ostatnia rozmowa z zakonnikiem. Uczucia Józefa ciągle były zranione. Myśląc o zakonniku skreślił w ulicę Klasztorną¹⁴⁷, by dostać się na rynek. Znajomy dał mu na drogę zapaloną pochodnię, aby nie połamał sobie nóg na starym, kamiennym bruku, który czasy swojej świetności miał już dawno za sobą. Jej płomienie odbijały się cieniami o fantastycznych kształtach na ścianach domów, które mijał. Na ulicy nie było żywej duszy. Bytom pogrążył się w nocnym śnie. Józef, mocno zamyślony, stawiał ostrożnie kroki tym bardziej, że nie były one tak pewne, jak zazwyczaj. Szedł z pochyloną głową, spoglądając na kamienny bruk, by nie przewrócić się na nieoczekiwanej przeszkodzie. Nagle przed nim, jak z podziemi, wyrosła jakaś postać. Józef stanął i ze zdziwieniem spojrzał na napotkaną osobę. To był mężczyzna. Miał na sobie ciemne ubranie, ale w ciemnościach szczegółów nie było widać. Józef zauważył tylko, że ów człowiek ma nisko opuszczoną głowę i ręce zwisające wzdłuż ciała. Dłonie chyba miał puste. Nic w nich nie było widać. Przez dłuższą chwilę stali naprzeciw siebie, nie wydając żadnego dźwięku.

– Kim jesteś? – spytał Józef.

Mężczyzna nie odpowiedział. Jego głowa nadal zwisała w dół.

– Czego chcesz? – pytał dalej Józef.

¹⁴⁷ Obecna ulica Karola Szymanowskiego.

Żadnej reakcji mężczyzny. Józef poczuł się nieco zaniepokojony.

– Szukasz kogoś?

Wtedy mężczyzna podniósł głowę. Jego twarz pozostała w cieniu, bo na głowę miał zarzucony spory kaptur. Józef pochylił się nieco do przodu, by przyjrzeć się twarzy mężczyzny. Wyciągnął rękę z pochodnią do przodu, starając się oświetlić twarz nocnego spacerowicza. Cienie z pochodni tańczyły na ścianach domów leżących przy ulicy Klasztornej. Józef nic nie dostrzegł, więc ręką z pochodnią powędrowała jeszcze bardziej do przodu. Wtedy dostrzegł jego twarz. Jej rysy były słabo widoczne. To, co dało się od razu zauważyć, to mocno błękitne oczy mężczyzny, które z uwagą wpatrywały się w Józefa.



Ilustracja 50 – Niebieskooki.

– Odejdź – powiedział Józef – Ja tylko wracam do domu. Jeśli chcesz mnie obrabować, to nie ma z czego. Odsuń się z mojej drogi.

– To boli, Józefie – powiedział cicho gardłowym głosem mężczyzna.

Skąd on zna moje imię? – pomyślał Józef – Widzę go pierwszy raz w życiu.

– Co boli? – spytał.

Mężczyzna, ciągle patrząc na Józefa, wskazał ręką na swoją pierś.

– To... – powiedział.

Józef nadal nie rozumiał, o co mu chodzi.

– Odejdź, człowieku – powiedział zirytowany – Nie potrafię ci pomóc.

Mężczyzna zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę, jakby chciał ją podać Józefowi. Ten, przestraszony nieco odskoczył do tyłu.

– Nie chcę nic od ciebie! – krzyknął Józef – Odejdź!

Wtedy mężczyzna gwałtownym ruchem rozdarł szatę na swojej piersi. Józef poczuł, że ogarnia go przeraźliwy strach.

– O Boże... – powiedział sam do siebie.

Mężczyzna rozchylił szeroko szatę i ponownie wskazał ręką na pierś.

– To boli, Józefie... To tak strasznie boli...

Józef, przełamując strach pochylił się bardziej, by zapaloną pochodnią oświetlić pierś mężczyzny. Dojrzał tam rany. Wyglądały na stare, ale kiedyś musiały być bardzo głębokie i bolesne. Mężczyzna szerzej rozchylił strzępy szaty.

– To, Józefie, właśnie to...

Józef z przerażeniem przypatrywał się ranom. Układały się w jakiś wzór. Litery? Nie, to były cyfry. Trzy cyfry. 666. Józef odskoczył do tyłu. Boże, to znak Złego! Sparaliżowany strachem patrzył na twarz mężczyzny.

– Widzisz to? – spytał głośno mężczyzna – Widzisz?

– Tak... – odparł cicho Józef.

– Uwolnij mnie od tego, Józefie! Ja już nie mogę dłużej! Uwolnij!

Józef stał bez ruchu. Nagle mężczyzna wygiął się do tyłu, mocno wypinając pierś. Wyglądał, jakby ktoś wbił mu ostrze w ciało. Rozłożył szeroko ręce. Otworzył usta i zaczął krzyczeć. Przeraźliwym, nieludzkim, pełnym bólu krzykiem. Józef ze strachu nie mógł się ruszyć. Wrzask wdzierał się w jego umysł. Szarpał jego ciało. Czuł go od stóp do głowy. Stojąc nadal nieruchomo rzucił na ziemię pochodnię i obydwoma rękoma starał się zatkać uszy, by uwolnić się od tego dźwięku. Nic to nie dało. W pewnym momencie zauważył, że rany na piersi mężczyzny zaczynają w dziwny sposób świecić. Było je coraz wyraźniej widać. 666. Cyfry wyglądały, jakby żarzyły się jakimś wewnętrznym ogniem. Krzyk nie ustawał. Zmienił się jednak w przeraźliwy pisk, wiercący każdy zakamarek umysłu. Mężczyzna, mając szeroko otwarte usta, wyginał się coraz bardziej do tyłu, przyjmując przedziwną i nienaturalną pozę. Człowiek nie mógłby utrzymać tak równowagi. Cyfry płonęły czerwonym ogniem. Wrzask nie ustawał. Józef ocknął się z letargu. Rzucił się do ucieczki. Biegł ulicą Franciszkańską w głąb miasta, potykając się i przewracając, bo w ciemnościach nic nie było widać. Biegając nadal trzymał ręce przy uszach. Nic to nie dało, bo krzyk mężczyzny ani trochę nie osłabł. Józef nie oglądał się za siebie. Biegł, potykał się, przewracał, podnosił i dalej biegł. Był coraz bliżej swojego domu. Był pewien, że mężczyzna biegnie za nim, bo krzyk w żaden sposób nie ucichł. W końcu dopadł do

drzwi. Otworzył je z taką energią, że o mało co nie wyrwał ich z zawiasów. Zatrzasnął je za sobą i zarygłował. Krzyk nagle ucichł.

– Boże, Józek, co się stało? – spytała rozbudzona Aniela, małżonka Józefa, która zaalarmowana hałasem nagle zjawiała się w izbie – Jak ty wyglądasz?

Nie odpowiedział. Starał się złapać oddech.

– Biegłeś? Uciekałeś? Boże, jesteś cały poraniony.

Józef tylko ciężko dyszał.

– Ktoś mnie gonił – powiedział po chwili – Chyba chciał mnie obrabować...

– Ktoś obcy? – spytała Aniela.

– Tak.

– Widzisz, nie trzeba było tak długo siedzieć.

Józef starał się uspokoić swój oddech.

– Masz rację, kobieto.

– Strach chodzić po tym mieście – powiedziała Aniela – Czekaj, przemyję ci rany.

Podczas gdy Aniela zmywała krew z jego ran, Józef nieco się uspokoił. To znaczy jego ciało się uspokoiło, ale nie umysł. Rany. 666. Już je kiedyś widział. Na pewno. Tylko gdzie? Nagle przed oczami stanął mu obraz zakonnika, gdy ten spadł z drabiny w sadzie i rozdarł sobie habit na piersi. Tak, to były te same rany. Te same albo bardzo podobne. Józef zastanawiał się również, dlaczego nikt z mieszkańców miasta nie zareagował na ten przerażający krzyk. Przecież był tak głośny i przejmujący, że pół miasta powinno stanąć na nogach. Dopiero po chwili zrozumiał, że inni go nie słyszeli. Ten wrzask był przeznaczony tylko dla niego i rozbrzmiewał w jego głowie. Tylko i wyłącznie tam. Nikt inny go nie słyszał. Gdy położył się do łóżka, długo leżał z szeroko otwartymi oczami. Aniela zasnęła bardzo szybko. On nie zmrużył nawet oka. Nikomu nie powiedział o tej nocy. Nie chciał, żeby ktokolwiek inny to wiedział. Dla ich dobra...

1670

„Sposoby leczenia czarów w sobie zamykająca Questia albo pytanie do tej części należące. Jeśli się godzi czarami czarów zbywać albo je leczyć?”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

Józef przez wiele miesięcy wyciszył w sobie przykre wspomnienia związane z nocnym spotkaniem. Przysiągł sobie, że już nigdy w środku nocy nie pojawi się na ulicy. Nie wyobrażał sobie powtórnego spotkania z tym mężczyzną. Nikomu też o spotkaniu nie powiedział. Skończyło się na niewinnej bajce o nocnym rzezimieszku, który chciał go obrabować. Wszyscy uwierzyli. Nawet Andrzej. Najbardziej przerażał go fakt, że nocna zjawia miała takie same blizny, jak jego znajomy zakonnik. Męczyło go to strasznie. Pewnego dnia zebrał się na odwagę i ruszył w stronę Placu Klasztornego. Musiał to wyjaśnić. Musiał. Szedł powoli, bardzo powoli, jakby cały czas utrzymywał gotowość do zawrócenia. Po chwili znalazł się w pobliżu klasztoru.

– Ooo, Józef... – usłyszał nagle. To był gwardian.

– Szczęść Boże – odparł cicho.

– Szczęść Boże. Dawno cię nie widziałem. Kiedyś często przychodziłeś do naszego ogrodnika.

– Teraz też chciałem z nim porozmawiać – odparł Józef – Znajdę go w sadzie?

Gwardian aż westchnął ze zdziwienia.

– Jego tu nie ma. Nie wiesz? – spytał.

Józef popatrzył na niego zdziwionym wzrokiem.

– Jak to nie ma?

– No nie ma. Odszedł.

– Zmarł?

– Niiieeee... Po prostu odszedł.

Józef był coraz bardziej zdziwiony.

– Ojcie, ja nie rozumiem. Jak to odszedł?

– To było kilka miesięcy temu – odparł gwardian – Pewnego dnia nie pojawił się na porannej modlitwie. Bracia udali się do jego klasztornej celi. Myśleli, że zaniemógł. Martwili się o niego. W celi leżał cały jego skromny dobytek. Wszystko co miał. Tylko jego tam nie było.

Józefa sparaliżował strach.

– Co się stało, Józefie? – spytał zaniepokojony gwardian – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Józef nadal nie odpowiadał.

- Szukaliśmy go kilka dni - mówił dalej gwardian - Nie znaleźliśmy. Nie wiem, co zmusiło go do odejścia. Nie jest mi znany żaden powód. Zniknął. Tak po prostu...

- Nigdy już o nim nie słyszeliście? - spytał cicho Józef.

- Nie.

- Nikt nigdzie go nie widział?

- Też nie, Józefie.

- Ojczy, niech sobie ojciec przypomni, kiedy to dokładnie było.

- Nie muszę sobie przypominać, bo pamiętam dokładnie. To było w zeszłym roku zaraz po Bożym Ciele.

Józef aż się zachwiał.

- Boże, Józefie, co ci jest? - powiedział głośno gwardian.

- Nic, ojczy, nic... - odparł cicho Józef.

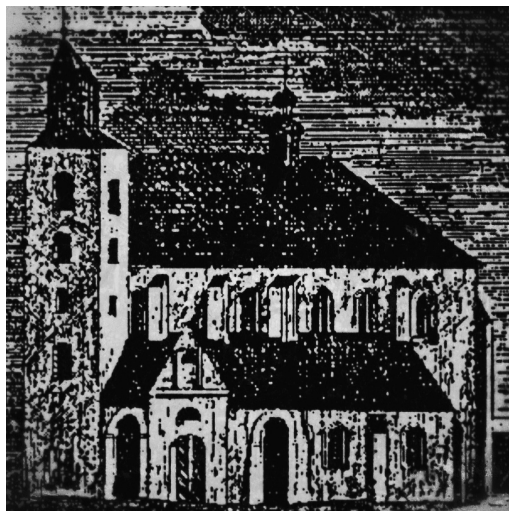
- Teraz mamy innego ogrodnika, ale to nie to samo - westchnął nieco uspokojony gwardian - Jeszcze dużo musi się uczyć.

Józef uśmiechnął się lekko, choć jego myśli były bardzo daleko.

- Pójdę już, ojczy. Szczęść Boże - powiedział.

- Szczęść Boże, drogi Józefie. Zaglądaj tu do nas czasami. Zawsze jesteś mile widziany - odparł gwardian.

Józef już nigdy nie odwiedził bytomskiego konwentu minorytów. Informację o tajemniczym zniknięciu zakonnika po jakimś czasie przekazał swojemu bratu. Nikomu więcej...



Ilustracja 51 - Kościół WNMP w XVII w.; źródło: wikipedia

W tym samym roku mieszkańcy Bytomia żywo interesowali się konfliktem pomiędzy księdzem z parafii WNMP, premonstratensem Stanisławem Łaskim (Łasickim)¹⁴⁸ a hrabią Jerzym Fryderykiem. Gdy hrabia zwrócił się do niego z prośbą o udzielenie sakramentu chrztu dziecku swojego brata Karola Maksymiliana, któremu groziła rychła śmierć, ksiądz odmówił. Hrabia zwrócił się wtedy do zakonników z klasztoru minorytów, a ci bez problemu takiego sakramentu udzielili. Zdenerwowany Łaski poskarżył się w krakowskim biskupstwie, a kiedy wspomniane dziecko zmarło, zabronił tradycyjnego bicia w dzwony. To zdenerwowało nie tylko hrabiego, ale także franciszkanów, jak również mieszkańców miasta. Wkrótce pleban z kościoła WNMP został odwołany. Na jego miejsce przybył ksiądz Joseph Nigrinus. Wspomniany konflikt był dowodem na to, że często względy osobiste dominowały nad obowiązkami religijnymi.

¹⁴⁸ Franz Gramer w swojej kronice podaje, że był to Józef Lazzi. Być może jest to postać tożsama ze Stanisławem Łasickim, którego w tym czasie podaje się jako proboszcza kościoła św. Ducha.

1671

„Co się tknie ludzi uczarowanych, ci napierwszy są, którzy z szatanami (latawcami ich pospolicie zowiemy) cielesnie obcuja, i od nich przenagabanie mają. Takowi ludzie są trojacy. Jedni, którzy się dobrowolnie na odprawowanie brzydkości cielesnej z szatanami podają, jakowe są czarownice. (...) Drudzy, których nad wolą ich przez czary latawcy się trzymają. Na ostatek niektóre panienki, które poniewolnie takowe prześladowania szatańskie cierpią”

„Młot na czarownice. Postępek zwierchowny o czarach (...)”, 1487

W ciągu ostatnich trzech lat bytomskie sądy miały sporo roboty. Szerzyło się pijanstwo, nie brakowało również pospolitych przestępstw. W 1668 r. Piotr Kozi wniósł pozew. Oskarżył Piotra Maruszewicza. Sprawa była w sumie błaha. Kozi przebywał w miejscowej gospodzie i popijał wódkę. Jego kompanem od kieliszka był Maruszewicz. Gdy Kozi miał już nieco w czubie, zamierzał wrócić do domu. Kiedy wychodził zauważył, że brakuje mu jednej skórzanej rękawicy. O jej kradzież oskarżył Maruszewicza. Ten zaprzeczył. Wywiązał się słowny spór, a nawet doszło do przepychanek. Sprawa trafiła do sądu, który musiał obradować nad kradzieżą jednej rękawicy. W tym samym roku Seweryn Rajski zwrócił się do bytomskiego starosty ziemskiego z prośbą o pomoc. Sprawa dotyczyła jego siostrzeńca, który, prawdopodobnie po pijanemu, pobił i połamał żebra swojemu poddanemu Sobkowi. Rajski twierdził, że siostrzeniec został sprowokowany do takiej reakcji. W październiku 1668 r. Jan Tomaszewski z Bytomia wniósł pozew przeciwko Janowi Spaczkowi zarzucając mu, że z jego namowy zniszczony został znak graniczny pomiędzy ich nieruchomościami. Spaczek miał podobno zagarnąć w ten sposób ziemię, która należała do Tomaszewskiego. Jan Tomaszewski został później burmistrzem Bytomia. Hetmanem ziemskim państwa bytomskiego był wtedy szlachcic Jan Paczyński z Paczyny¹⁴⁹. Było niespokojnie i niebezpiecznie.

Na przełomie 1668 i 1669 r. doszło do bardziej tragicznego wydarzenia. Szlachcic Mathias Zagorski z Zagórza zabił gwarka z Tarnowskich Gór, Mikołaja Kuczerę. Szlachcic był prawdziwym zwyrodnialcem. Nieco wcześniej kazał związać żebraka, który odważył się prosić go o pomoc. Trochę później strzelał z dubeltówki do niejakiego Tomasza Kaczmarka. Na szczęście nieskutecznie. Innym razem strzelał do chłopców, którzy według niego popełnili przestępstwo, gdyż grali w kręgle. Trudno

¹⁴⁹ Do rodu Paczyńskich należały Hajduki Górne (obecna część Chorzowa Batorego), a także inne posiadłości. Jan Paczyński (1649-1668) był bytomskim starostą ziemskim od 4 stycznia 1668 r. do 11 kwietnia 1681 r. Wcześniej bytomskim starostą był Jan Miroszewski z Miroszowic.

powiedzieć, ile jeszcze spraw miał na sumieniu. Wspomniany tarnogórski gwarek stanął w obronie chłopców. Szlachcic, zdenerwowany postawą gwarka, wywabił go z domu, a następnie zamordował bezbronnego strzałem z broni palnej. Małżonka zamordowanego Ewa wniosła pozew do bytomskiego sądu. Przed sądem zeznawali członkowie rodziny zabitego, Anna Waniek, Jan Siwiec i Jan Budnik. Wdowa Ewa podkreślała, że przed rozpoczęciem sprawy odwiedziło ją kilku wysłanników szlachcica, którzy proponowali jej zadośćuczynienie finansowe w zamian za wycofanie sprawy. Podczas przesłuchań wyszły na jaw jeszcze inne nieczne uczynki szlachcica, który w przypływie złego humoru potrafił strzelać nawet do kotów. Prawdopodobnie powodem jego zmiennych nastrojów było uzależnienie alkoholowe. Wdowa żądała sprawiedliwości i 200 grzywien śląskich odszkodowania. Z ocalałych dokumentów sądowych wynika, że sprawę wygrała, ale szlachcic nie poniósł żadnych dużych konsekwencji, a nawet został zwolniony z aresztu. Wstawili się za nim ludzie tego samego stanu. Całkiem prawdopodobne, że pomógł mu sam hrabia Jerzy Fryderyk.

W 1670 r. szlachcianka Anna Ruszkowska zażądała 300 grzywien śląskich odszkodowania za pobicie i postrzelenie jej czeladnika. Wskazała sprawcę i domagała się sprawiedliwości. W tym samym roku mieszkańcy Bytomia byli zbulwersowani kolejną sprawą. Chodziło o pozew wniesiony do sądu przez Jana Lastera, który był w Bytomiu postacią dość znaną. Od 10 lat pracował w kościele WNMP na Rynku jako dzwonnik. Był solidnym i sumiennym pracownikiem. Proboszczem ówczesnej parafii WNMP był proboszcz Nikowski (Nigrunus). Laster liczył, że po tylu latach wiernej pracy na rzecz parafii i proboszcza należy mu się poważanie. Miał problem z pomieszczeniem, w którym mieszkał. Liczył na to, że proboszcz przydzieli mu nowe mieszkanie, które miał do dyspozycji. Tymczasem ten przydzielił lokal zupełnie innej osobie, dość krótko związanej z parafią. Laster poczuł się oszukany. Poza tym podejrzewał, że proboszcz za przydzielenie mieszkania innej osobie uzyskał jakieś korzyści. Ta dość nieprzyjemna sprawa stała na obradach sądu.

Hrabia Jerzy Fryderyk angażował się we wszystkie procesy, czasami nawet w te najbardziej błahe. Udowadniał w ten sposób swoją władzę i decyzyjność. Nie przeszkadzało mu jednak, że w mieście szerzyło się pijaństwo, które było najczęstszym powodem popełnienia mniejszych czy większych przestępstw. Jeszcze w 1669 r, tuż za Bramą Pyskowską, ale już poza murami miasta otworzył własną gospodę¹⁵⁰, gdzie alkohol lał się szerokim strumieniem. Zgodnie z obowiązującymi przepisami nie miał prawa tego zrobić bez zgody mieszkańców i władz miasta, ale niewie-

¹⁵⁰ Znajdowała się prawdopodobnie na rogu obecnych ulic Piekarskiej i Wrocławskiej. W tym miejscu w okresie PRL-u funkcjonowała restauracja „Kaskada”.

le go to obchodziło. Poza tym próbował narzuć swoje decyzje bytomskim cechom rzemieślniczym. Wbrew ich woli chciał zmonopolizować produkcję bytomskiego rzemiosła¹⁵¹, a także produkcję mąki. Zdarzyło się nawet, że bytomski szewc, który z niewiadomych powodów odmówił wykonania hrabiemu pary obuwia, został za to uwięziony. To wszystko powodowało, że stosunki pomiędzy hrabią a mieszkańcami miasta były coraz bardziej napięte. Mówiąc najprościej, hrabia Jerzy Fryderyk nie był lubiany przez mieszkańców Bytomia. Cieszyli się, że najczęściej przebywał w swoim zamku w Świerklańcu i w mieście pojawiał się bardzo rzadko. On sam koncentrował się na interesach. W 1668 r. zawarł kontrakt z wrocławskim kupcem Karolem Jungiem na wydobycie rud galmanu na terenie Bobrka, Radzionkowa i Stolarzowic. Najwięcej kontrowersji wzbudziła jednak sprawa sądowa, która odbyła się przed bytomskim sądem wójtowskim w styczniu 1671 r.

¹⁵¹ W 1669 r. został wydany statut cechu sukienników – cech liczył wtedy 36 majstrów.

1671 – sprawa Anny Kossur

„Aczkolwiek białychgłów czarownic jest w liczbie nierówno więcej aniżeli mężczyzn: wszakże mężczyzn uczarowanych więcej się znajduje, a to z tej przyczyny, iż Pan Bóg więcej dopuszcza na sprawę cielesną jako na tę, przez którą grzech pierworodny na wszytek naród ludzki się rozlewa, czego nie tak wiele jest w inszych sprawach ludzkich (...)”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

22 stycznia 1671 r. w sali bytomskiego ratusza zebrał się sąd wójtowski, który miał przesłuchać i osądzić Annę Kossur. Oskarżonej postawiono zarzut morderstwa. To był niezwykle mroźny styczniowy dzień, a na dworze trzaskający mróz zbił śnieg w twarde bryły. Pomieszczenie było ogrzewane, ale i tak dało się odczuć chłód, który panował na zewnątrz. Oskarżona, kobieta w średnim wieku, stała wyprostowana przez stołem sędziowskim. Pilnowało jej dwóch strażników. Sala była prawie pełna. Wiele osób chciało przysłuchiwać się jej zeznaniom. Wśród nich był zaufany hrabiego.

– Jak się nazywacie? – spytał wójt.

– Anna Kossur.

– Ile macie lat?

– 34.

– Czy rozumiecie oskarżenie jakie przeciwko wam wpłynęło do sądu?

– Tak, panie...

Wójt zaczął przeglądać dokumenty, które leżały przed nim na stole.

– Ile oskarżona urodziła dzieci? – spytał po chwili.

– Pięcioro.

– Ile z nich żyje?

– Żadne – odparła Kossurowa.

Po sali rozszedł się głośny pomruk. Nie brzmiał przyjaźnie.

– Niech oskarżona nam powie... – pytał dalej wójt – Kto był ojcem tych pięciorga dzieci?

Anna zmieszana rozglądała się sali.

– Słyszycie mnie? – powiedział głośniejsze wójt.

– Tak, panie...

– Kto był ojcem?

Anna głośno przełknęła ślinę.

– Każde dziecko miało innego – wydusiła z siebie.

Sala ożyła. Głośnie rozmowy splotały się ze sobą. Wójt znacząco spojrzał na ławników.

– Pięcioro dzieci, pięciu ojców? – spytał wójt.

– Tak... – odparła Kossurowa, opuszczając nisko głowę.

– Jesteście mężatką?

– Nie... – powiedziała cicho kobieta.

Ściszony gwar na sali nie ustawał. Wójt poczekał dłuższą chwilę, aż głosy bardziej przycichły.

– Jak to się stało, że wszystkie wasze dzieci nie żyją? – spytał.

– Bo to wiedźma! – krzyknął ktoś z sali.

– Ciszta! – krzyknął wójt – Bo każę wszystkich wyprowadzić!

Głosy ucichły, ale trwało to dość długo.

– Wyłumaczcie nam, jak to się stało? – spytał ponownie wójt.

– Jestem biedna... – zaczęła kobieta.

– Wiedźma! Zabiła własne dzieci! – rozległ się inny męski głos.

– Jasna cholera! – krzyknął wójt – Wyprowadźcie mi tego krzykacza! – wskazał strażnikom kierunek, z którego dobiegał głos. Ci szybkim krokiem podeszli do wskazanego miejsca, ale nie byli w stanie określić, kto przed chwilą krzyczał.

– Ciszta! – wrzasnął wójt – Bo wszystkich wyrzucę!

Chwilę to trwało, ale na Sali ucichło.

– Niech oskarżona odpowie... – zwrócił się wójt do Kossurowej.

– Jestem biedna, panie... – powtórzyła Anna – Zawsze tak było. Nie miałam szczęścia w życiu.

Wójt i ławnicy nie odpowiedzieli. Słuchali w milczeniu.

– Moi rodzice wcześniej odeszli z tego świata. Zostałam sama...

– Po co ona to mówi? Nie odpowiada na pytanie... – powiedział jeden z ławników.

Wójt uciszył go podniesieniem ręki.

– Moje pierwsze dziecko... To była dziewczynka... Piękna... – mówiła Anna.

– Co się z nią stało?

– Panie, ja zawsze ufałam tym chłopom. Mówili, że się ze mną ożenią, że się zaopiekują... A jak się okazało, że będę miała dziecko, to już ich nie było... – mówiła Kossurowa.

– Rozumiem. Co stało się z dzieckiem? – spytał wójt.

– Urodziłam ją w sierpniu. Od razu była chorowita. Próbowałam ją ratować, ale w listopadzie zmarła.

– A ojciec? Co on na to?

– Panie, on nawet nie wiedział, że to dziewczynka.

Na sali podniósł się gwar, ale wójt uciszył go jednym gestem ręki.

- Co działo się dalej? - pytał.

Kobieta z trudem powstrzymywała łzy. Widać było, że wspomnienia bardzo ją ranią.

- Potem był drugi chłop. Żonaty. Mówił, że kocha, że odejdzie od swojej... I znowu to samo. Na wieść o dziecku zniknął...

- Urodziliście dziecko?

- Tak. To znowu była dziewczynka. Bardzo podobna do ojca. Zmarła kilka dni po urodzeniu.

- Co dalej?

- Kolejny chłop. Ten na wieść o tym, że będę miała dziecko, sprowadził jakąś kobietę, która chciała usunąć płód.

Wójt spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Kim była ta kobieta? - spytał.

- Nie wiem, panie. To on ją sprowadził.

- Jak się nazywał ten mężczyzna? - spytał jeden z ławników.

- Jan Goluszek. Już nie żyje. Odszedł w tamtym roku. Podobno na suchoty.

- Udało się usunąć płód? - spytał wójt.

- Nieceeee... Urodziłam dwójkę - chłopczyka i dziewczynkę. Bliźniaki.

- Czyli próba usunięcia płodu nic nie dała?

- Dała, panie - odparła Anna ze łzami w oczach - Dzieci były zdeformowane. Zmarły zaraz po urodzeniu.

Kossurowa zaczęła płakać. Wójt długo się jej przypatrywał.

- To już czwórka dzieci... Co z piątym? - spytał.

Anna opuściła głowę. Widać było, że wspomnienia powodują ból. Silne emocje wywoływały spazmatyczne skurcze na jej twarzy.

- Jego ojciec... Bo to był chłopczyk... Jego ojciec to bytowski rzemieślnik. Wdowiec.

- Jak się nazywa?

Kossurowa podała jego personalia.

- On też obiecywał, że się ze mną ożeni. Panie, ja już mam swoje lata. Bałam się, że zostanę sama na starość. Jak tylko dowiedział się, że urodzi się dziecko... - Anna zaczęła głośno szlochać.

- Co się wtedy stało? - dopytywał wójt.

Anna płakała coraz głośniej.

- Zaczął mnie bić... kopać... Może myślał, że w ten sposób spędzę płód...

- No i co?

- Urodziłam chłopca. Już nie żył. Kopniaki zrobiły swoje. Jeszcze dzień wcześniej ruszał się w moim brzuchu.

- Co zrobiliście?

- Nie wiedziałam, co mam zrobić. Zostałam z tym sama... - mówiła Anna - Zawinęłam chłopczyka w szmaty i zaniiosłam do budynku pod murami miasta, który już jakiś czas stał pusty.

- Podłożyliście ogień? - spytał wójt.

- Tak, panie...

Na sali znowu zawrzało. Wójt odczekał dłuższą chwilę.

- Dlaczego?

- Pomyślałam sobie, że jak budynek spłonie, to nie będzie żadnego śladu po tym dziecku. Wiedziałam, że jak pójdę na cmentarz, to pleban nie da mi spokoju... Bałam się ojca dziecka...



Ilustracja 52 - Kossurowa w celi.

Wójt w milczeniu patrzył na Kossurową. Gdyby była wiedźmą, nie żyłaby w bie-dzie. Potrafiłaby również związać ojców dzieci ze sobą. Wykorzystać ich. Tymcza-sem to oni ją wykorzystali. Pochowała własne dziecko w opuszczonym domu, któ-ry spaliła. To akt desperacji, a nie czarostwa. Spojrzał na karty leżących przed nim dokumentów. Był tam jeden, zapisany starannym, odręcznym pismem. Od samego hrabiego. „Zgodnie z moim życzeniem oskarżona Anna Kossurowa, winna straszliwych

zbrodni, musi zostać uznana za winną i wygnana z miasta. Ma zostać skazana na śmierć, a ja zmienię jej wyrok na wyświęcenie". Jasna cholera – pomyślał wójt – Nie mam wyjścia. Nie mam wyjścia...

Po krótkiej naradzie z ławnikami ogłoszono wyrok. Anna Kossurowa została uznana za winną zbrodni zamordowania własnego syna, a może i czterech pozostałych dzieci i skazana na śmierć przez poćwiartowanie. Hrabia Jerzy Fryderyk wspaniałomyślnie zmienił jej wyrok na wyświęcenie i złożenie Uhrfrid. Podczas odczytywania wyroku Kossurowa osunęła się na ziemię i straciła przytomność...

Następnego dnia w pobliżu Bramy Krakowskiej zebrał się spory tłum. Sprawa Kossurowej odbiła się szerokim echem w całym mieście. Najwięcej było kobiet. Nie brakowało też dzieci. Oskarżoną, przy wrzaskach tłumu wyprowadzono z więzienia i starym szlakiem prowadzono w stronę stawu Klukowiec. Styczeń dawał o sobie znać. Temperatura była bardzo niska. Wiał przenikliwy wiatr. Nawet ciepło ubrani mieli z tym problem. Ludzie wrzeszcząc, trzęsąc się, podskakując i stukając nogami dotarli do stawu, gdzie czekał już wójt z kilkoma miejskimi urzędnikami.

– Uhrfrid! – krzyczeli – Uhrfrid!

Kossurową zmuszono do ukłęknięcia i złożenia przysięgi, że już nigdy nie powróci do ziemi bytomskiej. Po chwili kobieta ruszyła w kierunku północnym, przedzierając się przez zasypy śniegu. Dzień pomału chylił się ku końcowi. Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Kossurowa miała na sobie tylko porozrywaną sukienkę i rodzaj jesienno szalu, który potajemnie wcisnęła jej do ręki jakaś miłośnica kobiecina. Anna, potykając się raz za razem, ruszyła w swój marsz. Po chwili dotarło do niej, że prawdopodobnie za chwilę poczuje się tak zmęczona, że usiądzie pod jakimś drzewem i zaśnie, by już nigdy się nie obudzić. Temperatura robi swoje. Wokół nie było żadnych domostw, do których można było zwrócić się o pomoc. Poza tym, kto jej pomoże? Jej, wyświęconej wiedźmie? Nie miała żadnych złudzeń. Tak jak podejrzewała, za chwilę poczuła się niesamowicie zmęczona. Chciała już to mieć za sobą. Usiadła pod drzewem. Otuliła się mocniej szalem i zamknęła oczy. Czekwała na śmierć. Byle szybciej... Na chwilę otworzyła oczy i aż podskoczyła ze zdumienia. Zobaczyła jak nachyla się nad nią mężczyzna, który wyraźnie się do niej uśmiechał. Próbowwała się od niego odsunąć, ale pień drzewa jej na to nie pozwalał. Zresztą, jego oczy... Takie hipnotyzujące. Jasnoblękitne, jak czyste niebo latem.

– Chcesz zemsty, kobieto?

Jakiej zemsty? – pomyślała Kossurowa – O czym on mówi?

– Nie, panie – powiedziała.

– Nie chcesz? – pytał dalej mężczyzna – Zostałaś tak skrzywdzona...

No pewnie, że zostałam – pomyślała kobieta.

- Nie chcę żadnej zemsty, panie - powiedziała stanowczo - Daj mi spokojnie umrzeć...

- Ci, którzy to zrobili, teraz grzeją się w blasku ognia - powiedział cicho mężczyzna - A ty umierasz...

On ma rację - pomyślała Kossurowa.

- Tak, panie, chcę zemsty - powiedziała nagle patrząc prosto w oczy nieznajomego. Ten uśmiechnął się do mnie.

- Chodź ze mną - powiedział.

Kossurowa wstała, nagle odzyskując chęć do życia. Obydwoje ruszyli w dalszą drogę.

Z daleka kobiecie przypatrywał się odziany w białe płótno mężczyzna. Widział, jak kobieta usiadła pod drzewem. Zrozumiał, że poddała się swojemu losowi i czekała na śmierć. Ze zdumieniem zauważył mężczyznę, który pojawił się nie wiadomo skąd. Widział, jak Anna nagle wstała i dziarskim krokiem podążyła za nim w zupełnie innym kierunku. Widział, jak mężczyzna trzyma ją za rękę. Obserwował ich bardzo długo, aż zniknęli w zimowym krajobrazie. Po chwili Józef odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę Bytomia.

1671

„Wszystkie rzeczy, które od Pana Boga mamy bądź to wesole, bądź smutne, wszystkie nam bywają dawane dla pożytku naszego jako od dobrotliwego ojca i łaskawego lekarza. Dlategoż ludzi szatanom jako mistrzom, jakim podaje, dla wyćwiczenia w pokorze, żeby oderwanymi będąc od świata tego, albo czystsze przeniesli się do żywota inszego, albo na karanie cierpieli (...)”

„Młot na czarownice. Postępek zwierchowny o czarach (...)”, 1487

– Słyszałeś o procesie Kossurowej? – spytał Andrzej.

Bracia spotkali się na ulicy. Zupełnie przypadkowo, gdzieś w okolicy Bramy Gliwickiej. Był kwiecień, a zima już ustępowała pierwszym promieniom wiosennego słońca.

– Oczywiście, że słyszałem, bracie – odparł Józef.

– Mówili, że była niewinna – powiedział Andrzej.

– Mówili też, że była wiedźmą – odparł Józef.

– Tak, wiem... Komuś zależy, żeby nas podzielić i skłócić.

– Najwyraźniej, bracie – odpowiedział Józef – Jak ty się czujesz?

– Dobrze... Wiesz, lata lecą, młodość odeszła... Tego już nie wrócimy... Tu boli, tam poboлева... Taki nasz los.

Józef spojrzał na niego. Andrzej nie wyglądał najlepiej.

– Jak twój syn? – spytał Józef.

– Wstąpił do seminarium – odparł Andrzej – Uparł się. Nie pochwalam tego, ale to moje dziecko. Pomogę mu, jak mogę.

– Wiem, bracie – powiedział Józef – Na mnie też możesz liczyć...

Nagle odezwały się dwa dzwony, które niedawno zawieszono na ratuszowej wieży. Bracia w milczeniu słuchali ich pięknego dźwięku¹⁵².

– Nie ma żadnych wiadomości o twoim znajomym zakonniku? – spytał Andrzej.

– Nic nie słyszałem. Nie zaglądam już do klasztoru, bracie – odparł Józef.

– Dlaczego? Może on wrócił...

– Nie wrócił. To wiem na pewno – powiedział Józef – Jakoś nie mam ochoty tam zaglądać...

– Rozumiem, bracie. To co? Jak myślisz? Trzeba się spodziewać kolejnego hrabiowskiego pogrzebu? Zły nie śpi... – powiedział Andrzej.

¹⁵² W 1670 r. w bytomskim ratuszu przeprowadzono remont zegara i drewnianej wieży, na której umieszczono dwa dzwony.

Józef nerwowo rozejrzał się dookoła.

– Ciszej, idioto, bo cię posadzą o czary... – syknął.

– Jak myślisz? – spytał Andrzej.

Józef nie odpowiedział.

– Czas pokaże... – powiedział po chwili.

– Ja tam wiem swoje – odparł Andrzej – Z Bogiem, bracie...

Powolnym krokiem ruszył w stronę swojego domostwa, a wiosenny ciepły wiaterek smagał go po twarzy. Andrzej uśmiechał się do niego, a może do swoich myśli. Nie wiedział, że jego brat cały czas uważnie go obserwuje.



Ilustracja 53 – Trumna hrabiego.

Hrabia Jerzy Fryderyk VII Henckel von Donnersmarck zmarł trzy tygodnie później, w dniu 9 maja 1671 r. Odszedł z tego świata w Wiedniu, z daleka od Bytomia. Jego szczątki sprowadzono do Bytomia. Zapewne pochowano go również w Bytomiu, ale jego grób nie zachował się. Był protestantem, więc nie mógł być pochowany w katolickim kościele. Na jego pogrzebie była garstka bytomskich mieszczan. Nie pojawili się nawet urzędnicy starostwa powiatowego. Hrabia odszedł w atmosferze wrogości wobec własnej osoby. W dużym stopniu zasłużył sobie na taką opinię. Jego małżonką była urodzona w dniu 4 marca 1605 r. w Sławkowie na Morawach Anna

Helena, z domu von Kaunitz. Miał z nią dwóch synów: Leona Ferdynanda i Karola Maksymiliana, którzy po śmierci ojca podzielili się odziedziczonymi dobrami. Leon Ferdynand otrzymał część bytomską, a Karol Maksymilian tarnogórską. Obaj stali się protoplastami dwóch istniejących do dzisiaj głównych linii rodu, bytomsko-siemianowickiej i tarnogórsko-świerklanieckiej.

Hrabiowski strach

„A że z bojażnią rzeczemy. I zali szatan Lucyfer Zbawiciela naszego wziąwszy, nie obnosił i nie stawiał po różnych miejscach jako Ewangelia świadczy?”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchny o czarach (...)”, 1487

Nowym panem Bytomia w 1671 r. został hrabia Leon Ferdynand. Urodził się w dniu 1 lutego 1640 r. w Świerklańcu. To pierwsze pokolenie Hencklów, które urodziło się tu, na ziemi bytomskiej. Już w dniu 3 sierpnia 1671 r. wydał w Bytomiu dokument, w którym zobowiązywał się do przestrzegania wszystkich praw i przywilejów swoich poddanych. Pomimo tego, że w następnych latach potwierdził przywileje poszczególnych bytomskich cechów¹⁵³, to od początku próbował rządzić całkowicie samodzielnie, a wzorem swojego ojca również apodyktycznie. Dowodem na to jest fakt, że zażądał przekazania mu bytomskiego ratusza na swoją siedzibę¹⁵⁴. Miał zamiar wybudować sobie w mieście pałac. W tym celu nawet wyburzono kilka chałup. Starał się całkowicie kontrolować miejskie urzędy. Sam ustalał skład bytomskiej rady, a mieszczanom zakazał jakichkolwiek zebrań. Za wybór rajców nałożył opłatę 30 talarów. Był butny i chamski. Niektórzy twierdzili, że był znacznie gorszy od swojego ojca. W 1674 r. kupił od swojego kuzyna Eliasza Andrzeja z Bogumina Kochłowice i przyłączył je do ziemi bytomskiej.

Nie szanował mieszkańców Bytomia. Kiedy sukiennicy odmówili korzystania z narzuconego im przez hrabiego postrzygacza płótna, trzydziestu pięciu z nich kazał wtrącić do więzienia. Nakazał wszystkim piekarzom, aby mieli mąkę w jego młynie, gdzie ceny były stosunkowo wysokie. Przed murami miasta zakładał kolejne karczmy¹⁵⁵, które odbierały klientów tym znajdującym się w mieście. Ludzie mieli go dość. Licząc na sprawiedliwość złożyli nawet skargę do cesarza, ale niewiele to dało. On z kolei posądział mieszkańców Bytomia o spiskowanie przeciwko jego władzy, a nawet o chęć przyłączenia tych ziem do sąsiedniej Polski. Tak było przez dwa pierwsze lata...

– Panie hrabio – odezwał się niski i korpulentny mężczyzna, ubrany w elegancji ubiór świadczący o jego wysokiej pozycji społecznej – Musimy być bezwzględni i nieustępliwi. Nie możemy temu motłochowi dać się stłamsić.

¹⁵³ 1671 – rzeźników, 1674 – kowali, 1675 – kuśnierzy i szewców, 1676 – tkaczy, 1685 – krawców.

¹⁵⁴ atusz wrócił do miasta dopiero w 1813 r. (na podstawie rozprawy sądowej).

¹⁵⁵ W XVII w. w Bytomiu spora część była dzierżawiona przez Żydów. Znani są Salomon Lewek, Lefkowicz, Dawid Lewek i Lewek Szmulowicz.

Hrabia Leon Ferdynand siedząc na bogato zdobionym krześle patrzył na mężczyznę. Obydwaj znajdowali się w mniejszej sali bytomskiego ratusza, który hrabia zajął na własne potrzeby. W rękę trzymał puchar z trunkiem, który rozgrzewał jego ciało i myśli.

– Dobrze wiesz, Janie, jak skończył mój ojciec i jego bracia – powiedział.

– Wiem, panie.

– Zapłacili za swoją pychę. Strzegli się, chronili na wszelkie sposoby, a odeszli z tego świata w ciągu pięciu lat. Trzech braci...

Jan nie odzywał się.

– Wiem, że poddanych trzeba krótko trzymać. To wiem – dodał hrabia.

– Ale żeby pisali skargi? – nie dawał za wygraną Jan.

Hrabia zamyślił się na chwilę.

– Walczą o swoje prawa – odrzekł spokojnie – Jak czuje się moja matka?¹⁵⁶

Jan zmienił nieco pozycję na krześle.

– Pani hrabina ma się dobrze – powiedział – Co prawda widać smutek na jej obliczu, ale zdrowie chyba dopisuje... Widziałem ją parę dni temu.

Muszę z nią porozmawiać – pomyślał hrabia – Muszę...

– Każ mi jutro przygotować powóz. Pojadę do Tarnowskich Gór. Porozmawiam z nią.

– Dobrze, panie hrabio – odparł Jan.

Leon Ferdynand zatopił się w myślach. Co zrobiłby mój ojciec?

¹⁵⁶ Mowa o hrabinie Annie Helenie, z domu von Kaunitz, małżonce Jerzego Franciszka. Po śmierci męża zazwyczaj przebywała w Tarnowskich Górach.

1676

Powóz wiozący hrabiego Leona Ferdynanda dotarł do Tarnowskich Gór. Dwóch stangretów dopilnowało, aby podróż była bezpieczna. Podczas przejażdżki hrabia obserwował okolicę. Pomimo ciepłej pory roku wydawała mu się jakaś przynębiająca, stłumiona i przestraszona. Chciał jak najszybciej zobaczyć się ze swoją matką. Musiał zadać jej kilka pytań. Nie potrafił na nie znaleźć odpowiedzi, a ich ciężar spoczywał mu na sumieniu. Hrabia poczekał, aż stangreci rozwiną konstrukcję schodków, po których można było zejść z karocy. Z budynku, gdzie przebywała matka, wyszedł jej zaufany służący, którego Leon Ferdynand znał od dziecka.

– Jak to dobrze, panie hrabio, jak to dobrze... – mamrotał służący pod nosem. W jego oczach widać było autentyczny strach.

– Co ty mówisz, Henryku? O co chodzi? – spytał nieco zaniepokojony hrabia. Zachowanie Henryka było anormalne.

– Pana matka... hrabina – mamrotał Henryk.

– Co z nią?

– Niedobrze, panie hrabio... – Henryk nie był w stanie nic więcej z siebie wydusić.

– Człowieku, mów! – hrabia chwycił go mocno za ramiona – Gdzie jest moja matka? Co się dzieje?

– U siebie, panie.... Jest u siebie... Wczoraj zaniemogła... Dzisiaj jest o wiele gorzej...

Hrabia już nie słuchał. Pędem ruszył korytarzem w stronę pokoju swojej matki. Wbiegał po stopniach schodów, cały czas mając w głowie słowa przerażonego Henryka. Gdy dotarł do drzwi, mocnym ruchem nacisnął klamkę i bez ostrzeżenia wszedł do środka. Matka leżała na swoim łóżku, a nad nią pochylał się Wojciech, lekarz, który od lat zajmował się hrabiowską rodziną.

– Witam, panie hrabio... – powiedział cicho Wojciech.

Leon Ferdynand najpierw spojrzał na matkę, a później na niego. Widać było, że kondycja hrabiny jest bardzo zła.

– Witaj, Wojciechu. Co z nią? – spytał.

Lekarz nie odpowiedział. Hrabia podszedł do łóża, by lepiej przyjrzeć się matce. Ta spojrzała na niego i lekko się uśmiechnęła. Hrabia chciał się nachylić, by pocałować ją w policzek.

– Proszę tego nie robić, panie hrabio – powiedział głośno Wojciech.

Hrabia spojrzał na niego.

– Dlaczego? – spytał.

- Bo jeszcze nie wiem, co to jest - odparł Wojciech - Obawiam się złych wieści...
- Co ty mówisz, Wojciechu? - dopytywał się hrabia - Co jest mojej matce?
- W okolicy szaleje zaraza - przerwał mu lekarz.

Hrabia zamilkł i z przerażeniem spoglądał na leżącą w łóżku matkę. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Zaraza?

- Zrobiłem, co mogłem - powiedział medyk - Teraz wszystko w rękach Boga.
- Skąd wieści o zarazie? - spytał hrabia.

- Coraz więcej ludzi choruje i coraz więcej umiera - odparł Wojciech - To bez wątpienia zaraza.

- Gdzie mogła się zarazić?

- Wszędzie, panie hrabio. Wszędzie. Pójdę już... - powiedział Wojciech i cicho opuścił pokój.

Hrabia z czułością spoglądał na matkę, której oddech był bardzo ciężki i nierówny.

- Musisz to przerwać, synu... - wyszeptała.

Hrabia zbliżył się do jej łóżka.

- Co przerwać, matko?

- Musisz to skończyć...

- Co?

- Ścieżkę zła - powiedziała cicho.

Hrabia słysząc te słowa popadł w zdumienie.

- Matko, o czym ty mówisz? - zapytał. Pewnie majaczy z gorączki - pomyślał.

- Twój ojciec... rządził surowo... Nie raz zwracałam mu uwagę, żeby był bardziej szlachetny wobec poddanych... Nie zawsze chciał mnie słuchać...

Hrabia nie odzywał się.

- Wiesz, kiedy umierał Gabriel, ja tam byłam... Widziałam jego ostatnie chwile... Widziałem tego, którego wezwał na sam koniec... Mijałam go na korytarzu...

- Matko, o czym ty mówisz? - hrabia dalej nie wiedział, czy matka mówi rozsądnie, czy gorę wzięła już choroba i wysoka gorączka.

- Niebieskie oczy, synu, niebieskie oczy... zapamiętałam je na całe życie.

- Majaczy - pomyślał hrabia - Mówi bez sensu...

- Posłuchaj... Gabriel mi kiedyś opowiadał o mężczyźnie o niebieskich oczach, którego bardzo się bał... Nie rozumiałam tego... Kiedyś dokładniej go wypytałam... Mówił, że ten mężczyzna to Zły, który wymierza karę za czynienie zła innym...

- Matko, może ja wezwę Wojciecha?

- Synu! - przerwała mu matka siląc się na głośny i stanowczy ton - Ja nie zwario- wałam. Gabriel bał się tego Złego. Dlatego rzadko pokazywał się światu. Zdawał sobie sprawę, że sam narobił w życiu tyle złego, że Niebieskooki na niego poluje. Udawało mu się ustrzec prawie do końca. Prawie...

– Myślisz, że Zły go dopadł? – powiedział hrabia starając się zrozumieć to, co słyszał z ust swojej matki.

– Tak, synu. Ja się tego nie domyślałam. Ja to wiem. Widziałam tego Niebieskookiego, jak wychodził z komnaty Gabriela. Chwilę później twój wuj już nie żył... Wszyscy później go szukali, ale przepadł... Zniknął...

Hrabia nie odzywał się.

– Eliasz też o tym wiedział – mówiła dalej matka, choć widać było, jak wiele kosztuje ją to wysiłku – Gabriel mu powiedział. Eliasz starał się żyć bardziej przykładowie, ale z powodu swojej niechęci do Żydów też narobił wiele zła. Pewnego dnia powiedział mi, że obawia się o swoje życie. Gdy spytałam, dlaczego, odparł krótko, że Zły kręci się wokół jego domu. Ludzie mówili mu o mężczyźnie o błękitnych oczach. Kilka dni później już nie żył...

– To przerażające, matko – powiedział cicho hrabia.

– Twój ojciec... – mówiła dalej – starał się naśladować Gabriela. Jego starszy brat mu imponował. Realizował jego metody rządzenia, zwalczał zło złem, budził w ludziach strach, a czasami obrzydzenie. Wiem to doskonale...

– Matko... – próbował przerwać hrabia.

– Zamilcz – powiedziała głośniejszym głosem hrabina – Tak było! Zwracałam mu uwagę, że to nie-dobra droga. Śmiał się tylko. Prosiłam, żeby wyciągnął wnioski ze śmierci swoich braci. Opowiadałam o Niebieskookim. Ironizował. Wyśmiewał. Bagatelizował zagrożenie.

– Matko, przecież ojciec... – próbował hrabia.

– Twój ojciec – przerwała mu stanowczo hrabina – był doskonałym ojcem, Leonie, ale bardzo złym panem dla swoich poddanych. Złym, bo stosował zło wobec innych. Tak samo jak Gabriel... Jak myślisz, dlaczego tak mało ludzi żegnało go w ostatniej drodze?

– Myślałam, że to przejaw buntu...

– To nie był bunt, synu. Ja ich rozumiem. Zasłużył sobie na to – przerwała mu hrabina. Jej oddech stawał się coraz cięższy.

– Matko, odpocznij...

– Nie potrafię, synu. Wiem, że szaleje zaraza. To nic innego, jak oddech Złego. Krąży po okolicy i poluje. Na nas, synu... Nie wiem, ile jeszcze przeżyję. Musiałam ci to powiedzieć...

Hrabia w ciszy obserwował twarz swojej matki, na której widać było bardzo silne emocje.

– Co mam zrobić? – spytał.

Hrabina przez dłuższą chwilę zbierała w sobie siły.

– Mieszkańcy miasta chcą się ratować – powiedziała cicho – Nie przeszkadzaj im. Staraj się ich wesprzeć.

- Jak?
- Chcą sprowadzić z Piekar cudowny obraz Matki Boskiej – powiedziała hrabina
- Pozwól im to zrobić.
- Co to da?
- Oni uważają, że ten obraz ma cudowną moc...
- Hrabia zatopił się we własnych myślach.
- Co zrobiłby ojciec? – spytał.
- Pewnie by im na to nie pozwolił – odparła hrabina – Kto wie, może kogoś posądziłby o czarostwo?
- Hrabia patrzył na nią zdziwiony.
- Synu, słyszałeś przecież o bytomskich procesach czarownic... Te wszystkie kobiety... były niewinne.
- Jak to niewinne? Przecież zostały skazane przez sąd – powiedział nieco oburzony Leon Ferdynand.
- Tak. Tylko, że zarówno Gabriel, jak i twój ojciec naciskali na sądy, aby uznać je za winne.
- Dlaczego?
- Bo chcieli trzymać poddanych w ryzach.
- Świadomie skazali niewinne kobiety?
- Tak, synu...
- Hrabia umilkł. W jego głowie szalone myśli przebiegały jedno za drugim. Cały jego dotychczasowy system wartości wywrócił się do góry nogami.
- Nie zwróciłeś uwagi, że każdy z nich zmarł zaraz po skazaniu niewinnej kobiety? – spytała hrabina – Gabriel musiał oddać Bogu dwójkę swoich dzieci i żonę. Bogu albo Złemu... Eliasz ścigał miejscowych Żydów. Jego też Zły dopadł.
- Hrabia nigdy o tym tak nie myślał. Z rosnącym przerażeniem patrzył na twarz swojej matki.
- Musisz to przerwać, synu... Masz dobre serce, znam cię. Potrafisz okazać dobro¹⁵⁷ – powiedziała resztką sił – Przerwij to, bo inaczej Zły będzie polował na ciebie i na twoje dzieci. To się nigdy nie skończy...
- Hrabina zamknęła oczy. Była bardzo zmęczona. Po chwili hrabia usłyszał jej miarowy oddech. Zasnęła. Przez długą chwilę patrzył na nią. Ważył w głowie jej słowa. Każde po kolei. Jeśli miała rację, to nad rodem ciążyła klątwa, której należało zapobiec. Jak to mówiła? Mam pomóc poddanym?

¹⁵⁷ W 1675 r. hrabia Leon Ferdynand zdecydował, aby dziewczynie, którą sąd skazał na ścięcie prawego ucha darowano karę. Nie wiadomo, czym dziewczyna zawiniła.

Już w 1659 r. w okolicy rozeszły się wieści o cudownej mocy wizerunku Matki Boskiej, który znajdował się w piekarskim drewnianym kościółku św. Bartłomieja Apostoła. Mówiono, że od kiedy przeniesiono go do głównego ołtarza, zaczęły się cudowne uzdrowienia. Jedni to wyśmiewali, inni z całego serca wierzyli. Różnie bywało, ale o obrazie mówiło się coraz więcej. Po powrocie do Bytomia hrabia Leon Ferdynand wydał odpowiednie dyspozycje. Obraz Matki Boskiej Piekarskiej stał się słynny w Tarnowskich Górach, skąd do Piekar zaczęło przybywać coraz więcej pielgrzymów. Ludzie modlili się przed nim żarliwie. Zaraza nie ustępowała. Zbierała coraz większe żniwo. Matka hrabiego z dnia na dzień czuła się coraz gorzej. W każdej chwili mogła umrzeć. Ludzie nie ustępowali. Nosząc obraz toczyli swoją walkę ze Złem. Po krótkim czasie sytuacja zaczęła się polepszać. Morowe powietrze ustąpiło. Ku zdziwieniu hrabiego zdrowie jego matki polepszało się z dnia na dzień. Protestanckiemu hrabiemu ciężko było uwierzyć w cud, ale z niedowierzaniem obserwował odwrót Złego. Gdy pewnego dnia zobaczył swoją matkę, wycieńczoną chorobą i słabą, ale uśmiechniętą, witającą go w drzwiach swojego domu w Tarnowskich Górach, wtedy uwierzył. Nie tylko w cudowną moc obrazu, ale również w niebieskookiego Złego.

Jeszcze w tym samym roku hrabia wsparł bytomskich mieszczan, gdy niesłusznie oskarżono ich o niełożenie na odbudowę parafialnego kościoła. W 1677 r. kilku mieszkańców Rozbarku złożyło przed bytomskim urzędem wójtowskim oświadczenie (potwierdzone przez proboszcza z Michałkowic) o dokonanych w Piekarach cudownych uzdrowieniach¹⁵⁸. W tym czasie proboszczem bytomskiego kościoła i parafii WNMP był Józef Nikowski¹⁵⁹, a wikariuszem Leopold Brzeżański. Obydwaj byli przeciwni rozwojowi kultu z Piekar. Starali się przeszkadzać. Wspierali ich paulini z Częstochowy, zazdrośni o pozycję swojego cudownego obrazu. To nie było po myśli hrabiego. W tym czasie gwardianem bytomskiego klasztoru minorytów prawdopodobnie był Antonius Luczyński (Luczerski). Być może był nim jednak Ludwigo Jeziorski. Jednakże franciszkanie nie brali udziału w sporze o obraz Matki Boskiej Piekarskiej.

Jednym z elementów trwającego od dłuższego czasu konfliktu pomiędzy hrabią a katolickim klerem była nieprzyjemna sytuacja, gdy proboszcz kościoła św. Ducha

¹⁵⁸ Jedna z bytomskich legend mówi, że mieszkaniec Rozbarku Scholz, którego syn zachorował na śmiertelną chorobę, za namową innych miał zawieźć syna do Piekar, przed obraz Matki Boskiej Piekarskiej. Scholz nie był katolikiem, więc poprosił o to Danutę Gniaszkową. Po ich powrocie z Piekar choroba syna ustąpiła.

¹⁵⁹ Ksiądz Józef Nikowski objął parafię WNMP w 1674 r. Pochodził z bytomskiego Rozbarku. Dzięki niemu wyremontowano kościół św. Małgorzaty. Był bardzo pracowity i chłonny wiedzy. Miał jednak bardzo konfliktową naturę. Był skłócony nie tylko z hrabią, ale również z burmistrzem i miejskimi rajcami, a nawet franciszkanami i jezuitami z Piekar. Pomiędzy nim a bytomskimi minorytami doszło nawet do rękoczynów. Ze względu na jego charakter został odwołany ze stanowiska.

Stanisław Łasicki odmówił chrztu synowi hrabiemu Maksymilianowi ze Świerklańca. Na prośbę hrabiego udzielili go bytomscy minoryci. Po rychłej śmierci dziecka ksiądz Łasicki napisał skargę na bytomskiego franciszkanina, którą skierował do biskupa krakowskiego. Hrabia Leon Ferdynand napisał swoją skargę na księdza Łasickiego, którą skierował do opata klasztoru bożogrobców w Miechowie. W efekcie tej „skarżonej” wojny proboszcz Łasicki został odwołany ze stanowiska. To właśnie wtedy w mieście pojawił się ksiądz Józef Nikowski¹⁶⁰, który od razu wytoczył sprawę sądową hrabiemu Leonowi Ferdynandowi o zagrabienie majątku kościelnego. Tym razem nie był to bytomski sąd, tylko sąd wyższego starosty ziemskiego we Wrocławiu. Ksiądz wytoczył przeciwko hrabiemu ciężkie działa, oskarżając go o wiele niecných występów. Proces toczył się w latach 1674-1678 i zakończył sukcesem Nikowskiego. Hrabia Leon Ferdynand nie uznał tego wyroku i dalej prowadził swoją prywatną wojenkę z Nikowskim, która zakończyła się usunięciem w 1688 r. Nikowskiego z urzędu bytomskiego plebana. Nowym został ksiądz Tomasz Szafarczyk, który zupełnie nie radził sobie w bytomskich realiach. Dlatego w 1694 r. wrócił Nikowski i pozostał w Bytomiu do 1708 r. Miał w mieście wielu przeciwników¹⁶¹. Przeżył hrabiego. Mawiał, że za Leonem Ferdynandem kroczy zły cień, który razem z majątkiem odziedziczył jego syn. Nie pomylił się...

Jeszcze w 1678 r. hrabia musiał stoczyć cięższą batalię. Katolickie biskupstwo krakowskie, mocno zaniepokojone rozwijającym się kultem cudownego obrazu z Piekars, próbowało go przejąć i przewieźć do Krakowa. Hrabia na to nie pozwolił. Wsparł księdza Jakuba Roczkowskiego, który nie chciał zawieźć obrazu do Krakowa. Pleban Nikowski był przeciwny rozwojowi kultu piekarskiego obrazu. Nie wiadomo, czy hrabia Leon Ferdynand bronił obrazu z własnego przekonania, czy był to kolejny element jego wojny z Nikowskim. Jednak to dzięki hrabiemu obraz Matki Boskiej Piekarskiej pozostał na miejscu. Został jednak przeniesiony z ołtarza głównego do zakrystii. Ksiądz Jakub Roczkowski trafił do więzienia biskupiego w Siewierzu. W 1680 r. wybuchła zaraza w Pradze. Przerażony jej skalą cesarz austriacki Leopold I Habsburg poprosił o przywiezienie, do ogarniętego zarazą miasta, piekarskiego obrazu. W dniu 15 marca 1680 r. w procesji uroczyście przeniesiono obraz ulicami Pragi. Zaraza ustąpiła, a arcybiskup praski Jan Fryderyk Waldstein potwierdził urzędowo cudowność obrazu. W drodze powrotnej obraz zatrzymał się w miejsco-

¹⁶⁰ To dzięki niemu w 1676 r. kaplica cmentarna na miejskim cmentarzu za Bramą Pyskowską (w miejscu, gdzie dzisiaj stoi kościół św. Trójcy) uzyskała nowe ołtarze i wyposażenie. Kaplica istniała do 1873 r.

¹⁶¹ Nikowski toczył ostry spór o dziesięciny z właścicielami podbytomskich wsi należących do tych parafii. Właściciel Szombierek Adam Fogel groził mu nawet pistoletem. Protestanci w radzie miejskiej również odrzucali żądania plebana. Sprawa trafiła do samego cesarza, który w 1700 r. wydał edykt na korzyść Nikowskiego. To nie przysporzyło mu sympatii w środowisku bytomskich protestantów.

wości Hradec Kralowe, gdzie również szalała zaraza. Po przybyciu obrazu szybko ustąpiła. Tam w 1682 r. wykonano kopię obrazu, która jako wotum trafiła do Piekar. Leon Ferdynand był pewien, że uzyskał skuteczny oręż do walki ze Złem. Trzeba go było tylko skutecznie wykorzystać. Jego matka, hrabina Anna Helena zmarła w dniu 11 września 1682 r. w Tarnowskich Górach. Odeszła z tego świata w wieku 77 lat. Nie powaliła ją zaraza, nie pokonał jej Zły. Po prostu odeszła ze starości...



Ilustracja 54 – Matka Boska Piekarska.

W 1675 lub 1676 r. w strasliwym pożarze spłonęło całe probostwo parafii WNMP w Bytomiu¹⁶². Z dymem poszły wiekowe dokumenty, mówiące o historii tego miasta i jego mieszkańców, a także całe kościelne wyposażenie. Było to dla hrabiego sygnałem, że Zły cały czas toczy swoją walkę. Nie poddaje się. Jeszcze w tym samym roku mieszkanka miasta, Jadwiga Kowalanka, na krótko przed swoją śmiercią, przyznała się do zabicia własnego dziecka. Chwilę później umarła. Ową strasliwą tajemnicę zdradziła swojej sąsiadce Magdalenie Mdloska. Ta niestety fakt zataiła, ale po jakimś czasie wszystko wyszło na jaw. Magdalena stanęła przed sądem. Postawiono jej zarzut zatajenia morderstwa. W czasach hrabiego Jerzego Fryderyka pewnie została by wygnana z miasta. Mdloska została jedynie ukarana karą 8 grzywnien. W 1677 r.

¹⁶² W swojej kronice Franz Gramer podaje, że w 1671 r. w Bytomiu szalał wielki pożar, w efekcie którego spaliło się kilka dzwoń. Trzeba je było na nowo odlewać. W tym samym roku hrabia Leon Ferdynand zażądał pomieszczeń na pierwszym piętrze bytomskiego ratusza, by móc tam zamieszkać.

bytomski sąd miał do rozpatrzenia poważniejszą sprawę. Zdarzały się przecież również pospolite morderstwa. W jednej z takich spraw za współwinnego udziału w tego typu przestępstwie uznano Grzegorza Pastuchę. Uzyskał najwyższy wymiar kary. Miał być ścięty mieczem. Kiedy nadszedł dzień wykonania wyroku został doprowadzony do Ścinadła, gdzie czekał już na niego kat. Grzegorz był pewien, że to ostatnie chwile jego życia. Kat umieścił jego głowę na pieńku i uniósł do góry miecz. W tym momencie ogłoszono, że zgodnie z życzeniem hrabiego Leona Ferdynanda wyrok śmierci został zamieniony na banicję. Wszyscy obserwatorzy tego niecodziennego widowiska byli niesamowicie zdziwieni, a najbardziej sam Pastucha. Skazanego ponownie wprowadzono do miasta, gdzie wymierzono mu karę solidnej chłosty. Dopiero potem zmuszono go do opuszczenia murów miasta.

W latach 1679-1681 trwały prace budowlane po pożarze plebanii i kościoła WNMP (proboszczem był nadal Józef Nigrinus), w których hrabia mocno pomagał. Leon Ferdynand tylko jednego panicznie się bał. Zarazy. Bliskiego oddechu Złego.

1680 – czwartkowy targ

Tego lipcowego dnia na bytomskim rynku odbył się kolejny targ. Ludzi było co nie-miara. Piękna pogoda zachęcała do sprzedawania i kupowania. Jak zwykle, na targowisku co chwilę rozbrzmiewały zagniewane głosy, usiłujące nawzajem się obrazić lub sprowokować do działania. Taki handlowy rytuał. Ludzie kręcili się przed straganami podziwiając towary, a czasami je smakując. Dzieci prześlizgiwały się pod nogami, starając się ukraść coś ze stoisk. To wywoływało wrogie okrzyki właścicieli towaru. Czasami nawet ktoś gonił jakiegoś dzieciaka, który w swoim łakomstwie przesadził. Było ciepło, co spowodowało, że wokół unosił się nienajlepszy zapach. Ludzki pot wymieszany z zapachem różnych towarów. Andrzej i Józef wybrali się na targowisko ze swoimi żonami, które chciały dokonać większych zakupów. Kobiety trzymały się razem, a bracia chodzili od straganu do straganu, oglądając towary i wymieniając pomiędzy sobą uwagi. Od czasu do czasu przystanęli, aby móc dłużej porozmawiać.



Ilustracja 55 – Targ na Rynku.

- Andrzej, dobrze się czujesz? - spytał Józef. Brat wydawał się być w nienajlepszej kondycji.

- Tak, bracie, nie narzekam... - odparł Andrzej - Wiesz, w naszym wieku...

Obydwaj mieli około 70 lat. Niewielka pomiędzy nimi była wiekowa różnica.

- Bracie, gdzieś tam już szykują mi miejsce... - powiedział Andrzej uśmiechając się szeroko.

- Bzdury gadasz - odparł zirytowany Józef - Po prostu, masz trochę gorsze dni...

Andrzej nie odpowiedział. W głębi duszy czuł, że jego czas się kończy, ale więcej o tym nie wspominał. Takie rzeczy się czuje... Chodząc pomiędzy straganami bracia opowiadali sobie różne rzeczy. Mówili ukradkiem, by nikt ich nie usłyszał. Głównie komentowali widoczną zmianę w zachowaniu hrabiego Leona Ferdynanda. Tego nie dało się nie zauważyć. Mówili o kulcie cudownego obrazu z Piekar, o uzdrowieniu matki hrabiego, które komentowali wszyscy wokół, o jego wsparciu dla proboszcza piekarskiej parafii i o wielu innych rzeczach. Wspomnieli też o tym, że hrabia najprawdopodobniej porzucił pomysł wybudowania w Bytomiu swojej siedziby. Próbowali zrozumieć, dlaczego człowiek, który na początku swoich rządów w niczym nie odbiegał od swoich poprzedników, nagle tak się zmienił. Oczywiście nie mieli pojęcia o rozmowie hrabiego z matką, która w czasie tej konwersacji była już jedną nogą na tamtym świecie.

- Zastanawiam się, bracie, jaką w tym wszystkim rolę odgrywa niebieskooki mężczyzna - spytał nagle Andrzej.

Oj, bracie, ja wiem - pomyślał Józef - Tylko, że nie mogę ci powiedzieć.

- Panicze, kupcie ser - powiedziała starsza, mocno zgarbiona kobieta niosąc go w wiklinowym koszyku - Sama robiłam, świeżutki...

Józef przypatrzył się kobiecie. Wiele lat temu to właśnie ona sprzedała im kozi ser. Lata zrobiły swoje. Na twarzach braci przybyło głębokich zmarszczek, a kobiecie mocno pochyliło ku ziemi.

- Dajcie, kobieto - powiedział - Na pewno dobry?

- Panie, jak Boga kocham... - odparła - Ile chcecie?

- Dwa.

Kobieta sięgnęła do koszyka i wyciągnęła dwa ułamki sera. Józef podał jej dwie monety.

- Panicze, słyszałam, że mówiliście o Niebieskookim - powiedziała nagle.

Józefa sparaliżowało. Kobieta spojrzała na niego zmęczonymi życiem oczami. Józef przestraszony spojrzał na Andrzeja. Byli za mało ostrożni...

- Nie bój się, panie, niechący słyszałam...

Bracia w milczeniu spoglądali na kobiecie.

- Ja go widziałam - powiedziała cicho.

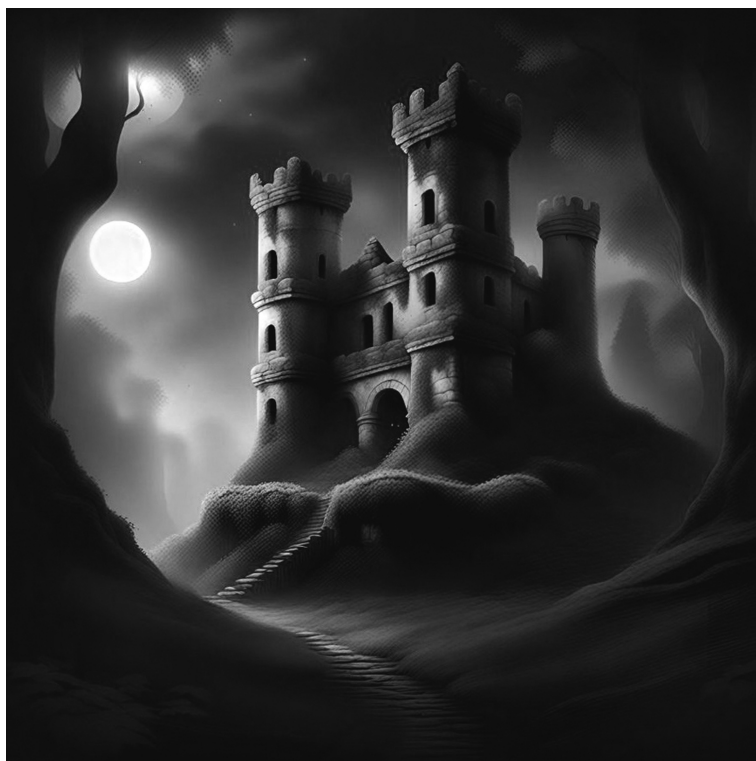
- Kogo? – spytał Andrzej.
- Mężczyznę o niebieskich oczach.
- Bredzisz, kobieto – powiedział Józef.
- Nie, panie... Naprawdę... Dawno temu...
- Gdzie go widziałaś?

Kobieta rozejrzała się dookoła.

- Ja mieszkam w Piekarach – powiedziała – niedaleko cudownego obrazu naszej panienki.

- Tam go widziałaś? – spytał zdziwiony Józef.

- Nie... To był dawno, gdy byłam młodą dziewczyną – odparła – Moja babcia wysłała mnie po zioła do lasu. Poszłam w stronę Koziej Góry¹⁶³. Tam w lesie rosły najlepsze zioła. Ludzie jednak bali się tego miejsca z powodu Winnej Góry¹⁶⁴ i nie tylko...



Ilustracja 56 – Zamek na Winnej Górze.

- Czego się bali? – spytał Andrzej.

¹⁶³ Mowa o Kozłowej Górze, obecnej dzielnicy Piekar Śląskich.

¹⁶⁴ Mowa o wzniesieniu w pobliżu Kozłowej Góry. Do dzisiaj nosi taką nazwę.

- Jest tam las nazywany Diobliną¹⁶⁵ – odparła kobieta.
- Skąd nazwa? – dopytywał Józef.
- Podobno kiedyś mieszkała tam młynarka, która zaprzedała swoją duszę Złemu
- odparła – On dał jej w zamian majątek. Żle skończyła...
- Winna Góra to w tym lesie? – spytał Andrzej.
- Nie, panie, ale niedaleko.
- Dlaczego ludziska bali się tego miejsca?
- Nie słyszałeś o rozbójnikach z Winnej Góry?
- Andrzej popatrzył na brata, a ten ze zdziwieniem wzruszył ramionami.
- Chyba nic nie słyszeliśmy – powiedział Józef.
- Tam był zamek – powiedziała cicho kobieta – Od wielu lat. Jego panowie wymarli i przez lata popadał w ruinę. Kiedy zaczęła się wojna¹⁶⁶, nagle pojawili się tam nowi mieszkańcy.
- Kto? – spytał Andrzej.
- Tego nikt nie wiedział. Nikt ich nie widział. Jedynie o nich gadano. To było wkrótce po tym, jak w Dioblinie zlikwidowano diabelski młyn, a młynarka zniknęła.
- No i co dalej? – pytał nieco zniecierpliwiony Józef.
- Jak mówiłam, poszłam tam do lasu. Byłam sama. Nie powiem, miałam stracha, ale znajdowałam takie zioła, że na chwilę zapominałam o wszystkim. Panie, tam takie zioła rosły... Zbierałam i zbierałam, bo wiedziałam, że babka będzie szczęśliwa...
- Twoja babka była znachorką?
- A tam, panie, zaraz znachorką... Znała się dobrze na roślinach i tyle – odparła kobieta – Zapuściłam się głęboko w las i wtedy usłyszałam dźwięk jadącego powozu i parskanie koni. Wystraszyłam się. Nie wiedziałam, kto to jedzie. Schowałam się głęboko w krzakach i spoglądałam na leśny trakt. Pojawił się na nim powóz kogoś bogatego. Od razu było to widać. Wokół powozu konno jechało kilku ludzi. Bacznie rozglądali się dookoła. Nie czuli się pewnie.
- Czemu jechali przez las? – spytał Józef.
- Nie wiem, panie, może sobie chcieli skrócić drogę. Jechali w kierunku Krakowa, a droga przez las była o wiele krótsza... Siedziałam cicho w tych krzakach i czekałam, aż przejadą. Obiecałam sobie, że zaraz polecę do domu, tym bardziej, że słońce już chyliło się do snu...
- Sama w lesie. Niezbyt mądrze – podsumował to Andrzej.
- Ja wiem, panie. Taka jest młodość. Mało rozsądna – uśmiechnęła się kobieta – Nagle usłyszałam wrzask. Jeden z jeźdźców spadł z konia. Strzała przebiła mu gar-

¹⁶⁵ Mowa o lesie na terenie Piekar Śląskich. Do dzisiaj tak jest nazywany.

¹⁶⁶ Mowa o wojnie 30-letniej 1618-1648.

dło. Inni stanęli w miejscu, a ich konie zaczęły wierzgać. Powóz wpadł na jeźdźców, tratując dwóch czy trzech. Zewsząd pojawiły się lecące w powietrzu strzały. Nie strzelali z broni palnej. Zrobili to po cichu...

– Kto? – spytał Józef.

– Po chwili już wszyscy nie żyli – mówiła dalej kobieta – Pozostali jedynie ci w powozie. Z każdej strony z krzaków i zza drzew pojawili się mężczyźni, którzy zbliżyli się do powozu. To oni urządzili zasadzkę. Otworzyli drzwi powozu i wywlekli na zewnątrz dwie osoby. Wtedy dopiero zobaczyłam, kto jechał w powozie.

– Kto? – spytał Andrzej.

– To było dwóch duchownych – odparła kobieta – Jeden w bardzo bogatym stroju, starszy i mocno otyły i drugi, o wiele młodszy. Myślę, że to był sługa tego starszego. Wywlekli ich na zewnątrz i zaczęli przetrząsać powóz. Tamci klęcząc błagali o litość. Rozbójnicy wyśmiewali się z nich. Nie wyglądało to dobrze. Wtedy pojawił się on...

Józef i Andrzej spojrzeli po sobie.

– Siedział na koniu – mówiła kobieta – Dotąd nie było go widać. Chyba nie brał udziału w samej walce. Podjechał konno do powozu. Widać było, że rozbójnicy dobrze go znają, bo od razu zaczęli coś do niego mówić. Wskazywali dwóch duchownych, którzy nadal błagali o litość.

Kobieta nagle zamilkła.

– Co tam się stało? – spytał Józef.

– Panie, ja tak się bałam... – powiedziała cicho kobieta – Tak bardzo, że aż zsikałam się ze strachu. On zeskoczył z konia, wyciągnął zza pasa długi sztylet i najpierw podszedł do tego młodszego. Bez słowa złapał go za głowę i powolnym ruchem podciął mu gardło. Krew zaczęła tryskać...

– O Boże... – szepnął Andrzej.

– Ten starszy wpadł w panikę – mówiła kobieta. Widać było, że wszystkie te obrazy wróciły do niej z całą swoją mocą – Prosił, błagał, obiecywał bogactwa. Ten ze sztyletem o coś się go spytał. Nie słyszałam dokładnie, ale mówili coś o czarownicach. O czarownicach, panie... Starszy skinął twierdząco głową. To widziałam. Wtedy ten podszedł do niego i zrobił to samo, co z młodszym. Panie, jak ja się bałam...

– Podciął mu gardło? – spytał Andrzej.

– Tak.

Kobieta umilkła. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Siedziałam w ukryciu – powiedziała po chwili – Ciągle nie widziałam twarzy tego mężczyzny, który bez mrugnięcia okiem zamordował obydwu duchownych. Gdy było już po wszystkim, jeden z rozbójników podszedł do niego i poklepał po ramieniu. Chyba pochwalił czy coś... Wtedy ten odwrócił się do niego. Zobaczyłam twarz... Boże...

Józef i Andrzej w milczeniu czekali na dalszy ciąg opowieści.

– Te oczy... Wtedy je zobaczyłam... Niebieskie jak jakieś szlachetne kamienie... Z daleka było je widać... Przerazały...

Bracia spojrzeli po sobie. Obydwaj rozumieli, jaką wagę mają słowa, które usłysze-
li z ust starszej kobiety. Ona sama umilkła, jakby zatapiając się w myślach w sceny,
których wtedy stała się mimowolnym świadkiem.

– To był Niebieskooki, o którym mówiliście. Jestem tego pewna – zakończyła swo-
ją opowieść kobieta.



Ilustracja 57 – Mężczyzna o niebieskich oczach.

– Kiedy to było, kobieto? Pamiętasz? – spytał Józef.

– Zaraz, panie. Pamiętam, bo tego roku urodziła się moja najmłodsza siostra... To był 1634 rok...

– Co było dalej? – spytał Andrzej.

– Załadowali wszystkie trupy do powozu, który zawieźli na bagna i tam go utopi-
li. Najpierw pościgali z nich ubrania. Nagich wrzucili. Śladu po nich nie było – mó-
wiła kobieta – Oni sami obładowani łupami poszli do starego zamku.

– A Niebieskooki? – spytał Józef.

– Pojechał w swoim kierunku. Pożegnali się i pojechał...

- Nie poszedł z nimi? - dopytywał Andrzej.

- Nie, panie. Wygląda na to, że przyjechał tylko po to, aby zabić tych duchownych.

A teraz spróbujcie sera... - kobieta nagle zmieniła temat.

Z wrażenia zapomnieli, że trzymali go w rękach. Ugryźli po niewielkim kawałku.

- Bardzo dobry - powiedział Andrzej.

- Tak, dobry - potwierdził Józef.

- Mówiłam - stwierdziła kobieta - Z Bogiem, panicze... Dużo czasu z wami straciłam...

- Dziękujemy ci, kobieto - krzyknął za nią Andrzej. Ta nagle zawróciła.

- Zapomniałam wam powiedzieć - dodała - Później mówiono, że ten duchowny to był jakiś wysłannik biskupa z Wrocławia. Jechał do Krakowa. Podobno palił na stosie czarownice... Nie wiem, czy to prawda, ale tak w okolicy gadali, że zaginął. Z Bogiem... - kobieta pożegnała się i odeszła.

Przez chwilę bracia stali w milczeniu patrząc za znikającą w tłumie starą kobicinę.

- Co ty na to, bracie? - spytał Józef gryząc kolejny kawałek sera.

- Kręci nam się w pobliżu ten Niebieskooki - odparł cicho Andrzej - Od dawna. Ciągłe jest gdzieś obok...

- Procesy czarownic? - spytał Józef, jakby sam do siebie kierował to pytanie.

- Tak, zazwyczaj wtedy się pojawia - powiedział Andrzej.

Przed oczami Józefa stanęła nocna scena i przeraźliwy krzyk niebieskookiego mężczyzny. Nie powiedział nic bratu.

- O czym myślisz? - spytał Andrzej.

- O słowach tej kobiety - odpowiedział wymijająco Józef.

- Myślisz, że naopowiadała nam bajek?

- Nie. Za bardzo to przeżywała. Ona naprawdę widziała to na własne oczy... - odparł Józef.

- Czyli on istnieje?

- Wygląda na to, że tak.

- Kim jest?

- Tego już nie jestem taki pewien - odpowiedział Józef.

- Myślisz, że to Zły?

Boże, te oczy.... Cyfry.... 666... Krzyk... - kolejne wspomnienia przelatywały przez głowę Józefa.

- Niewykluczone - powiedział cicho.

- Bracie, to Zły. Jestem tego pewien - powiedział stanowczo Andrzej.

Józef nie odpowiedział. Stali w milczeniu i zjadali się serem.

- Obym go nigdy nie spotkał - dodał nagle Andrzej.

Oby nie, bracie – pomyślał Józef.

– Zobacz, ona mówiła, że widziała niebieskookiego w 1634 r. – powiedział – To by się zgadzało z tym, co wcześniej mówiliśmy. On przyszedł razem z naszymi hrabia-
mi¹⁶⁷. Rozbójnicy go znali, więc był tu już wcześniej. To by się zgadzało...

– Tak, bracie. Masz rację – odparł Józef – To co? Czas do domu?

– O tak, czas...

– Z Bogiem, bracie – Andrzej uśmiechnął się do Józefa i zając się serem powoli ruszył w stronę swojego domu.

– Z Bogiem... – odparł Józef.

Dzień chylił się ku zmierzchowi. Targowisko na rynku pomału się kończyło. Było coraz ciszej i spokojniej. Nic nie zapowiadało, że wkrótce w mieście dojdzie do tak ważnych wydarzeń...

W tym roku bytomski kat, wprawny w wykonywaniu wyroków śmierci, Jerzy Boreck wniósł skargę na Wacława Ohm-Januszewskiego (pana na Starych Tarnowicach). Pismo było datowane na dzień 10 kwietnia 1680 r. Kat skarżył się, że Wacław kazał swoim poddanym wywieźć i pogrzebać dwie kobiety, które popełniły samobójstwo wieszając się. Drugi zarzut dotyczył dwóch przestępców, którzy na polecenia Wacława zostali straceni nie w Bytomiu, tylko w Pyskowicach. W jednym i w drugim przypadku bytomski kat stracił zlecenia i pieniądze, dlatego zażądał 60 talarów zadośćuczynienia za utracony zarobek. Proces doczekał się w Pradze apelacji, ale ostatecznie Wacław Ohm-Januszewski musiał zapłacić katowi odszkodowanie.

W dniu 10 czerwca 1680 r. w świerklanieckim zamku odbył się uroczysty chrzest syna hrabiego Karola Maksymiliana, który niedawno przyszedł na świat. Hrabia zaprosił na uroczystość całą okoliczną szlachtę. Świętował narodziny syna, który wkrótce miał stać się przekleństwem całego rodu...

¹⁶⁷ Mowa o hrabiach z rodu Henckel von Donnersmarck.

1683

W 1682 r. w należącej do Austrii części Węgier (tzw. Górne Węgry – obecna Słowacja), wybuchło antyhabsburskie powstanie, na czele którego stanął Emeryk Thököly¹⁶⁸. Turcy, dążąc do ostatecznego pokonania katolickich Habsburgów poparli jego powstanie i przygotowali się do wielkiej wyprawy wojennej. Widząc ogromne zagrożenie, cesarz Leopold I Habsburg zwrócił się do Polski z propozycją zawarcia antytureckiego sojuszu. Nie było to łatwe, bo w Polsce działało silne stronnictwo antyhabsburskie. Ostatecznie w dniu 1 kwietnia 1683 r. zawarto polsko-habsburskie przymierze przeciwko Turkom Osmańskim¹⁶⁹. Gwarantem tego traktatu został papież Innocenty XI. Armia turecka ruszyła w marcu 1683 r. Jej dowódcą został wielki wezyr Kara Mustafa¹⁷⁰. Po wejściu na obszar Węgier armia skierowała się prosto na Wiedeń. Jej liczebność jest szacowana od 140 do 300 tys. ludzi. Była to największa armia, jaką Turcy zmobilizowali w XVII w. W lipcu 1683 r. Turcy podeszli pod Wiedeń. Mieli miażdżącą przewagę nad obrońcami miasta. Od razu rozpoczęły się prace oblężnicze i szturm na miasto. Na początku września obrońcy Wiednia pod wodzą generała Ernsta Starhemberga dyszelili resztką sił. Cesarza nie było w mieście. Opuścił je o wiele wcześniej, pozostawiając mieszczan na pastwę losu.

Król Rzeczypospolitej Jan III Sobieski, realizując postanowienia zawartego wcześniej traktatu, wraz ze swoim wojskiem ruszył na Wiedeń, by pomóc sojusznikom. Musiał przejść przez Śląsk, w tym przez sam Bytom. W dniu 19 sierpnia 1683 r. w okolicy Bytomia rozłożyły się obozem jego wojska. Król nocował w Bytomiu. Następnego dnia Sobieski wraz z małżonką udali się do Piekar Śląskich, przed cudowny obraz Matki Boskiej Piekarskiej. W dniu 20 sierpnia 1683 r. król modlił się w piekarskim kościele, wysłuchał mszy świętej i przed obrazem Matki Bożej prosił o zwycięstwo¹⁷¹. W dniu 22 sierpnia królowa Marysienka pożegnała swojego męża w Tarnowskich Górach. Wracając stamtąd prawdopodobnie ponownie przejeżdżała przez Bytom.

¹⁶⁸ Właściwie Imre Thököly. Żył w latach 1657-1705. Od 1678 r. nosił tytuł księcia Górnych Węgier, a w dniu 16 września 1682 r. dzięki wsparciu Turków został koronowany na króla Górnych Węgier. Podczas bitwy wiedeńskiej w 1683 r. walczył po stronie Turków. We wrześniu 1690 r. został księciem Siedmiogrodu. W 1691 r. został stamtąd wyparty przez Habsburgów. Resztę życia spędził na wygnaniu. Jego małżonką była Jelena Zrinski (1643-1703), uważana przez Węgrów za bohaterkę narodową.

¹⁶⁹ Dokument przymierza antydatowano na dzień 31 marca, aby na dokumencie nie widniała data *prima aprilis*.

¹⁷⁰ Żył w latach ok. 1620-1683. Służył sułtanowi jako generał wojsk w wojnie przeciwko Polsce w 1672 r. Wtedy negocjował pokój w Buczaczu po zdobyciu przez Turków Podola. Po przegranej bitwie pod Wiedniem został z wyroku sułtana tureckiego ścięty.

¹⁷¹ Nie był to oryginał obrazu, tylko jego kopia. Oryginał w 1683 r. został wywieziony do Opola (pod pretekstem zagrożenia tureckiego), ale jeszcze w tym samym roku wrócił do Piekar.

Hrabia Leon Ferdynand uważnie słuchał wieści docierających z Wiednia, jak również z terenu Rzeczypospolitej. Gdy dowiedział się, że król Jan III Sobieski ruszył z armią na pomoc Habsburgom z jednej strony ucieszył się, ale z drugiej obawiał, że przejście tak dużej liczby ludzi może wywołać negatywne skutki. Jeszcze przed nadejściem polskich wojsk zarządzono kwarantannę dla wszystkich osób wjeżdżających do Bytomia z powodu rzekomo panującej na terenie Polski zarazy. Gdy do Bytomia dotarł polski król, hrabia nie spotkał się z nim osobiście. Wysłał swojego przedstawiciela. To jednak dzięki uporowi Leona Ferdynanda polski król miał sposobność modlić się przed obrazem Matki Boskiej Piekarskiej. Hrabia z niecierpliwością czekał na wieści spod Wiednia. W tym czasie zwalczał wszystkie przypadki świętokradztwa. W 1683 r. Wawrzyniec Dupka zamordował kobietę oraz ukradł pieniądze i kielich z kościoła w Tarnowicach. Podczas śledztwa został poddany torturom. Prawdopodobnie na polecenie hrabiego został stracony. W końcu do Leona Ferdynanda dotarła wieść, że Turcy zostali pokonani. Hrabia odetchnął z ulgą...



Ilustracja 58 – Król Jan III Sobieski.

1683

Tego roku Andrzej, mając blisko 75 lat, mocno podupadł na zdrowiu. Stracił siły, a choroba powaliła go do łóża. Próbował walczyć, ale po czasie zrozumiał, że jego czas nadchodzi. Leżał więc pokorny i bezbronny, a rodzina starała się uprzyjemnić mu ostatnie chwile życia. Codziennie gromadzili się przy jego łóżu, rozmawiali i żartowali, a w głębi duszy byli gotowi na najgorsze. Pod koniec października widać było, że ta chwila jest coraz bliżej.

Tego dnia w domu Andrzeja przebywała jego rodzina, w tym brat Józef, a także syn Tomasz, który zdążył już ukończyć seminarium i jako jezuita pracował w jednym ze śląskich kościołów. Andrzej był z niego dumny. Siedzieli przy łóżku i próbowali nakarmić słabego Andrzeja, ale ten nie chciał się posilić. Po pierwsze nie miał ochoty, a po drugie czuł, że nie ma to już najmniejszego znaczenia. Spoglądał na Józefa, który siedział na krześle obok łóża i trzymał brata za chudą i słabą rękę.

– Mieliliśmy dobre życie, bracie – powiedział Andrzej – Nie było łatwe, ale ciekawe. W oczach Józefa pojawiły się łzy.

– Nie płacz... Przecież to nieuchronne... – pocieszał go Andrzej – Teraz ja, kiedyś ty. Gdzieś tam znowu się spotkamy i będziemy toczyć nasze dysputy...

Józef uśmiechnął się.

– Nie chcę zostać sam... Bez ciebie – mówił do Andrzeja.

– Kto każe ci żyć beze mnie? – odparł siląc się na wesołość Andrzej – Kiedy tylko będziesz chciał, przyjdiesz do mnie, na cmentarzyk, usiądziesz i pogadasz. Zawsze, bracie...

Józef mocniej ścisnął jego rękę. Tyle wspólnych lat, tyle spraw, tyle rozmów i sekretów...

– Nic nam nie ucieknie – powiedział nagle Andrzej, jakby czytał w myślach brata – To wszystko na zawsze w nas pozostanie...

Józef uśmiechnął się do niego, chociaż jego serce ścisnął żal.

– Tomasz, podejdź – powiedział Andrzej zwracając się do swojego syna. Ten posłusznie podszedł do łóża, w którym leżał ojciec. W jego oczach też było widać łzy.

– Synu, mam do ciebie wielką prośbę... – szepnął Andrzej – Nawet nie wiesz, jakie to ważne...

– Jaką, ojcze?

Andrzej przerwał. Rozejrzał się po pokoju.

– Czy mogę was prosić, abyście na chwilę zostawili nas samych? – powiedział do reszty rodziny.

Ci, nie dyskutując, pokornie opuścili pokój. Józef też chciał to zrobić, ale brat go zatrzymał.

- Ty, Józefie zostań, proszę...

Gdy zostali tylko w trójkę, Andrzej nachylił się z łóża w ich stronę.

- Tomaszu, posłuchaj mnie uważnie - powiedział zwracając się do syna - Zapamiętaj to, co dzisiaj usłyszysz. Mam do ciebie wielką prośbę, którą możesz potraktować jak mój nakaz...

- Słucham, ojcze... - Tomasz nie krył zdziwienia.

- Musisz dotrzeć do papieża... - powiedział cicho Andrzej.

- Co?

- Wiem, że tego dokonasz, synu. Znam cię. Musisz dotrzeć do papieża...

- Ale po co?

- Musisz go poprosić, aby zdjął wiszącą nad Bytomiem klątwę.

- O czym tym mówisz, ojcze?

Zapadła chwila ciszy.

- Józefie, opowiedz mu wszystko - powiedział cicho Andrzej.

Długą chwilę trwało, zanim Józef opowiedział Tomaszowi przedziwną historię. Mówił o dawnej klątwie i zamordowanych księżach, o Hohenzollernach, pierwszych Donnersmarckach, o straszliwej wojnie i obcych wojskach, o sprawach sądowych o czary, o zachowaniu hrabiów, o ludzkiej głupocie i pazerności, o opowieściach o Niebieskookim i o wielu innych rzeczach. Tomasz nie przerywał. Słuchał z szeroko otwartymi oczami. Gdy Józef skończył, Tomasz przez dłuższą chwilę nie odzywał się.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedzieliście? - spytał cicho.

- Bo to wiedza, mój synu, która może zaszkodzić - odparł spokojnie Andrzej.

- Bardzo zaszkodzić... - dodał Józef.

- Co mam zrobić? - Tomasz wydawał się być bardzo przejęty.

- Musisz dotrzeć do papieża i poprosić go, aby zdjął klątwę. Tylko tyle - mówił Andrzej.

- Nie wiem, czy w Rzymie ktokolwiek jeszcze pamięta, że ta klątwa wisi nad naszym miastem - dodał Józef - Trzeba im przypomnieć.

- Jeśli klątwa nie zostanie zdjęta, Zły dalej będzie się tutaj panoszył. To nigdy się nie skończy... - mówił Andrzej - Rozumiesz, synu?

- Tak, ojcze.

- Zrobisz to?

- Postaram się - odparł Tomasz.

- To za mało, Tomaszu - powiedział Andrzej - To za mało...

- Ojcze - odparł Tomasz bardziej stanowczym głosem - Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Teraz lepiej... – uśmiechnął się Andrzej. Wpadł w głęboki i natarczywy kaszel. Gdy przestał, zamknął oczy i powiedział: Zostawcie mnie teraz. Muszę odpocząć.

Józef i Tomasz wyszli z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Tomaszu, jeszcze coś... – powiedział Józef – Poszukajmy spokojnego miejsca.

Weszli do niewielkiej komórki, w której się schowali. Tam Józef opowiedział Tomaszowi o zakonniku, o swoich rozmowach, o tajemniczym zakonniku przy śmierci Gabriela, o niebieskookim mężczyźnie i o swoim dramatycznym spotkaniu ze Złym. Tomasz słuchał go w milczeniu, ale w jego oczach było widać rosnące zdumienie.

– Nawet twój ojciec nie wie o tym spotkaniu – powiedział Józef kończąc swoją opowieść.

– Dlaczego?

– A po co, Tomaszu? Co by to zmieniło? Tylko napędziłoby mu strachu. Co przeżyłem, to przeżyłem, Trudno...

– No tak...

– Teraz sam widzisz, jak poważna jest to sprawa – mówił dalej Józef – Dlatego trzeba dotrzeć do papieża. Nie tak dawno doszliśmy z twoim ojcem do wniosku, że to jest jedyna sensowna droga. Zgodziliśmy się, że tylko ty możesz tego dokonać.

Tomasz westchnął głęboko.

– Boże, ale nakładacie na mnie ciężar... – szepnął.

– Tak, wiem – odparł cicho Józef – Tylko, Tomaszu, my ten ciężar dźwigamy całe nasze życie...

Tomasz spojrzał na swojego wuja. Po chwili uśmiechnął się i skinął głową. Zrozumiał.

Następnego dnia Andrzej odszedł z tego świata. Po odprawieniu odpowiednich ceremonii został pochowany na cmentarzu przy Bramie Pyskowickiej¹⁷². W ostatniej drodze odprowadziło go wielu mieszkańców Bytomia, wśród których cieszył się szacunkiem i poważaniem. Ceremonię pogrzebową prowadził sam pleban Nikowski. Mogiła Andrzeja, cicha i spokojna, była często odwiedzana przez wszystkich członków rodziny. Posadzono na niej polne kwiaty, które Andrzej uwielbiał. Dbano o nie. Józef, który niezmiennie często odwiedzał mogiłę brata, też je przynosił. Najczęściej samodzielnie zebrane wokół Bramy Pyskowickiej. Siadał przy grobie brata, kładł na nim kwiaty i rozmawiali. Dziesiątkami minut, a nawet godzinami. Brat zawsze go wysłuchał, a czasami i doradził. Andrzej miał rację. Zawsze miał czas dla swojego brata...

¹⁷² Mowa o cmentarzu ulokowanym w miejscu, gdzie obecnie znajduje się kościół św. Trójcy. Cmentarz funkcjonował do połowy XIX w.

1688

W dniu 24 stycznia 1688 r. urodził się Karol Józef Erdmann hrabia Henckel von Donnersmarck, który miał zostać następcą hrabiego Leona Ferdynanda. Miał również stać się w przyszłości źródłem wielu problemów. Gdy jego ojciec został pierwszym wolnym panem stanowym Bytomia, Karol Józef miał 9 lat. Był małym dzieckiem. Po swoim ojcu odziedziczył wyznanie protestanckie. Gdy Leon Ferdynand odszedł z tego świata, młody hrabia miał dopiero 11 lat...

Przełożony zakonu premonstratensów¹⁷³ we Wrocławiu Gotfryd Celichowski siedział za biurkiem w swoim klasztorным pokoju. Inny zakonnik położył przed nim pismo.

– Czego oni znowu chcą? – spytał patrząc na pieczęcie, na których widniał herb miasta Bytom.

– Zwracają się ze skargą – odparł zakonnik, który pełnił funkcję klasztorного sekretarza i pisarza.

– Na kogo? – spytał Gotfryd.

– Na swojego plebana.

– Oooo... skarżą się na Nikowskiego? – spytał zdziwiony Gotfryd.

– Tak.

– Czym im podpadł nasz szacowny pleban?

Sekretarz chwycił za pismo i otworzył je.

– Mają zamiar wybudować wodociąg doprowadzający wodę do miasta – zakonnik streszczał treść pisma – Ma go zasilać woda ze stawu położonego u stóp wzgórza św. Małgorzaty.

– No to w czym problem? Niech sobie budują... – powiedział Gotfryd.

– Nie zgodził się na to pleban kościoła WNMP ksiądz Józef Nikowski...

Gotfryd ze zdziwieniem popatrzył na zakonnika.

– Nie zgodził? Dlaczego? – spytał.

– W piśmie pisze, że pleban obawia się, iż drewniane rury mogą ulec zniszczeniu, a wtedy woda wyleje się na pola i doprowadzi do zniszczenia upraw.

Gotfryd zamyślił się przez chwilę.

¹⁷³ Premonstratensi to inna nazwa zakonu norbertanów. Ich wrocławski klasztor powstał w XIII w. Ulokowano go na terenie dawnej wsi Olbin, leżącej obecnie w granicach Wrocławia. Istniał do pierwszej połowy XVI w. To właśnie tam znajdował się tympanon fundacyjny, na którym widać bytomski kościół św. Małgorzaty. Później klasztor funkcjonował w innym miejscu.

- Hmm... No niby ma rację, tylko czy z kamienia, czy z drewna, do uszkodzenia zawsze może dojść... Co za różnica? Nie bardzo rozumiem... - mówił Gotfryd.

Zakonnik nie odpowiadał. Był przyzwyczajony do monologów wygłaszanych przez swojego przełożonego. Wiedział, że nie wolno mu w tym przeszkadzać.

- On musi w tym mieć jakiś inny interes - powiedział sam do siebie Gotfryd - Tam dalej rządzi hrabia Leon Ferdynand Henckel von Donnersmarck?

- Tak - odparł zakonnik.

- Pewnie hrabiemu zależy na wodociągu... - kontynuował swój monolog Gotfryd - Pleban już wcześniej z nim wojował... Tu nie chodzi o wodociąg... Tu chodzi o zrobienie na złość hrabiemu...

Zakonnik milczał trzymając w ręku pismo.

- Czy ja dobrze myślę? - spytał nagle Gotfryd - Czy hrabiemu niedawno urodził się syn?

- Tak - odparł zakonnik - Chyba parę miesięcy temu.

- To jego następcą? - pytał dalej Gotfryd.

- Tak. Odziedziczy po ojcu majątek.

- No to chyba rozumiem - mówił Gotfryd - Pleban chce dopieć hrabiemu w tak ważnej dla niego chwili... Tylko, że to takie małostkowe.

Zakonnik nie odezwał się ani słowem.

- Cóż mamy zrobić... - powiedział Gotfryd - Musimy zareagować na skargę. Wyślemy do Bytomia komisję złożoną z naszych zakonników, którzy na miejscu sprawdzą, czy projekt wodociągu jest dobry i czy faktycznie zagraża polom uprawnym.

- Kogo wyślemy? - spytał zakonnik.

- Wyznaczam Józefa Szafarczyka - odparł Gotfryd - On się na tym zna. Niech dobierze sobie z 3-4 zakonników.

W następnym tygodniu zakonna komisja premonstratensów wyruszyła do Bytomia. Gdy dotarła na miejsce, w pierwszej kolejności zajęła się dokumentacją budowy planowanego wodociągu. Nie znaleźli tam żadnych uchybień. Później przeprowadzili badania terenowe, które nie wykazały żadnego zagrożenia. Zakonnicy doszli do wniosku, że wylewająca się woda nie zagrazi uprawom, ale spokojnie spłynie do pobliskich rzek. Swoje ustalenia spisali w formie dokumentu, który przekazali swojemu przełożonemu. Ten przekazał go mieszkańcom Bytomia. Hrabia był zadowolony, bo jego oponentowi, plebanowi Józefowi Nikowskiemu, po prostu utarło nosa. Mieszkańcy Bytomia też byli szczęśliwi, bo wodociąg miał im zapewnić stałe źródło wody pitnej. Przystąpiono do jego

budowy¹⁷⁴. Był tylko jeden problem. Staw, z którego czerpano wodę był tym samym, w którym w XIV w. utopiono dwóch bytomskich księży. To miejsce i owo wydarzenie stało się powodem nałożenia na Bytom papieskiej klątwy i interdyktu. O tym chyba nikt wtedy nie pomyślał...

¹⁷⁴ Podczas prowadzenia w Bytomiu różnych prac archeologicznych odnaleziono resztki drewnianych rur, zapewne będących częścią tego wodociągu.

1689

Pod koniec XVII w. już coraz ostrożniej podchodzono do procesów o czary, a jednocześnie zaczęto kwestionować tzw. próbę wody, której w 1666 r. została w Bytomiu poddana Niedzielina. Przykładem na to może być sprawa tocząca się w sąsiedniej Małopolsce, na terenie państwa polskiego. We wsi Gdów dwie kobiety oskarżono o czary. Były to Rejna (Regina) Krawcowa i Helena Gałczyna. Zanim doszło do sprawy sądowej, obydwie poddano próbie wody. Co ciekawe, nie tylko te dwie niewiasty, ale również kilka innych kobiet, które w ogóle nie były oskarżone. Wygląda na to, że chciano się przekonać, jak próbę wody przejdą oskarżone, a jak niewinne kobiety. Świadkowie twierdzili, że dwie oskarżone pływały po powierzchni wody, a pozostałe kobiety zaczęły tonąć. To miało uwiarygodnić ich winę. Sąd nie wziął tego pod uwagę twierdząc, że próba wody nie ma uzasadnienia w prawie magdeburskim, a jej przeprowadzania dodatkowo zabrania prawo kościelne. Na mocy uchwały sejmowej z 1543 r. sprawy o czary na terenie Rzeczypospolitej należały do kompetencji sądów kościelnych. Tymczasem dwie oskarżone stanęły przed sądem świeckim. Obydwie kobiety uniewinniono. To wydarzenie świadczy o tym, że rzekome dowody czaroństwa traktowano z coraz większą rezerwą.

W 1689 r. hrabia Leon Ferdynand Henckel von Donnersmarck zmienił wyznanie. Podobno była to decyzja polityczna, gdyż miał zasiąść w Sejmiku Śląskim we Wrocławiu, ale w tym celu musiał zmienić religię. Plebanem bytomskiego kościoła WNMP był wtedy Józef Nikotius. Hrabia przeszedł na katolicyzm. Rok później bytomski sąd ziemski skazał żonę i córkę Tomasza Pojdy na klęczenie w kościele w czasie nabożeństwa z trupią czaszką w rękach. Zadziwiający wyrok. Tym bardziej, że dotyczył matki i córki. W mieście mówiono, że ich pokuta to sprawka hrabiego, który ukarał je za wyśmiewanie się z cudownego obrazu. Kto wie, czy to prawda...

1691

W pewien majowy dzień Józef wybrał się na grób swojego brata. Jak zwykle, po drodze nazbierał trochę polnych kwiatów, by móc położyć je na mogile. Ściskając je w rękę dotarł do miejsca, gdzie spoczywał Andrzej. Józef, mając ponad 80 lat, był już bardzo zniedołężniały. Pomimo tego usiadł na niewielkiej drewnianej ławeczce, którą przed kilkoma laty sam zrobił i umieścił przy grobie brata.

– Witaj, Andrzeju – powiedział – Mam coś dla ciebie.

Położył na mogile pęk polnych kwiatów.

– Piękne, prawda? – mówił dalej – Spod naszej Bramy Pyskowskiej. Sam tam zbierałeś... Tam rosną najlepsze.

W dali było słychać gwar miasta, a także okrzyki rozmawiających ze sobą ludzi.

– Och, bracie, brakuje mi ciebie... – westchnął – Bardzo brakuje. Coś mi się wydaje, że za niedługo się spotkamy.

Odpowiedział mu radosny pisk ptaków, które uczyły swoje młode trudnej sztuki latania.

– Wiesz, mam wrażenie – mówił Józef – że od czasu „cudownej” przemiany naszego hrabiego sytuacja nieco się uspokoiła. Żyje się jakoś lepiej i bezpieczniej. Co prawda władze miasta czasami toczą z nim spór, a nawet napisali na niego skargi do cesarza¹⁷⁵, ale on jest inny. Inny, niż tamci...

Józef spojrzał na niebo, na którym białe, kształtne chmury leniwe przesuwały się zgodnie z kierunkiem wiatru.

– Mam nadzieję, że Zły odszedł, bracie – powiedział – Wiem, że to naiwne. Zły tak łatwo nie odchodzi, ale przycisnął się gdzieś tam... Nie pokazuje się...

Na niebie pojawił się klucz ptaków, które leciały gdzieś w kierunku północnym.

– Wiesz, że hrabia przeszedł na katolicyzm? Zapomniałem ci o tym ostatnio powiedzieć! – mówił bardziej ożywionym głosem Józef – Pamiętasz, jak kiedyś mówiliśmy, że hrabiowie pewnie tak zrobią? No i masz... W niczym nie myliliśmy się, bracie... W niczym...

Przez Bramę Pyskowską z wielkim hałasem wtaczał się chłopski wóz wyładowany kłatkami, z których dobiegał krzyk przerażonych gęsi. Chłop uderzeniami bata popędzał woła, który ciągnął wóz.

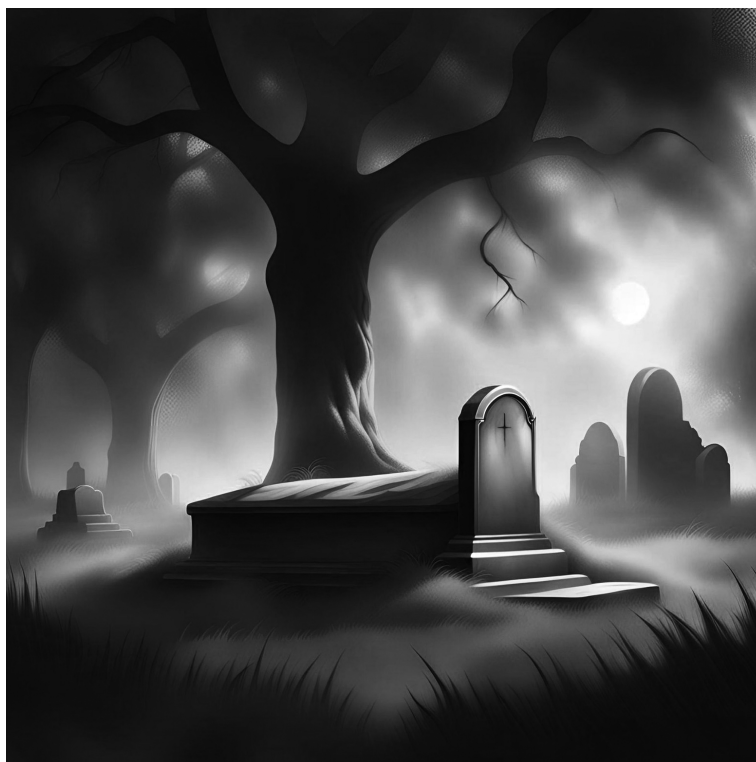
– Andrzeju, tobie mogę to powiedzieć... – powiedział cicho Józef – Czuję się już zmęczony życiem... Już mi chyba wystarczy... Poza tym, pilno mi do ciebie...

¹⁷⁵ Mowa o skargach na hrabiego Leona Ferdynanda wniesionych do cesarza z 1688 i 1691 r. Obydwie pozostały bez odpowiedzi.

Józef spojrział w kierunku cmentarnej kaplicy. Na cmentarzu było pusto. Żywej duszy.

– Kocham cię bracie – szepnął Józef i na chwilę zamknął oczy, by pozwolić ciepłym promykom słońca muskać jego skórę.

Kilka godzin później pewien mężczyzna zauważył Józefa siedzącego na ławce, z nisko opuszczoną głową. Kiedy podszedł bliżej okazało się, że ten już nie żyje. Umarł siedząc. Jego ciało było już chłodne. Na jego twarzy pozostał pogodny uśmiech, którym zawsze witał swojego brata. Dwa dni później został pochowany zaraz obok niego. Już na zawsze byli razem. Co ważne, teraz Józef mógł opowiedzieć Andrzejowi o swoim przerażającym nocnym spotkaniu, a jednocześnie przeprosić i wytłumaczyć, dlaczego nie zrobił tego wcześniej...



Ilustracja 59 – Mogiła.

1692

„(...) ilechmy doświadczeniem tego doszli, że zawsze widomie względem czarownice szatan się łączy i nie ma do niej, dla postanowionej umowy, niewidomie przystępować. Aczkolwiek co się tknie inszych stojących czarownice, częstokroć były widane w polach albo lasach leżące, ze wszystkimi okolicznościami (uszom uczciwym się folguje) tej brzydkości należącymi, gdzie się z nimi latawcy niewidomie względem przypatrujących się łączyli, i na skończeniu sprawy chmureczka czarna wzdłuż na człowieka ku górze na powietrze od czarownic się wyniosła, ale to bardzo rzadko”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzechowny o czarach (...)”, 1487

Co prawda w Europie, jak również na Śląsku okres polowań na czarownice już pomалу się kończył, ale w tym roku, w odległym miasteczku Salem Village, doszło do ogromnej tragedii. W dalekiej Ameryce Północnej, w stanie Massachusetts, w tzw. Nowej Anglii żyli brytyjscy koloniści. W ich pobliżu, w leśnej otchłani czaili się Indianie i wrogo nastawieni Francuzi. Wśród osadników krążyły historie o tajemniczych porwaniach i brutalnych mordach dokonywanych przez dzikich. To powodowało stały stan zagrożenia. Do tego dochodziły dość częste klęski nieurodzaju, epidemie ospy i złe stosunki z metropolią, czyli z Londynem. Wszystko to pogłębiało poczucie izolacji konserwatywnej społeczności tej kolonii, którą byli dość fanatyczni purytanie.

Wszystko zaczęło się od dwóch małych dziewczynek z miasteczka Salem. Dziewięcioletnia córka pastora¹⁷⁶ Betty (Elisabeth) Parris i jej jedenastoletnia kuzynka Abigail Williams niespodziewanie zapadły na tajemnicze konwulsje. Miały ataki drgawek, a podczas napadów wydawały z siebie przerażające odgłosy. Zaniepokojony ich zachowaniem ojciec Betty, Samuel Parris, sprowadził do domu doktora Williama Griggsa. Ten przebadał dziewczynki i wydał przerażającą diagnozę – dzieci znajdują się pod wpływem czarów. Kiedy dowiedziała się o tym czarnoskóra niewolnica Parrisów o imieniu Tibuta, przejęta wydarzeniami w domu pana, postanowiła pomóc. Zainspirowana wskazówkami jednej z sąsiadek przygotowała podpłomyk, którego jednym ze składników była uryna dziewczynek, a następnie dała go do zjedzenia psu. Miało to zdjąć klątwę z dziewczynek, ale nie pomogło. Tibutę posądzono jednak o czarostwo, a ta wskazała na kolejne kobiety, a mianowicie lokalną żebraczkę-

¹⁷⁶ Proboszczem w Salem w latach 1680-1682 był wieloletni Georg Burroughs, który też został przez dziewczynki posądzony o czary.

kę Sarah Good oraz schorowaną Sarah Osborne. Obydwie stanowczo zaprzeczyły oskarżeniom, ale niewolnica obciążała je kolejnymi zeznaniami. Prawdopodobnie robiła to po to, aby samej się uratować. Tak zaczął się przerażających proceder obciążania kolejnych mieszkańców – nie tylko kobiet, ale również mężczyzn.



Ilustracja 60 – Czarownica.

Trzy pierwsze rozprawy (sędzią był Dudley Bradstreet z Andover) zapoczątkowały tragiczną serię procesów, w wyniku których kilkunastu pozwanych zawisło na stryczku, część zmarła w więzieniu, a jedna osoba podczas tortur. Ogromną winę w tym wszystkim ponosiły dwie dziewczynki, które wskazywały kolejne osoby. Wykazywały się przy tym niezwykłymi umiejętnościami aktorskimi. Ich popisowym numerem były drgawki i opętane krzyki. Oskarżeni musieli sami udowadniać swoją niewinność. Łatwo przyznawano się do czynów, których faktycznie nie popełniono, byle ratować własne życie. W Salem tylko szybkie przyznanie się do winy dawało szansę na przeżycie. Szaleństwo trwało od marca do października 1692 r. Ostatnia rozprawa w Salem odbyła się w styczniu 1693 r. Uniewinniono wówczas 49 osób, które wcześniej oczekiwały na skazanie za praktykowanie czarnej magii. Ogółem oskarżono około 200 kobiet i mężczyzn, z których 14 kobiet i 5 mężczyzn stracono. Podłoże zarzutów bywało różne – od odmiennego wyglądu czy zachowa-

nia po wzajemne animozje w rodzinie i sąsiedztwie¹⁷⁷. Zło zrodziło zło. Dokładnie tak samo, jak to było na ziemi bytomskiej...

Bytomskim burmistrzem był wtedy Jan Tomaszowski, a plebanem kościoła WNMP Józef Nikotius. Zapewne dotarły do nich wieści o straszliwych wydarzeniach w Ameryce. Hrabia Leon Ferdynand, coraz starszy, z dnia na dzień tracił siły. Spodziewał się, że nadchodzi jego kres. Jego syn był bardzo mały. Tylko rozmowy Leona Ferdynanda z jego żoną hrabiną Julianną Maksymilianą mogły dać mu gwarancję, że z ust matki jego syn usłyszy to, co chciałby mu przekazać ojciec...

¹⁷⁷ Amerykańska psycholog Linda Carporael, badająca wydarzenia w Salem doszła do wniosku, że dziewczynki mogły być „opętane” z powodu spożycia buławinki czerwonej, trującego pasożytniczego grzyba, który w większych ilościach potrafi nawet zabić. Ma działanie podobne do LSD, powodując różne wizje. Ówczesne akuszerki stosowały je do aborcji. Buławinka czerwona może przez wiele lat przetrwać w mące.

1697

W dniu 27 lipca 1697 r. hrabia Leon Ferdynand powitał elektora saskiego Augusta II Mocnego z rodu Wettinów, który zmierzał do Polski, by objąć tron RP. Najpierw August odwiedził Piekary, gdzie przed obrazem Matki Boskiej Piekarskiej zmienił swoje wyznanie z protestanckiego na katolickie. Tego roku hrabia został wyniesiony do godności wolnego pana stanowego (niem. *Freier Standesherr von Beuthen*). To oznaczało, że jego majątek ziemski został wyłączony spod jurysdykcji innych władz i podlegał tylko i wyłącznie cesarzowi. Stało się to na mocy przywileju wydanego przez cesarza Leopolda I Habsburga z dnia 14 listopada 1697 r. Hrabia uzyskał w ten sposób o wiele mocniejsze prerogatywy sądowe, niż dotąd posiadał. Bytom stał się wolnym państwem stanowym¹⁷⁸ (niem. *Freie Standesherrschaft*). Donnersmarckowie jednocześnie uzyskali możliwość zasiadania w Sejmie Śląskim, ale na zmianę z hrabiami Schoenaich-Carolath, wolnymi panami stanowymi Bytomia Odrzańskiego i Siedliska. W 1701 r. cesarz Leopold I postanowił, że godność wolnego pana stanowego będzie dziedziczona na zasadzie primogenitury przez potomków Leona Ferdynanda, ale pod warunkiem wyznawania przez nich wiary katolickiej. Po wygaśnięciu tej linii Hencklów do dziedziczenia miano dopuścić kuzynów z linii tarnogórskiej, ale też pod warunkiem przejścia na katolicyzm.

Bytom stał się miastem, gdzie odbywały się szlacheckie sejmiki ziemskie. Niektóre rodziny szlacheckie miały nawet w mieście swoje domy, których używano podczas tych sejmików¹⁷⁹. Posiedzenie takiego sejmiku odbywało się w bytomskim ratuszu, w sali sądowej, dopóki było to możliwe. Niektóre rody szlacheckie posiadały przywilej warzenia piwa, z którego korzystały szczególnie chętnie w okresie trwania sejmików, gdy zapotrzebowanie na piwo było szczególnie duże. Dobrą lokatą kapitału było również posiadanie domu (nieruchomości) na przedmieściach. Szlachta mieszkająca w okolicach Bytomia podlegała w dużym stopniu staroście ziemskiemu stojącemu na czele Sejmiku Śląskiego we Wrocławiu. W tym czasie gwardianem bytomskiego klasztoru minorytów był Simon Gizycki, a w następnym

¹⁷⁸ Po wojnach śląskich bytomskie państwo stanowe znalazło się w granicach Królestwa Pruskiego. Od 1740 r. tytuł wolnego pana stanowego był dziedziczony na zasadzie senioratu. W 1748 r. król pruski wydał edykt, na mocy którego godność bytomskiego wolnego pana stanowego miała przypadać zawsze seniorowi rodu. Uprawnienia panów stanowych były stopniowo ograniczane na rzecz mianowanych przez królów pruskich urzędników, np. starostów (landratów). Uprawnienia te znacząco zostały ograniczone w czasie wojen napoleońskich, w wyniku reform Steina-Hardenberga. Instytucja panów stanowych straciła swoje prawa feudalne dopiero w połowie XIX w. Henckel von Donnersmarckom pozostał tytuł wolnych panów stanowych Bytomia, dziedziczony formalnie do dziś na zasadzie senioratu, według edyktu królewskiego z 1748 r. Od 2008 r. tytularnym 21. wolnym panem stanowym Bytomia jest hrabia Petrus Henckel von Donnersmarck (ur. 1933).

¹⁷⁹ Np. szlacheckie rody Ozorowskich, Bujakowskich czy Suchodolskich.

roku (1698) Petrus Wosiek z Kamienia. Wymienieni są również franciszkanie Karl Wejer i Stefan Haan oraz Stefan Fajerbach, z których jedynie ten ostatni miał pełnić funkcję gwardiana.

1699

Hrabia Leon Ferdynand, pierwszy pan bytomskiego państwa stanowego, zmarł w dniu 24 lutego 1699 r. Został prawdopodobnie pochowany w kościele minorytów w Bytomiu. Jego grób nie zachował się. W ostatnich chwilach swojego życia ciągle miał w głowie słowa matki: „Musisz to zakończyć”. Pomimo wcześniejszych planów nigdy nie wybudował w Bytomiu swojego pałacu. Porzucił ten pomysł. Po jego śmierci w latach 1698-1710 władzę w państwie bytomskim sprawowała jego małżonka, a jednocześnie katoliczka Julianna Maksymilianna, z domu Cobb. Musiała jednak przysiąc, że wychowa dzieci w wierze katolickiej. Rządziła dobrze, sprawiedliwie i mądrze. Pomagała mieszkańcom i burmistrzowi¹⁸⁰. Była jedyną kobietą w Sejmie Śląskim. Rozstrzygała sprawy, które toczyły się w bytomskim sądzie, ale starała się nie wyrządzić nikomu krzywdy. Zapewne знаła przerażającą tajemnicę swojego męża. Podczas jej rządów miejscowi Żydzi zostali wydaleny ze wszystkich miast i miasteczek. To nie była jej decyzja. Takie zarządzenie wydał sam cesarz, a ona jedynie się do niego zastosowała. Trudno jednak powiedzieć, jak ten przepis faktycznie przestrzegano w Bytomiu.

Prawnym następcą Jerzego Fryderyka został hrabia Karol Józef Erdmann Henckel von Donnersmarck, który osiągnął pełnoletność w 1710 r. Gwardianem bytomskiego klasztoru minorytów był wtedy Johannes Vetter z Piekar. W Europie szaleństwo „czarostwa” nie ustawało. W tym samym roku w szwedzkim mieście Mora przeprowadzono egzekucje 72 kobiet i 15 nastolatków podejrzanych o czary. Oskarżycielami były małe dzieci. Niektórzy próbowali podważyć wiarygodność ich zeznań, ale inni mówili, że przez niewinne dzieci przemawia Duch Święty...

¹⁸⁰ Za jej rządów doszło do konfliktu pomiędzy nią a właścicielem Bobrka Kacprem Pielgrzymem o prawo wydobywania galmanu. Hrabina przegrała sprawę w sądzie. W ten sposób prawo wydobywania przeszło w ręce Jerzego Gische, który stał się później wielkim przemysłowym potentatem.

1701

Hrabina Julianna Maksymiliana siedziała naprzeciw swojego syna, młodego hrabiego Karola Józefa. Chłopak wpatrywał się w matkę. Czuł, że ma mu coś ważnego do powiedzenia.

- Posłuchaj... - zaczęła hrabina - Przyjdzie czas, że zaczniesz samodzielnie rządzić. Twój ojciec odszedł tak nagle, że nie zdążył ci tego powiedzieć.

Chłopak w milczeniu słuchał.

- Kiedy przejmiesz władzę, musisz zastosować się do wskazówek swojego ojca - mówiła dalej - To bardzo ważne.

Karol Józef trzymał w ręku drewnianą zabawkę. Był to starannie wykonany niedźwiedź. Chłopak uwielbiał zwierzęta. Ścisnął mocno drewnianą figurkę i wpatrywał się w matkę.

- Karolu, na tym świecie są rzeczy, które czasami trudno pojąć - mówiła stanowczym głosem hrabina. Widać było, że długo przygotowywała się do tej rozmowy - Istnieją dobre rzeczy i bardzo złe. Naszym zadaniem jest iść dobrą drogą, by nie zrobić krzywdy sobie i innym. Rozumiesz?

Chłopak twierdząco skinął głową.

- Jako pan tych ziem musisz rządzić mądrze i sprawiedliwie. Twój ojciec się tego nauczył.

- Od kogo? - spytał Karol.

- Od swojej matki - odparła hrabina.

- Co mam robić?

- Po pierwsze nie możesz nikomu czynić krzywdy. Twoi poddani oczekują od ciebie mądrości i opieki. Musisz to im zapewnić.

Chłopak ponownie skinął głową.

- Czasami... trzeba być surowym... - mówiła hrabina - Trzeba osądzić tych, którzy skrzywdzili innych. To również nasz obowiązek.

Chłopak mocno ścisnął figurkę drewnianego misia.

- Musisz jednak pamiętać, żeby nikogo fałszywie nie osądzić. Jeżeli ktoś zrobił coś złego, musi ponieść za to karę. Jeśli jednak nie jesteś tego pewien, nie możesz nikogo karać, bo możesz go bardzo skrzywdzić.

- Matko, ja nie chcę nikogo krzywdzić... - powiedział cicho chłopiec.

- To dobrze, mój synu - odparła hrabina - Pamiętaj, że nigdy nie wolno odpłacać złem za złó. To bardzo niedobra droga. Twój dziadek za to zapłacił...

- Jak? - spytał Karol.

– Nieważne, chłopcze... Ważne, żebyś nie popełnił tego samego błędu.

Chłopak popatrzył na niedźwiedzia, którego trzymał w ręku.

– Muszę być silny? – powiedział.

– Tak.

– Muszę rządzić i wydawać rozkazy?

– Tak, synu.

– Skąd będę wiedział, czy są dobre, czy złe? – chłopiec spojrzał na matkę.

Ta przez chwilę nie odpowiadała.

– Serce ci to podpowie, Karolu – powiedziała.

Chłopakowi trudno było zrozumieć słowa matki. Miał niecałe 11 lat.

– Jest jeszcze coś... – dodała matka – Strzeż się mężczyzny o błękitnych oczach.

Unikaj go jak ognia.



Ilustracja 61 – Rozmowa hrabiny z synem.

Karol spojrzał na nią wystraszonym wzrokiem.

– Jeśli jednak go zobaczysz lub dowiesz się, że kręci się gdzieś blisko, to znaczy, że zrobiłeś coś złe – mówiła dalej hrabina – Wtedy musisz się zastanowić, co poszło nie tak i spróbować naprawić swój błąd. Ojciec zawsze to powtarzał...

– Matko, przecież mogę kazać go zabić – powiedział cicho chłopiec.

Hrabina spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem.

– Jego nie da się zabić, synu – powiedziała głośno – Nie da się! Kiedy się pojawi, to oznacza, że to on chce zabić ciebie. Nie pozwól na to...

– Mamo, ja się boję – powiedział cicho Karol – Opowiadasz straszne rzeczy...

– Synu – hrabina chwyciła go za wątle ramiona – Kiedy będziesz starszy, to zrozumiesz. Powinieneś się bać. Powinieneś... Inaczej stracisz swoją szansę...

– Dlaczego on chce mnie zabić? – głos chłopca zamienił się w cichy szloch.

– Jeszcze nie chce, Karolu – odparła hrabina – Będzie chciał, jeśli będziesz postępować niegodziwie. Wtedy przyjdzie cię ukarać.

Karol zaczął płakać. Łzy spływały mu po policzkach.

– Zapamiętaj naszą rozmowę, synu. Zapamiętaj na całe życie... Nie wiem, kiedy pójdę do ojca. Wtedy zostaniesz sam. Musiałam ci to teraz powiedzieć.

Karol patrzył matce prosto w oczy. Łez w jego oczach było coraz więcej.

– Pamiętaj, chłopcze... Mężczyzna o niebieskich oczach... – wzrok hrabiny uciekł gdzieś w bok, jakby nagle myślami znalazła się w innym miejscu – Unikaj go...

Karol ścisnął figurkę misia tak mocno, że aż bolały go palce. Ciągle szlochał, a strach opanował jego ciało. Kiedy przyjdzie, zabije go – pomyślał w swoim dziecięcym umyśle – Zabiję...

Nie powiedział tego głośno.



Ilustracja 62 – Hrabia Karol Józef; źródło: wikipedia.

Karol Józef Erdmann Henckel von Donnersmarck, baron i hrabia cesarstwa, był drugim wolnym panem stanowym Bytomia. Urodził się w Bytomiu. Był najstarszym synem Leona Ferdynanda i Julianny Maksymiliany, z domu Coob von Neyding. W momencie śmierci ojca miał zaledwie jedenaście lat. Regencję przejęła jego matka. Za pełnoletniego został uznany dopiero w 1710 r. Jego matka w 1718 r. kupiła pałac w Siemianowicach, w którym zamieszkała. Karol pozostał w swojej siedzibie, czyli w bytomskim ratuszu.

W 1702 r., ze względu na bezpieczeństwo, które zagrożone było walkami religijnymi i trwającą w Europie wojną północną¹⁸¹, obraz Matki Boskiej Piekarskiej wywieziono z Piekar do kościoła św. Krzyża w Opolu. Już nigdy stamtąd nie powrócił. Hrabia Jerzy Fryderyk już nie żył, więc nie mógł temu zapobiec. Hrabina Julianna Maksymilianna nie potrafiła pomóc, choć starała się o niego walczyć. Cesarz Karol VI na wniosek hrabiny, który złożyła do Urzędu Zwierzchniego we Wrocławiu w dniu 7 lutego 1712 r. nakazał, aby oryginał obrazu powrócił do Piekar. Nigdy do tego nie doszło. Obraz znajduje się w Opolu do dzisiaj. Nie cieszył się tam szczególną czcią i nie przyciągał pielgrzymek. Co innego z Piekarami. Tamtejszy obraz, tak naprawdę będąc kopią oryginału, zasłynął kolejnymi licznymi łaskami. Przybywały liczne pielgrzymki. Kult maryjny pociągał za sobą takie ożywienie ruchu pątniczego w XIX w., że drewniany kościółek stał się zbyt ciasny. W połowie XIX w. wybudowany nowy, który istnieje do dzisiaj. Podobnie, jak ruch pielgrzymkowy...

¹⁸¹ Wojna trwająca w latach 1700-1721. Rzeczpospolita oficjalnie nie brała w niej udziału, ale król RP August II Mocny walczył w niej jako księżę saski.

1704

- Panie hrabio, kto nie chce być bogaty? - powiedział Żyd Izrael Böhm do młodego panicza, na zaproszenie którego znalazł się w bytomskim ratuszu - Bogactwo dobra rzecz... Młody hrabio, ktoś musi ci to wytłumaczyć.

16-letni hrabia Karol Józef patrzył z podziwem na swojego gościa, który rozciągał przed nim wizję życia w luksusie i bogactwie. Marzył o takim świecie i własnej pozycji.

- Tak, tylko jak owo bogactwo osiągnąć? - spytał.

- Prosto - odparł Żyd.

- Skoro tak prosto, to dlaczego sam nie jesteś tak bogaty?

- Bo ja nie jestem hrabią, panie, tylko prostym Żydem.

Hrabia nachylił się do niego i ściszył głos.

- Podobno rudy galmanu da się zamienić w złoto... Słyszałeś o tym? - spytał głosem pełnym tajemnicy.

- Słyszałem, panie - odparł Żyd.

- Pomożesz mi w tym?

- Tak, panie. Zrobię wszystko, co jestem w mocy...

Hrabia roześmiał się szeroko.

- Umowa stoi... Będziemy bogaci...

W tym samym roku w Bytomiu zatrzymał się polski wojewoda, którego nazwiska celowo nie podawano. Uciekł z Rzeczypospolitej przed wojskami szwedzkimi. Musiał być naprawdę kimś ważnym. Uciekinier zatrzymał się w zajeździe należącem do Jana Kuznicjusza (Kussniciusa) i nie wychylał stamtąd nosa. Pewnego dnia w Bytomiu zjawiał się silny oddział Kozaków (około 500 jeźdźców). Ich pojawienie się było całkowitym zaskoczeniem, bo wkraczając na obszar obcego państwa Kozacy (w służbie rosyjskiej) złamali prawo. Szukali wojewody. Dowiedzieli się, w której gospodzie przebywa cel ich akcji. Udali się tam szybko, ale wojewoda został ostrzeżony i zdołał uciec, choć pozostawił swoje rzeczy. Kozacy wszystko zabrali, ale właścicielowi gospody dali spokój. Później szybko się ulotnili. Wojewoda musiał sporo zapłacić, skoro ostrzeżono go przed niebezpieczeństwem. Pytaniem pozostaje, komu zapłacił...

1710 – początek rządów hrabiego

„Hrabia zajął dla siebie cały ratusz z wyjątkiem poddasza, gdzie znajduje się archiwum, obok przybudowanej gorzelni”

Fragment skargi mieszczan do cesarza z 1722 r.

Od samego początku hrabia Karol Józef Erdmann Henckel von Donnersmarck rządził w taki sposób, jakiego obawiała się jego matka. Był pełnym pychy i niezdrowych ambicji młodym paniczem, któremu wydawało się, że świat nie ma ograniczeń, a on sam może wszystko. Zdając sobie sprawę ze swojego szlacheckiego pochodzenia, wszystkich innych traktował z widoczną wyższością. Jego małżonką, w dniu 20 lutego 1710 r., została baronowa Maria Józefa, z domu Brunetti, która urodziła się w dniu 2 lutego 1695 r. we Wrocławiu. W momencie ich ślubu, który odbył się we Wrocławiu, hrabia miał 22 lata, a ona 15. Na początku swoich rządów, w dniu 18 maja 1710 r. hrabia Karol Józef wydał dokument, w którym zobowiązywał się do zachowania wszelkich praw i przywilejów poddanych. Wydawało się więc, że nie szuka konfliktów z mieszkańcami Bytomia, a nawet szanuje ich stanowisko. Złudna była to nadzieja. Miały to pokazać następne jego decyzje. Jednakże rok później Bytom z wyraźną ulgą odetchnął...



Ilustracja 63 – Hrabina Maria Józefa, z domu Brunetti.

1711

Na bytomski miejski cmentarz przy Bramie Pyskowskiej wolnym krokiem wchodził duchowny w habitach zakonu jezuitów. Miał na imię Tomasz. Nie spieszył się. Doskonale znał to miejsce i wiedział, gdzie iść. Przez kilka ostatnich lat z racji swoich obowiązków nie miał okazji tu bywać, ale wcześniej odwiedzał je często. Pewnym krokiem dotarł do miejsca, gdzie obok siebie znajdowały się dwie niezwykle podobne do siebie mogiły. W jednej z nich pochowany był ojciec duchownego – Andrzej, a w drugiej jego brat – Józef, ukochany wujek jezuity. Tomasz przez dłuższą chwilę z wielką czułością spoglądał na obydwie groby, które z racji grudniowej pogody były przykryte niewielką pokrywą śniegu.



Ilustracja 64 – Dwie mogiły.

– Witaj, ojcie – powiedział cicho – Witaj, wuju... Chciałem wam coś przeczytać.
Z kieszeni wydobyl kawałek papieru, który wolnym ruchem rozłożył. Tomasz nie mógł opanować łez, które cisnęły mu się do oczu. Zaczął czytać.

– *Papież Klemens XI do Kazimierza Łubieńskiego*¹⁸² „czcigodnego brata i najukochańszego syna”. *Wobec prośby wszystkich mieszczan miasta Bytom, przez wiele lat trwających pod kłatwą, zwalnia ich od ekskomuniki, suspensy albo interdyktu. Zleca biskupowi i jego oficjałowi wypełnienie wymaganych przepisów bulli Coena Domini*¹⁸³, a więc również trzydniowych postów mieszczan, odbycia spowiedzi i przyjęcie Eucharystii.

Tomasz ponownie złożył kawałek papieru i schował go do kieszeni.

– Ogłoszono w Rzymie, w bazylice Maria Maggiore w dniu 24 listopada 1711 r. – powiedział z pamięci.

Na cmentarzu zapadła cisza. Tomasz był sam, bo chłodne grudniowe powietrze nie zachęcało mieszkańców Bytomia do odwiedzin mogił swoich bliskich.

– Widzicie, zrobiłem, co mogłem – powiedział cicho – Wiele lat to trwało, zanim dotarłem do papieża. Nie był to łatwe, ale ciągle miałem w głowie obietnicę, którą wam złożyłem. Kładłem się z nią spać i rano budziłem się z nią. Słyszałem ją w ciągu dnia. Była ze mną zawsze.

Zimowy wiatr zaczął smagać jego twarz zmierzniętymi płatkami śniegu. Łzy nadal toczyły się z jego oczu.

– Mam nadzieję, że to wystarczy – powiedział ocierając dłonią oczy – Wiem, dlaczego wam tak zależało. Opowiadaliście o Złym. Wiem, że mówiliście prawdę. Teraz to wszystko powinno się skończyć...

Wiatr wzmagał się coraz bardziej.

– Jest mi bardzo przykro, że nie mogę powiedzieć wam tego w oczy. Nie zdążyłem. Odeszliście... Ale jestem pewien, że gdzieś tam słyszycie moje słowa.

Tomasz przez chwilę jeszcze stał i patrzył raz na jedną, raz na drugą mogiłę.

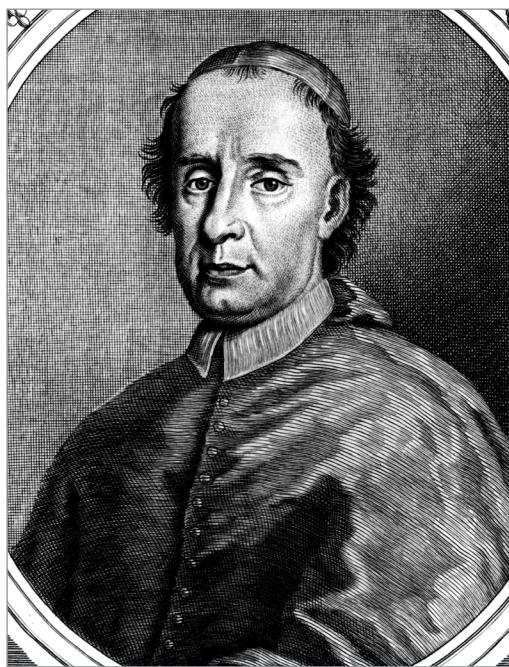
– Mam nadzieję, że to wystarczy... – szepnął.

Z nieba posypały się duże, kształtne płatki śniegu, które lądowały na jego głowie i ramionach. Po dłuższej chwili Tomasz odwrócił się i ruszył w kierunku cmentarnej furtki, przechodząc obok kaplicy. Nie zauważył, że zmierznięte kwiaty, posadzone na obydwu mogiłach, nieco się podniosły, jakby obudziły się do życia. Tomasz już tego nie widział. Może był to tylko wiatr...

¹⁸² Kazimierz Łubieński herbu Pomian żył w latach 1652-1719. W latach 1705-1710 był biskupem chełmskim, a od dnia 10 maja 1710 r. biskupem krakowskim. Po swoim mianowaniu na stolicę krakowską natychmiast zwołał synod diecezjalny w 1711 r. Synod ten przyczynił się do odnowy życia religijnego duchowieństwa i dyscypliny wśród kleru. Został pochowany w katedrze wawelskiej pod konfesją św. Stanisława.

¹⁸³ Tzw. bulla wielkoczwartkowa, której geneza sięga IV w. Powstała z kościelnego obrzędu ogłaszania kłatwy przeciw herezykom w Wielki Czwartek. Ostateczną formę nadał jej papież Urban VIII w 1627 r. Stosowano ją również wobec osób, które podniosły rękę na majątek kościelny.

W dniu 24 listopada 1711 r. w Rzymie papież Klemens XI¹⁸⁴ wydał bullę, na mocy której zdjął ciężącą na Bytomiu klątwę. Jego decyzja zaskoczyła innych hierarchów kościelnych, bo o tym wydarzeniu mało kto pamiętał. Trudno powiedzieć, dlaczego papież tego dokonał. Wydawało się, że ktoś mu o tej klątwie przypomniał. Papieska bulla dotarła do Bytomia i została oficjalnie ogłoszona. Nie wywołała specjalnego wrażenia, bo większość mieszkańców o dawnej klątwie nie miała już zielonego pojęcia. Następnie dokument zdjęcia klątwy zamurowano w portalu domu przylegającego do drzwi plebanii. Nie wiadomo, dlaczego. Odnaleziono go dopiero w 1825 r., gdy przystąpiono do rozbiórki tego domu. Wraz z dokumentem znajdowało się tam oświadczenie ówczesnego proboszcza parafii WNMP Bernarda Chocimirskiego napisane w j. łacińskim mówiące, że bytomianie wypełnili wszystkie warunki konieczne do zdjęcia klątwy. Gwardianem bytomskiego klasztoru minorytów był wtedy (najprawdopodobniej) Nikolaus Miecikowski z Piekar.



Ilustracja 65 – Papież Klemens XI, źródło: wikipedia.

¹⁸⁴ Właściwie Giovanni Francesco Albani. Żył w latach 1649-1721. W polityce wewnętrznej papież kontynuował politykę poprzednika i sprzeciwiał się nepotyzmowi, ale Kuria Rzymska w okresie jego pontyfikatu miała opinię mocno skorumpowanej. Był mecenasem sztuki i nauki, interesował się archeologią, wzbogacił Bibliotekę Watykańską. Pontyfikat Klemensa XI, zazwyczaj negatywnie oceniany przez historyków, był jednym z dłuższych w historii, bo trwał ponad 20 lat. Ten sam papież zatwierdził kult błogosławionego Czesława Odrowąża (ok. 1175-1180-1242), polskiego dominikanina, którego w 1963 r. ogłoszono patronem Wrocławia.

1712

Młody hrabia obrastał w niebezpieczny płaszcz pychy i pogardy dla innych. Jako pan wolnego państwa stanowego zaczął używać tytulatury, której zgodnie z prawem nie mógł używać. Używał tytułu „*Regirende Herr*” czyli „Panujący”. Takim tytułem mogli się posługiwać jedynie władcy. Zareagował na to sam cesarz Karol VI Habsburg, który w 1718 r. za pośrednictwem Urzędu Zwierzchniego we Wrocławiu, zwrócił na to uwagę hrabiemu. Trudno powiedzieć, czy zrobiło to na nim jakiekolwiek wrażenie. W tym samym roku w Bytomiu doszło do strasznego wydarzenia.

Hrabia Karol Józef Erdmann zajął praktycznie wszystkie pomieszczenia bytomskiego ratusza. Pozostało jedynie poddasze, w którym trzymano miejskie archiwum. Do ratusza był dobudowany dom, którego połowa zajmowała kuchnia hrabiego. W reszcie pomieszczeń trzymał dzikie zwierzęta, do których miał prawdziwą słabość. W jednym z pokoiów, gdzie zazwyczaj trzymano odważniki z miejskiej wagi, Karol Józef trzymał trzy rysie. W innych umieścił wilki i niedźwiedzie. Miejskie urzędy i komisje nie miały do nich dostępu. Ratusz przestał być siedzibą władz miasta, które swoje posiedzenia musiały organizować w prywatnych domach, czy karczmach. Hrabiego to nie interesowało. Co więcej, zmuszał mieszkańców do opłat na rzecz odnowienia budynku ratusza, choć nie mogli oni z niego korzystać. Jeden z domów stojący na wałach miejskich został na rozkaz hrabiego wyburzony, a w jego miejscu urządzono hrabiowską psiarnię. Znalazł również sposób na powstrzymanie działań krnąbrnych wobec niego władz miasta. Na podstawie swoich uprawnień obsadzał różne stanowiska w mieście ludźmi, często nie posiadającymi żadnego wykształcenia, a także kompetencji wymaganych na tych stanowiskach. Mieli jednak jedną wspólną cechę – byli lojalni wobec hrabiego. Nawet radość z faktu zdjęcia kłatwy nie mogła przyćmić nastroju rozgoryczenia, jakie zapanowało wśród mieszkańców Bytomia.

Tego dnia nic nie zapowiadało tragedii, do jakiej miało dojść. Piękna pogoda i ciepłe promienie słońca ogrzewały mury miasta i jego mieszkańców. Życie toczyło się swoim spokojnym rytmem, choć w cieniu rosnącej niechęci wobec młodego hrabiego. Mały chłopczyk Jan Mokrski, wraz z innymi dziećmi, bawił się na ulicach miasta. Dzieciaki krzyczały do siebie, nawoływały się nawzajem i biegały jak szalone, co było zupełnie normalnym, codziennym widokiem. Mało kto zwracał na to uwagę. Tylko czasami ktoś, zniecierpliwiony piskliwymi głosami dzieci, przeganiał je, by mieć trochę spokoju. W pewnym momencie mały Jasiu oddalił się od grupy. Szuka-

jąc towarzyszy zabawy kręcił się po ulicach i podwórkach. Nagle stanął jak wryty, bo naprzeciw siebie zobaczył potężnego niedźwiedzia. Wystraszył się tym niecodziennym widokiem, ale dziecięca ciekawość była silniejsza. Nie uciekał. Przypatrywał się ogromnemu zwierzęciu, które również go dostrzegło. Po chwili Jasiu nieco zbliżył się do niedźwiedzia. Dzikie zwierzę, oszalałe od przebywania w ciemnych pomieszczeniach bytomskiego ratusza, być może nawet i wygłodniałe, nagle rzuciło się w kierunku chłopca. Trudno powiedzieć, czy jakimś cudem niedźwiedź wydostał się z pomieszczeń ratusza, czy też został celowo wypuszczony. Jasiu, widząc biegnącego niedźwiedzia rzucił się do ucieczki. Nie miał najmniejszych szans. Na jego miejscu dorosła osoba też nie dałaby rady. Zwierzę dopadło chłopca i potężnym uderzeniem łapy przewróciło go na ziemię. Wystraszony Jasiu ponownie próbował uciec, ale wtedy łapa niedźwiedzia uzbrojona w potężne pazury wbiła się w skórę jego głowy. Zwierzę mocno szarpnęło, praktycznie zrywając Jasiowi całą skórę wraz z włosami. Chłopak zaczął przeraźliwie krzyczeć, co zaalarmowało inne osoby. Trudno powiedzieć jak zdołano odpędzić niedźwiedzia, który czując zapach krwi na pewno stał się jeszcze bardziej agresywny. Chłopak zemdlony leżał nieruchomo na ziemi. Nie wiadomo było, czy w ogóle żyje. Ktoś zawiadomił jego ojca, który szybko przybiegł na miejsce. Gdy zobaczył swojego syna leżącego nieruchomo na ziemi, w kałuży krwi i ze zmasakrowaną głową, klęknął obok niego i zaczął przeraźliwie krzyczeć. Wzniósł ręce do góry w geście ojcowskiej rozpacz. Jasiu się poruszył. Żył, ale nie miał sił stanąć na nogach. Ludzie byli niesamowicie wzburzeni. Nikt nie miał wątpliwości, skąd niebezpieczny niedźwiedź wziął się na ulicach miasta¹⁸⁵. Hrabowski zwierzyniec w ratuszu...

Przeraźliwy krzyk dziecka, a później pełen rozpacz. wrzask ojca był słyszalny w całym mieście. Każdy go słyszał. Mógł obudzić tych najbardziej pogrążonych we śnie. Najprawdopodobniej usłyszeli go nie tylko ludzie...

- Panie hrabio - rzekł przewodniczący bytomskiego sądu zwracając się do Karola Józefa - Ojciec dziecka, które cudem uszło z życiem, domaga się zadośćuczynienia.

- Nic nie dostanie - odparł beczelnie hrabia.

- Jak to?

- Dlaczego mam mu zapłacić odszkodowanie? Za co?

- No jak to? - przewodniczący nie dawał za wygraną - Przecież niedźwiedź jest pana własnością... Poturbował chłopaka, trwale go okaleczył, a o mało co, nie pozbawił życia...

¹⁸⁵ Owo tragiczne wydarzenie być może stało się inspiracją dla mieszkającego w Bytomiu w okresie 20-lecia międzywojennego rzeźbiarza Waltera Tuckermanna, który stworzył rzeźbę małego chłopca siedzącego na karku niedźwiedzia, która do dzisiaj znajduje się na Grossfeldzie, na skwerze przy zbiegu ulic Fałata i Kraszewskiego.

Hrabia pełnym nonszalancji wzrokiem rozglądał się po twarzach pozostałych uczestników tego posiedzenia.

– Sam sobie był winien... – powiedział głośno.

– Słucham? – spytał mocno zdziwiony przewodniczący.

– Przecież mówię. Sam sobie był winien.

– Panie hrabio, z całym szacunkiem, ale to nie ma sensu – odparł jeden z członków rady miejskiej – Chłopiec jest winien tego, że napadł na niego niedźwiedź?

– Oczywiście, że tak – powiedział bez wahania hrabia.

Uczestnicy posiedzenia ze zdziwieniem spojrzeli na siebie. Zaczęli szeptać i komentować słowa Karola. Hrabia z wyraźną pogardą obserwował ich twarze. Trudno było znieść jego przenikliwy wzrok. Miał dopiero 24 lata, a wszyscy członkowie tego posiedzenia byli od niego starsi.



Ilustracja 66 – Chłopczyk i niedźwiedź.

– Powiem szczerze, panie hrabio – mówił dalej przewodniczący – Nie rozumiem pana słów.

Karol Józef sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął rodzaj drewnianego patyczka. Zaczął dłubać nim w swoich zębach. Jego bezczelne zachowanie nie mieściło się w jakichkolwiek kanonach.

– Sam sobie jest winien – powtórzył – Gdyby nie zbliżał się do niedźwiedzia, nic by się nie stało.

Szum na sali robił się coraz większy.

– Panie hrabio, ale niedźwiedź uciekł z pańskiego zwierzyńca – skomentował to inny z radnych.

– No i co z tego? – odparł hrabia – To nie pierwszy raz. Nigdy nic się nie stało.

Ojciec dziecka, który również był obecny na sali, dotąd się nie odzywał. Trzymał nisko opuszczoną głowę. Nie chciał patrzeć w oczy hrabiego, bo obawiał się, że ten dojrzy w nich jego prawdziwe uczucia. Miał ochotę zabić bezczelnego szlachcica. Teraz podniósł głowę. Chyba nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Nigdy nie słyszałem, aby niedźwiedź wałęsał się po ulicach miasta, ale skoro pan hrabia tak twierdzi... – powiedział przewodniczący.

– Oczywiście, że tak. Przecież widzicie, że moi ludzie wyprowadzają zwierzęta na wybieg na przedmieście. Tam przywiązują je do drągów, aby nie uciekły. Różnie jednak bywa... Tym razem niedźwiedź musiał urwać się z łańcucha – powiedział Karol Józef gładząc się ręką po starannie u fryzowanych włosach – To oswojone zwierzę. Nie robi nikomu krzywdy.

– A jednak zrobił... – dodał nieśmiało jeden z radnych.

Hrabia spojrzał na niego wzrokiem pełnym wyższości.

– No bo chłopak go sprowokował – odparł.

Ojciec chłopca mocno zacisnął pięści.

– W jaki sposób mój syn go sprowokował? – spytał.

– Podchodząc do niego zbyt blisko – mówiąc to hrabia nawet nie spojrzał na mężczyznę – Zwierzę poczuło się zagrożone i zaatakowało.

Chyba nikt nie uwierzył w słowa Karola Józefa. Wielki, dorosły niedźwiedź poczuł się wystraszony posturą małego chłopca?

– Chyba wszystko wyjaśniłem – powiedział hrabia wstając z krzesła – Obowiązki mnie wzywają. Odmawiam wypłacenia jakiegokolwiek odszkodowania. Żegnam, panowie...

Mówiąc to wychodził już z pomieszczenia, w którym odbywało się posiedzenie. Ojciec chłopaka nie usłyszał nawet słowa współczucia z ust hrabiego. Nic. Po jego wyjściu nikt nie miał odwagi się odezwać. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się przewodniczący.

– Panie Mokrski... Po wyjaśnieniach złożonych przez hrabiego oddaliśmy pana pozew o wypłacenia odszkodowania z racji napadu hrabiowskiego niedźwiedzia na pana syna... Posiedzenie uważam za zakończone.

Przewodniczący wstał, jak również pozostali członkowie rady miejskiej i ławnicy. Nikt nie miał odwagi spojrzeć w oczy ojca pokrzywdzonego dziecka. Ten siedział

z opuszczoną głową i mocno zaciśniętymi pięściami. Po chwili został w sali sam. Dopiero wtedy wstał i ruszył w kierunku wyjścia.

Zaraz po zakończonym posiedzeniu mężczyzna udał się w stronę cmentarza przy Bramie Pyskowickiej. Kierował się do mogiły swojej małżonki, która niedawno zmarła w bardzo młodym wieku. Od tego czasu Mokrski wychowywał sam trójkę swoich dzieci. Dbał o nie, jak mógł. Odmawiał sobie wszystkiego, by móc utrzymać dzieci. Tragedia jego syna była jego osobistą tragedią. Sumienie go męczyło. Ciągłe stawiał sam sobie wyrzut, że nieodpowiednio go pilnował. W milczeniu skierował się w stronę cmentarnej furty, a później kaplicy, obok której znajdował się grób jego żony. Gdy tam dotarł, górę wzięły emocje. Uklęknął przy mogile i zaczął płakać. Głośno i rozpaczliwie. Nie mógł pogodzić się z niesprawiedliwym wyrokiem i zachowaniem samego hrabiego. Długo trwał w swojej rozpacz. Kilka osób, które w tym samym czasie przebywało na cmentarzu, domyślając się powodu rozpaczyny, wołało opuścić to miejsce i zostawić go samego. Wszyscy, poza jednym człowiekiem, mężczyzną o niebieskich, wręcz hipnotyzujących oczach. Ten spokojnym krokiem zbliżał się w stronę pogrążonego w rozpacz ojca.



Ilustracja 67 – Mężczyzna o niebieskich oczach.

- Chcesz zemsty? - usłyszał nagle za plecami Mokrski. Obrócił się gwałtownie. Dojrzał biednie ubranego, wysokiego mężczyznę o niezwykle błękitnych oczach.

- Robisz sobie żarty? - powiedział ściskając pięści - Drwisz sobie? Jakiej zemsty? Na kim? Na wszechwładnym hrabim?

Mężczyzna bez słowa wpatrywał się w niego.

- Widziałeś, jak wszyscy pochylali się przed nim? Jak wykonywali to, co chciał? Jaką ja zemstę mogę osiągnąć? - Mokrski mówił to ze łzami w oczach. Puściły mu nerwy i emocje szerokim strumieniem wylały się na zewnątrz.

- Chcesz zemsty? - pytał dalej Niebieskooki.

- Co ty mi możesz dać? - pytał Mokrski szlochając - Jesteś wędrowcem? Kuglarzem? Grajkim?

- Jestem twoją nadzieją - odparł cicho Niebieskooki.

Mokrski umilkł. Popatrzył na mogiłę swojej małżonki. Próbował zgadnąć, co ona zrobiłaby na jego miejscu. Była bardzo energiczną i mądrą kobietą.

- Tak, chcę zemsty - powiedział cicho.

Mężczyzna o niebieskich oczach podał mu rękę. Mokrski chwycił jego dłoń i wstał na wyprostowane nogi.

- Chodź za mną - powiedział mężczyzna.

Mokrski nie zastanawiał się, dokąd idą. Po prostu poszedł.

1714

Minęły dwa lata od tego tragicznego wydarzenia. Hrabia Karol Józef, coraz bardziej zawzięty w swoich poczynaniach, nie miał dobrego humoru. Jego skarbiec świecił pustkami. Miał zobowiązania finansowe wobec cesarza, które należało bezwzględnie uregulować. Tylko, że nie miał na to środków. Nic nie wyszło z obietnicy znajomego Żyda, który obiecał mu złoto z galmanu. Hrabia wymyślił jednak wyjście z sytuacji.

– Panie hrabio, mogę coś powiedzieć? – spytał jeden z ludzi z bliskiego otoczenia hrabiego.

– Mów, człowieku... – burknął hrabia siedząc na wielkim fotelu w jednym z pomieszczeń bytomskiego ratusza. Nie miał dobrego humoru.

– Rozumiem pana intencje – zaczął mężczyzna – Chciałem jednak pana ostrzec. To wywoła bunt.

Karol Józef spojrzał na niego.

– Jaki bunt? – spytał, chyba tylko udając zdziwienie.

– Kiedy ogłosimy decyzję, panie hrabio, o podniesieniu opłat dla mieszkańców Rozbarku, to wywoła ich opór. Jestem tego pewien.

– Dlaczego mieliby się buntować? – dopytywał hrabia.

– Z dwóch powodów – odparł mężczyzna – Każda podwyżka opłat powoduje nastrój niezadowolenia. Po drugie, ci z Rozbarku, nigdy nie czuli się mieszkańcami Bytomia. Uważają się za zamkniętą społeczność, luźno powiązaną z Bytomiem.

Teraz w oczach hrabiego pojawiło się zdziwienie.

– Przecież to moi poddani – syknął.

– Tak, panie. Zgadza się.

– Moją decyzją podnoszę im opłaty – dodał Karol Józef.

– Tak, panie hrabio.

– Nie interesuje mnie to, co oni myślą! – krzyknął głośno hrabia – Tak chcę i tak ma być!

Mężczyzna spojrzał na Karola Józefa.

– Rozumiem. Chciałem tylko ostrzec... – powiedział cicho mężczyzna.

– Powiedz mi – zwrócił się do niego hrabia – Od czego ja cię mam?

Mężczyzna zamilkł.

– Od czego? – dopytywał hrabia.

– Od załatwiania problemów – odparł cicho mężczyzna.

– No właśnie... – odpowiedział nieco uspokojony hrabia – Jeśli masz rację, jeśli faktycznie dojdzie do buntu, to twoim zadaniem jest szybkie załatwienie problemu. Czy dobrze mnie rozumiesz?

– Tak, panie hrabio...

– Na pewno? – krzyknął do niego Karol Józef.

– Tak...

– No i po problemie – odparł nonszalancko hrabia wstając z fotela – Pamiętaj, potrzebuję pilnie pieniędzy!

Mężczyzna nie odpowiedział. Hrabia szybko wyszedł z pokoju i ruszył w stronę pomieszczenia, gdzie trzymał wilki. Lubił je karmić patrząc, jak biją się pomiędzy sobą o jedzenie. Ten widok wyraźnie go inspirował...

W 1714 r. mieszkańcy Rozbarku zwrócili się do władz miasta¹⁸⁶ ze skargą na hrabiego za podniesienie im opłat i powinności, które uważali za niesprawiedliwe. Skarżyli się, że hrabia nakazuje im darmowy transport materiałów do jego folwarku, każe oddać każdemu, co roku, kwartę owsa i kurę. Ich skarga pozostała bez odpowiedzi...

– Trzeba ograniczyć nasze wydatki – powiedział po kilku dniach hrabia – Co pochłania najwięcej funduszy?

Mężczyzna, który rozmawiał z hrabią kilka dni temu spojrzał do dokumentu, który trzymał w rękach.

– Myślę, panie hrabio, że utrzymanie zwierząt, które są w ratuszu.

Hrabia podszedł do okna i spojrzał na bytomski rynek, na którym w kilku straganach prowadzono codzienny handel.

– Czyli chcesz mi powiedzieć, że koszty wyżywienia moich pupili są tak duże? – spytał.

– Tak.

– Co trzeba zrobić, żeby to mniej kosztowało?

Wypuścić je w cholerę do lasu – pomyślał mężczyzna, ale nie mógł tego powiedzieć hrabiemu.

– Taniej kupować mięso... – powiedział.

– Przecież nie będę karmić je jakimś truchłem – odparł zirytowany hrabia – Jeszcze mi wyzdychają...

Daj Boże... – pomyślał mężczyzna, ale znowu zachował to dla siebie.

Hrabia przez chwilę chodził zamyślony po pomieszczeniu.

¹⁸⁶ Bytomskim burmistrzem był wtedy Jerzy Franciszek Pscinski.

– Wiem – powiedział nagle – Poinformuj cech rzeźników, że mają mi codziennie dostarczać mięso, jak dotąd, ale muszą znacznie obniżyć jego cenę. Jeśli tego nie zrobią, nie będę od nich kupował. Znajdę tańszego dostawcę.

Ciekawe, gdzie – pomyślał mężczyzna.

– Panie hrabio – powiedział zachowując myśli dla siebie – Przecież oni już i tak sprzedają je nam po bardzo niskiej cenie. Taniej już się nie da...

Hrabia stanął na środku pokoju i spojrzał na mężczyznę karcącym wzrokiem.

– Ostatnimi czasy jakoś ciągle widzisz problemy – powiedział – Mają obniżyć cenę i już!

– Panie hrabio – odparł spokojnie mężczyzna, choć w jego głosie dało się wyczuć obawę – Przekażę im decyzję, ale obawiam się protestów...

– Kto tam szczególnie się stawia? – spytał hrabia.

– Jan Mokrski... majster w cechu – odparł mężczyzna.

– To rodzina tego chłopca, który rozdrażnił mi niedźwiedzia?

– To jego ojciec, panie hrabio...

Karol Józef spojrzał na mężczyznę wzrokiem pełnym niezdrowego tryumfu.

– Jeśli będzie się buntował, to masz go wtrącić do więzienia. Chciał wojny ze swoim panem, to będzie ją miał.

To się źle skończy – pomyślał mężczyzna.

– Tak jest, panie hrabio – powiedział cicho.

Karol Józef podszedł do okna i ponownie spojrzał na rynek. Tego dnia był w bardzo dobrym humorze.

– Acha... – powiedział nagle. Mężczyzna, który już wychodził z pokoju, gwałtownie zawrócił.

– Tak, panie hrabio? – spytał.

– Myślę, że sporo pieniędzy da się jeszcze wycisnąć z Dąbrowy Miejskiej¹⁸⁷. Możemy sprzedawać więcej drewna...

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Muszę jednak zabronić pachołkom korzystania z tego lasu – powiedział hrabia – Ogłoś moją decyzję. Wprowadzam bezwzględny zakaz wypasu bydła w Dąbrowie Miejskiej, jak również wyrębu drzew. Tylko ja mogę to robić. Przecież to moja własność...

– Tak, panie hrabio – odparł mężczyzna – Czy to wszystko?

– Tak.

Mężczyzna skinął głową i pośpiesznie wyszedł z pomieszczenia.

¹⁸⁷ Mowa o podbytomskim kompleksie leśnym położonym przy drodze do Tarnowskich Gór.

To bardzo źle się skończy – pomyślał schodząc po schodach w dół w stronę wyjścia z ratusza.

W 1714 r. z kolejną skargą do władz miasta zwrócił się bytomski cech rzeźników. Twierdzili, że hrabia kupuje od nich mięso po ogromnie zaniżonej cenie. Podali przykład – za funt dobrej wołowiny hrabia miał im zapłacić tylko dwa krajcary, a oni żądali 1 srebrnego grosza. Protestowali też przeciwko uwięzieniu majstra Jana Mokrskiego¹⁸⁸, które uważali za bezprawne. Mokrski dopuścił się pobicia sługi hrabiego, który przyszedł do niego po mięso. Ich skarga pozostała bez odpowiedzi, natomiast hrabia ukarał ich za krnąbrność i nałożył karę w wysokości 10 grzywien.

¹⁸⁸ Został uwięziony w dniu 5 maja 1714 r. W 1716 r. z rozkazu hrabiego uwięziono trzech kolejnych masarzy Wacława Mokrskiego, Kacpra Mokrskiego i Marcina Chmiela. Hrabia wyraźnie mścił się na rodzinie Mokrskich. Jan Morski w późniejszym okresie pełnił funkcję burmistrza. Prawdopodobnie wybór na owo stanowisko człowieka nieprzychylnemu hrabiemu był wyrazem stosunku mieszczan do jego osoby.

1714 – pojedynek

W dniu 13 lipca 1714 r. we Wrocławiu doszło do pojedynku. Jednym z przeciwników był hrabia Gustaw von Oppersdorf, przedstawiciel śląskiego rodu szlacheckiego i arystokratycznego, który od 1554 r. nosił tytuł baronów, od 1626 r. hrabiów cesarstwa. Ich główną posiadłością był istniejący do dzisiaj zamek w Głogówku¹⁸⁹. To właśnie tam podczas „potopu szwedzkiego” wraz z małżonką schronił się król RP Jan Kazimierz. Przeciwnikiem Gustawa w pojedynku był hrabia Leon Ferdynand II młodszy Henckel von Donnersmarck, który był drugim synem Leona Ferdynanda i Julianny Maksymiliany, młodszy brat hrabiego Karola Józefa. Leon Ferdynand II był chlubą rodziny. Wybrał karierę wojskową. W stopniu rotmistrza jazdy służył w cesarskim regimencie kirasjerów we Wrocławiu. Był też pierwszym w rodzie Hencklów kawalerem Zakonu Maltańskiego. W chwili, gdy wziął udział w pojedynku miał nieco ponad 20 lat. Trudno powiedzieć, co stało się powodem sporu. To w sumie dziwne, bo starsza siostra hrabiego Leona, hrabina Anna Franciszka¹⁹⁰ od 1700 r. była małżonką hrabiego Franciszka von Oppersdorfa, krewniaka Gustawa. Kto wie, czy młodym mężczyznom nie chodziło o względy jakieś damy...

– Panowie hrabiowie... – rzekł mężczyzna, który miał dopilnować prawidłowego przebiegu pojedynku – Spotkaliśmy się dzisiaj, by rozsądzić spór.

Leon Ferdynand II spojrział na swojego sekundanta i uśmiechnął się do niego. Hrabia był żołnierzem i doskonale znał się na władaniu bronią. To dawało mu znaczną przewagę nad przeciwnikiem.

– Na polu pojedynkowym spotykają się hrabia Gustaw von Oppersdorf i hrabia Leon Ferdynand Henckel von Donnersmarck – mówił dalej mężczyzna. Na pole pojedynkowe wybrano ustronne miejsce pod Wrocławiem, oddalone od wzroku ciekawskich.

– Czy nadal podtrzymujecie swoją decyzję? – spytał mężczyzna. Gustaw i Leon Ferdynand spojrzeli na siebie z wyraźną wrogością i skinęli twierdząco głowami. Ich sekundanci słownie potwierdzili chęć wzięcia udziału w pojedynku.

– Jako broń wybraliście rapiery – mówił mężczyzna – Ustaliliśmy również wcześniej z waszymi sekundantami, że pojedynek odbędzie się „do pierwszej krwi”. Wtedy zostanie przerwany. Ten, który odniesie ranę, stanie się przegranym...

¹⁸⁹ W późniejszym okresie schronił się tam Ludwig van Beethoven, który skomponował tam swoją IV symfonię.

¹⁹⁰ Żyła w latach 1677-1739.

Obydwaj hrabiowie ponownie skinęli głowami. Leon Ferdynand z wyższością patrzył na swojego przeciwnika. Gustaw był od niego nieco starszy. Hrabia Donnersmarck walczył już na polu bitwy. Widział dużo krwi i śmierci. Zresztą, sam ją zadawał. Był pewien, że bez trudu pokona swojego mniej doświadczonego przeciwnika.



Ilustracja 68 – Pojedynek.

– Broń została wcześniej przygotowana i sprawdzona – mówił mężczyzna – Proszę teraz o jej wręczenie.

Sekundanci trzymając rapiery w ręku ruszyli w stronę swoich klientów.

– Zaraz, mam taką propozycję – powiedział nagle hrabia Gustaw.

– Słucham, panie hrabio – odparł mężczyzna.

Hrabia Leon Ferdynand stanął i trzymając się rękoma pod boki słuchał zdziwiony.

– Żeby było jeszcze sprawiedliwiej, to możemy wymienić się bronią – powiedział Gustaw – Niech on weźmie moją, a ja jego.

Mężczyzna popatrzył na hrabiego Leona Ferdynanda. Ten po chwili skinął twierdząco głową. Co za różnica, czym go zranię? – pomyślał.

Sekundant Leona podszedł do hrabiego Gustawa i wręczył mu rapier. Ten chwycił go w dłoń i kilka razy machnął ostrzem w powietrzu. Do Leona zbliżył się sekundant

Gustawa i podał mu broń. Hrabia spojrział na twarz sekundanta i zamarł. Znieruchomiał. Zastygł z wyciągniętą rękę, w której trzymał rapier. Nie mógł oderwać wzroku od twarzy sekundanta. Wyglądało to bardzo dziwnie.

– Panie hrabio – powiedział mężczyzna nadzorujący pojedynek – Czy wszystko dobrze?

Hrabia Leon Ferdynand wyrwał się z letargu i spojrział na broń. Wyważył ją w rękę i wykonał kilka pewnych ruchów.

– Tak – odpowiedział.

– Panowie, do pierwszej krwi! – powiedział głośno mężczyzna i wycofał się do tyłu.

Hrabiowie stanęli naprzeciw siebie i skrzyżowali ostrza. Drugą rękę oparli na boku. Jeszcze przed pojedykiem ściągnęli z siebie wszystkie ubrania, aby nic nie krępowało ich ruchów. Pozostali jedynie w śnieżnobiałych koszulach, na których krew będzie doskonale widoczna.

– Walka! – krzyknął mężczyzna.

Hrabia Leon Ferdynand ruszył pewnie do ataku. Ostrze jego rapiera kilka razy z głośnym dźwiękiem skrzyżowało się z bronią przeciwnika. Gustaw miał wyraźny problem, by odeprzeć atak napastnika. W pewnym momencie Leon wyprowadził silne pchnięcie, które o mały włos nie dosięgło piersi Gustawa. Ten trochę panicznie odskoczył do tyłu. Mam cię... – pomyślał hrabia Leon – Nie dasz mi rady. Opuścił ostrze i ostentacyjnie spokojnym krokiem zaczął krążyć wokół przeciwnika. Zaraz będzie po wszystkim – pomyślał. Gustaw uważnie obserwował ruchy Leona, trzymając wyciągniętą przed siebie rękę z rapierem, tym samym trzymając przeciwnika na dystans. Leon krążył wokół niego, uśmiechając się szyderczo. Bawił się strachem Gustawa. Nagle wyprowadził atak. Silnym ruchem odbił ostrze Gustawa i wyprowadził kolejne pchnięcie. Przynajmniej taki miał zamiar. Nie poszło po jego myśli. To musiał być korzeń albo wystający z ziemi kamień. Leon potknął się o niego i poleciał do przodu, tracąc kontrolę nad swoim ciałem. Gustaw, chcąc się bronić, wyprowadził swoje pchnięcie. Trafił prosto w pierś Leona. Ostrze rapiera głęboko weszło w ciało, prosto w hrabiowskie serce. Leon zdołał jeszcze złapać równowagę, ale było już za późno. Ze zdziwieniem popatrzył na swoją pierś, na której plama ciemnej krwi robiła się coraz większa. Otworzył szeroko usta, jakby chciał coś powiedzieć, poskarżyć się czy wytłumaczyć, ale po chwili opadł na kolana. Rapier wyleciał mu z dłoni. Rana była śmiertelna. Ostatnim obrazem, jaki stanął umierającemu młodemu hrabiemu przed oczami były błękitne, przerażająco wręcz niebieskie oczy sekundanta Gustawa, które dostrzegł, gdy ten podawał mu broń. To dlatego tak długo wpatrywał się w jego twarz. Niebieskie oczy... Po chwili jego martwe ciało osunęło się na ziemię.

W tym momencie jego starszy brat, hrabia Karol Józef Erdmann Henckel von Donnersmack został jedynym męskim potomkiem hrabiego Leona Ferdynanda starszego.

1718

Matka hrabiego Karola Józefa, hrabina Julianna Maksymiliana, w 1718 r. kupiła pałac w Siemianowicach Śląskich. Nie był on wtedy duży. Wybudował go XVII w. ród Mieroszewskich¹⁹¹, który był właścicielem miejscowych dóbr od co najmniej XVI w. W 1692 r. został sprzedany przez Stanisława Mieroszewskiego nowemu właścicielowi, którym został Bogusław Hunter von Grandon. Ten nie nacieszył się nim długo, bo już w 1718 r. odsprzedał go hrabinie Maksymilianie. Od tego momentu pałac stał się własnością rodu Henckel von Donnersmarck, który w następnych latach i dziesięcioleciach dokonał jego znaczącej rozbudowy.

Maksymiliana, zasmucona wieściami, które do niej docierały, wezwała do siebie hrabiego Karola Józefa. Obawiała się tej rozmowy, bo zdawała sobie sprawę z faktu, że jej syn bardzo się zmienił. To już nie był posłuszny chłopiec, którego chciała zapamiętać. Już nie...

Hrabia zajechał pod siemianowicki pałac ozdobnym powozem, którego strzegło kilku jeźdźców. Mało kto o tym wiedział, ale hrabia też był uzbrojony. Właściwie zawsze był. Nie rozstawał się z bronią. Od kiedy nauczył się posługiwać bronią palną, stała się ona jego życiową towarzyszką. Hrabia wysiadł z powozu i spojrzał na pałac. Wiedział, że kiedyś, gdy hrabina odejdzie z tego świata będzie on jego własnością, ale nie darzył go sympatią. Spojrzał obojętnie na jasne ściany i wspiał się po kilku schodach do drzwi. Począł, aż służący szeroko je otworzy i wtedy wkroczył do środka. W powietrzu unosił się lekki zapach stęchlizny. Hrabia rozejrzał się dookoła. Zapalone świece rozświetlały wnętrze sporego hallu. Karol Józef zdjął z ramion rodzaj ocieplonej narzutki i podał ją służącemu. Ten posłusznie odłożył okrycie na stojący w pobliżu stół.

– Jesteś, synu.. – usłyszał hrabia – Wreszcie...

Hrabina spokojnym krokiem schodziła po schodach, które znajdowały się w pałacowym hallu. Uśmiechała się do swojego syna. Karol Józef poczekał, aż zejdzie na dół. Matka podała mu rękę, którą ten z czułością ucałował.

– Chodźmy do salonu – powiedziała hrabina – Adamie, zrób nam dobrej herbaty – zwróciła się do kolejnego służącego – Napijesz się z matką, prawda?

– Tak, oczywiście – odparł hrabia krocząc za hrabiną.

Weszli do salonu. Hrabina podeszła do niewielkiego stolika, przy którym krzesła stały już odpowiednio odsunięte. Jeden ze służących ruszył, by pomóc hrabinie

¹⁹¹ Z czasów Mieroszewskich pochodzi najstarsza, barokowa część pałacu, nakryta łamanym dachem polskim.

usiąść, ale Karol Józef zatrzymał go ruchem ręki i sam podsunął jej krzesło, na którym usiadał. Później sam zajął miejsce – dokładnie naprzeciw swojej matki.

– Co się stało, matko? – spytał bez ogródek – Dlaczego mnie wezwałaś?

Uśmiech, trochę przyklejony do twarzy hrabiny, nagle zniknął.

– Poczekaj... – szepnęła. Obydwoje w milczeniu czekali, aż służący poda im herbatę i opuści komnatę. Gdy zamknął drzwi, pierwsza odezwała się hrabina.

– Powiedz mi synu, co ty robisz? – spytała.

– O co ci chodzi, matko? – odparł Karol Józef z nieudawanym zdziwieniem.

Hrabina z wielkim smutkiem w oczach spojrzała na niego.

– Karolu, pamiętasz nasze rozmowy, gdy byłeś jeszcze mały? – spytała smutnym głosem.

– Tak. Oczywiście – odpowiedział hrabia.

– Prosiłam cię, błagałam, żebyś rządził rozsądnie i sprawiedliwie...

Hrabia spojrzał na matkę.

– Przecież tak właśnie robię... – odparł.

– Przestań! – powiedziała głośno hrabina – Przestań! Myślisz, że nie wiem, co się dzieje? Dociera do mnie wszystko, co robisz. To straszne, Karolu! Nie tak cię wychowałam! – Julianna nie ukrywała swojego oburzenia.

– Robię to, co do mnie należy, matko – odparł spokojnie Karol Józef – Jestem panem tych ziem i staram się rządzić tak, żeby poddani byli zadowoleni.

– Zadowoleni? – krzyknęła hrabina.

– Tak.

– Jak mają być zadowoleni, kiedy ponizasz ich i uciskasz na każdym kroku? – powiedziała Julianna.

– Ja? – hrabia udał zdziwionego – O co ci chodzi, matko? Ktoś musiał ci to źle przekazać...

Hrabina spojrzała na stół. Nawet nie tknęła filiżanki z parującą herbatą.

– Zaczęłeś dobrze – powiedziała ciszej – Wydałeś dokument gwarantujący przestrzeganie ich praw i przywilejów.

– Tak.

– Zrobiłeś to za moją namową, Karolu. Pamiętaj... – powiedziała hrabina.

– Tak, matko. Zgadza się.

– Później naiwnie wierzyłam, że dasz sobie sam radę. Liczyłam na twoją mądrość. Hrabia nie odzywał się.

– Ty zająłeś im ratusz... – mówiła dalej.

– Matko, to ojciec go zajął, a nie ja... – odparł Karol Józef.

– Tak, ale nie urządził tam zwierzyńca! – krzyknęła hrabina – Zabroniłeś im z niego korzystać!

- Przeszkadzali by mi - powiedział hrabia - Mieszkam tam z żoną i mam prawo do intymności. Pozwoliłem trzymać im archiwum na poddaszu.

- Ten twój zwierzyniec! - mówiła dalej zdenerwowana hrabina - Twój niedźwiedź pokiereszował chłopca. Prawie wyprowadził go na tamten świat!

- To był wypadek, matko! - odparł głośno hrabia - Nic więcej...

- Powiedz mi, Karolu... Skoro był to wypadek... Wyraziłeś ojcu dziecka swoje ubolewanie?

- Nie! On żądał ode mnie odszkodowania! Chciał się wzbogacić na tragedii swojego syna! - hrabia znacznie podniósł ton swojego głosu - Złożyłem wyjaśnienia i sprawa się skończyła.

- A chłopak pozostał okaleczony na całe życie... - dodała hrabina.

Hrabia przemilczał uwagę matki.

- Zwierzęta mnie chronią, matko - powiedział.

- Słucham?

- Chronią mnie... - odparł hrabia - Dobrze wiesz, jak dzika zwierzyna ma wyczułone zmysły. Wyczuwają z daleka niebezpieczeństwo. Nikt nie może mnie zniemacka dopaść w ratuszu, bo zwierzęta dadzą mi o tym znać. Chronią mnie... Strzegą...



Ilustracja 69 - Zasmucona hrabina.

Hrabina popatrzyła na niego spokojnym wzrokiem. Zdawał się mówić to z prawdziwym przekonaniem.

- Jak wyglądają twoje finanse, synu? Jest źle? - spytała.

Karol Józef głośno chrząknął.

- Nie jest dobrze, ale dam sobie radę - powiedział hrabia.

- Podnosząc wszystkim dookoła opłaty i zmuszając innych do sprzedaży towarów prawie za darmo? - powiedziała ironicznie hrabina.

- Jest to jakiś sposób - odpowiedział Karol Józef.

- Przecież oni wszędzie się na ciebie skarżą... Burmistrz... Jak on się nazywa?

- Martin Lindner - odparł hrabia.

- Tak... On też jest przeciwko tobie...

Hrabia nie odpowiadał.

- Wszyscy są źli? - spytała hrabina.

- To leniwe ścierwa - nie wytrzymał hrabia - Najlepiej za nic by nie płacili...

- Dlaczego uwięziłeś ojca tego chłopaka? - zmieniła nagle temat hrabina.

- Oooo, to nie tak, matko. To nie ma nic wspólnego z tym wypadkiem - powiedział hrabia - On stanął na czele buntu rzemieślników. Dlatego trafił do więzienia.

- Nie mścisz się na nim?

- Nie.

- Zabroniłeś ludziom korzystać z Dąbrowy Miejskiej - Julianna rzuciła kolejne oskarżenie.

- Tak, to prawda. Nadużywali swoich praw i okradali mnie - powiedział hrabia.

Matka spojrzała na niego.

- Karolu, oni cię nienawidzą. Takie słuchy do mnie dochodzą - powiedziała hrabina.

Hrabia nie odpowiedział.

- Robisz wszystko to, przed czym cię ostrzegałam - powiedziała Julianna - Psujesz to, co osiągnął twój ojciec.

- Matko, przesadzasz... - obruszył się Karol Józef.

- Tak jest, mój synu - odparła hrabina - Jestem twoją matką... Kto ma ci powiedzieć prawdę w oczy, jak nie ja?

- Niczego nie psuję - powiedział hrabia - Rządzę po swojemu.

- Nie rozumiesz, że robisz źle? - spytała Julianna.

Karol Józef spojrzał na matkę obrażonym wzrokiem. Nie odpowiedział.

- Ty tego nie rozumiesz - odpowiedziała hrabina za niego - Widzę to w twoich oczach...

Karol nerwowo zakręcił się na krześle.

- Ostrzegałam cię. Mówiłam, czego bał się twój ojciec, dziadek i jego bracia. Tłumaczyłam, jaką cenę zapłacili za swoje niezrozumienie...

- Bali się Złego - przerwał jej hrabia - Ja się go nie boję.

Matka ze strachem w oczach spojrzała na niego.

- Twój młodszy brat już odszedł z tego świata. Matka czuje takie rzeczy. To był on... Zły...

Hrabia roześmiał się.

- Matko, dziwaczajesz... Leon głupio dał się zabić.

- Zamilcz! - krzyknęła nagle hrabina - Nie obrażaj pamięci swojego brata! Nie wolno ci tego robić!

Karol Józef umilkł.

- Doigrasz się, synu... - powiedziała cicho Julianna - On przyjdzie po ciebie... Tak, jak przyszedł po innych... Ukaże cię...

Hrabia nachylił się w stronę matki.

- Jeśli po mnie przyjdzie, to go zabiję - powiedział - Nie boję się go. Jestem od niego silniejszy.

Julianna spojrzała na niego.

- Z trudem mi to przechodzi przez usta, ale jesteś głupcem... - powiedziała.

- Matko!

- Tak, jesteś głupcem. Narażasz nie tylko siebie, ale wszystkich członków swojej rodziny - odparła hrabina.

Hrabia chciał jej coś odpowiedzieć, ale przerwała mu stanowczym ruchem ręki.

- Ta rozmowa nic nie da - powiedziała - Nie spodziewałam się, że tak będzie się zachowywał mój syn. Jest mi za ciebie wstyd, Karolu.

Te słowa dotknęły hrabiego szczególnie mocno. Stanowczym ruchem zerwał się z krzesła.

- Jesteś obrażony? Chcesz odejść? - pytała hrabina - To odejdz... Przyjdiesz znowu, gdy zrozumiesz...

Hrabia chciał podejść, by pocałować ją w rękę, ale hrabina odegnała go stanowczym ruchem dłoni.

- Idź już, Karolu - powiedziała na pożegnanie.

Od tego momentu widywali się bardzo rzadko.

1720-1724

Hrabia wymyślił kolejny sposób na większe zyski. W dawnym foluszu¹⁹² Kusniciusa za Bramą Pyskownicą¹⁹³ urządził browar i gorzelnię. Produkowano tam trunki, które były dość podłej jakości. Zatrudnił jakiegoś zaufanego Żyda, który pilnował mu interesu. Trunki były stosunkowo tanie, co stwarzało konkurencję dla wszystkich miejskich rzemieślników. To jednak nie wystarczyło, aby przyciągnąć zbyt wielu klientów. Hrabiowski Żyd wymyślił dodatkową atrakcję. Dla klientów oferowano różne czarodziejskie sztuczki, by nadać miejscu rzekomo magiczny charakter. Wystrój karczmy też był nietypowy. Hrabia polecił, aby znalazła się tam ludzka czaszka, a także skóry dzikich zwierząt. Podobno nawet kazał dostarczyć tam wilcze oczy. Ktoś inny zostałby od razu oskarżony o czarostwo, ale nie hrabia. Nikt nie odważył się postawić mu takiego zarzutu. Miejscy rzemieślnicy poczuli się oszukani. To była dla nich nielegalna konkurencja. Jednakże wszyscy wiedzieli, że interes należy do hrabiego. Mogli tylko ponarzekać. Hrabia i jego Żyd nigdy nie zapłacili miastu opłat należnych z racji funkcjonowania owej karczmy...

W 1720 r. proboszczem bytomskiego kościoła św. Ducha został ksiądz Stanisław Stępkowski. Miał za sobą bujną przeszłość, gdyż kiedyś służył w wojsku i brał udział w odsieczy wiedeńskiej. Jako bytomski proboszcz zauważył, że stary, drewniany kościół św. Ducha przy ul. Krakowskiej już nie nadaje się do użytku. Z jego inicjatywy w 1721 r. wzniesiono nowy, murowany, wybudowany i wyposażony w stylu barokowym. W takiej formie zachował się do dzisiaj. Stępkowski z pewnością nie należał do grona ulubieńców hrabiego Karola Józefa.

Rok później ze światem rozstała się starsza siostra hrabiego Szarlotta, która urodziła się w 1680 r. Jej matka, hrabina Julianna Maksymiliana rozpacziała po śmierci kolejnego dziecka. Namówiła drugą córkę, Julianę Maksymilianę Eugenię¹⁹⁴, która była siostrą bliźniaczką Szarlotty, by ta wstąpiła do klasztoru. Córka posłuchała. Została później przeoryszą klasztoru św. Klary we Wrocławiu. Jej matka zapewne miała nadzieję, że w ten sposób uchroni swoją córkę przed Złym. Chyba miała rację.

¹⁹² Dawna nazwa budynku lub pomieszczenia, w którym mieściła się maszyna do obróbki (folowania) sukna.

¹⁹³ W pobliżu obecnego skrzyżowania ulic Piekarskiej i Wrocławskiej w Bytomiu.

¹⁹⁴ Żyła w latach 1680-1756.

W 1721 r. hrabia Karol Józef dostał wiadomość, że gdzieś w pobliskich lasach widziano mężczyznę o błękitnych oczach. Nie zastanawiając się, zebrał sporą grupę ludzi i ruszył na polowanie. Nie chodziło o dziką zwierzynę. Polowano na Złego. Hrabia wytłumaczył poddanym, że szukają niebezpiecznego przestępcy o błękitnych oczach. Uwierzyli. Przeczesywali pobliskie lasy kawałek po kawałku. W końcu dotarli do granicy z Rzeczpospolitą. Hrabia, pewien faktu, że poszukiwany jest już blisko, kazał im ją przekroczyć. Posłuchali jego rozkazu. Lasem ruszyli w stronę Czeladzi. Tam zostali zatrzymani przez polskie straże. Hrabia wcześniej uprzedził swoich poddanych, że w razie problemów mają mówić, że przekroczyli granicę przypadkowo – w pogoni za dzikim zwierzem. Tak też uczynili. Polacy uwierzyli, ale nałożyli na hrabiego karę w wysokości 100 dukatów. Nie przejął się tym. Bardziej bolał go fakt, że Niebieskooki pozostał nieuchwytny. Kary pieniężnej nigdy nie zapłacił. W 1721 r. hrabia Laszlo Adam Erdödy¹⁹⁵, biskup Nitry i zaufany człowiek cesarza, cesarski poseł na polskim dworze przedłożył hrabiemu skargę mieszkańców Czeladzi. Skarżyli się oni, że hrabia bardzo często pojawia się w tamtym terenie, dokonuje aktów przemocy w stosunku do tamtejszych mieszkańców, zabiera samowolnie ich pola i zbiory, a także poluje bez zezwolenia na ich polach i w lasach. Oczywiście ani biskup Nitry, ani mieszkańcy Czeladzi nie mieli pojęcia, że hrabia szuka na tym terenie Niebieskookiego. Złapany tłumaczył się w infantylny sposób.

W 1722 r. miarka się przebrała. Władze miasta Bytom, zniesmaczone i zażenowane zachowaniem hrabiego, wysłały oficjalny list do cesarza Karola VI ze skargą na Karola Józefa. Pismo trafiło do cesarskiej kancelarii w Pradze. Burmistrzem Bytomia był wtedy Samuel Barth. W 24 punktach zebrano wszystkie zarzuty wobec hrabiego. Zarzucano mu m.in. popieranie Żydów trudniących się lichwą¹⁹⁶, wtrącanie się w sprawy magistratu (zakazywanie organizowania posiedzeń, zawieszenie działalności sądów pierwszej instancji, żądanie opłat dla siebie w sprawach sądowych), a także obsadzanie stanowisk nieodpowiednimi ludźmi¹⁹⁷. Tym razem cesarz na poważnie zajął się skargą. Sprawa ciągnęła się aż 10 lat. Zakończyła się uznaniem większości punktów ze skargi, czyli teoretycznym sukcesem mieszczan. Mieszczanie bytomscy, aby doprowadzić do ukarania hrabiego, musieli jednak nadać sprawie bieg sądowy, ale nie mieli na to pieniędzy. Prawdopodobnie cesarz doskonale o tym wiedział. Skończyło się na niczym. Hrabiemu po raz kolejny upiekło się...

¹⁹⁵ Żył w latach 1677-1736.

¹⁹⁶ Zarzucano hrabiemu, że obcy Żydzi mają w mieście swoją szkołę (od 1722 r.) i szkodzą chrześcijańskim kupcom. Wszystkie skradzione rzeczy mieli sprzedawać do Polski.

¹⁹⁷ Franz Gramer wymienia ich nazwiska. Byli to: Franciszek Höflich (kandydat na burmistrza, który później zdefraudował znaczną kwotę pieniędzy), Jerzy Suski (szewc dworski), Szymon Herfurt i Marcin (Martin) Lindner (aptekarz).

W 1722 r. zmarła starsza siostra hrabiego, Katarzyna Karolina. Urodziła się w 1683 r., tym samym, gdy do Bytomia zawitały wojska króla Jana III Sobieskiego. W 1703 r. wyszła za mąż za hrabiego Jana Franciszka Karwatha, pełniącego funkcję cesarskiego podskarbiego. Katarzyna Karolina odeszła z tego świata w dniu 4 sierpnia 1722 r. Jej matka, hrabina Julianna Maksymiliana, pochowała trzecie swoje dziecko.

Zły ciągle krążył wokół najbliższej rodziny hrabiego. Karol Józef doskonale to czuł. Pograżał się jednak w swoim szaleństwie. Nie odwiedzał matki, bo nie chciał słuchać z jej ust kolejnych kazań. Swoimi czynami wręcz prowokował Złego, by móc z nim się osobiście spotkać. Trudno powiedzieć, czy śmierć swojego brata i siostr potraktował jako tryumf Złego. Być może uważał, że dzięki temu moment ich spotkania jest coraz bliższy. Jego małżonka, Maria Józefa również nie cieszyła się dobrą sławą. We wszystkim wspierała działania swojego męża, choć czasami były one bardzo niemoralne. Mówiono również, że cechowała ją pazerność i chciwość. Być może faktycznie tak było. Rodziła swojemu mężowi kolejne dzieci¹⁹⁸. W tym spisywała się doskonale.

¹⁹⁸ Hrabina urodziła Karolowi dziewięcioro dzieci. W kolejności chronologicznej byli nimi: Erdmann Walenty (1714-1740), Maria Antonina ((1717-1777), Anna Franciszka (1718-1790), Maria Gabriela (1719-1748), Franciszek Ludwik (1721-1768), Józefa (1722-1790), Marianna (1725-1760), Karol Jan (1727-1795) i Łazarz III (1729-1805). Najstarszy syn Erdmann Walenty zmarł w wieku 26 lat. Za swojego życia hrabia Karol Józef pochował jeszcze dwójkę swoich dzieci. Zarówno Gabriela, jak i Karol Jan wybrali drogę duchowną. Ona została zakonnicą, a on scholastykiem katedralnym w Wiedniu. Ich matka, hrabina Maria Józefa z d. Brunetti zmarła w dniu 22 października 1740 r. w Klisinie. Tylko dwóch jej synów było w stanie dziedziczyć spadek po Karolu Józefie i Marii Józefie.

1724 – sprawa Józefa i Jakuba

W 1724 r. dwaj bytomscy Żydzi z Miechowic, Aleksander Józef i Łazarz Jakub, zostali oskarżeni o kradzież i obrabowanie kościoła. Ich sprawa stanęła przed sądem wójtowskim.

– Jak się nazywacie? – spytał przewodniczący.

Posiedzenie odbywało się w pomieszczeniu gospody na bytomskim rynku. W dawnej sali sądowej w bytomskim ratuszu nie było to możliwe, no chyba, że wśród hrabiowskich niedźwiedzi i wilków.

– Łazarz Jakub – powiedział jeden z mężczyzn, na twarzy którego było widać prawdziwe przerażenie.

Tego dnia na przesłuchaniu zjawił się sam hrabia, co jeszcze bardziej spotęgowało strach oskarżonych.

– A ty? – zwrócił się przewodniczący do drugiego z mężczyzn, który ledwo co stał na nogach. Ten wymamrotał coś pod nosem.

– Jak!? – krzyknął hrabia.

– Aleksander Józef... – powiedział za niego drugi mężczyzna.

– Nie ciebie pytam! – krzyknął do niego przewodniczący.

– Ja wiem, panie, ale on sam nie powie...

– Dlaczego? – dopytywał wójt.

– Zęby mu wyrwali... – odparł Łazarz.

Wszyscy uczestnicy sądu od razu zrozumieli, że chodzi o tortury zastosowane podczas przesłuchania.

– Skąd pochodzicie? – spytał przewodniczący.

– Z Miechowic...

– Odczytałem akt oskarżenia – mówił wójt – Obydwaj jesteście oskarżeni o kradzież dokonaną w kościele. To czyn noszący znamiona świętokradztwa. Przyznajecie się do winy?

– Nie – odparł stanowczo Łazarz. Aleksander przecząco pokręcił głową. Jego wargi i policzki były niezwykle obrzmiałe.

– Panie hrabio.. – wójt zwrócił się do Karola Józefa – Niestety nie mamy żadnych bezpośrednich świadków, żadnych dowodów. U podejrzanych nie znaleziono żadnego przedmiotu pochodzącego z kradzieży. Podczas przesłuchania uzupełnionego torturami – tu wójt zatrzymał się na chwilę – nie przyznali się do winy.

Wójt próbował wytłumaczyć hrabiemu, że na podstawie podejrzeń nie da się skazać podejrzanych. Właściwie należało ich wypuścić. Hrabia nie był zadowolony z tego, co usłyszał.

- Ile już siedzą w więzieniu?¹⁹⁹ – spytał.
- Trzy dni, panie – odparł przewodniczący.
- Trzy dni... – powtórzył hrabia – Kto ich przesłuchiwał?
- Bartek, panie hrabia, wasz służący – odparł przewodniczący.
- Czy jest tutaj? – spytał Karol Józef.
- Tak, czeka na zewnątrz.
- Niech wejdzie – powiedział hrabia.

Po chwili do pomieszczenia wszedł barczysty, łysawy mężczyzna o mocno czerwonej twarzy. Wyglądał jak rzeźnik. Spojrzał na dwóch oskarżonych. Ci czując jego spojrzenie skulili się ze strachu. Widać na zawsze wrył im się w pamięć.

- Bartoszu – zaczął hrabia – Przesłuchiwałeś tych dwóch obecnych tu Żydów?

Mężczyzna spojrzał na oskarżonych. Wydawało się, że na jego twarzy pojawił się jakiś niezdrowy, perwersyjny wręcz grymas.

- Tak – odparł.
- Zrobiłeś to zgodnie ze sztuką? – dopytywał hrabia. Wszyscy wiedzieli, że pyta o to, czy Bartosz zadał im odpowiednią dawkę bólu.
- Tak, panie, wszystko zgodnie... – odparł.
- Czy przyznali się do czegoś? – spytał wójt.
- Nie, panie.
- Jesteś tego pewien? – dopytywał hrabia, chyba nieco zdziwiony odpowiedzią Bartosza.

- Tak, jestem pewien.
- Czyli w twojej opinii są niewinni? – spytał wójt.
- Tego nie powiedziałem – odparł Bartosz.

Sędzia i ławnicy zaczęli wymieniać pomiędzy sobą uwagi.

- Nie bardzo rozumiemy, co świadek chce przez to powiedzieć – powiedział wójt. Bartosz spojrzał na wójta, a potem na hrabiego.
- Popatrzcie na ich plecy – powiedział.
- Słucham? – dopytywał się przewodniczący.
- Popatrzcie na ich plecy. Zobaczycie tam coś...

Łazarz i Aleksander kręcili się nerwowo. Pierwszy zareagował hrabia.

- Przyprowadź ich tutaj! – krzyknął do strażnika.

Po chwili obydwaj stali bardzo blisko sędziowskiego stołu.

¹⁹⁹ Hrabia kazał ich wtrącić do więzienia w bytomskim ratuszu.

– Odwróćcie się! – krzyknął Karol Józef.

Oskarżeni nie wykonali tego polecenia. Wyrażnie się ociągali. W tym momencie podszedł do nich Bartosz. Złapał mocno za ramiona Łazarza i odwrócił go tyłem do stołu. Następnie szybkim i stanowczym ruchem rozerwał brudną, splamioną krwią i wydzielinami koszulę na jego plecach.

– O Boże... – krzyknął hrabia.

Bartosz to samo zrobił z drugim oskarżonym. Gdy rozerwał koszulę na jego plecach, wójt o mało co nie spadł z krzesła.

– Co to jest? – spytał głośno – Co oni mają na plecach?

Hrabia nie odzywał się. Wpatrywał się w milczeniu w plecy obydwu mężczyzn.

– To szubienica, panie – odparł Bartosz – Obydwaj mają na ciele wizerunek szubienicy.

– Sami to zrobili? – spytał Karol Józef.

– Nie. Sami nie mogli. Ktoś im to zrobił...

– To jest wycięte nożem?

– Tak – odparł Bartosz – Już dawno temu. Pozostały blizny...

– Zaraz, ale tam jeszcze coś pisze... – powiedział hrabia przymrużając oczy.

– Relegationis – odparł bez wahania Bartosz.

– Relegacja – szepnął wójt – Wydalenie... To banici...

Na sali zapadła przerażająca cisza.

– Banici... – powiedział hrabia – Ciekawe, za co...

– Za co zostaliście wygnani? – spytał głośno przewodniczący.

Aleksander trząsł się z przerażenia. Z wielkim strachem patrzył na stojącego obok nich Bartosza.

– Nic wielkiego, panie... – odparł Łazarz. Głos mu drżał.

– Mów, Żydzie – syknął Bartosz.

– Za kradzieże? – dopytywał hrabia.

Łazarz przecząco pokręcił głową.

– To za co? – krzyknął wójt.

Bartosz chwycił Łazarza za ramię. To wystarczyło.

– Posądzono nas o czary – odparł Łazarz. Aleksander jeszcze bardziej skulił się w sobie.

– Co!? – krzyknął hrabia.

Łazarz aż drgnął.

– Panie, to było niesprawiedliwe oskarżenie – powiedział – Nie mieliśmy nic wspólnego z czarami...

– Nie mieliście, a zostaliście skazani? – spytał wójt – Nie wierzę...

– Wyrok zapadł na podstawie zeznań świadków – powiedział Łazarz.

– No i co z tego?

Łazarz głośno westchnął.

– Dwóch ze świadków to byli nasi dłużnicy – powiedział – Byli nam winni sporo pieniędzy. Nie chcieli ich zwrócić, więc wpadli na pomysł, że się nas pozbędą. Właśnie w taki sposób...

Aleksander energicznie potakiwał głową. Wójt spojrzał na hrabiego.

– O jakie czary was posądzono? – spytał Karol Józef.

– O zatrucie wody w studni – powiedział Łazarz.

– Gdzie to było?

– W Krakowie, panie...

Karol Józef zamilkł. Wójt miał niepewną minę podobnie, jak ławnicy.

– Bartosz... – zwrócił się do niego hrabia – Weź ich na dół i jeszcze raz przesłuchaj. Oni coś ukrywają...

Bartosz skinął głową. W tym momencie Aleksander padł na kolana i zaczął głośno szlochać, a na twarzy Łazarza odmalowało się przerażenie. Po chwili obydwaj zostali wyprowadzeni z sali, prosto do ratuszowego więzienia, gdzie czekały już na nich przerażające narzędzia tortur...

Po dwóch godzinach strażnicy ponownie wnieśli oskarżonych do gospody na rynku, gdzie odbywało się posiedzenie sądu. Wnieśli, gdyż obydwaj nie byli w stanie ustać na nogach. Aleksander był na skraju utraty przytomności. Łazarz trzymał się nieco lepiej, ale na jego twarzy widać było ogromny ból, który odzywał się przy każdym poruszeniu. Nic w tym dziwnego. Wszystkie paznokcie na jego stopach zostały wyrwane. Całe nogi miał zalane krwią. Strażnicy trzymali obydwu pod ramiona, bo inaczej runęliby na podłogę, jak kłody. Razem z nim przyszedł Bartosz.

– Przyznali się? – hrabia od razu przeszedł do konkretów.

– Tak.

– Do kradzieży?

– Nie.

– To do czego?

– Do czarów, panie – odparł Bartosz.

Wójt i hrabia spojrzeli na siebie.

– Jakich czarów? – spytał Karol Józef.

– Ten w końcu wyznał – mówił Bartosz wskazując ręką na Łazarza – że to Szatan kazał im wejść do kościoła i go zbezczęścić...

Wójt nie mógł opanować zdziwienia. Ławnicy zamarli w milczeniu.

– A drugi? – spytał hrabia.

- Ten - Bartosz wskazał ręką w stronę Aleksandra - przyznał się do stosunków cielesnych ze Złym, które miały miejsce w kościele.

- Jak to? - odparł z niedowierzaniem wójt.

- Sodomia, panie... - odparł spokojnie Bartosz.

- O Boże... - szepnął wójt chwytając się ręką za usta.

Ławnicy zaczęli szeptać pomiędzy sobą. Przez chwilę wspólnie ustalali swoje stanowisko. Nie czekając na to odezwał się hrabia.

- Uznajemy was winnymi - powiedział - Za czarostwo zostajecie skazani na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok zostanie wykonany jutro rano.

Wójt i ławnicy ze zdziwieniem spojrzeli na hrabiego. Nawet nie spytał ich o zdanie. Oskarżeni zostali wyprowadzeni z pomieszczenia. Trudno powiedzieć, czy byli jeszcze na tyle świadomi, że dotarła do nich treść wyroku.

- Bartosz, przygotuj wszystko - powiedział hrabia wstając z krzesła - Panowie, dziękuję za współpracę - rzucił przez ramię do sądu wójtowskiego, który niewzruszenie ciągle zasiadał za stołem. Karola Józefa nie interesowało, co oni myślą...

- Panie, hrabio, czy mogę?

Hrabia Karol Józef, przebywając w swoich pomieszczeniach w bytomskim ratuszu, spojrzał w stronę drzwi.

- Ach, to ty, Izraelu... - powiedział - Tak, wejdź...

- Nie przeszkadzam? - spytał Żyd prawie zginając się w pół.

Izrael Böhm był dość wiekowym Żydem, który dla hrabiego prowadził karczmę przy Bramie Pyskowskiej. Całkowicie lojalny, był w stanie przemilczeć najgorsze niegodziwości swojego pana. Nie był zbyt religijny. Jedyńm jego bożkiem były błyszczące złote i srebrne monety.

- Co cię do mnie sprowadza? - spytał hrabia.

Izrael spojrzał na Karola.

- Panie hrabio, tyle czasu już pracuję dla pana... - zaczął.

- Chcesz o coś prosić? - spytał hrabia.

- Tak.

- To mów.

- Chodzi o tych dwóch Żydów... - powiedział Izrael.

Karol spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Tych, których dzisiaj skazaliśmy? - spytał.

- Tak, panie hrabio.

- Przyznali się do czarów. Nie ma dla nich innego wyroku.

Izrael nerwowo splatał ręce. Ciągłe był zgięty w unizonej pozycji.

- Ja wiem, panie... - odparł - Ale...

- Co ale? - powiedział hrabia z wyraźną irytacją.

- To moi krewniacy... - powiedział cicho Izrael.

- Co?

- To moja rodzina, panie hrabio...

Karol Józef wstał z krzesła.

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś? - spytał.

Izrael jeszcze bardziej się zgiął.

- Nie spodziewałem się, że dostanę taki wyrok - odparł.

Hrabia zaczął spacerować po pokoju.

- Widziałeś znaki na ich plecach? - spytał.

- Tak, panie - odparł Izrael.

- Wiesz, skąd je mają?

- Tak.

- Podobno skazano ich w Krakowie na banicję. Za czary - powiedział głośno hrabia.

- Tak było, panie...

- Teraz przyznali się do celowego zbeszczeszczenia kościoła i kontaktów ze Złym.

Izrael spojrzał wystraszonym wzrokiem na hrabiego.

- Panie, na rozmowie z Bartoszem każdy przyzna się do wszystkiego... - powiedział cicho.

Hrabia spojrzał na niego. Wiedział, że stary Żyd ma rację.

- Czego ode mnie chcesz? - spytał.

- Panie, ja wiem, że nie mam prawa prosić...

- Mów!

Izrael padł na kolana.

- Panie, skaz ich na banicję. Nie wieszaj ich... - powiedział.

- Taki był wyrok sądu - odparł Karol.

- Możesz go zmienić, panie - odparł Izrael.

To fakt - pomyślał hrabia.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - spytał.

Izrael pozostawał w pozycji klęczącej.

- Nie ma innego powodu, jak tylko prośba twojego starego, wiernego Żyda... - powiedział.

Karol podszedł do okna. Spojrzał na rynek, na którym biegła jakaś grupa bytomskich dzieciaków. Ścigali kulawego psa, który uciekał wściekle szczekając. Hrabia długo obserwował ową scenę. Bił się z własnymi myślami.

- Dobrze, niech tak będzie - powiedział po chwili.

Izrael na kolanach przysunął się do niego i chwycił za hrabiowską rękę. Zaczął ją całować.

– Dziękuję, mój panie, dziękuję...

– Daj spokój – powiedział hrabia wyrывая swoją dłoń z uścisku Żyda – Tylko, że zrobię to po swojemu...

Izrael spojrzał na niego, nie kryjąc strachu i zdziwienia.

– Idź już – powiedział do niego hrabia.

Izrael pospiesznie wstał z kolan i ruszył w stronę drzwi. Nie miał odwagi o nic więcej pytać. Hrabia Karol Józef musiał sobie ułożyć w głowie nowy plan...

Ranek był dość pochmurny. Po niebie snuły się ciężkie chmury, zapowiadające deszczowy dzień. Było dosyć chłodno. To nie przeszkodziło jednak, by za Bramą Pyskowską zebrał się spory tłum. Wszyscy mieszkańcy Bytomia wiedzieli, że tego dnia odbędzie się na Ścinadle egzekucja dwóch skazanych Żydów. Łazarz i Aleksander zostali wyprowadzeni z ratusza, gdzie kolejną noc spędzili w więzieniu. Pomimo zmęczenia i obrażeń odniesionych w trakcie tortur nie spali. Dotarło do nich, że mają zostać powieszani. Strach nie pozwolił im zmrużyć oka. Strażnicy prowadzili ich z rynku w stronę Bramy Pyskowskiej. Gdy ją minęli, odezwał się tłum. Posypały się wyzwiska. Poleciały kamienie. Strażnicy prawie nie reagowali. Skazańcy nie mieli sił, żeby się bronić. Ziejący nienawiścią pochód ruszył w stronę Ścinadła. Dotarli tam dosyć szybko. Łazarz zauważył, że na szubienicy były już przygotowane dwa stryczki. Obok czekał kat, a także miejscy urzędnicy. Wśród nich stał też hrabia Karol Józef. Strażnicy doprowadzili skazańców do szubienicy. Tłum rozszedł się na boki. Każdy chciał dobrze widzieć, co będzie się działo. Pierwszy odezwał się wójt.

– Wyrokiem bytomskiego sądu Aleksander Józef i Łazarz Jakub zostali skazani za czarostwo na powieszenie – powiedział głośno. Tłum umilkł.

– Kacie, czyń swoją powinność... – dodał wójt.

Sporej postury mężczyzna podszedł do Aleksandra i łapiąc go za ramię poprowadził w stronę zwisającego stryczka. Pomógł skazanemu wejść na skrzynię i wpawanymi ruchami zaciągnął na jego szyi pętlę. Po chwili to samo zrobił z Łazarzem. Wszystko było gotowe.

– Zabić ich! Sodomici! – krzyknął ktoś w tłumie.

Kat z wyczekiwaniem spoglądał na wójta. Cekał na znak. Wójt zaczął powoli podnosić rękę.

– Czekaj! – krzyknął głośno hrabia. Ręka wójta bezwiednie zawisła w powietrzu.

– Czekaj... – powtórzył hrabia zbliżając się do szubienicy – Mam coś do ogłoszenia.

Wójt popatrzył na niego z wielkim zdziwieniem w oczach. To samo pozostali urzędnicy. Zebrany tłum mieszkańców Bytomia całkowicie zamilkł.

– Ja, hrabia Karol Józef Erdmann Henckel von Donnersmarck, pan tych ziem i wolnego państwa stanowego Bytom chcę ogłosić swoją wolę!

Nie odpowiedział mu nawet najmniejszy szept.

– Ogłaszam – krzyczał głośno hrabia – że na podstawie należnych mi praw zmieniam skazanym karę śmierci na banicję! To moja ostateczna decyzja!

Wójt z wrażenia zapomniał opuścić rękę. Kat był całkowicie zdezorientowany. Urzędnicy miejscy w milczeniu spoglądali na siebie. Tłum milczał. Hrabia wycofał się nieco do tyłu.

– Ściągnij ich – powiedział do kata.

– Panie, tak się nie godzi – powiedział wójt – Nie można tak...

– Co się nie godzi, panie wójcie? – spytał z ironią hrabia.

– Nie godzi się... W takim momencie... Zmieniać wyrok...

– Biorę to na własne sumienie, nie pana – syknął Karol.

Wójt nie odpowiedział.

– Nie godzi się! Tak nie można! Sodomici! Świętokradcy! Nie godzi się! – posypało się z tłumu.

Hrabia dał znak swoim czterem służącym, którzy stali za nim nieco z tyłu. Ci podeszli do niego. Zasłonili go swoimi ciałami. Jednocześnie sięgnęli ręką pod pazuchy, skąd wyciągnęli pistolety. Każdy je widział.

– Moja decyzja jest ostateczna – krzyknął hrabia – Kacie, ściągnij ich, mówię!

Mężczyzna posłusznie podszedł do szubienicy. Szybкими ruchami ściągnął pętlę z szyi skazańców i pomógł im zejść na ziemię. Obydwaj sprawiali wrażenie, jakby nie rozumieli, co się stało. Nie wierzyli w swoje szczęście.

– Zamieniam wam karę śmierci na banicję – powiedział do nich hrabia – Nigdy tu nie wracajcie, bo was powieszę. Ruszajcie w drogę! Już!

Obydwaj mężczyźni ruszyli się z miejsca. Mieli trudności z chodzeniem, ale adrenalina dodawała im sił. Hrabia wskazał im ręką kierunek. Nie odezwali się. Nie podziękowali. Bali się wydusić z siebie choćby jedno słowo. Ciężko krocząc ruszyli we wskazanym kierunku. Szli w ciszy. Hrabia, urzędnicy i tłum mieszkańców Bytomia odprowadzał ich wzrokiem. Po dłuższej chwili zniknęli z zasięgu wzroku.

– Po wszystkim – powiedział głośno hrabia – Idziemy!

Służący ruszyli za nim. Karol skierował się prosto w stronę tłumu, który rozstąpił się przed nim. Nikt nie krzyczał ani nie wrzeszczał. Nikt nawet nie rozmawiał. Hrabia przeszedł przez tłum i spokojnym krokiem ruszył w stronę Bramy Pyskowickiej. Podświadomie czuł za plecami morze nienawiści, ale miał to gdzieś...

Aleksander upadł. Zmęczenie dało znać o sobie. Łazarz pochylił się nad nim. Chciał pomóc mu wstać, ale sam niewiele miał sił. Sięgnął po ramię Aleksandra

i próbował go podnieść. Wtedy zauważył, że jego kompan z przerażeniem wpatruje się w coś za plecami Łazarza. Spojrzał w tym kierunku. Obok nich stał mężczyzna w skromnym stroju wędrowca, w dużym kapturze zarzuconym na głowę. Nie odzywał się. Po prostu stał. Łazarz chciał się do niego odezwać, poprosić o pomoc lub o litość, ale zaniemówił. Spowodował to kolor oczu mężczyzny. Jasnobłękitny.



Ilustracja 70 – Mężczyzna o błękitnych oczach.

- Chcecie zemsty? – spytał wędrowiec.
- Aleksander i Łazarz spojrzeli na siebie.
- Panie, my tylko chcemy odejść... – powiedział Łazarz – Nic więcej...
- Czujecie się skrzywdzeni? – spytał nieznajomy.
- Tak... – odparł cicho Aleksander.
- Mogę podarować wam zemstę – powiedział Niebieskooki.
- Czego chcesz w zamian? – spytał Łazarz – Naszej duszy?
- Nie – odparł mężczyzna – Chcę smaku waszej zemsty...
- Łazarz i Aleksander spojrzeli na siebie.
- Chcemy zemsty – powiedzieli prawie że jednocześnie.
- Mężczyzna uśmiechnął się.
- Chodźcie za mną – powiedział głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Obydwaj Żydzi posłusznie podążyli za Niebieskookim.

W 1724 r. Karol Józef Erdmann Henckel von Donnersmarck jeszcze wiele osób skazał na bezsensowne tortury. Pogrążał się w swoim nieuzasadnionym okrucieństwie...

1725

Hrabia kazał zakupić trzy przylegające do siebie budynki w mieście, które natychmiast wyburzono. Mieszczanie od razu zrozumieli, że arystokrata szykuje się do budowy swojej siedziby. Próbowali protestować, bo wcześniej sam cesarz wydał zakaz wznoszenia nowych budynków w mieście. Nic to nie dało. Na miejsce budowy zwożono materiały budowlane, a inwestycja hrabiego była chroniona przez jego zbrojnych. Poza murami miasta znajdowała się cegielnia. Hrabia przywłaszczył ją sobie, a jej produkcja była również przeznaczona na budowę jego siedziby²⁰⁰. Zabraniał mieszczanom kopania gliny i korzystania z pieców do jej wypalania. Własnością Karola Józefa był młyn w pobliskich Brzozowicach. Pomimo tego, że w pobliżu miasta znajdowały się dwa inne młyny (jeden miejski, a drugi w rękach prywatnych), hrabia dekretem zmusił mieszkańców do korzystania ze swojego, za co żądał bardzo wysokich opłat. Co więcej, od dwóch konkurencyjnych młynów zażądał niezwykle wysokich opłat. Nie otrzymał ich, więc kazał spuścić całą wodę ze stawów, przy których stały. Młyny nie mogły funkcjonować. Mieszczanie nie mieli innego wyjścia. Musieli zapłacić hrabiemu żądane kwoty. Łamiąc cesarski edykt zakazujący wprowadzanie w mieście wszelkich zmian, hrabia kazał postawić murowany dom myśliwski z łukami i murem odgradzającym rzekę, której woda płynęła dalej do młyna miejskiego, a także urządzić pomieszczenia dla wielu różnych zwierząt, od czego nigdy nie zapłacił należnej opłaty.

Wydał nakaz uiszczania przez kramarzy i rzemieślników nowego podatku płacowego i opłaty od kramnic²⁰¹, co hamowało rozwój bytomskiego handlu i rzemiosła. Tkaczy płótna zmuszono do tego, że sprzedawali hrabiemu swoje płótno za połowę ceny żądanej od innych klientów. Cech rzeźników zmuszono do dostarczania taniego mięsa do hrabiowskiej kuchni. Czasami Karol Józef w ogóle nie płacił. Zwiększył za to cenę za folowanie sukna w swoim majątku w Brzozowicach. Utrudnienia spowodowały, że bytomski cech sukienników praktycznie przestał istnieć. Karol na każdym kroku bezczelnie łamał wszystkie przywileje mieszczan, które przecież jeszcze w 1710 r. potwierdził własnoręcznym podpisem. Polował w miejskich lasach, nie dopuszczając do nich nikogo innego. Gdy pewnego razu jego słudzy złapali w lesie mieszkańca Bytomia o nazwisku Niedbała, który ustrzelił w lesie jedną kaczkę, na rozkaz hrabiego, winowajca został zmuszony do stania na rynku zakuty w łańcuchy,

²⁰⁰ Nowa siedziba hrabiego Karola Józefa w Bytomiu nigdy nie powstała. Nie wiadomo, gdzie miała być zlokalizowana.

²⁰¹ Inaczej straganów.

a nad jego głową umieszczono martwą kaczkę. Innym razem Wacław Mokrsky, jeden z miejskich radców, popadł w konflikt z burmistrzem Janem Królikiem²⁰². Hrabia bez żadnego wyroku kazał go wtrącić do ciemnego lochu w ratuszu znajdującego się pod izbą lokajów, gdzie zazwyczaj hrabiowska służba wyrzucała ekskrementy. Izba była tak mała, że nie dało się w niej stanąć, usiąść ani położyć, a w jej wnętrzu panował straszliwy smród. Hrabia trzymał tam Mokrskiego przez jeden dzień i jedną noc. Służba hrabiego często biła mieszczan, choć nie było ku temu żadnego powodu. Hrabia poniżał, hańbił, ośmieszał, wyszydzał i bezlitośnie wykorzystywał mieszkańców miasta. W tym czasie Zły krążył wokół coraz bliżej. Może właśnie na tym hrabiemu zależało...

W 1725 r. zmarła trzecia starsza siostra hrabiego, urodzona w 1684 r. Maria Józefa Leopoldyna. Urodziła się w Wiedniu i tam została pochowana. Była damą cesarskiego dworu i zaufaną cesarzowej Elżbiety, małżonki cesarza Karola VI. Hrabina Juliana Maksymiliana rozpaczała. Czwarte jej dziecko trafiło do ciemnej mogiły. Trudno powiedzieć, czy na hrabim zrobiło to jakiegokolwiek wrażenie...



Ilustracja 71 – Trzy trumny.

²⁰² Franz Gramer w swojej kronice podaje, że w 1724 r. bytomskim burmistrzem był Jan Józef Kuznicus.

1727

„Przemienienie zaś jest dwojakie. Istotne albo rzeczywiste i zwierzchowne. (...) Przemienienie zwierzchowne dwojakie też jest, albo w przymiotach na istocie polegających, albo w mniemaniu i oczach patrzącego. To oboje szatan czynić może (...) jedno o tym, które czyni w fantazyj i oczach patrzących ludzi, bo tak przemieniając ludzi w bestie, nie przemienia ani istoty, ani przymiotów, tylko rozumienie uczarowanego i patrzących nań, że się mniema być taka a taka bestia, choć nie jest, co czyni, przywołując z pamięci postać onej bestiej do fantazyjnej. (...) Kłamiąc wszakże tak fantazją i oczy rozumu oszukać nie może, jako tego, który się do ciała nie tak dalece przywiązuje”

„Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny o czarach (...)”, 1487

Skarga złożona przez mieszkańców miasta do cesarza Karola VI na zachowanie hrabiego Karola Józefa Erdmanna pozostawała jeszcze nierozpatrzone. Nie wiadomo było, jaką pozycję zajmie cesarz. Ciągłe szukano sposobów, aby ograniczyć samowolę hrabiego. Pewnego dnia miejski poborca podatkowy Jan Kusnicus oraz pisarz miejski Andrzej Wabrecius, znani z nieprzychylnego stanowiska wobec hrabiego, wyruszyli w podróż do Wrocławia. Prawdopodobnie chcieli naradzić się w tej sprawie we wrocławskim Urzędzie Zwierzchnim, który również nie był przychylny hrabiemu.

– Panie hrabio – powiedział jeden ze służących wchodząc do komnaty Karola Józefa w bytomskim ratuszu – Przepraszam, że przeszkadzam. Właśnie dowiedziałem się, że dwóch ludzi z miasta wyruszyło do Wrocławia.

– Kto? – spytał hrabia siedząc na wielkim krześle i zjadając się owocami.

– Kusnicus i Wabrecius.

Karol Józef odłożył misę z owocami.

– Pojechali znowu poskarżyć się na mnie – powiedział zdenerwowany.

– To całkiem możliwe – odparł służący.

– Kiedy wyjechali? – spytał Karol wstając z krzesła.

– Niedawno, panie.

– Każ szykować powóz – powiedział hrabia.

Służący spojrział ze zdziwieniem na Karola.

– Dobrze, panie hrabio – odparł.

– Musimy ich dopaść i zawrócić – powiedział Karol – Ja im dam... Zaraz wyruszamy. Czas nagli.

– Tak, panie hrabio... Tylko potrzebujemy czasu by załatwić konnych. Nie może pan pojechać sam...

– Nie ma na to czasu! – krzyknął hrabia – Dopadniemy ich szybko. Weź ze sobą Walentego i zaraz ruszamy.

Służący skinął głową i wyszedł z pomieszczenia. Hrabia pospiesznie zaczął się ubierać. Na dworze było ciepło, więc nie trzeba było zakładać na siebie zbyt wielu rzeczy. Po chwili był już gotowy do drogi. Wyszedł ze swojej komnaty i kamiennymi schodami zszedł na dół ratusza. Służący akurat szykowali konie do powozu.

– Szybciej! – krzyknął hrabia wchodząc do powozu – Nie ma czasu!



Ilustracja 72 – Hrabiowski powóz.

Po chwili powóz był już gotowy do drogi. Dwóch służących zasiadło na powozie. Trzaśnięcie bata oznaczało początek pościgu. Powóz ruszył z impetem kierując się w stronę Bramy Pyskowskiej. Służący kierowali nim brawurowo, a przechodnie odskakiwali, by nie zostać stratowanymi. Klęli przy tym pod nosem. Każdy wiedział, kto jest pasażerem powozu. Przejechali przez bramę, minęli cmentarz, później Ścinadło i powóz ruszył przez pola w kierunku na Pyskowice. Jechali bardzo szybko. Powozem trzęsło i rzucało, ale hrabia nie zwracał na to uwagi. Dwóch buntowników – pomyślał. Ja im dam skargę... Było około południa. Ludzie pracowali na polach.

Widząc pędzący powóz przerywali swoje zajęcia i patrzeli ze zdziwieniem. Zastanawiali się, o co chodzi. Minęło trochę czasu. Powóz zbliżał się do Pyskowic. Minął miasto i skierował się na trakt wiodący w stronę Wrocławia. Hrabia był pewien, że za niedługo dopadnie dwóch niepokornych mieszkańców miasta. Nie mylił się.

– Panie, już ich widać – krzyknął jeden ze służących.

– Jadą konno? – spytał hrabia.

– Tak, ale bardzo wolno! – odparł głośno służący.

– Tempo! Mamy ich! – krzyknął Karol.

Kusnicus i Wabrecius po chwili zauważyli pędzący za nimi powóz. Byli już daleko od Bytomia, więc nie spodziewali się, że może być to pojazd Karola Józefa. Zdziwieni spoglądali za siebie. Powóz, pędząc polnym traktem, wzbijał za sobą tumany kurzu.

– Komu tak się spieszy? – spytał Wabrecius.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Kusnicus – Czekaj, poczekajmy z boku. Niech pędzą.

Obydwaj jeźdźcy zjechali z traktu i stanęli na polu. Obserwowali powóz, który bardzo szybko zbliżał się do nich.

– Chryste, Andrzej, to powóz naszego hrabiego – powiedział Jan.

– Jesteś pewien?

– Tak. Poznaję go.

– Czego on chce? – spytał Andrzej – Chyba nie chce nas zatrzymać?

– Nie wiem – odparł Jan – Po nim można się wszystkiego spodziewać.

Obydwaj mężczyźni poczuli strach. Z hrabią nie było żartów. Poza tym, byli na całkowitym odludziu. Andrzej sięgnął po rapier, który był przytroczony do boku konia.

– Zwariowałeś? – krzyknął Jan – Przecież on nas posądzi, że chcieliśmy go zabić! Tu nikogo nie ma, kto poświadczy, że było inaczej! Nawet o tym nie myśl!

Andrzej posłusznie opuścił rękę. Stali w milczeniu czekając na swój los.

– A ten skąd się wziął? – powiedział nagle Jan.

Andrzej wyteżył wzrok. Na drodze hrabiowskiego powozu stał samotny mężczyzna.

Powóz nagle stanął, gdyż woźnica ostro spiął konie. Zaskoczony hrabia aż spadł z siedzenia.

– Co jest, do jasnej cholery!?! – krzyknął podnosząc się z ziemi.

Woźnica przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Starał się uspokoić zdyszane i spłoszone konie.

– Jakiś pacholek stoi nam na drodze! – krzyknął.

– To jeden z nich?

– Nie, panie. To jakiś włóczęga!

– No to potraktuj go batem! – odparł głośno hrabia. Wyjrzał z powozu. Na środku drogi stał mężczyzna. Był bardzo ubogo ubrany. Jego głowa była nisko opuszczona w dół, a ręce zwisały wzdłuż ciała.

– Batem go! – krzyknął hrabia. Na polu dojrzał dwóch ludzi, którzy stali obok koni trzymając je za uzdy. Poznał ich od razu. To byli Kusnicus i Wabrecius. Przypatrywali się całej sytuacji. Walenty zeskoczył z powozu trzymając w ręku bat. Podeszedł bliżej do mężczyzny. Ten nie podnosił głowy.

– Złaz z drogi, pacholku! – krzyknął Walenty.

Mężczyzna nie odpowiedział. Nie wykonał też żadnego ruchu.



Ilustracja 73 – Samotny mężczyzna.

– To hrabiowski powóz, śmieciu! Chcesz mieć problemy?

Hrabia siedząc ciągle w powozie nasłuchiwał dźwięków z zewnątrz.

– Nie rozumiesz!? Ja ci wytłumaczę! – krzyknął Walenty.

Karol usłyszał charakterystyczny dźwięk bata. Raz. Potem drugi raz. Potem trzeci.

– Mało ci!? – wrzeszczał Walenty – Mało!? To masz jeszcze!

Kolejne dwa świsty dało się słyszeć w powozie.

– Zabiję cię! – Walenty wpadł w szal – Co się na mnie patrzysz tymi niebieskimi ślepiami!?

Na dźwięk tych słów hrabia zamarł. Po chwili szybkim ruchem sięgnął do skrzyni, która była na stałe zamontowana w powozie. Otworzył ją i sięgnął po pistolet. Naładowany i gotowy do użycia. Karol nigdy nie ruszał się bez niego. Zawsze miał go przy sobie. Gdy wyruszyli, zniósł go ze swojej komnaty i umieścił w powozie. Chwycił do ręki jego chłodną rękojeść i otworzył drzwi powozu. Szybkim ruchem wyskoczył na zewnątrz. Zauważył Walentego, który zamierzał się do kolejnego uderzenia. Zobaczył też mężczyznę, na którym kolejne uderzenia bata nie robiły żadnego wrażenia. Hrabia, trzymając w ręku pistolet, podszedł do nich.

– Walenty, odsuń się – powiedział.

Zdziwiony woźnica posłusznie wykonał polecenie hrabiego.

– Spójrz na mnie! – krzyknął hrabia.

Mężczyzna spokojnym ruchem odwrócił głowę w stronę Karola. Wtedy hrabia dojrzał jego intensywnie niebieskie oczy.

– Mam cię – wysyczał – Dorwałem cię wreszcie. Tyle cię szukałem...

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Ty podły śmieciu! Zachciało ci się szkodzić mojemu rodowi? – powiedział hrabia

– Chcesz się mścić? Za co? Jesteś parszywym Złem. Chcesz mnie pouczać?

Walenty z ogromnym zdziwieniem obserwował całą scenę. Drugi z woźniców, który nadal siedział na powozie, sięgnął pod siedzenie, gdzie ukryty był jego pistolet. Obydwaj zrozumieli, że hrabia zna tego mężczyznę, a za chwilę stanie się coś strasznego.

– Widzisz, co trzymam w ręku? – spytał hrabia – Pistolet! Wiesz, czym jest nabity? Kulą wykonaną ze srebra i zanurzoną w wodzie święconej. Co na to powiesz? Myślałeś, że nie przygotuję się na spotkanie z tobą? Robię to od lat. Nie boję się ciebie! Czekałem na ten moment! Odeślę cię tam, skąd przyszedłeś bezbożniku!

Mężczyzna spojrzał na hrabiowski pistolet, ale na jego twarzy nie drgnął nawet mięsień. Hrabia wyciągnął rękę i wycelował prosto w jego pierś.

– Giń, niebieskooka szkarado! – krzyknął hrabia i pociągnął za spust. Pistolet nie wypalił. Na twarzy Karola nagle pojawiło się ogromne zdziwienie. Potrząsnął bronią, jeszcze raz odciągnął kurek i ponownie pociągnął za spust. Nic. Tylko pusty, metaliczny dźwięk. Hrabia spojrzał na mężczyznę. Ten nie wykonał żadnego ruchu. Karol odskoczył nieco do tyłu. Teraz zaczął się bać.

– Niech pan łapie! – usłyszał za sobą. Hrabia odwrócił się do tyłu i zobaczył, że woźnica siedzący na powozie rzuca w jego kierunku broń. Karol wyciągnął ręce i złapał lecący w powietrzu pistolet. Ponownie wycelował ją w pierś mężczyzny i na-

cisnął spust. Rozległ się głośny wystrzał. Obłok dymu otoczył rękę hrabiego. Karol doskonale strzelał. Ćwiczył ową umiejętność od dziecka. Spojrzał na pierś mężczyzny, na której widniała dymiąca dziura. Trafił prosto w serce. Niebieskooki mężczyzna spojrzał na ranę. Nie zachwiał się ani nie przewrócił. Patrzył przez dłuższą chwilę.

– Boli? – triumfował hrabia – Pewnie boli... A teraz odejdz tam, skąd przyszedłeś, parszywa bestio!

Niebieskooki spojrzał na niego. Na jego twarzy nie było widać bólu ani żadnych emocji. Po prostu nadal stał niewzruszony.

– Rzuć mi mój rapier – krzyknął hrabia do woźnicy – Dobiję tego skurwysyna!

W tym momencie mężczyzna gwałtownym ruchem rozerwał szatę na swojej pierś. Hrabia patrzył na to ze zdziwieniem. Zauważył rany. Miały określony kształt. Widział też dziurę w okolicy serca, ale nie płynęła z niej krew. Karol próbował przyjrzeć się dziwnym, głębokim ranom. To były cyfry. Trzy cyfry. 666. Chryste, to bestia... – pomyślał. Rany na jego ciele zaczęły się żarzyć, jakby płonęły jakimś wewnętrznym ogniem. Cyfry stały się doskonale widoczne. Przerażony hrabia nie miał zielonego pojęcia, że jest drugim człowiekiem, który to zobaczył. Mężczyzna gwałtownym ruchem wygiął swoje ciało do tyłu. Karol ze strachu odskoczył do tyłu. Wtedy Niebieskooki zaczął krzyczeć. To nie był normalny krzyk. To był przeraźliwy wrzask, nieludzki i wgrzyzający się w umysł. Hrabia wycofał się kilka kroków do tyłu. Z przerażeniem obserwował to, co się działo. Mężczyzna wrzeszczał, wył, wyginając się coraz bardziej do tyłu. Jego postać przybierała coraz bardziej nieludzki kształt. Hrabia nie wytrzymał. Rzucił się do ucieczki. To samo zrobił Walenty. Obydwaj dopadli do powozu.

– Jedź! – krzyknął hrabia – Jedź stąd jak najszybciej, jeśli ci życie miłe!

Walenty już się wdrapywał na miejsce koło woźnicy, a Karol wskoczył do powozu, szybko zamykając za sobą drzwi.

– Jedź, do jasnej cholery! – krzyczał.

Woźnica uderzył batem. Ponaglone konie spięły się. Woźnica powtórnie uderzył je batem mocno trzymając lejce. Konie ruszyły. Zmuszone pociągnięciami lejcy wykonały ostry zakręt ciągnąc powóz za sobą. Wjechały na pole, próbując odwrócić się w przeciwnym kierunku. Po chwili powróciły na drogę, a kolejne uderzenia bata zmusiły je do szybkiego biegu. Powóz popędził w drogę powrotną do Bytomia. Nie odbyło się to w ciszy. Ciągłe było słycać przerażający wrzask mężczyzny o błękitnych oczach. Hrabia słyszał go wyraźnie. Nie wyglądał z powozu. Nie wydobył z siebie żadnego głosu. Skulił się na siedzeniu, próbując utrzymać równowagę. Powóz szaleńczo pędził polnym traktem, ale wrzask nie ustawał. Karol miał go zapamiętać na resztę swojego życia...

Jan i Andrzej ze zdziwieniem i w całkowitym milczeniu obserwowali całą scenę. Widzieli moment, w którym hrabia próbował zabić mężczyznę. Słyszeli też jego słowa. Patrzyli na jego strach, gdy pierwszy pistolet nie wypalił. Obserwowali skutek drugiego strzału. Byli pewni, że mężczyzna padnie martwy. Tak się nie stało. Patrzyli na przerażenie hrabiego. Później do ich uszu dotarł wrzask. Tak przerażający, że aż trudno to sobie wyobrazić. Patrzyli na paniczną ucieczkę hrabiowskiego powozu. Po chwili spojrzeli na siebie i bez słowa wskoczyli na konie. Ruszyli do ucieczki. Szerokim łukiem, przez pola, pędząc klusem, zawrócili w stronę Bytomia. Odechciało im się podróży do Wrocławia. Pędząc przez pola wracali do miasta, by opowiedzieć wszystkim to, co widzieli. W strachu pogubili się w polach. Kilka godzin zajęło im odszukanie właściwego traktu. Praktycznie w ogóle nie odzywali się do siebie. Wszystko robili w milczeniu. Po jakimś czasie dotarli do Bytomia. Powoli już zmierzało. Pędzili w stronę Bramy Pyskowskiej. Gdy próbowali przez nią wejść, zostali zatrzymani przez uzbrojonych po zęby strażników. Na rozkaz hrabiego doprowadzono ich do ratusza. Jan i Andrzej byli pewni, że hrabia będzie próbował z nimi porozmawiać. Pomylili się. Od razu zostali wrzuceni do osobnych lochów. Przebywali tam kilka tygodni. Przeżyli prawdziwe piekło. Gdy w końcu ich wypuszczono, wyglądali jak cienie. Gdy z żarem w oczach zaczęli opowiadać o tym, co widzieli, nikt im nie uwierzył. Pomyślano, że pobyt w lochu doprowadził ich do szaleństwa. Nikt nie miał do nich pretensji. Okazywano im nawet współczucie. W oczach mieszkańców stali się kolejnymi ofiarami bezlitosnego hrabiego. Wersję wydarzeń, o których mówili, uznano za tak fantastyczną, że wręcz niemożliwą. Poza tym, nie mieli na to żadnych świadków. Szaleństwo zrodzone w ciemności lochów. Tak to rozumiano. Jan i Andrzej ciągle słyszeli w głowach ten przerażający, nieludzki krzyk. Budził ich w nocy, gdy o nim śnili. Budził ich rano, gdy spoceni wybudzali się z nocnego koszmaru. Faktycznie, swoim zachowaniem wskazywali na postępujące szaleństwo...

1727

„(...) Co się tknie pierwszej rzeczy, wyjąwszy on sposób powszechny, którym szatan w człowieku za popełnieniem każdego grzechu śmiertelnego przemieszkiva. (...) iż przemieszkivanie w człowieku można dwojako rozumieć. Albo pod względem dusze, albo względem ciała”

„Młot na czarownice. Postępek zwierchowny o czarach (...)”, 1487

Powóz hrabiego Karola Józefa wjechał na dziedziniec pałacu w Siemianowicach. Zatrzymał się z impetem. Hrabia poczekał tylko, aż jeden z woźniców otworzy mu drzwi. Wyskoczył szybko na zewnątrz i ruszył w stronę wejścia. Zanim zdążył otworzyć drzwi, zrobił to jeden ze służących jego matki, hrabiny Julianny Maksymiliany, która od blisko 10 lat mieszkała w tym pałacu.

– To pan, panie hrabio... – powiedział zdziwiony służący – Hrabina nie spodziewa się pana...

– Odejdź – syknął hrabia i minął służącego w drzwiach, kierując się na schody prowadzące na piętro. Wbiegł po nich szybko na górę i stanowczym ruchem nacisnął ręką wielką, ozdobną klamkę. Drzwi otworzyły się szeroko, a hrabia wszedł do środka. Jego matka siedziała przy stoliku, czytając książkę i racząc się herbatą. Ze zdziwieniem spojrzała na syna. Nie widziała go od prawie dwóch lat. Rzadko tu bywał.

– Co się stało, Karolu? – spytała wystraszona.

Na twarzy hrabiego widać było ogromne napięcie.

– Widziałem go, matko... – powiedział cicho hrabia.

Matka chyba nie zrozumiała. Może nie chciała zrozumieć.

– Kogo? – spytała odkładając książkę na stół.

– Jego. Niebieskookiego – powiedział Karol siadając na krześle stojącym obok stołu.

– O Boże! – krzyknęła hrabina.

Karol nie odpowiedział. Siedząc na krześle ciężko dyszał. Był przerażony.

– Gdzie? – spytała po chwili hrabina.

– Za Pyskowicami. Jechałem powozem w stronę Wrocławia.

Karol nie przyznał się matce w jakich okolicznościach tam się znalazł.

– Zagroził mi drogę... – dodał.

W oczach starej hrabiny pojawił się strach.

– Próbowałem go zabić... – mówił dalej hrabia – Mój pistolet nie wypalił, ale wystrzeliłem z drugiego. Prosto w jego serce.

Hrabina nie odzywała się.

- Trafiłem - kontynuował hrabia - Powinien paść jak kłoda. Tak się nie stało.

- Co było dalej? - wykrztusiła z siebie Julianna.

- Rozerwał odzienie na swojej piersi - mówił hrabia - On ma tam ranę, matko.

- Od strzału?

- Strzał nie zrobił mu żadnej krzywdy - odparł drżącym głosem hrabia - To Zły, nie tak łatwo go zabić.

Hrabina głębiej wtuliła się w krzesło, na którym siedziała.

- To o jakiej ranie mówisz? - spytała cicho.

Hrabia przez krótką chwilę nie odpowiedział. Obraz tej sceny stanął mu przed oczyma.

- On ma na piersi ranę w kształcie trzech cyfr - powiedział nagle.

- Jakich cyfr, Karolu? Co ty bredzisz?

- Matko! - powiedział głośno hrabia - Ona ma na piersi cyfry 666!

Hrabina krzyknęła ze strachu. Ruchem ręki wywróciła stojącą na blacie filizankę z herbatą, która szerokim strumieniem polała się po stoliku i zaczęła ściekać na podłogę. Przez dłuższą chwilę obydwój się nie odzywali.

- Ty cholerny głupcze! - krzyknęła nagle Julianna - Ostrzegalam cię!

- Matko! - próbował bronić się hrabia - Mój pistolet był załadowany srebrną kulą maczaną w święconej wodzie. Gdyby wypalił, wysłałbym Złego do Piekła, gdzie jego miejsce. Ten cholerny pistolet nie wypalił! Strzeliłem z drugiego zwykłą kulą, ale ta nie zrobiła mu krzywdy...

Hrabina nie odzywała się. Jej oddech zrobił się szybszy i głębszy. Jej ciało zaczęło nieco zsuwać się z krzesła.

- Srebrna kula? Woda święcona? - syknęła Julianna - Ty myślisz, że tym go zabijesz?

- Tak. To dobry sposób na Złego - odparł hrabia.

- Tak dobry, że nie zrobiłeś mu żadnej krzywdy...

- Bo to była zwykła kula...

Hrabina patrzyła na niego z politowaniem.

- Ktoś to widział? - spytała.

- Tak - odparł Karol - Dwóch moich woźniców i dwóch innych mieszkańców miasta.

- Boże... - wyszeptała hrabina.

- Tym się nie martwię, matko - powiedział hrabia - Moi ludzie będą trzymać język za zębami, a tamtych wrzuciłem do lochu. Posiedzą tam trochę, a potem ich wypuszczę. Gdy zaczną opowiadać, ludzie pomyślą, że oszaleli...

Hrabina patrzyła na niego z przerażeniem.

- Ty jesteś szalony... - powiedziała cicho.

Karol spojrzał na nią zdziwiony.

– Szalony? – spytał.

Hrabina zaczęła zanosić się szlochem.

– Po co przyjechałeś? – spytała szlochając – Mam cię przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze? Pocieszyć? Tego chcesz?

– Nie, matko. Nie o to chodzi... – odparł Karol.

– To czego chcesz? – płacz hrabiny stawał się coraz bardziej spazmatyczny – Zniszczyłeś życie naszej rodziny. Nas wszystkich. Czego oczekujesz?

Hrabia nerwowo zakręcił się na krześle.



Ilustracja 74 – Płacząca hrabina.

– Chciałem ci tylko powiedzieć... – powiedział zmieszany.

– Co? Że Zły o mało cię nie dopadł? – hrabina ocierała ręką łzy z oczu – Czwooro twojego rodzeństwa zmarło. Dwie siostry uciekły do klasztoru. Mało ci?

– Matko, to nie tak... – próbował bronić się Karol.

– Nie tak!? – krzyknęła hrabina – Umierali właściwie jedno po drugim! Nie tak!?

– To nie moja wina! – powiedział głośno Karol.

– Nie twoja? A czyja? – krzyczała hrabina – Prosiłam cię, błagałam, a ty robiłeś swoje! Myślisz, że nie słyszałam o wszystkich twoich występkach?

– Jakich występach, matko... Co ty mówisz?

Hrabina rękawem otarła nos.

– Słyszałam o tych biedakach. O człowieku, którego zamknąłeś w swoim lochu, a twoja służba na niego srała...

– Matko, on spiskował przeciwko mnie! – krzyknął hrabia.

– O drugim nieszczęśniku – mówiła dalej Julianna – którego upokorzyłeś i wystawiłeś w łańcuchu na rynku na ludzkie pośmiewisko.

– On złamał prawo! Polował w moich lasach!

Hrabina ukryła twarz w dłoniach i zaczęła głośno płakać.

– Boże, kogo ja urodziłam... – jej słowa z trudem przebijały się przez płacz – Czasami nie wiem, kto jest gorszy. Zły czy ty!

Ostatnie słowa mocno dotknęły hrabiego. Przez chwilę przypatrywał się swojej matce, która zanosila się płaczem. Po chwili wstał z krzesła i powoli ruszył w kierunku drzwi.

– Idź! – krzyknęła hrabina – Zostaw mnie samą!

Hrabia nacisnął klamkę i otworzył szeroko drzwi.

– Karolu... – usłyszał za sobą. Spojrzał w kierunku starej hrabiny.

– Podejdź na chwilę... – Julianna mówiła szeptem. Hrabia zamknął drzwi i powrócił na swoje miejsce.

– Usiądź... – powiedziała hrabina. Karol posłusznie usiadł na krześle.

Opanowując płacz hrabina spojrzała na niego.

– Jesteś moim synem... – szepnęła – Mimo wszystko nim jesteś. Serce matki boleje nad wszystkim, co się dzieje. Nie chcę twojej krzywdy, choć sam sobie na nią zapracowałeś...

Karol patrzył na nią w milczeniu.

– Nie rozgrzeszam cię – powiedziała hrabina – Zrobiłeś wiele zła. Nie chcę jednak pochować kolejnego dziecka.

Hrabia nie poruszył się i nie odpowiedział.

– Karolu, uciekaj... – powiedziała Julianna – Zmień swoje zachowanie i uciekaj daleko stąd. Nie dawaj Złemu okazji, by cię dopadł. To jedyne, co matka może poradzić swojemu synowi...

Karol popatrzył na nią z wdzięcznością. Tak naprawdę bardzo się bał. Był przerażony. Tylko ona wiedziała, że tak jest. Wyciągnął dłoń, aby ująć jej rękę.

– Zostaw... – szepnęła hrabina – Idź już...

Karol nie bardzo wiedział, co ma zrobić.

– Odejdź – powiedziała głośniej hrabina – I nie przychodź tu więcej...

Hrabia wolno podniósł się z krzesła i ruszył w kierunku drzwi. Otworzył je szeroko i po chwili zniknął w korytarzu. Schodami zszedł na dół, do swojego powozu,

który dość szybko odjechał spod pałacu jego matki. W milczeniu rozmyślał nad słowami, które usłyszał. W pałacowej komnacie jego matka zanosila się szlochem. Nikt ze służących nie miał odwagi, aby jej w tym przeszkodzić.

1729

Hrabina Julianna Maksymiliana Henckel von Donnersmarck zmarła w dniu 30 sierpnia 1729 r. w pałacu w Klisinie, w swojej rodowej posiadłości. Ostatnie miesiące życia spędziła z dala od siemianowickiego pałacu, jak również od bytomskiej siedziby swojego syna. W chwili śmierci miała 78 lat²⁰³. Po swojej rodzinie odziedziczyła pałace w Ściborzycach i Klisinie. Po jej śmierci właścicielem tych zamków został hrabia Karol Józef Erdmann. Julianna była Damą Orderu Krzyża Gwiazdzystego²⁰⁴. Była



Ilustracja 75 – Trumna hrabiny.

²⁰³ Urodziła się w dniu 29 kwietnia 1651 r. w Klisinie.

²⁰⁴ Wysoce Szlachetny Order Krzyża Gwiazdzystego (niem. *Hochadeliger Sternkreuzorden*) to do 1918 r. najwyższy order kobiecy Austrii i Austro-Węgier nadawany przez Habsburgów. Order został ustanowiony w dniu 18 września 1668 r. przez cesarzową Eleonorę, trzecią małżonkę Ferdynanda III. Podobno cesarzowa ustanowiła go na pamiątkę odnalezienia cennego, zagubionego relikwiarza i w celu adoracji Krzyża Świętego. Przyjęcie do grona odznaczonych dam wymagało przeprowadzenia surowego wywodu szlachectwa (niem. *Adelsprobe*), przy którym trzeba się było wykazać ośmioma szlacheckimi generacjami po stronie ojca i matki oraz szesnastoma szlacheckimi przodkami małżonka. Insignium jednoklasowego orderu to medalion, na którym znajduje się dwugłowy czarny orzeł monarchii habsburskiej, który nosi nałożony czerwony krzyż grecki, uwieczniony białą emaliowaną wstęgą z dewizą orderu: „*Salu et Gloria*” („Zbawienie i Chwała”). Order noszony jest na czarnej wstążce w formie kokardy nad lewą piersią.

wielce szanowaną i poważaną osobą. Poddani ją lubili. Znana była z niesamowitej energii, którą wyraźnie utraciła w ostatniej dekadzie swojego życia, co tłumaczono jej wiekiem. Nie chciała umierać w Siemianowicach. Nie chciała również widywać się ze swoim synem. Pod koniec swoich dni skupiła się na modlitwie i na skromnym życiu. Gdy udzielano jej ostatniego namaszczenia, z obawą spoglądała na księdza, który przyszedł ją wyspowiadać. Odetchnęła z ulgą, gdy ujrzała, że zakonnik nie ma błękitnych oczu. Wyjawiała mu wszystkie swoje doczesne grzechy, nie szczędząc żadnych szczegółów, niczego nie zatajając. Spowiednik spokojnie wszystkiego wysłuchał. Gdy udzielał jej rozgrzeszenia i zaznaczał na jej czole znak krzyża, z przerażeniem zauważyła, że jego oczy nagle nabrały koloru jasnego błękitu. To był ostatni obraz jaki widziała. Chwilę później już nie żyła. Karol przyjechał na jej pogrzeb. Przez długą chwilę samotnie stał nad jej trumną. Nie odezwał się do nikogo. Chwilę później szybko wyjechał. W 1758 r. pałac w Klisinie całkowicie spłonął.

Jeszcze w tym samym roku, dokładnie w dniu 4 maja 1728 r. hrabia Karol Józef zatwierdził statut bytomskiego bractwa kurkowego. Tak naprawdę owo bractwo powstało już na początku XVI w., ale o jego dotychczasowej działalności niewiele było wiadomo. Podstawowym celem jego powołania było zapewnienie mieszkańcom miasta bezpieczeństwa. Wygląda na to, że hrabiemu nagle zaczęło na tym bezpieczeństwie bardzo zależeć. Bractwo co roku urządzało zawody strzeleckie, w których wyłaniano mistrza tytułującego się królem bractwa kurkowego. To, że pierwszym królem bractwa został hrabia Karol Józef, nie powinno nikogo dziwić²⁰⁵.

²⁰⁵ Siedziba bytomskiego Bractwa Kurkowego (Strzeleckiego) znajdowała się w tzw. Domu Strzelca, gdzie obecnie znajduje się siedziba Bytomskiego Centrum Kultury.

1730-1740

Po śmierci swojej matki hrabia Karol bardzo rzadko bywał w Bytomiu. Częściej przebywał w Wiedniu. Czasami zaglądał też do Klisina, gdzie przeprowadziła się jego małżonka. Mieszkańcy Bytomia z ulgą odetchnęli, bo ich koszmar wydawał się dobiec końca. Hrabia wyraźnie złagodniał, a poza tym skupił się na swojej karierze politycznej. Cesarz Karol VI Habsburg, ostatni męski potomek dynastii Habsburgów²⁰⁶ nadał mu tytuł tajnego radcy cesarskiego²⁰⁷, a także cesarskiego komisarza Komory Cieszyńskiej. Hrabia robił karierę na cesarskim dworze, co niewiele mu dało, bo wkrótce całkowicie zmieniły się realia polityczne. W 1734 r. spotkał się z polskim królem elektem Augustem III Sasem. Spotkanie miało miejsce w Tarnowskich Górach, gdzie August III przeszedł na katolicyzm. Następnie August III udał się do Piekar, gdzie modlił się przez obrazem Matki Boskiej Piekarskiej. Tym samym, który uratował ojciec hrabiego Karola Józefa, hrabia Leon Ferdinand.

W 1732 r. w okolicy panowała zaraza bydła. Zwierzęta masowo umierały. To samo działo się w mieście. Pewnie Zły cały czas kręcił się w okolicy. Dwóch miejscowych przestępców, odsiadujących swój wyrok, dostało specjalne zadanie. Mieli w wałach miejskich²⁰⁸ wykopać głęboki dół, do którego miały być wrzucone martwe zwierzęta. Gdy zaczęli kopać natrafili na ludzkie szczątki. Hrabia i jego ludzie zjawili się na miejscu. Okazało się, że pochowana osoba to Żyd. Wtedy Karol wezwał do siebie swojego żydowskiego współpracownika Izraela Böhma²⁰⁹. Hrabia wiedział, że Żydzi mają swoje tradycje dotyczące miejsc pochówku. Izrael poprosił Karola, by ten podarował mu ten fragment wałów, gdyż znaleziony pochówek Żyda nakazywał, aby w tym miejscu chowano następnych. Tak powstał bytomski cmentarz żydowski, który w tym samym miejscu funkcjonował bardzo długo²¹⁰. Dopóki w Bytomiu nie było żydowskiego cmentarza, miejscowi Żydzi byli chowani na cmentarzach w Będzinie, w Cisowej koło Lublińca i w Mikołowie.

²⁰⁶ Po jego śmierci na tronie zasiadła jego córka Maria Teresa (na podstawie tzw. sankcji pragmatycznej).

²⁰⁷ Tajny radca (niem. *Geheimrat*) był początkowo tytułem wysokich urzędników państwowych, zasiadających u boku cesarza w gremium doradczym rozpatrującym sprawy polityki wewnętrznej i ustawodawstwa. Później był to jedynie tytuł honorowy.

²⁰⁸ Przed murami miejskimi usypano wały ziemne (prawdopodobnie w XVI w.), które miały poprawić walory obronne miasta.

²⁰⁹ Był on dzierżawcą gospody „Ostatni grosz” za Bramą Pyskowską i zaufanym człowiekiem hrabiego.

²¹⁰ Dopiero w XIX w. powstał nowy cmentarz przy ul. Piekarskiej. Stary cmentarz oficjalnie zlikwidowany w 1962 r., ale jego relikty były jeszcze długo widoczne. Pochówki nigdy nie zostały ekshumowane.



Ilustracja 76 – Mężczyzna o błękitnych oczach.

Bytom się wyludniał. Ludzie porzucali budynki i domostwa, zabierali swój dobytek i ruszali w różnych kierunkach. Często w stronę polskiej granicy. Musiało być to sporym problemem, skoro wrocławski Urząd Zwierzchni podejrzewał, że strona polska w jakiś sposób zwabia do siebie mieszkańców Bytomia. W tym okresie z obszaru państwa bytomskiego wyemigrowało około 300 rodzin. To bardzo dużo. W 1736 r. w całej okolicy panowały ulewne deszcze, zamieniając obszar wokół Bytomia, Piekara i Świerklańca w jedno wielkie bagnisko i mokradła. Deszcz trwał nieprzerwanie przez 73 dni, niszcząc właściwie wszystkie uprawy na polach. Mówiono o zemście czarownic. Zapanował głód. Na jego efekty nie trzeba było długo czekać. W 1737 r. w okolicy wybuchła epidemia gorączki, z powodu której w samym mieście Bytom zmarło około 300 osób. Zły krążył wokół hrabiego, uśmiechając się do niego szyderczo i ciągnąc za sobą całun śmierci. W 1737 r. bytomski rynek opustoszał. Ludzie, bojąc się kontaktów z drugim człowiekiem, pozamykali się w domach. Rodzice zabraniali bawić się dzieciom na podwórkach. Zamknięto szczelnie okna. Jedynie niektórzy w bytomskich kościołach żarliwie wznosili swoje ręce ku Bogu, prosząc o uratowanie ich od zarazy. Ludzie umierali w domach, na ulicach, poza murami miasta. Wszędzie. Pojawił się też tyfus. Samo słowo wywoływało przerażenie. Niektórzy pod wpływem wysokiej gorączki tracili wszelki rozsądek i popadali

w szaleństwo. Podobno wiele osób nagle zerwało się z łóżek, w których leżeli i wyskoczyło przez okno, prosto na uliczny bruk, nie mogąc znieść gorączki bądź obrazów, które dzięki niej widzieli w swoich szalonych wizjach. To nie był jednak koniec ich szaleństwa. O ile podczas skoku nie połamali nóg, podnosili się i zaczęli biec. Pomimo skrajnego wyczerpania biegli kilkaset metrów w nieznanym sobie kierunku. W pewnym momencie całkowicie opuszczały ich siły, więc padali. Tam, gdzie upadli, tam umierali i tam zostali pochowani – często poza murami Bytomia²¹¹. Miasto opustoszało, więc pewnie dlatego prawie nikt nie zwrócił uwagi na samotnego mężczyznę wolno przechadzającego się ulicami miasta. Chodził, spokojnie rozglądał się wokół, a gdy czasami zauważył, że ktoś dogorywa na ulicy lub poza murami miasta, podchodził do takiej osoby, kładł rękę pod jej głowę, którą delikatnie unosił do góry i wpatrywał się w oczy umierających. Dla wielu ludzi, którzy w samotności i poniżeniu żegnali się z tym światem widok jego jasnoblękitnych oczu był ostatnim obrazem jaki widzieli.

²¹¹ Podobno w wielu takich miejscach w kierunku Piekar, Tarnowskich Gór, Chorzowa czy Szombierek ich rodziny ustawiały później pamiątkowe krzyże czy kapliczki.

1739

W 1739 r. do Bytomia przyjechał jezuita Tomasz, który przez ostatnie lata dość wysoko zaszedł w strukturach swojego zakonu²¹². Nikogo nie uprzedził o swojej wizycie. Gdy dotarł powozem do rodzinnego miasta, z wielką czułością spoglądał na kamienne mury, na bramy miejskie i na budynki, które tak dobrze znał. Kochał to miejsce całym sercem. Miał już swoje lata. Ostatni raz był w Bytomiu 28 lat temu. Czuł, że nadchodzi czas rozłąki z tym światem, ale jako zagorzały katolik nie bał się tego momentu. Powóz podwiózł go pod sam dom. Ten sam, który kiedyś wzniesli jego przodkowie, a jego ojciec Andrzej stale remontował go ze swoim bratem Józefem. Nadal mieszkała tam jego rodzina. Jezuita wysiadł z powozu i głośno zapukał w drewniane drzwi dość okazałej chaty. Te po chwili otworzyły się szeroko, a Tomasz dojrzał w nich twarz młodego chłopaka, który z wielkim zdziwieniem patrzył na starego księdza. Dopiero, gdy do drzwi podeszedł jego ojciec, a Tomasz przedstawił się, powitaniom i radości nie było końca. Natychmiast wciągnięto go do wnętrza chaty, przyniesiono jego bagaże, a na stole pojawiły się duże ilości jedła i wina. Wszyscy zasiedli do wspólnego posiłku i słuchali opowieści Tomasza o kolejnych krajach, które odwiedził jako jezuicki misjonarz. To był piękny wieczór. Tomasz zmęczony położył się spać w izbie na piętrze, w której kiedyś często nocował Józef, gdy razem z Andrzejem zasiedzieli się przy robocie.

Rankiem obudził się w pełni sił. Szybko przemył twarz wodą i ubrał się w swój habit. Po cichu zszedł schodami na dół i wyszedł z chaty. To był typowy wrześnieowy poranek. Na dworze świeciło słońce, ale był dość rześko. Jezuita spokojnym krokiem ruszył w stronę rynku. Po drodze mijał nielicznych mieszkańców miasta, którzy ze zdziwieniem spoglądali na niego. Tak szacowny gość w mieście? Dlaczego? – zastanawiali się. Nie rozpoznali w nim dawnego Tomasza. Zresztą, niewiele żyło już osób, które go pamiętały. Tomasz przeszedł przez rynek, na którym kramarze szykowali się do swoich codziennych zajęć i ruszył w stronę Placu Klasztornego, w stronę minoryckiego klasztoru. Gdy tam dotarł, zauważył gwardiana, który akurat otwierał drzwi do klasztornej kościoła św. Mikołaja. Ten również go dostrzegł. Obrócił się na pięcie i wyszedł na spotkanie jezuity.

– Tak szacowny gość? – powiedział wyciągając z uśmiechem, ale też ze zdziwieniem rękę w stronę Tomasza – Z jakiego to powodu?

²¹² W 1773 r. papież Klemens XIV, pod naciskiem wrogich Kościołowi i Towarzystwu Jezusowemu dworów burbońskich, rozwiązał zakon jezuitów.

- Witaj, gwardianie - odparł Tomasz - Ja właściwie do sadu...

Gwardiana wręcz zamurowało.

- Do sadu? - spytał.

- Tak. Jest w tym samym miejscu, co kiedyś?

Gwardian był tak zaskoczony, że stracił język w gębie.

- Taaakkkk.... - powiedział wskazując ręką - Tam, gdzie zawsze, ale jest zaniebany...

- Dziękuję - powiedział Tomasz i ruszył we wskazanym kierunku.

- Ale po co... - powiedział za nim gwardian nie rozumiejąc, co się dzieje.

- Chcę się tam pomodlić - powiedział na odczepnego Tomasz.

- Aaaaaa.... - gwardian udał, że zrozumiał, choć nadal ze zdziwienia nie potrafił ruszyć się z miejsca.

Tomasz ruszył za zabudowania klasztorne, do miejsca, gdzie zawsze znajdował się sad minorytów, który doskonale pamiętał z dzieciństwa. Gdy tam dotarł, ujrzał zakonnika pochylonego nad skrzynią, w której leżały dorodne, wrześnie jabłka. Zanim Tomasz odezwał się do niego, przeżegnał się szerokim gestem.

- Wiedziałem, że cię tu znajdę - powiedział.



Ilustracja 77 - Mnich w sadzie.

Zakonnik drgnął. Powoli odwrócił twarz w stronę Tomasza.

- Wiem, kim jesteś - mówił dalej Tomasz - Pokaż swoje prawdziwe oblicze. Nie musisz się przede mną ukrywać.

Zakonnik wpatrywał się w Tomasza. Nagle jego oczy zaczęły zmieniać kolor. Z ciemnych stały się jasnobłękitne.

- Witaj, Tomaszu - powiedział.

- Witaj - odparł jezuita - Jestem Tomasz, syn...

- Doskonale wiem, kim jesteś - przerwał mu zakonnik.

- Co robisz?

- Zajmuję się moimi owocami - zakonnik wskazał ręką na jabłka.

- Robisz to od wieków... - dodał cicho Tomasz.

- Tak.. Dlaczego do mnie przyszedłeś?

Tomasz spojrzał w jego błękitne oczy.

- Powiedz mi, czego chcesz? - spytał jezuita.

- Od ciebie niczego - odparł spokojnie zakonnik.

- Myślałem, że... - mówił Tomasz - kiedy została zdjęta klątwa, odejdiesz z miasta.

Zakonnik nie odpowiedział. Pochylił się nad skrzynią wypełnioną jabłkami. Poranne promienie słońca przebijały się poprzez obwieszane owocami gałęzie jabłoni.

- Dlaczego nie odszedłeś? - spytał Tomasz.

Zakonnik spojrzał na niego.

- Dopóki ludzie czynią na tym świecie zło, dopóty ja na nim jestem - odparł.

- Nie jesteś bożą sprawiedliwością - powiedział głośniejszym głosem Tomasz - Jesteś Złym.

- A to jakaś różnica? - spytał zakonnik.

Zza węgła całej scenie przypatrywał się gwardian, do którego doszedł jeden z zakonnych braci. Obydwaj pozostali w ukryciu, ukradkiem spoglądając na stojącego w sadzie jezuitę. Poza nim nie widzieli tam nikogo innego.

- Co on robi? - spytał brat - Gada z drzewami?

- Mówił, że idzie się pomodlić - odparł gwardian.

- Dlaczego akurat tutaj? - spytał brat.

- Nie mam pojęcia. Wydaje mi się jednak, że on dobrze zna to miejsce... - mówił gwardian.

- Skąd?

- Nie wiem, bracie.

Obydwaj jeszcze przez chwilę patrzyli na jezuitę.

- Dajmy mu w spokoju porozmawiać z Bogiem - powiedział gwardian. Obydwaj zakonnicy ukradkiem wycofali się do tyłu.

– Zastanawiam się, na kogo polujesz... Kogo ścigasz... – mówił Tomasz.

Zakonnik nie odpowiadał. Grzebał ręką wśród jabłek.

– Mój ojciec i wuj mówili, że upatrzyłeś sobie hrabiowski ród.

Zakonnik w milczeniu szukał czegoś w skrzyni. Po chwili wyciągnął rękę, w której trzymał dorodnych rozmiarów jabłko w pięknych odcieniach czerwieni.

– Widzisz to jabłko? – spytał.

– Tak – odparł Tomasz.

– Przypatrz mu się uważnie... – zakonnik przybliżył jabłko do ust i wypowiedział jakieś słowa. Po chwili Tomasz zauważył, jak z wnętrza jabłka wydostają się robaki.

– Zepsute, zgniłe i zatrute w środku – powiedział zakonnik – Choć na zewnątrz tak piękne...

Jezuita nie odpowiedział.

– Wiesz, co się stanie, gdybym je pozostawił z innymi? – spytał zakonnik.

– Robaki przedostaną się do innych jabłek – odparł Tomasz.

– Tak. A dalej?

– Wszystkie jabłka ulegną zepsuciu.

– Właśnie tak. Co dalej?

Tomasz zastanowił się chwilę.

– Wszystkie jabłka trzeba wyrzucić... – powiedział.

– A jabłoń?

– Jabłoń jest niczemu nie winna, że wydała takie jabłka. Robaki przychodzą z zewnątrz...

Zakonnik skinął twierdząco głową.

– To rozumiem – odparł Tomasz – Tylko jednego nie pojmuję. Jesteś Złym. Powinno ci zależeć na zepsuciu całego gatunku ludzkiego. Na destabilizacji całego boskiego świata... Na zachwianiu jego równowagi... Skąd ta troska?

Zakonnik spojrzał na niego błękitnymi oczami.

– A kto ci powiedział, że to troska? – spytał.

– Jak nie troska, to co?

– Dbłość o własne interesy.

– Jakie interesy? – dopytywał Tomasz.

Zakonnik opuścił głowę. Ostrożnie położył do skrzyni jabłko, które miał w ręku. Gdy je wkładał, nie miało na sobie żadnych śladów zepsucia.

– Walka Dobra ze Złym – powiedział – Odwieczna. Jestem tylko jej elementem.

Tomasz zaczął rozumieć.

– Nie możesz zasiać samego zła, bo wszystkie jabłka trzeba będzie wyrzucić, a ty nie będziesz miał o co dbać – powiedział.

Zakonnik w milczeniu uniósł do góry dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym dając w ten sposób znak, że jezuita trafił w dziesiątkę. Tomasz obserwował jego wprawne ruchy przy jabłoniach.

- Znasz się na uprawach... - powiedział.

- Tak, uwielbiam je... - odparł zakonnik.

- Masz nadal ową bliznę? - spytał nagle Tomasz.

Zakonnik spojrzał na niego.

- Mój wuj mi wszystko opowiedział - kontynuował jezuita.

- Co ci mówił? - spytał zakonnik.

- O twojej ranie na piersi i cyfrach 666.

Zakonnik tylko słuchał.

- O waszym nocnym spotkaniu, które tak przeraziło wuja.

Zakonnik nawet nie mrugnął swoimi błękitnymi oczami.

- O twojej gorejącej ranie...

Zakonnik opuścił głowę.

- O tym, jak go okłamałeś w sprawie spowiedzi hrabiego Gabriela...

Głowa zakonnika jakby jeszcze bardziej opadła w dół.

- Znienawidził mnie za to, prawda? - powiedział cicho.

- Nie... - odparł Tomasz - Miał do ciebie pretensje, ale na pewno cię nie znienawidził.

- Nie? - zakonnik nagle podniósł głowę.

- Nie. Gdy o tobie mówił, zawsze z ciepłem w oczach. On chyba nawet martwił się o ciebie...

- Martwił... - szeptał cicho zakonnik.

Tomasz przyjrzał się dokładniej jego oczom.

- Ty... płaczesz? - spytał zdziwiony.

Zakonnik nie odpowiedział. Otarł rękawem oczy i nos.

- Twój wuj był bardzo mądrym człowiekiem - powiedział.

- On to samo mówił o tobie - powiedział Tomasz - Z tą różnicą, że nie nazywał cię człowiekiem...

- Był moim przyjacielem... - szepnął cicho zakonnik - Jedynym, jakiego miałem...

- Nie możesz już z nim porozmawiać? - spytał Tomasz.

- Nie - odparł stanowczo zakonnik.

- Jest poza twoim zasięgiem? - dopytywał jezuita.

- Tak.

- Mój ojciec też?

- Tak.

Tomasz westchnął. Po chwili zakonnik odwrócił się i wrócił do pracy w sadzie.

- Kiedy odejdziesz? – spytał jezuita.
- Przyszedłeś, by mi w tym pomóc? – spytał nie odwracając się zakonnik.
- Niiieee... Po prostu pytam.
- Nie wiem. To nie ode mnie zależy...
- To od kogo?
- Spytaj swojego pana – odparł zakonnik spoglądając na Tomasza – Tego na samej górze.
- To on o tym zadecyduje? – spytał zdziwiony Tomasz.
- Tak. Jak zawsze.

Jezuita zagłębił się w swoich myślach.

- Po co tak naprawdę do mnie przyszedłeś? – spytał go zakonnik.
- Chciałem cię poznać – odparł wyrwany z myślowego letargu Tomasz.
- Po co?
- Nie wiem. Czuję, że muszę. Poza tym chciałem zapytać, kiedy odejdziesz...
Wiem, że mój ojciec i wuj chcieliby to wiedzieć...

Zakonnik spojrzał na niego. Jego błękitne oczy gorały wewnętrznym blaskiem.

- Wiesz, że za niedługo umrzesz? – spytał.
 - Wiem – odparł z uśmiechem Tomasz – Wiem, że kto spojrzy w twoje oczy, musi odejść. Tylko Józefowi dałeś spokój...
 - Bo był moim przyjacielem – odparł mnich – Nie boisz się śmierci?
 - Ani trochę.
 - Dlaczego?
 - Bo spotkam się z moim panem – odparł Tomasz – Czego mam się bać?
- Zakonnik patrzył na niego przenikliwym wzrokiem.
- Ja zawsze się boję – powiedział.
 - Czego? – spytał Tomasz.
 - Spotkania z panem... – odparł zakonnik.
 - Masz jeszcze zadanie do wykonania? – spytał jezuita.
 - Tak, niejedno – odparł zakonnik.
 - Jakie?

Zakonnik spojrzał na niego.

- Nie słyszałem tego pytania – powiedział uśmiechając się do niego.

Tomasz uśmiechnął się do niego.

- Pójdę już – powiedział.

Zakonnik skinął głową.

- Gdy już tam będziesz, powiedz wujowi, że ciągle o nim myślę i wspominam – powiedział na pożegnanie zakonnik – Powiedz mu, że dokończę swoje dzieło, a później odejdę.

- Dobrze... - odparł Tomasz i przeżegnał się - Z Bogiem... - szepnął.

Zakonnik nie odpowiedział. Zajął się swoją pracą. Tomasz jeszcze przez jakiś czas podziwiał ten niezwykle uporządkowany i zadbany sad.

- Piękny masz ten sad... - powiedział i odwracając się ruszył w stronę placu. Gdy tam doszedł, ponownie spotkał gwardiana. Może inaczej, gwardian tam na niego czekał.

- Już po modlitwie? - spytał Tomasz.

- O tak, już po... - odparł jezuita.

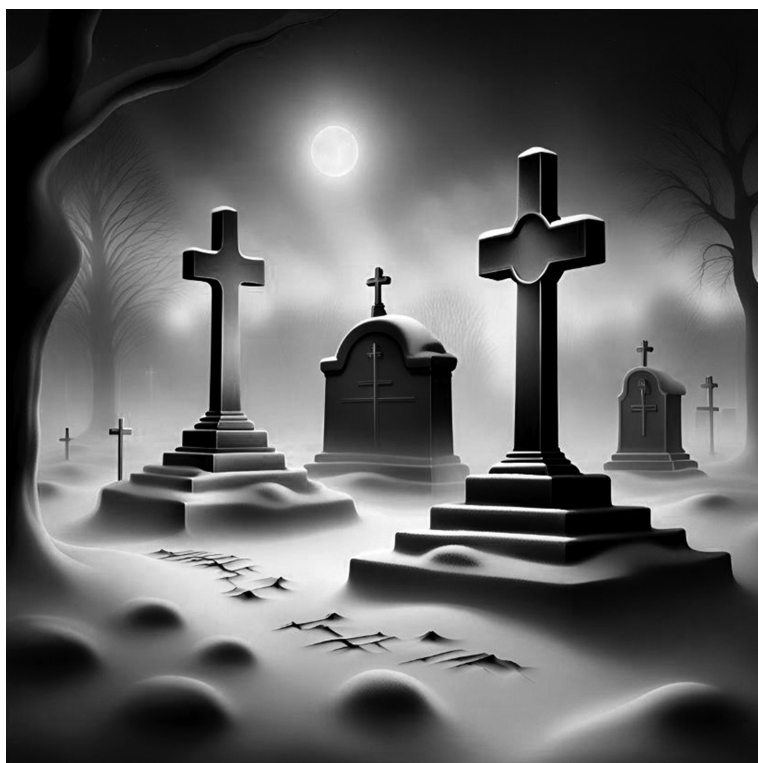
- Może ksiądz wejdzie w nasze skromne progi? - spytał franciszkanin.

- Dziękuję za zaproszenie, ale zatrzymałem się u rodziny - odpowiedział Tomasz.

- Ksiądz pochodzi z Bytomia? - spytał gwardian.

- Tak.

- Teraz rozumiem, skąd tak dobra znajomość tych miejsc - powiedział franciszkanin.



Ilustracja 78 - Dwie mogiły.

Tomasz uśmiechnął się do niego.

- Pójdę już. Rodzina pewnie się zastanawia, gdzie się straciłem z samego rana...

- Szczęść Boże - powiedział gwardian.

- Szczęść Boże - odparł Tomasz i ruszył w stronę rynku. Po chwili odwrócił się do tyłu.

- Piękną macie ten sad! - krzyknął w stronę gwardiana.

Ten tylko machnął ręką na pożegnanie. Kiedy stracił Tomasza z oczu, ruszył w stronę sadu. Gdy tam dotarł stanął pomiędzy drzewami, do lat zaniedbanymi, skarłowaciałymi i poskręcanymi, zarośniętymi i zapuszczonymi. Jabłonie od dawna nie urodziły jabłka, które dałoby się zjeść. Niektóre z nich, te najstarsze, zostały już wycięte. Krzaki owocowe ledwie wyglądały za morza pokrzyw i chwastów. Co tutaj jest pięknego? - pomyślał gwardian. Nie mógł zrozumieć zachwyty jezuity.

Tego samego dnia Tomasz odwiedził również miejski cmentarz. Dwie identyczne mogiły, ozdobione kamiennymi krzyżami, nadal stały przytulone do siebie.

- Witaj, ojcie. Witaj, wuju - powiedział Tomasz - Znowu was odwiedzam. Po tylu latach...

Wrześniowy dzień chylił się ku zmierzchowi.

- Chciałem wam tylko powiedzieć, że bardzo was kocham. Pewnie za niedługo się spotkamy. Bardzo się z tego cieszę.

Wiatr wzmaczał się coraz bardziej.

- Wuju, widziałem się z zakonnikiem. Dzisiaj. Rozmawiałem z nim. Kazał ci przekazać, że ciągle o tobie myśli. Nazwał cię swoim przyjacielem. Powiedział, że odejdzie, gdy dokończy dzieło. Cokolwiek to oznacza...

Gdzieś w oddali dało się słyszeć metaliczny dźwięk. Pewnie jakiś kowal zaczynał swoją pracę.

- Muszę już iść. Jutro wracam do siebie. Z Bogiem, moi kochani - powiedział Tomasz i odwracając się ruszył w stronę Bramy Pyskowskiej.

1740

Rok później jezuita Tomasz zmarł. Pochowano go z dala od Bytomia. Pewnie wołałby, aby było inaczej, ale nie miał na to wpływu. W 1740 r. w podbytomskiej wsi Rozbark, w okolicy otoczonego legendą i kultem źródelka św. Jacka na Sroczym Wzgórzu²¹³, wybudowano drewnianą kaplicę pod wezwaniem św. Jacka. Wzniesiono ją na gruncie należącym do Andrzeja Harczka. Początkowo planowano, że stanie w niej jedynie marmurowa figura św. Jacka, którą miał wykonać znany bytomski rzeźbiarz Jan Solski²¹⁴. Znalazła się nawet fundatorka owej rzeźby, którą była siostra Charitas Drozdowska z krakowskiego zakonu dominikanek²¹⁵. Bytomskim proboszczem był wtedy Chrystian Han. W dniu 6 sierpnia 1740 r. hrabia Karol Józef wraz z proboszczem pojawili się na Rozbarku. Hrabia osobiście wskazał miejsce, gdzie miała stać kaplica. Mieszkańcy Rozbarku zaczęli zbierać fundusze, ale najbardziej hojnym darczyńcą okazał się ówczesny sołtys Rozbarku Andrzej Gajda wraz ze swoją żoną Katarzyną. W dniu 28 sierpnia 1740 r. do kaplicy uroczyście wniesiono obraz z wizerunkiem św. Jacka, ufundowany przez siostrę Charitas Drozdowską. Później pojawiło się inne wyposażenie²¹⁶. Chyba nie było dziełem przypadku, że hrabia wskazał miejsce budowy kapliczki nieopodal stawu Klukowiec, w którym wcześniej na życzenie jego przodków bytomskie kobiety, podejrzane o czary, poddawano próbie wody. To jakby hrabiowska próba odkupienia. W 1741 r. władze pruskie zabroniły stosowania wszelkich tortur. Dawny świat, pełen polowań na czarownice, odchodził w zapomnienie...

W 1740 r. zmarł cesarz Karol VI Habsburg. Na austriacki tron cesarski wstąpiła jego córka Maria Teresa. Jej młody wiek próbował wykorzystać król Prus Fryderyk II Wielki z rodu Hohenzollernów, który w późniejszym okresie wyprowadził swoje państwo na szczyt europejskiej potęgi. Prusacy uderzyli na Śląsk. Rozpoczęła się kolejna wojna, ciągnąca za sobą głód, śmierć, zniszczenia i epidemie. Rodzina hra-

²¹³ Sroczce Wzgórze miało opinię miejsca, które w czasach pogańskich było ośrodkiem miejscowego, pogańskiego kultu. Istnieje legenda o pobycie w tym miejscu św. Jacka, jak i świętych Cyryla i Metodego. W źródelku, które wybijało ze wzgórza, odnajdowano małe skamieniałości, które uważano za perły św. Jacka. Robiono z nich różańce. Były to dość rzadkie skamieliny. W 1900 r. z Rozbarku wyruszyła pielgrzymka do Rzymu, podczas której papież Leon XIII otrzymał oprawiony w złoto różaniec wykonany z rozbarskich „perł”. Inna legenda mówi o istnieniu na Rozbarku rozległego dębu, który stał się siedliskiem Złego. Podobno w jego wypędzeniu pomogli bytomscy zakonnicy.

²¹⁴ Naprawdę nazywał się Jan Massa. Jest autorem wielu rzeźb o tematyce sakralnej, ozdabiających śląskie świątynie.

²¹⁵ Na życzenie prowincjała dominikanów odstąpiła od fundacji rzeźby na rzecz obrazu przedstawiającego św. Jacka.

²¹⁶ Ołtarz św. Jacka ufundował Stanisław Żonkowicz wraz ze swoją żoną Katarzyną. Dwa obrazy Matki Boskiej Różańcowej ufundowała Ewa Spyra. Ołtarz różańcowy wykonał Jan Solski. Sygnaturkę zamówił szlachcic o nazwisku Jordan z Wesolej. Kaplica istniała do 1801 r.

biego Karola Józefa wyjechała do Klisina. Mieli tam przeczekać ciężkie chwile. Nie udało się. W 1740 r. zmarł najstarszy syn hrabiego, 26-letni hrabia Erdmann Walenty. W dniu 22 października tego samego roku zmarła hrabina Maria Józefa z d. Brunetti, żona hrabiego Karola Józefa. Sam hrabia nie bardzo wiedział, jak się zachować w trakcie tego zbrojnego konfliktu. Najpierw szukał porozumienia z dworem pruskim, co nie uszło uwadze cesarzowej Marii Teresy. Później zmienił front i popierał cesarzową. Tzw. wojny śląskie zakończyły się sukcesem Hohenzollernów i ostatecznym przyłączeniem obszaru Śląska do Królestwa Pruskiego. Wielowiekowe panowanie Habsburgów dobiegło końca. Ród Henckel von Donnersmarck zawsze cieszył się poparciem rodu Habsburgów. W nowej sytuacji politycznej hrabia Karol Józef musiał opuścić swoje śląskie posiadłości, a jego dobra skonfiskowano. W późniejszym czasie ożenił się po raz drugi. Dokładnie w 1751 r. Tym razem jego wybranką stała się urodzona w 1729 r. w Wiedniu księżna Josepha Pestaluzzi di Grabadona. W dniu ślubu ona miała 22 lata, a on 63. Hrabia pewnie liczył na dalsze potomstwo, lecz z tego związku nie urodziło się już żadne dziecko.

1745

Gdy hrabia Karol Józef decyzją króla pruskiego miał opuścić Śląsk, z ciężkim sercem musiał wyjechać z Bytomia. Wojenna pożoga dotarła do miasta, w którym stacjonował oddział wojska, 2 eskadron huzarów²¹⁷. Służący załadowali do powozu majątek hrabiego, rzeczy, które mógł ze sobą zabrać. To była smutna wyprowadzka. Majątek jego ojców, z takim trudem zdobyty, teraz trzeba było porzucić. Wszystkie lata i wysiłki poszły na marne. Musiał uciekać, wynosić się stąd i pogodzić się z myślą, że Hohenzollernowie dokonają konfiskaty jego majątku. Hrabia zdawał sobie sprawę, że najprawdopodobniej już nigdy nie powróci. Gdy powóz był już gotowy, ruszył spod bytomskiego ratusza i przez Bramę Pyskowską i wyjechał poza mury miasta. To był środek dnia, więc na ulicach miasta było sporo ludzi zajętych swoimi codziennymi obowiązkami. Widząc hrabiowski powóz wiedzieli, kto w nim jedzie, a także znali przyczynę wyjazdu. Nikt hrabiego nie pozdrawiał. Nikt go nie żegnał. Hrabia



Ilustracja 79 – Hrabiowski powóz.

²¹⁷ Wspominał o tym w swoim sprawozdaniu tajny radca wojenny Lautensack.

wiedział, dlaczego. Przez ostatnie lata próbował żyć z mieszkańcami lepiej, nie czynić im krzywdy, ale pamięć jego dawnych wybryków ciągle pozostawała żywa. Tak, Bytom żegnał go z ulgą. Tak było. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

Powóz przejechał koło cmentarza. Powoziło nim dwóch woźniców, a koło powozu jechało dziesięciu konnych, którzy stanowili osobistą straż. Na tyle było jeszcze hrabiego stać. Minęli karczmę prowadzoną przez Żyda Böhma, która czasy swojej świetności miała już dawno za sobą. Gdy przejeżdżali koło Ścinadła, hrabia zauważył coś dziwnego.



Ilustracja 80 – Uciekający hrabia.

– Kto tam wisi na szubienicy? – spytał głośnie wychylając się z okna powozu.

– Gdzie, panie? – krzyknął woźnica.

– No tam! – hrabia wskazał ręką.

Woźnica długo się przypatrywał.

– Ja tam nikogo nie widzę, panie hrabio – powiedział po chwili.

– No jak, ślepy jesteś? – odparł zdenerwowany hrabia.

Woźnica ponownie spojrzał we wskazanym kierunku.

– Nic nie widzę, panie – odparł.

Głupek – pomyślał Karol Józef – Przecież tam ktoś wisi, a ktoś stoi pod szubienicą.

– Stań na chwilę! – krzyknął.

Powóz gwałtownie zatrzymał się w miejscu. Hrabia otworzył drzwiczki powozu.

– Gdzie pan idzie, panie hrabio? – spytał głośno woźnica – Przecież tam nikogo nie ma.

– Zaraz wróć! – odparł hrabia wychodząc z powozu i kierując się w stronę Ścinadła. Zbliżając się do tego miejsca straceń coraz wyraźniej widział ludzką postać wiszącą na szubienicy i mężczyznę stojącego pod szubienicą, patrzącego na zwisające zwłoki. Głupiek – pomyślał – Jak mógł tego nie widzieć?

– Ty, człowieku! – krzyknął idąc.

Mężczyzna stał niewzruszony.

– Słyszysz mnie? Kto wisi na szubienicy? Przecież nie było żadnego wyroku!

Hrabia był już bardzo blisko Ścinadła.

– Co tu się dzieje? – głos hrabiego był coraz bardziej niepewny.

Wtedy mężczyzna odwrócił się. Pomimo kaptura zarzuconego na głowę i mocno zarośniętej twarzy, Karol od razu zauważył jego błękitne oczy. Hrabia stanął w miejscu. Mężczyzna powolnym ruchem podniósł rękę i wskazał na szubienicę. Karol podążył wzrokiem za jego ręką. Na szubienicy wisiał mężczyzna. Zwisiał bezwładnie, a w ustach było widać nabrzmiały, siny język. Hrabia przyjrzał się dokładnie wisielcowi. Nagle jego serce ścisnął przerażający strach. Poznał twarz. Znał ją dobrze, bo to była jego twarz. Twarz hrabiego Karola Józefa. Błękitnooki mężczyzna stał bez ruchu z ręką wyciągniętą w stronę szubienicy. Karol jeszcze przez chwilę przyglądał się tej strasznej scenie i po chwili rzucił się do ucieczki.

– Widzisz to? – powiedział woźnica do swojego kompana – Najpierw gada sam do siebie, a teraz ucieka jak zając.

– Chyba zwariował ten nasz hrabia... – odparł drugi.

– Ruszaj! – krzyczał hrabia zbliżając się biegiem do powozu – Ruszaj, ile sił w kopytach!

Karol wpadł do powozu i zamknął za sobą drzwi. Ciężko dyszał. Spojrzał jeszcze raz w kierunku Ścinadła. Nikogo już tam nie było. Powóz ruszył pędem, szybko oddalając się od Bytomia. Na zawsze...

1760

Hrabia trafił do Austrii, pod skrzydła Habsburgów. Przez jakiś czas przebywał w Wiedniu, a potem trafił do wiekowego węgierskiego miasta Sopron, w którym widniały resztki rzymskiej warowni, odbudowanej w czasach krzyżowców. Tam spokojnie oczekiwał końca swoich dni. Nigdy nie powrócił do Bytomia, bo nie mógł. Zresztą, nawet gdyby mógł, to nie miał zamiaru wracać. Na początku 1760 r. znacznie podupadł na zdrowiu. Miał wtedy 72 lata. Od kilku tygodni zalegał w łóżu, a medycy próbowali mu pomóc. W pewnym momencie załamali ręce. Nie byli w stanie już nic więcej zrobić.

– Wezwijcie spowiednika – powiedział pewnego dnia hrabia – Chcę się wyświadczyć.

Po krótkim czasie do komnaty wszedł zakonnik. Dwóch najbliższych służących chciało opuścić pomieszczenie, ale hrabia zatrzymał ich ruchem dłoni wskazując miejsce w oddalonym rogu komnaty. Posłusznie udali się w tym kierunku i stanęli w pozycji wyczekującej. Karol śledził ich zmęczonym wzrokiem.

– Chcesz się wyświadczyć, synu? – spytał cicho zakonnik.

– Tak, ojciec – odparł hrabia – Czuję, że to już blisko...

Spojrzał na twarz zakonnika. Nagle próbował podnieść się z łóżka, ale był już zbyt słaby, żeby tego dokonać. Ponownie spojrzał na twarz zakonnika. Błękitne oczy, mój Boże, błękitne oczy... – pomyślał przerażony.

– Impletum est²¹⁸ – powiedział zakonnik.

Hrabia przestraszony rozejrzał się po pokoju. No tak, tylko on i ja w tym pokoju znamy ten język – pomyślał.

– Quid impletum est?²¹⁹ – spytał Karol.

– Fata tua, homo. Vitam tuam.²²⁰

– Quis es?²²¹ – spytał hrabia.

Mężczyzna patrzył mu w twarz, a błękit jego oczu hipnotyzował.

– Fatum tuum. Merces et poena tua.²²²

– Vis me ad Infernum ducere?²²³ – spytał wystraszony hrabia.

²¹⁸ J. łaciński: *Wypełniło się.*

²¹⁹ J. łaciński: *Co się wypełniło?*

²²⁰ J. łaciński: *Twój los, człowieku. Twój żywot.*

²²¹ J. łaciński: *Kim jesteś?*

²²² J. łaciński: *Twoim przeznaczeniem. Twoją nagrodą i karą.*

²²³ J. łaciński: *Zabierzesz mnie do Piekla?*

Niebieskooki milczał przez chwilę.

– Ibis quo vadis²²⁴ – odparł po chwili.

– Estne hic Infernum?²²⁵ – hrabia nie dawał za wygraną.

– Dic quod vis²²⁶ – odparł zakonnik – Haec est mea.²²⁷

– Ibi manebis apud me?²²⁸

– Tecum manebo in aeternum, homo²²⁹ – odparł zakonnik – Venit nunc...²³⁰

Hrabia spojrzał na służących. Oczywiście byli pewni, że spowiedź właśnie się zakończyła. Nie znali łaciny.

– Zawołajcie moją żonę – powiedział.

Jeden ze służących biegiem ruszył w stronę drzwi komnaty. Po chwili weszła księżna Josepha Pestaluzzi di Grabadona i ruszyła w stronę łóża. Nie zdążyła. Hrabia już nie żył. Księżna spojrzała na spowiednika, który podnosił się z krzesła.

– Zdążył się wyspowiadać? – spytała.

– O tak, pani. Zdążył... – odparł spokojnie zakonnik.

Księżna zwróciła uwagę na jego jasnoblękitne oczy. Chwilę później zaniósła się płaczem godnym wdowy po zmarłym mężu. Zakonnika już nie było w komnacie.

Hrabia Karol Józef Erdmann Henckel von Donnersmarck zmarł w Sopron w dniu 6 marca 1760 r. Tam też został pochowany, w kościele pw. św. Michała Archanioła. Z dała od swoich śląskich posiadłości...

²²⁴ J. łaciński: *Pójdiesz tam, gdzie zmierzałeś.*

²²⁵ J. łaciński: *Czy to jest Piekło?*

²²⁶ J. łaciński: *Nazywaj to, jak chcesz.*

²²⁷ J. łaciński: *To mój dom.*

²²⁸ J. łaciński: *Zostaniesz tam ze mną?*

²²⁹ J. łaciński: *Zostanę już z tobą na zawsze, człowieku.*

²³⁰ J. łaciński: *Chodź już.*

*Consummatum est opus*²³¹

„Zabijcie ich wszystkich!. Przecież miły Bóg rozpozna swoich ludzi!”

legat papieski Arnold Amalryk
do rycerzy francuskich walczących z katarami

„Nic nie mogłoby lepiej służyć celom Szatana niż to, że Kościół katolicki, jego najbardziej bezkompromisowy przeciwnik, zostanie ponownie utożsamiony ze wszystkimi ekstrawagancjami wierzeniami i przesądami szaleństwa na punkcie czarownic [...] To naprawdę gra mu na rękę; po pierwsze, ponieważ ośmiesza Kościół, przypisując mu naukę rażąco sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem; a po drugie, ponieważ jest kojarzone z opowieściami o wszelkiego rodzaju paskudztwach, które pod płaszczykiem dostarczania naukowych informacji karmią lubieżną ciekawość”.

Augustus Montague Summers

Razem z hrabią Karolem Józefem Erdmannem na wygnaniu w Austrii przebywał jego syn, hrabia Łazarz III, który urodził się w 1729 r. Przebywając tam uzyskał tytuł cesarskiego szambelana. Wybrał karierę wojskową. Od 1764 r. był majorem w cesarskiej armii. W wojnie siedmioletniej walczył przeciw Prusom. Na Śląsku pozostał jego starszy brat, urodzony w 1721 r. w Klisinie hrabia Franciszek Ludwik Henckel von Donnersmarck. To właśnie jemu w 1746 r. udało się odzyskać rodowy majątek. Nie mógł już rezydować w bytomskim ratuszu, więc kupił część Tarnowskich Gór i tam wybudował swój pałac²³². Jego małżonką została Leopoldyna, z domu von Sobeck und Kornitz z Koszęcina. Obydwoje stali się fundatorami wielu katolickich świątyń. Nie mieli dzieci. Hrabia Franciszek Ludwik zmarł w 1768 r. Został pochowany w Bytomiu, w krypcie klasztornej kościoła minorytów św. Mikołaja na Placu Klasztornym²³³. Właśnie wtedy spadek po nim przejął hrabia Łazarz III. Swoją siedzibę przeniósł do Siemianowic, gdzie kiedyś mieszkała jego babcia. Rozpoczął zupełnie nowy rozdział w historii rodu Henckel von Donnersmarck. Okres przemysłowego rozwoju. Jego młodszy brat, hrabia Karol Józef²³⁴ został duchownym i jako prałat-infulat oraz scholastyk wiedeńskiej katedry św. Stefana pozostał w Austrii. Ród hrabiów zaczął postępować zupełnie inaczej. Wdowa po hrabim Karolu Józefie

²³¹ J. łaciński: *Dzieło dobiegło końca*.

²³² Mowa o Karluszowcu.

²³³ Gwardianem bytomskiego klasztoru był wtedy Alexander Mosch.

²³⁴ Żył w latach 1727-1795.

Erdmannie, księżna Josepha Pestaluzzi di Grabadona zmarła w 1783 r. Została pochowana w Wiedniu. Na jej śmierci zamknął się pewien etap...



Ilustracja 81 – Podziemna komnata.

Zaczęły się dziać dziwne i niespotykane rzeczy. W 1784 r. Bytom i najbliższą okolicę nawiedził grad, który zniszczył większość upraw. Pola zostały zmiażdżone jego opadami. Nie ocalało praktycznie nic. Z tego powodu zapanowały nędza i głód. To był wyraźny, choć być może ostatni oddech Złego, który jak gdyby w ten przerażający sposób chciał się pożegnać z tym światem. Raz na zawsze. Wiele osób szeptało wtedy o działaniu czarownic, ale nikt nie miał już odwagi wskazać jakąś winną. W dniu 23 sierpnia 1785 r. w mieście dało się odczuć potężny wstrząs. Jakby pod ziemią coś próbowało się przebić, dojść do miejsca, gdzie miało spocząć na wieki. W swojej podziemnej celi. Ludzie wystraszyli się niesamowicie, ale po jakimś czasie wszystko ucichło. Nie spodziewano się kolejnego wstrząsu. W dniu 28 lutego 1786 r. o godz. 6.00 ziemią zatrzęsło jeszcze mocniej. Wstrząs był tak silny, że popękały ściany niektórych bytomskich domów. Mieszkańcy byli przerażeni. Wypadli na ulicę, patrząc na siebie ze strachem. Nie wiedzieli, co się stało. Dotąd jeszcze nikt czegoś takiego nie przeżył. Miało się wrażenie, że pod ziemią coś się zawaliło. Uwięziło bądź zagrodziło sobie drogę. Od tego czasu nikt już nie widział mężczyzny o błękit-

nych oczach. Jednak w późniejszym okresie Bytom przeżył tak wiele podziemnych wstrząsów, że kto wie, co się zawaliło, a co otworzyło...

Brat co sił w nogach pędził w stronę zabudowań klasztornych, które dokładnie w tym czasie, za sprawą dotacji hrabiów Henckel von Donnersmack, były gruntownie remontowane. Podobnie było z kościołem św. Mikołaja, który nie tylko odzyskiwał swój dawny blask, ale jednocześnie znacznie go przebudowano²³⁵. Brat wpadł na klasztorny dziedziniec i szukał wzrokiem gwardiana, który najczęściej przebywał w tym miejscu.

– Ojcie – krzyknął, gdy zobaczył gwardiana zatopionego w porannej modlitwie – Ojcie!

Gwardian spojrzał na niego.

– Co się stało, bracie? – spytał – Wyglądasz, jakbyś zobaczył samego Diabła.

– Ojcie... – dyszał brat – Musisz to zobaczyć...

– Ale co?

– Chodź za mną – powiedział brat głosem nieznoszącym sprzeciwu. Gwardian podniósł się z kolan i posłusznie ruszył za nim.

– Gdzie idziemy? – spytał.

Brat nie odpowiedział. Maszerował dziarskim krokiem na tyły klasztoru.

– Gdzie idziemy, bracie? – powtórzył gwardian.

Brat znowu nie odpowiedział. Zrobił jeszcze kilkanaście kroków i stanął. Gwardian doszedł do niego.

– O co chodzi? – spytał.

Brat wyciągnął rękę i wskazał mu klasztorny sad. Gwardian wcześniej tego nie zauważył. Wszystkie jabłonie były pokryte pięknym, biało-różowym kwieciami. Brat nie odzywając się stał i w milczeniu spoglądał na niecodzienne zjawisko. Kwieciecia było tak dużo, że pomimo nienajlepszego stanu klasztornego sadu, złej kondycji wielu owocowych drzewek, wszystko wyglądało jak przedsionek nieba.

– Jak to możliwe... – szepnął gwardian patrząc ze zdziwieniem na morze biało-różowych kwiatów – Bracie, jak to możliwe? Przecież mamy dopiero początek marca... Brat nie odzywał się. Gwardian również zamilkł, bo widok tak obficie kwitnących jabłoni był niezwykle fascynujący. Obydwaj wpatrywali się w kwiaty. Gwardian ruszył nieco do przodu.

– Bracie! – krzyknął.

Ten szybko podszedł do niego. Gwardian bez słowa wskazał palcem. Pod drzewem ktoś leżał. Brat dojrzał postać i szybko ruszył w jej kierunku. To był mężczyzna

²³⁵ W takiej formie zachował się do dzisiaj.

w zakonnym, minoryckim habicie. Brat złapał go za ramię i odwrócił. Ciało mężczyzny bezwiednie się poddało.



Ilustracja 82 – Kwitnący sad.

– To zakonnik! – krzyknął brat.

– Słucham? – spytał gwardian podchodząc bliżej.

– Wygląda jak jeden z nas – odparł brat.

Gwardian przypatrywał się twarzy martwego mężczyzny.

– Ja go nie znam... Pierwszy raz widzę go na oczy... Kim on jest i co tu robi? – pytał sam siebie.

– Nie wiem, ojcie – odpowiedział brat – Ja też go nie znam....

– Kto to jest? – pytał gwardian.

Brat nie odpowiedział. Przeszukiwał kieszenie habitu, szukał czegokolwiek...

– Nic nie ma... – powiedział do gwardiana.

– Trzeba to zgłosić, a zakonnika pochować... – powiedział gwardian pochylając się nad zwłokami. Położył rękę pod głowę zmarłego. Kim ty jesteś, człowieku? – pomyślał. Wpatrywał się z uwagą w twarz martwego zakonnika. Nic, żadnych skojarzeń.

– Czekaj, może ma jakiś medalik? Łańcuszek? – mówił gwardian odchylając habit na tyle, by móc spojrzeć na pierś zmarłego.

– Chryste Panie! – krzyknął nagle odsuwając się gwałtownie.

Brat ze strachem spojrział na gwardiana.

– Ojczy, co jest? – szepnął.

– Spójrz na jego pierś – powiedział gwardian wskazując palcem zmarłego. Brat przyklęknął i pochylił się, by móc przyjrzeć się martwemu zakonnikowi. Po chwili ze strachem odskoczył.

– Matko Przenajświętsza... – szepnął żegnając się kilkukrotnie.

Obydwaj spojrzeli na siebie, nie kryjąc przerażenia.

– Co to jest? – szepnął brat.

– Znak bestii, bracie. Cyfry 666 – powiedział gwardian.

– Na pewno?

– Tak, jestem tego pewien – odparł zakonnik.

Brat przeżegnał się żarliwie. Przez dłuższą chwilę nie odzywali się do siebie. Nie wiedzieli, co powiedzieć. Nie wiedzieli też, co zrobić. Po chwili gwardian ponownie zbliżył się do ciała. Palcem próbował podnieść powiekę zmarłego. Niebieskie oko. Tego się spodziewał...

– Co z nim zrobimy? – spytał cicho brat.

Gwardian intensywnie myślał. Nie można było wykonać jakiegoś niemądrego ruchu. To mogło się zemścić na zakonnikach.

– Pochowamy go... W innym miejscu, niż wszystkich naszych braci... Musimy go pochować w tajemnicy – mówił nabierając przekonania do swoich słów – To nie może się rozejść...

– Czyli gdzie? – spytał brat.

Gwardian w milczeniu rozglądał się dookoła.

– Gdzieś tam, w pobliżu murów – odparł po chwili – Tylko trumnę musimy solidnie zabić gwoździami, żeby Zło się nie wydostało...

Brat w milczeniu skinął głową. To był dzień 1 marca 1786 r. Gdy obydwaj pochowali tajemniczego zakonnika, nie wiedzieli, że obok znajduje się o wiele starszy pochówek kobiety...

W 2024 r. podczas prac ziemnych prowadzonych na Placu Klasztornym odkryto resztki kamiennej budowli. Przy niej odnaleziono dwa ludzkie szkielety. Jeden z nich należał do młodej kobiety, być może pochowanej w XVII w. Nie było śladu trumny, a ułożenie jej ciała było dosyć chaotyczne i nietypowe. Można odnieść wrażenie, że ktoś chciał ukryć jej zwłoki. Drugi szkielet należał do mężczyzny. Jego pochówek najprawdopodobniej pochodził z XIX lub z końca XVIII w. Pochowano go w trumnie, która była zabezpieczona dużymi, metalowymi gwoździami. Było ich tam sporo. Wyglądało to tak, jakby ktoś chciał mieć pewność, że zmarły w żaden

sposób nie będzie w stanie wydostać się z trumny. Obydwa ciała znajdowały się w miejscu, gdzie nigdy nie chowano zmarłych. Skąd się tam wzięli, dlaczego pochowano ich w tym miejscu, kim byli i w jakich okolicznościach zmarli, tego zapewne nie dowiemy się już nigdy.

Epilog

„Zabobon to dziecko strachu, słabości oraz niewiedzy”

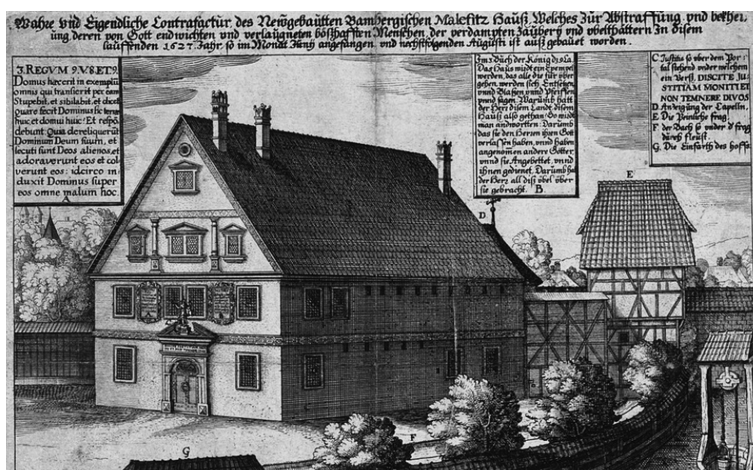
król Fryderyk Wielki

Wiara w wiedźmy jest bardzo stara. Starożytni Grecy wierzyli, że w Tesalii żyły lubieżne kobiety, czarownice, które potrafiły przemienić się w zwierzęta, żywiły się ludzkim mięsem i były niezwykle biegłe w sztukach magicznych. Starożytni Babilończycy, jak również Izraelici wierzyli w demony i czarownice. Pogańscy Germanie twierdzili, że niektóre kobiety posiadają nadludzką moc. Talmud wspomina o Lilith, pierwszej kobiecie, która buntując się przeciwko Bogu sprzymierzyła się z demonem, aż sama stała się potworem mordującym inne dzieci. Wikingowie wierzyli w istnienie żeńskiej bogini o imieniu Freyja, posiadającej wielką moc. Znane są również opowiadania dotyczące istnienia Walkirii, przerażających bogini walki i wojny. Czarownice²³⁶ to tylko kolejna forma interpretacji kobiecej siły i natury. Kiedy w Europie zapanowało chrześcijaństwo, Kościół tylko umocnił te wierzenia, nadając im nową formę. Najpierw skupiono się na bezwzględny i bezlitosny tępieniu heretyków (odstępców od wiary), a później do tego grona zaliczono ludzi podejrzanych o czary. W XIII w. na zachodzie Europy nagle zaczęła rosnąć liczba procesów o czary. W latach 1450-1540 powstało wiele pseudonaukowych traktatów, które opisywały sposoby rozpoznawania czarownic i ich zwalczania. W 1484 r. papież Innocenty VIII wydał bullę „*Summis desiderantes affectibus*”, która mocno ugruntowała wiarę ówczesnych ludzi w istnienie czarów i czarownic. Holender Johann Weiher twierdził, że Piekło składa się z 6666 legionów, a każdy legion z 6666 diabłów. Ich pomocnikami miały być właśnie czarownice.

Zazwyczaj posądzano o to kobiety, rzadziej mężczyzn. Kobiet po prostu się bano – szczególnie w męskim świecie, jaki wtedy panował. Uważano je również z natury za zdemoralizowane i zepsute. Mówił o tym już św. Tomasz z Akwinu. Uznawano jedynie ich cielesność, a nie intelekt, stąd częste w średniowieczu tolerowanie miejskich domów publicznych. Środowisko kościelne, pogrążone w dość uciążliwym i często łamanym celibacie, wołało odsunąć od siebie podejrzenia i przekierować

²³⁶ Nazwa najprawdopodobniej pochodzi od staronordyckiego słowa „*hagazussa*” oznaczającego „kobietę na płocie”, które w XV w. przekształciło się w „*hüchse*” lub „*hüxe*”. Język łaciński określa je jako „*striga*” („sowa”) lub „*malefica*” („czarownica przynosząca szkody”). Język włoski mówi o „*erbaria*” („zielarka”), francuski o „*sorciere*” („czarownica”), a angielski „*wicca*” („mądra kobieta”) – późniejsze „*witch*”.

je na istoty słabsze, bardziej skłonne do czarów i magii. Pojawiły się osoby, które pod płaszczykiem Świętej Inkwizycji zaczęły dokonywać swoich straszliwych czynów, jak biskup Beauvais Pierre Cauchon (1371-1442), który oskarżał Joannę d'Arc i przyczynił się do jej śmierci. Nie tylko katolicy potępiali rzekome czarownice. Robili to również protestanci, a sam Marcin Luter wypowiadał się o nich bardzo negatywnie i wrogo. Całym sercem wierzył w ich istnienie. Pod koniec XVI w. i w całym XVII w. polowania na czarownice w niektórych krajach Europy przybrały szczególnie na sile.



Ilustracja 83 – Specjalne więzienie dla kobiet w Bambergu; źródło: wikipedia

Jednakże prześladowania rozpoczęły się już w pierwszej połowie XV w., głównie na terenie Szwajcarii i na południowym wschodzie Francji²³⁷. Pojawiali się sadyści, „łowcy czarownic”, którzy znaleźli sobie takie źródło dochodu, jak również zaspokajania swojej chorej psychiki. Jednym z nich był Francuz Henri Bouget (1550-1619), który opowiadał zmyślane cuda o dzieciach poczętych z cielesnego związku kobiet ze Złym. Innym był Heinrich Kramer (1430-1505), dominikanin z Alzacji, który uważał się za człowieka oczyszczającego świat z plagi czarownic. To właśnie on napisał słynne i przerażające dzieło „Młot na czarownice” (łac. „Malleus Maleficarum”), podręcznik opisujący czarownice i sposoby ich zwalczania i karania²³⁸. Książkę, ze stron której wręcz leje się chorobliwa pogarda dla kobiet. In-

²³⁷ W latach 1460-1475 w południowej Francji spalono 30 czarownic.

²³⁸ W 1435 r. w Nicei ukazało się dzieło Jana Nidera „Formicarius” uważane za równie niebezpieczne, jak „Młot na czarownice”. W 1595 r. ksiądz Stanisław z Gór Poklatecki w swoim dziele „Pogrom – czarnoksiężskie błędy latawców i alchemiczne fałszy” wszelkie praktyki odbiegające od powszechnie znanych uznał za dzieło Szatana. W 1675 r. J. K. Haur w „Skład albo skarbiec znakomity sekretów ekonomii ziemiankiej” wyraził swoje szczere przekonanie o szkodliwości czarownic. Piotr Skarga w „Żywotach Świętych” z 1579 r. wiele miejsca poświęcił opowieściom o dziwnych wydarzeniach, które przypisywał siłom nadprzyrodzonym. Jeszcze w 1754 r. we Lwowie ukazało się „Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej sciencyi pełna (...)” autorstwa księdza Benedykta Chmielowskiego, w której autor opisywał wiele przypadków opętania, a także działalności czarownic.

nym człowiekiem opętany szaleńczą wizją oczyszczenia świata z czarownic był Balthasar Nuss (ok. 1545-1618), prawa ręka benedyktyna i opata klasztoru w Fuldzie Balthasara von Dernbacha (1548-1606). W latach 1602-1605 prowadził procesy o czary, w których zginęło ok. 270 kobiet. Egzekucji dokonywano w miejscu zwanym „Hexenküppel”, niewielkim wzniesieniu na wschód od Fuldy. Wikariusz generalny i biskup sufragan Friedrich Förner (1568-1630), fanatyczny sługa kontrreformacji, widząc wokół siebie świat pełen wiedźm i czarownic w 1627 r. w Bambergu kazał dla nich zbudować specjalne więzienie nazwane „Trudenhause”²³⁹. Co najmniej 884, a prawdopodobnie około 1000 osób padło ofiarą polowań na czarownice prowadzonych z inicjatywy Förnera w klasztorze w Bambergu, które miały miejsce w trzech głównych falach w latach 1612-1630. Nazywano go „Ponurym potępiaczem czarownic”. W 1628 r. on sam został przez nieznane źródło zadenuncjowany jako wiedźmin i czarownik. Nawet w dalekiej Islandii w latach 1604-1720 o czarownictwo oskarżono 110 mężczyzn. Podobnie działo się na terenie Finlandii i Estonii. Szaleństwo zataczało coraz większe kręgi²⁴⁰.

W latach 1450-1750 w całej Europie płonęły stosy z czarownicami. Najwięcej w ówczesnym Świętym Cesarstwie Rzymskim, które obejmowało Niemcy, Niderlandy, Szwajcarię, Lotaryngię, Austrię i Czechy. Procesów o czary było tam ok. 50 tys., a egzekucjami zakończyło się ok. 30 tys. Na terenie Polski i Litwy oraz Węgier i Rosji procesów czarownic naliczono ok. 7 tys. Zginęło w nich ok. 2 tys. kobiet. We Francji spalono około tysiąca rzekomych czarownic, a w Hiszpanii, Portugalii i Włoszech jeszcze mniej. Na Śląsk i na ziemie polskie „moda” na procesy czarownic nadeszła z północnych Niemiec²⁴¹ (obszary dzisiejszego Pomorza Zachodniego), gdzie chociażby odbył się słynny proces Sydonii von Borck. W skali całej Europy szacuje się, że w tym okresie mogło się odbyć ok. 100 tysięcy procesów o czary, z których mniej więcej połowa mogła się zakończyć wyrokiem śmierci. Nie ulega wątpliwości, że zjawisko miało ścisły związek z polityką kontrreformacji, wypracowaną przez Kościół katolicki na soborze w Trydencie (1545-1563). Sytuację wykorzystano do wielu nadużyć lub w czysto politycznych celach.

²³⁹ Mianem „Truden” określano wtedy w rejonie Bambergu czarownice i czarowników.

²⁴⁰ Byli jednak zdroworoządkowi przeciwnicy tego szaleństwa. Podczas rządów książąt elektorów Fryderyka IV i Fryderyka V w Palatynacie Reńskim (lata 1583-1632) nie spalono tam żadnej czarownicy. Obydwaj książęta uważali teorię o istnieniu czarownic za bzdurę. Niemiecki jezuita Fryderyk Spee w swoim dziele „*Cautio criminalis*” ostro potępił procesy o czary (jednakże dzieło wydał anonimowo). Biskup kujawski Florian Jerzy Czartoryski wydał list pasterski, w którym potępił okrucieństwo sędziów w procesach o czary.

²⁴¹ Na obszarze Niemiec działalnością inkwizycyjną zajmowali się dominikanie. Za podstawę prawną ich działalności przyjęto bullę papieża Innocentego VIII „*Summis desiderantes affectibus*” z 1484 r. Co ciekawe, według tradycji tego zakonu Albertus Magnus, jeden z dominikanów dokonał swoich najwspanialszych czynów dzięki pomocy obłaskawionego Diabła. Od XVI w. bardzo gorliwi w ściganiu rzekomych czarownic byli również niektórzy jezuiti.

Zazwyczaj podejrzane o czary to kobiety po 50 roku życia, samotne i pochodzące z nizin społecznych. Wiele z nich to żebraczki, które chodząc po prośbie oferowały różne usługi, zazwyczaj dotyczące sfery znachorstwa czy rzekomego wróżbiarstwa. Katalog rzekomych przestępstw, które im zarzucano był bardzo szeroki. Większość z nich dobrze znała ludowe zabobony. Trudniły się znachorstwem, spędzaniem płodu, czarami „miłosnymi” czy też szkodzeniem bydła. Podejrzewano je również o sprowadzanie nieurodzajów. Ciężkim przewinieniem było zakopanie przez czarownicę w czyimś domostwie końskiej lub cielęcej czaszki. Stosowanie tego typu magii określano mianem „*maleficia*”. Często łączono je jednak z satanizmem, kultem Diabła i oddawaniem mu czci. Przypisywano im najstraszniejsze zbrodnie, jak kanibalizm dzieci, stosunki płciowe z Diabłem, jak również różnego typu seksualne orgie i parodiowanie Mszy Świętej. Zapominano jednak, że zgodnie ze Starym Testamentem Szatan jest dziełem Boga i działa tylko na tyle, na ile Bóg mu pozwoli...

Na pierwszy ogień szły kobiety samotne i biedne, których nie miał kto obronić. Uważano je za słabsze moralnie od mężczyzn. Do tego grona dołączyli żebracy i osoby zupełnie przypadkowe. Rzadziej oskarżenia rzucano wobec kobiet zamężnych i zameżnych. O czary oskarżano również wiele starszych kobiet, które były chore psychicznie. Przed oskarżeniami nie uciekli jednak mężczyźni, a nawet małe dzieci, gdyż uważano, że dzieci czarownic są całkowicie opanowane przez Szatana. Nie ulega też wątpliwości, że pełne fantazji zeznania niektórych czarownic (w różnym wieku) były efektem urojeń bądź perwersyjnych fantazji, w tym seksualnych. Procesami o czary starano się również utrzymać posłuch w społeczeństwie, w którym aż huczało od różnego rodzaju napięć społecznych. Obawiano się społecznych buntów wychodzących z założenia, że „*rebelia jest matką czarostwa*”. Wbrew pozorom, sądy kościelne były mniej „gorliwe” w ściganiu czarownic. Prym wiodły sądy świeckie, które uzyskały prawo do sądzenia w sprawach o magię i *maleficium*. Opierano się na zapisie z Pisma Świętego („Ewangelia św. Jana”, rodz. XV, 6) o brzmieniu: „*Jeźliby kto we mnie nie trwał, precz wyrzucony będzie jako latorośl, i uschnie, i zbiorą ją, i do ognia wrzucą, i zgore*”. Procesy o czary i spalenie na stosie były o wiele częstsze w krajach, których ustrój charakteryzował się większą autonomią wewnętrzną, jak to było w Niemczech. Nie jest jednak prawdą, że nasilenie procesów o czary było efektem walki pomiędzy katolikami a protestantami. Zwolennicy Lutra, jak i Kalwina byli niezwykle „gorliwi” w ściganiu tego typu przestępstw, co wiązało się z ideą pobożnego życia w uświęconym ciełe i zgodnym z zasadami Biblii. Luter bardziej obawiał się ingerencji Szatana w życie zwykłych ludzi, niż samych czarownic. Zdarzało się, że w niektórych przypadkach ofiarą polowań na czarownice padała prawie cała

żeńską populacją danego miasta (np. Rottenburg). Zdarzały się również bezczelne nadużycia²⁴².



Ilustracja 84 – Medal upamiętniający procesy czarownic (2022); źródło: wikipedia.

Pierwsza kara śmierci w procesie o czary na ziemiach polskich została wykonana już w 1511 r. w Waliszewie koło Poznania²⁴³. Śląsk nie był wtedy częścią Rzeczypospolitej, a elementem wielkiej monarchii austriackich Habsburgów, która obejmowała sporą część Europy. Miał jednak opinię miejsca, gdzie prowadzono niezwykle ożywioną „walkę z Diabłem”. Według wyników badań K. Lambrecht na Śląsku w XVII w. odbyło się łącznie 444 procesów o czary. W ich rezultacie na śmierć skazano blisko 600 osób. Do tej liczby trzeba dodać 264 osoby podejrzane o czarostwo, przypuszczalnie również ukarane śmiercią oraz 111 osób ukaranych w inny sposób. Więcej procesów i kar śmierci stosowano na Dolnym Śląsku, jednakże na Górnym Śląsku prym wiodło księstwo nyskie, gdzie w latach 1622-1684 skazano około 200-250 kobiet. Pewnie dlatego, że było to feudalne księstwo biskupów wrocławskich²⁴⁴. Kościelni hierarchowie otrzymali tam władzę sądowniczą oraz prawo bicia monety. W 1622 r. biskup wrocławski Karol Habsburg sprowadził do Nysy jezuitów, co stało się impulsem do masowych procesów o czary. Zapewne fanatyczni zakonnicy, papieska armia kontrreformacji, w ten sposób chcieli zdobyć posłuch i posłuszeństwo. Od 1651 r. procesy o czary osiągnęły tam niebywale rozmiary w skali Europy

²⁴² W 1633 r. miał miejsce tzw. szwindel Pendle’a w Hoarstones w Anglii. Młodzieniec Edmund Robinson obciążył oskarżeniem wiele miejscowych kobiet. W czasie przesłuchania wyjawiał, że wszystko sobie wymyślił.

²⁴³ Jedynym krajem środkowowschodniej Europy, w którym procesy czarownic osiągnęły wysoką liczbę, była Polska.

²⁴⁴ Proboszcz nyski ksiądz Jan Feliks Padewitz w swojej „Historii kościoła św. Jakuba” (1698) napisał, że w 1651 r. w Nysie odbył się surowy proces przeciwko czarownicom, w efekcie którego 42 kobiety zostały skazane na śmierć przez spalenie na stosie. Proces przerwano, bo oskarżeni jako swoich współpracowników zaczęli wskazywać osoby z ówczesnego miejskiego establishmentu (m.in. spowiednika biskupa).

Środkowej i Śląska. W 1701 r. kolejny biskup nakazał odlać specjalny dzwon z napisem „*Dum Anna sonat omnia fantas mata fugat*” („Dźwięk dzwonu św. Anny niech wypłoszy czarownice z księstwa”). Mieszkańcy Nysy twierdzili, że dzwon sam się odzywał, gdy w pobliżu pojawiała się kolejna czarownica. Drugie miejsce zajmował Racibórz. W 1663 r. przed sądem stanęły tam trzy kobiety, a w 1667 r. szesnaście osób, w tym trzech mężczyzn. Oskarżeni pochodzili z okolicznych wsi. Pojedyncze procesy odbywały się również w Gliwicach. We Wrocławiu w 1659 r. i 1664 r. spalono na stosie czarownice. Na Górnym Śląsku najprawdopodobniej żadna rzekoma czarownica nie spłonęła na stosie. To nie znaczy, że dla wielu z nich wyrok sądu nie oznaczał niczego złego. Był początkiem ich osobistej tragedii. W XVII w. rzekoma „plaga” czarownic dotknęła Gniezno, jak i Jędrzejów. Ogromnie „zasłużona” była również Zielona Góra.

Nie ulega jednak wątpliwości, co zresztą widać na przykładzie księstwa nyskiego, że polowania na rzekome czarownice było interesem przynoszącym dość spore dochody. Poza tym bardzo często (choć nie zawsze) stanowiły swoisty regulator chroniący ówczesny establishment świecki i duchowny przed protestami biednych, domagających się lepszego życia²⁴⁵. Tym bardziej, że w tym okresie nastąpił prawdziwy regres handlu i rzemiosła. Pojawiło się wiele społecznych napięć. Ludzie chętnie znajdowali kozła ofiarnego w osobie kobiety, która poprzez swoje rzekome kontakty z Szatanem była sprawcą nieszczęść. Z kolei feudałowie próbowali skierować nienawiść swoich poddanych w innym kierunku, skutecznie odsuwając ją od siebie. W XVIII w., w epoce Oświecenia, wiele osób stawiało sobie pytania o sens procesów czarownic, a może raczej sposobów ich prowadzenia²⁴⁶. Niestety, zabobon trwał nadal. Niemiecki jezuita Friedrich Spee (1591-1635) napisał książkę „*Cautio Criminalis*” (1631)²⁴⁷, w której zdecydowanie potępił procesy o czary i wydobywanie zeznań za pomocą tortur. Nie wszystkim się to podobało. Pewnie dlatego ktoś w 1629 r. próbował go zabić. Hiszpański inkwizytor Alonso de Salazar przesłuchiwał setki rzekomych czarownic. W końcu doszedł do wniosku, że ich opowieści o sabatach to jedna wielka bujda. Jeszcze w XVI w. Johann Weyer, z zawodu lekarz, ostro skrytykował polowania na czarownice wskazując, że wiele oskarżonych kobiet nie było w pełni rozumu. Krytycznie o ściganiu czarownic wypowiadał się również Erazm z Rotterdamu. Angielski doktor Edmund Jorden wykazał, że wiele kobiet podejrzanych o czary to po prostu ofiary zbiorowej i własnej histerii. Inny

²⁴⁵ Pod koniec XVI w. i na początku XVII w. na Śląsku pojawiły się silne niepokoje społeczne. Chłopi często zbrojnie występowali przeciwko feudałom. Regres gospodarki wiejskiej odbił się również na kondycji miast. Sytuacja ogromnie pogorszyła się w trakcie wojny trzydziestoletniej (1618-1648).

²⁴⁶ W 1774 r. August Sułkowski, wojewoda gnieźnieński domagał się zniesienia kary na czarownice.

²⁴⁷ Jej pierwsze wydanie zostało opublikowane anonimowo.

lekarz, John Cotta wykazał, że epilepsja to choroba, a nie diabelskie opętanie. Nie ulega wątpliwości, że świat w tych czasach ulegał daleko idącym przemianom. Podejrzewa się, że szaleństwo polowań na czarownice to wyraz społecznego zaniepokojenia, a wręcz strachu przed nieuchronnymi społecznymi, a także gospodarczymi i ekonomicznymi przemianami.

W 1741 r. władze pruskie wprowadziły zakaz używania tortur podczas śledztwa. Na sejmie RP w 1776 r. na wniosek kasztelana bieckiego Wojciecha Kluszewskiego uchwalono ustawę, zgodnie z którą, wprowadzono zakaz używania tortur, jak również odebrano wszystkim świeckim sądom prawo do rozstrzygania spraw o czary. W pozostałych częściach Europy było różnie. W 1775 r. we wsi Doruchów niedaleko Wielunia odbył się ostatni zbiorowy proces czarownic²⁴⁸. Kilka z nich zmarło w trakcie procesu, a resztę spalono na stosie. Ogółem zamordowano 14 kobiet. Za ostatni europejski proces czarownicy uważa się spalenie Anny Göldi²⁴⁹ w kantonie Glarus w Szwajcarii w czerwcu 1782 r. Siła zabobonu jest jednak potężna. W 1872 r. w galicyjskiej wsi Dżurkowie zastępca wójta zarządził pławienie wszystkich kobiet, bo wokół panowała długa susza. Szukano domniemanej czarownicy. Na szczęście nadgorliwego urzędnika usunięto ze stanowiska. Jednakże w 1926 r. w podwarszawskim Waliszewie tłum miał zamiar zamordować rzekomą czarownicę, a jeszcze w 1946 r. w pewnej pomorskiej miejscowości doszło do próby samosądu na domniemanej wiedźmie.

Siła zabobonu jest potężna. W 2020 r. w co najmniej 36 krajach świata oskarżono ludzi o czary. Ludzie ciągle wierzą w istnienie wiedźm i czarownic. Dzień 10 sierpnia jest ogłoszony corocznym Międzynarodowym Dniem Walki z Szaleństwem Czarostwa. To na pamiątkę wydarzeń z 2012 r., kiedy to mieszkanka Papui-Nowej Gwinei Christina została oskarżona o czary, a nawet poddano ją torturom. Dzień ten powołano z inicjatywy Międzynarodowego Katolickiego Towarzystwa Misyjnego z Akwizgranu.

²⁴⁸ W swoim opracowaniu Jacek Wijaczka kwestionuje ten pogląd określając datę tego procesu na 1762 r.

²⁴⁹ Anna Göldi lub inaczej Anna Göldin urodziła się w dniu 24 października 1734 r. w Sennwald w biednej rodzinie. Do 1765 r. nic o niej nie wiadomo. W tym roku Göldi sprowadziła się do Glarus i przez następne 17 lat pracowała jako służąca i gospoia u zamożnych rodzin w Glarus i w pobliskim mieście Mollis. Była piękną kobietą, więc nie brakowało jej adoratorów. Przez sześć lat była zaangażowana w romans z dr-em Melchiorem Zwickim z Mollis. W 1774 r. prawdopodobnie wyjechała do Strasburga urodzić jego dziecko, które następnie oddała do adopcji. Od 1780 r. pracowała w Glarus jako służąca w domu lekarza i sędziego, Jakoba Tschudi. Prawdopodobnie z nim również wdawa się w romans i urodziła mu dziecko. Straciła pracę po odkryciu w październiku 1781 r. szpilek w mleku drugiej córki gospodarza, ośmioletniej Annemigeli. Zgodnie z zeznaniami członków rodziny dziewczynka miała pluć szpilekami i mieć drgawki, a Göldi uzdrowiła ją, co miało umocnić gospodarzy w przekonaniu, że jest czarownicą. Göldi zbiegła, a władze kantonu ogłosiły nagrodę za jej pojmanie. W lutym 1782 r. została uwięziona pod zarzutem uprawiania czarów i po torturach przyznała się do korzystania z pomocy Szatana. Sąd w Glarus skazał ją w dniu 13 czerwca 1782 r. na śmierć przez ścięcie, oficjalnie za próbę otrucia, a nie za czary. Wyrok wykonano natychmiast po ogłoszeniu pomimo, że jako obywatelka Zurychu nie mogła być sądzona przez sąd w Glarus. 27 sierpnia 2008 r. sąd krajowy w Glarus orzekł, że wyrok z 1782 r. był nielegalny. Od 2014 r. w Glarus stoi jej pomnik. Jej postać stała się inspiracją dla wielu dzieł literackich czy filmowych.



Ilustracja 85 – Zdjęcie z prac archeologicznych w Bytomiu na Placu Klasztornym w 2024 r. Strzałka nr 1 wskazuje miejsce znalezienia szkieletu młodej kobiety (prawdopodobnie XVII w.) a strzałka nr 2 resztek trumny i szczątków mężczyzny (prawdopodobnie koniec XVIII w. lub XIX w.).

Donnersmarckowie powrócili na Śląsk. Podali sobie dłoń z pruskimi Hohenzollernami, tworząc potężne imperium przemysłowe. Stali się górnośląskimi potentatami w dziedzinie wydobywania surowców i ich przeróbki. Dorobili się ogromnego majątku, który należał do jednego z największych nie tylko w Królestwie Pruskim, ale również w zjednoczonym Cesarstwie Niemieckim i całej Europie. Stali się twórcami górnośląskiego przemysłu ciężkiego, jak również fundatorami wielu osiedli przemysłowych, katolickich i ewangelickich świątyń, jak również mecenasami miejscowej kultury. Wszystko uległo zupełnej zmianie. Guido Henckel von Donnersmarck (1830-1916), pruski książę i 13 wolny pan stanowy Bytomia zakochał się w pewnej kobiecie o przedziwnej i dość kontrowersyjnej reputacji. Markiza Blanka de Païva²⁵⁰ ze względu na swój tryb życia oraz sposoby przyciągania uwagi wielu mężczyzn w dawnych czasach zostałaby pewnie okrzyknięta wiedźmą. Druga małżonka tego samego człowieka, Rosjanka Katharina Slepzow opisywana jako jedna z najbardziej wpływowych i majątnych dam w Niemczech swojej epoki, mieszkając w Kozłowej Górze była znana ze swojego dziwnego zachowania podczas codziennych spacerów, gdy przytulała się do drzew i rozmawiała z nimi. W XVII w. zapewne byłby to dowód na czarostwo. Kiedyś panowało takie szaleństwo.

Bytom ma w tym swój niechlubny udział...

²⁵⁰ Właściwie Esther Pauline Blanche Lachmann. Żyła w latach 1819-1884.

Polecana literatura:

1. Adamska-Heś Barbara, Heś Robert, Szołtysek Roman, *Dzieje zamku w Chudowie*, Katowice 2001
2. Baranowski Bohdan, *Ludzie gościńca w XVII i XVIII w.*, Poznań 2021
3. Baranowski Bohdan, *Procesy czarownic w Polsce w XVII i XVIII wieku*, Poznań 2023
4. Baranowski Bohdan, *W kręgu upiorów i wilkołaków. Demonologia słowiańska*, Poznań 2023
5. Breuers Dieter, *W imię trzech Diabłów. Historia polowań na czarownice*, Poznań 2021
6. *Bytomski słownik biograficzny*, red. Jan Drabina, Bytom 2004
7. Cetwiński Marek, *Rycerstwo śląskie do końca XIII w. Pochodzenie-gospodarka-polityka*, Wrocław 1980
8. Cetwiński Marek, Derwich M., *Herby, legendy, dawne mity*, Wrocław 1987
9. Drabina Jan, *Historia Bytomia 1252-2000*, Katowice
10. Drabina Jan, *Życie codzienne w Bytomiu od lokacji do I wojny światowej 1254-1914*, Bytom 2006
11. Filiks M. Fabian, *Mistycyzm na Śląsku w XVI-XVII wieku*, Katowice 2011
12. Gramer Franz, *Kronika miasta Bytom na Górnym Śląsku*, Bytom 2014
13. *Historia Górnego Śląska. Polityka, gospodarka i kultura europejskiego regionu*, praca zbiorowa pod red. Joachim Bahlcke, Dan Gawrecki, Ryszard Kaczmarek, Gliwice 2011
14. Knossalla Josef, *Das Dekanat Beuthen O/S in einem Schlesienschen Teil*, 1936
15. Korcz Władysław, *Wspólniczki diabła czyli o procesach czarownic na Śląsku w XVII wieku*, Katowice 1985.
16. *Legends Górnego Śląska. Rys historii oraz kultury ludowej*, Katowice 2006
17. Lovack Brian P., *Polowanie na czarownice w Europie wczesnonowoczesnej*, Ossolineum 1991.
18. *Młot na czarownice*, Kraków 2023
19. Perlick Alfons, *Beuthen O/S. Ein heimatbuch des Beuthener Landes*, Recklinghausen 1982
20. Strzelczyk Jerzy, *Od Prastłowian do Polaków*, Poznań 2024
21. Ślęzak Władysław, *Bytom za rządów Hohenzollernów i Hencklów*
22. *Sztuka Górnego Śląska od średniowiecza do końca XX wieku*, praca zbiorowa pod red. Ewy Chojeckiej, Katowice 2004
23. *Z dziejów rodu Henckel von Donnersmarck*, Zeszyty Tarnogórskie nr 10 – 1990

24. Wijaczka Jacek, *Czarownicom żyć nie odpuszczisz. Procesy o czary w Polsce w XVII-XVIII wieku*, Poznań 2022
25. Witkowski Sławomir, *Własność ziemska w kasztelanii bytomskiej w średniowieczu*, Katowice 2004

